Jonathan Vankin • John Whalen
NAJWIĘKSZE
SPISKI
OSTATNIEGO
STULECIA

Vankin Jonathan,Whalen John

Najwieksze spiski ostatniego stulecia

Tytuł oryginału 50 GREATEST CONSPIRACIES OF ALL TIME

naszym rodzicom

Wstęp

To spisek, nieprawdaż?

Jak powiada pisarz Jim Hougan, istnieją dwie możliwości zapisu historii. Pierwsza - jednoznaczna, rzec można „disneyowska", tak powszechnie znana i dostępna, że kontakt z nią wydaje się wręcz nieunikniony. Druga zaś - tajemnicza, nie odkryta i nie nazwana.

Niniejsza książka nie należy do pierwszej, popularnej lub, słowami Hougana, „disneyowskiej" wersji.

Różnimy się od wspomnianego tu autora takich książek jak Spooks i Secret Agenda, dwóch klasycznych już prac o owianych tajemnicą sprawach ze świata polityki, w jednym, choć istotnym punkcie.

Według nas ta druga wersja historii ma jednak swoją nazwę, to:

„teoria spiskowa". Ale powie ktoś, jeżeli jest jedynie „teorią", to nie może być „historią".

Nie podzielamy takiego punktu widzenia. Historia to przecież opis faktów, które kiedyś zaistniały, wydarzeń sprzed lat, wieków, tysiącleci. Logiczny opis z komentarzem co do przyczyn i skutków.

Teoria spiskowa podobnie. Lecz polega ona przede wszystkim na wyciąganiu wniosków i przypuszczeń z zaistniałych faktów. Nie oznacza to wcale, że mamy podnieść ręce do góry i wyznać, że wszystko w zapisie historii jest subiektywne i że nikt nie jest w stanie stwierdzić, co jest prawdą, a co fałszem. Właśnie odwrotnie. Mamy nadzieję, że nasza książka poszerzy definicję tego, co może okazać się prawdziwe, ponieważ, jak nam się wydaje, pojęcie prawdy 9

zostało ostatnio tak ociosane, okrojone, spłycone, ku uciesze i wygodzie mediów oraz establishmentu, że w społecznej świadomości przyjęło się uważać za prawdziwą tylko część prawdy - kilka podanych faktów, parę informacji. Nie wnikamy w głąb zagadnienia, nie sięgamy do samego jądra wydarzeń, zadowalamy się obwolutą.

To niczym, szanowny Czytelniku, noszenie wody w dziurawym naczyniu - trochę doniesiesz, ale resztę stracisz po drodze.

Historię „disneyowską" śmiało można nazwać wersją dzienników telewizyjnych czy też uczelnianych skryptów. A jeżeli teorie spiskowe spotykają się z pewną niechęcią, to nie u zwykłych zjadaczy chleba, ale właśnie u przedstawicieli mediów oraz środowisk uniwersyteckich i rządowych - jednym słowem ludzi, którzy rządzą krajowym i globalnym obiegiem informacji.

Wyraźnie widać ogromną ostrożność w podejmowaniu badań nad teoriami spiskowymi, a powody takiego stanu rzeczy są przeróżne i skomplikowane. Zapewne zasługują wręcz na oddzielną książkę.

Spróbujmy jednak przytoczyć kilka z nich:

•

Sprzeczne interesy. Teorie spiskowe, niejako ze swej natury, atakują uznane autorytety. Można się spodziewać, że ludzie posiadający taki autorytet odpowiedzą również atakiem.

•

Lenistwo. Nie tak łatwo można posiąść prawdę o jakimkolwiek spisku. Znacznie łatwiej jest przecież przepisać doniesienia prasowe i pozostawać w komfortowym przekonaniu, że gdyby ktoś powrócił do tego tematu, można podeprzeć się ogólnodostępnymi źródłami.

•

Amatorska psychoanaliza. To odrzucanie teorii spisowych bez zagłębiania się w nie, poprzestawanie jedynie na wskazaniu rzekomych problemów nękających ich wyznawców. Na nieszczęście, wielu głośnych teoretyków spiskowych niewiele robi, by przełamać ten niekorzystny stereotyp. Jednakże domowi freudyści rzadko przyznają, że ich własne poglądy mają również głęboko ukryte psy-10

chologiczne motywacje. Poza tym nie nastraja pozytywnie stwierdzenie pewnego dnia, że to, co dotychczas wiedziałeś, nie było prawdą.

•

Presja ogółu. Ponieważ większość reporterów, analityków politycznych, jak i samych polityków ucieka przed teoriami spiskowymi, rzadko kto z nich decyduje się na wyłamanie z szeregu, nadstawianie karku i w konsekwencji podjęcie ryzyka utraty akceptacji innych.

•

Stereotypy. W 1994 roku powstało spore zamieszanie wokół

wniosku o wykluczenie rozgrywającego Steve'a „Lefty" Carltona z koszykarskiego „Zespołu Gwiazd" za jego oświadczenie w magazynie

„Philadelphia" jakoby dwunastu żydowskich bankierów, którzy spotkali się w Szwajcarii, sprawowało władzę nad światem.

Oczywiście, za tą wierutną bzdurą kryją się przesądy i stereotypy myślenia różnych środowisk. Istnienie tego typu niefortunnych deklaracji wydaje się jednakże niesprawiedliwie dyskredytować inne, bardziej sensowne spiskowe interpretacje wydarzeń, które nie robią z żadnej etnicznej czy religijnej społeczności kozła ofiarnego.

•

Ślepa wiara w demokrację. Istnieje powszechne przekonanie, że ten [amerykański - przyp. red.] system rządzenia chroni obywateli przed niesprawiedliwością, korupcją, spiskami, które mogą mieć miejsce w innych, głównie słabiej rozwiniętych krajach.

•

Siła nawyku. Wiele teorii spiskowych dotyka ciemniejszej strony ludzkiej natury i ukazuje w niekorzystnym świetle postacie obdarzone powszechnym szacunkiem. Odruchowo odrzucamy te poglądy, ponieważ lepiej i bezpieczniej czujemy się z przeświadczeniem o przyzwoitości własnej i innych.

•

Spiski! Przypuśćmy, że coś się jednak wydarzy. Przecież konspiratorzy wcale nie będą się starali przyznać do winy, nawet gdy ktoś natrafi na ślad ich udziału w spisku.

Nie podejmujemy próby udowodnienia, czy konkretne teorie spiskowe są prawdziwe, czy fałszywe, warte rozpatrzenia czy odrzucenia.

11

To, co składa się na naszą książkę, zawiera opartą na dostępnej literaturze wiedzę o istniejących teoriach spiskowych bez ich wartościowania. Musimy przyznać, że nasze kryteria były wielorakie.

Wiele tematów zostało poruszonych ze względu na ich wagę, a także możliwość przytoczenia wspierających je sprawdzalnych faktów. Inne z kolei wybraliśmy, ponieważ wydały nam się atrakcyjne dla Czytelnika, a jednocześnie pozwalały widzieć „spisek" w szerszym niż dotychczas kontekście. Przygotowując materiały do niniejszej książki zauważyliśmy, że większość badaczy teorii spiskowych traktuje problem z ogromną powagą. Naszym zamierzeniem jest zaprezentowanie jedynie odmiennego spojrzenia na otaczający nas świat. Czasem jest to obraz niezwykle poważny, innym razem -

ubarwiony humorem, a czasem bywa nawet niewiarygodny.

Z pewnością jednej rzeczy zrobić tutaj nie chcemy; a mianowicie przekonywać Czytelnika na siłę czy też ranić poczucie jego własnej inteligencji. Oczekujemy jedynie otwartego spojrzenia i nieco intelektualnej odwagi. Przecież nawet Walt Disney oferuje nam niekiedy koszmary.

Podziękowania

Książka ta zapewne nigdy by nie powstała, gdyby nie wkład dwóch osób. Jedną z nich jest nasz agent, a zarazem przyjaciel, Ken Swezey, który wystąpił z propozycją napisania tej książki już piętnaście miesięcy przed podpisaniem kontraktu. Równie ważną postacią jest nasz wydawca, Kevin McDonough, który uwierzył w nasze plany i widział w nas odpowiedni potencjał. Przekazujemy im nasze najgorętsze podziękowania.

Jesteśmy także głęboko wdzięczni i zobowiązani za pomoc w poszukiwaniu materiałów źródłowych Ronowi Bondsowi z IllumiNet Press, jednemu z najśmielszych wydawców w Stanach Zjednoczonych

- Kennowi Thomasowi, wydawcy „Steamshovel Press", świetnemu znawcy szybko rozrastającego się kręgu wydawnictw zajmujących się spiskami, i Jimowi Martinowi, wydawcy „Flatland" - będącego częściowo katalogiem, a częściowo magazynem, niezwykle fascynującym (doskonały punkt startowy do tworzenia prywatnej biblioteczki dotyczącej spisków i literatury przedstawiającej alternatywne losy polityki). Czytelnikom, którzy pragnęliby pogłębić przedstawianą tematykę, polecamy skontaktowanie się z IllumiNet pod adresem: Box 2808, Lilburn, GA 30226; ze „Steamshovel" pod adresem: Box 23715, St.

Louis, MO 63121; oraz z „Flatland" pod adresem: Box 2420, Fort Bragg, CA 95437.

13

Chcieliśmy wyrazić również wdzięczność naszemu uprzedniemu pracodawcy. Metro Newspapers, a w szczególności Bobowi Hansenowi, Sharan Street, Davidowi Cohenowi oraz Danowi Pulcrano.

Osobiste podziękowania Jonathana Vankina

Okoliczności, w których pisałem moją część tej książki, dalekie były od wymarzonych, dlatego też moralna, emocjonalna i praktyczna pomoc okazywana mi przez wielu ludzi miała dla mnie ogromne znaczenie. Trzy osoby zasługują na szczególne wyróżnienie. Przede wszystkim moi rodzice, Jean i Larry Vankin, którzy zapewnili mi wszystko, co mogą dać rodzice (miłość, inspirację, pieniądze etc.), a równocześnie służyli mi jako asystenci w poszukiwaniach tekstów źródłowych - zadanie znacznie wykraczające poza zwykłe obowiązki rodzicielskie. Przekazuję im więc moje wyrazy oddania i najgorętsze podziękowania.

Chciałbym wyrazić również najszczersze podziękowania Debbie Picker. Uczyniła ona dla mnie tak wiele, że zwykłe słowo „dziękuję"

za jej miłość, zrozumienie i cierpliwość wydaje się dalece niewystarczające. Była moją wspaniałą partnerką, w tym raczej niezwykłym doświadczeniu, i mam nadzieję, że będzie nią w wielu następnych przedsięwzięciach tego typu.

Moja serdeczna wdzięczność - z rozlicznych względów osobistych -

należy się całemu szeregowi osób. Należą do nich: moja siostra Laura Vankin, Dan Reichert i Andrea Marcovicci (partnerka Dana, mojego najbliższego przyjaciela na przestrzeni wielu lat), rodzina Shimogaito, Teru-ko, Yoshiko i Takehiro, Al Edmonds, Hal March, Gary Sherman, Louis Theroux, Erie London, Holli Richards, Brent Filson (wciąż mój doradca), Trevor Loring, Judge Sande Mazer Moss i Bill Deane, trzy pokolenia Picker-sów. Si i Lorraine, Ben i David, Coleen Curran, Lisa Stone-Norman, Ichiro Taniguchi, Ryuji Nakazono, Ann 14

Walker, Matt Maranz, Jamesfinkle @ twics. com, Jay Whearley i cały szereg ludzi, których być może przeoczyłem.

Równie istotne podziękowania pragnąłbym przekazać wielu ludziom, którzy poświęcili mi swój czas, służyli inspiracją lub w inny namacalny sposób pomagali mi na trudnej drodze w realizacji zamierzeń tego przedsięwzięcia.

Na szczególnie ciepłe słowa zasługuje Clark Coolidge, za być może przypadkowe wprowadzenie mnie na tę szczególną drogę. W tym miejscu powinien pojawić się także Mark Stewart. Na moje podziękowania zasługują także: Evelyn Fazio, Kurt Andersen, kongresman Don Edwards (obecnie na emeryturze), Robert Anton Wilson, E. J. McCarthy, John Strausbaugh, Emily Reichert, Tom Snyder, Kerry Thornley, G. Gordon Liddy, Adam Parf-rey, Paul Theroux, Jim Martin, Anthony Summers, Ja-son Neely, Jim Keith, Mickey Z., R.U. Sirius i Queen Mu, Suzanne Guyette, Mike Litchfield, Dave Emory, Greg Krupey, K-Talk radio w Salt Lake City, John Judge, Trowbridge Ford, William Bramley, Don Kenni-son, Al Kunzer, Jim i Ken Collier, Laura Lindgren, Don Oldenburg, Loompanics, Stuart Swezey i Brian King, Jo Glorie, Nancy

Sayles, Dennis Hayes, Sally Robinson i wszyscy inni, których nieopatrznie pominąłem.

W końcu najgłębsze wyrazy wdzięczności pragnę przekazać Johnowi Whalenowi, współautorowi niniejszej pracy.

Osobiste podziękowania Johna Whalena

Wygląda na to, że niemal każdy ma swoją ulubioną teorię spiskową.

Dlatego też pragnąłbym wyrazić podziękowania wielu osobom, które podzieliły się ze mną swoimi pomysłami, wycinkami z prasy, utajnionymi aktami, domysłami i innymi gorącymi jeszcze wieściami.

Z pewnością szczególne podziękowania należą się moim rodzi-15

com, Patricii i Frankowi Whalenom, którzy zaprowadzili mnie na film Wszyscy ludzie prezydenta w mocno niestosownym dla mnie wieku.

Również największe podziękowania przekazuję Ann Walker. Jej szczerość, inspiracja i cierpliwość nie znają granic, a przynajmniej takich, których mógłbym doświadczyć, co znaczy dla mnie bardzo wiele.

Również inni, którzy pomagali mi przeciskać się przez mroczne labirynty spisków, zasługują na wyrazy wdzięczności. Należą do nich Jim Hougan, Robert Gettlin, John Stockwell, Stephen Pizzo, Norman Solomon, Henry Lincoln, Peter Dale Scott, Joel Bleifuss, Robert Parry, Ben Bagdikian, Ed Connolly, Dave Emory, Pate Brewton, Al Kunzer, Ralph McGehee (za nieocenioną komputerową bazę danych, CIABASE, którą można zamówić w ASAP: Box 5022, Herndon, VA 22070), Marc Cooper i Ellen Ray.

Oczywiście specjalne podziękowania należą się Jonathanowi Vankinowi, wspaniałemu partnerowi w opracowywaniu tej książki, bez którego byłaby ona o połowę krótsza.

San Jose, Kalifornia luty 1994

1. Narkotykowe eksperymenty CIA

LSD, narkotyk, o którym każdy słyszał, został zsyntety-zowany przez szwajcarskiego badacza Alberta Hofmanna, pracującego dla koncernu farmaceutycznego Sandoz. Wśród młodych przedstawicieli świata zachodniego LSD nie pojawiło się wcale przypadkiem. Znacznie wcześniej zajmowała się nim amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA), jeszcze przed narodzinami ruchu dzie-ci-kwiatów.

Zapewne dlatego też właśnie przedstawiciele amerykańskiej elity, jak magnat prasowy Henry Luce i jego żona Claire Booth Luce, we wczesnych latach sześćdziesiątych jako pierwsi otwarcie śpiewali hymny pochwalne o magicznych podróżach w świat doznań psychodelicznych. Henry, zatwardziały konserwatysta, posiadający bliskie kontakty z CIA, pewnego razu wziął „działkę" na polu golfowym, po czym - jak twierdził - uciął sobie małą pogawędkę z samym Panem Bogiem.

W czasie gdy wybrańcy zdobywali ten cenny środek dzięki pomocy zaprzyjaźnionych lekarzy, inni pionierzy „kolorowych" doznań doświadczali swoich pierwszych wizji w ramach programu badawczego prowadzonego przez CIA.

Jasne jest, że efekty tych badań musiały wzbudzić kontrowersje.

Przynajmniej jedna osoba w trakcie narkotykowego transu popełniła samobójstwo, wyskakując

z okna hotelu w Nowym Jorku. I to na oczach nie interweniującego obserwatora z Agencji. Niektórzy wręcz sugerują, że agent wcale nie pozostawał biernym obserwatorem całego zajścia. W czerwcu 1994

roku rodzina ofiary przeprowadziła ekshumację zwłok spoczywających w grobie od 30 lat, by sprawdzić, czy nie pozostały jakieś ślady mogące wskazać, że ich syn został wypchnięty przez okno. Wiele innych osób - królików doświadczalnych - na stałe utraciło kontakt z rzeczywistością.

Program CIA zmierzający do uzyskania kontroli nad zachowaniem ludzi przez „ukryte zastosowanie chemicznych i biologicznych substancji", zgodnie z sugestiami Richarda Helmsa, otrzymał nazwę MK-ULTRA. Zapożyczono ją z programu ULTRA - akcji amerykańskiego wywiadu w czasie II wojny światowej, którą prowadzono na tyłach nazistów. Weterani szpiegostwa byli z niej niezmiernie dumni.

Helms został następnie dyrektorem CIA, a w późniejszym czasie jego popularność wzrosła dzięki głoszonej przezeń opinii o „kłamstwach przed Kongresem" w śledztwie dotyczącym afery Watergate oraz jego biografii, napisanej przez Thomasa Powersa i odpowiednio zatytułowanej: The Man Who Kept the Secrets (Człowiek, który strzegł sekretów). Ustanawiając program MK-ULTRA, Helms rozprawił się z jego wyraźnie nieetycznymi aspektami, oświadczając:

„Nie jesteśmy przecież skautami".

W tym czasie naukowcy związani z MK-ULTRA spodziewali się, że zastosowanie LSD umożliwi zmianę ludzkiej osobowości. Mieli sporo racji - Timothy Leary [apologeta LSD ze środowisk subkulturowych -

przyp. tłum.] wypowiada się w podobnym tonie. Widział w tym narkotyku nieograniczony potencjał dla

samodoskonalenia się w owym „przeprogramowywaniu". CIA i wojsko nie umiały jednak poradzić sobie z okiełznaniem mocy narkotyku. W pewnym sensie możemy się z tego cieszyć. Ich zamiarem nie było przecież otwiera-20

nie drogi dla poszerzonej percepcji, ale w ukryty sposób przemienienie istot ludzkich w bezmyślne automaty.

„Musimy pamiętać o złożeniu podziękowania CIA i wojsku za LSD" -

powiedział kiedyś niewątpliwy autorytet narkotykowych „odjazdów", John Lennon, który dalej konkludował: „Wynaleźli LSD, by przejąć kontrolę nad ludźmi, a w rzeczywistości dali nam wolność".

Czy jednak naprawdę tak właśnie było? Przecinanie się ścieżek CIA i subkultury jest tym terenem, gdzie fakty o MK-ULTRA mieszają się z mglistym obszarem teorii spiskowej. Różni, nieraz bardzo popularni przedstawiciele ruchu kontrkulturowego niejednokrotnie sugerowali, że bossowie CIA znaleźli ostateczną broń przeciwko ruchowi młodych właśnie w postaci LSD.

Oficjalnie program MK-ULTRA prowadzono w latach 1953-1964, po czym, zmieniwszy jego nazwę na MK-SEARCH, kontynuowano go do 1973 roku. Jednakże amerykański wywiad i wojsko zajmowały się tą problematyką już od czasów II wojny światowej i jest wielce prawdopodobne, że prace trwały nadal przez wiele lat, nawet po oficjalnym zakończeniu MK-ULTRA. Program składał się z licznych, często dziwacznych i przerażających wręcz eksperymentów. W

jednym z nich psychiatra Ewen Cameron otrzymał fundusze z CIA, by przetestować procedurę, którą on sam określił jako „depatterning"

(zmiana odwzorowania). Technika ta, którą Cameron objaśnił w trakcie ubiegania się o stypendium CIA (maskowane przez organizację Society for the Investigation of Humań Ecology -

Towarzystwo Badania Ludzkiej Ekologii), polegała, między innymi, na „przełamaniu powtarzających się wzorców zachowań pacjenta przez stosowanie wyjątkowo silnych elektrowstrząsów" aplikowanych przy równoczesnym podawaniu LSD. Kilku pacjentów Camerona doznało uszkodzenia mózgu i innych trwałych zmian. Jeden z nich zaskarżył rząd i wygrał sprawę w 1988 roku.

21

Inna operacja programu nosiła kryptonim „Nocny orgazm". W jej ramach współpracujące z CIA prostytutki ściągały nieświadomych klientów do specjalnego domu publicznego w San Francisco. Tam dosypywały LSD do serwowanych klientom drinków, a pracownicy Agencji obserwowali zza podwójnego zwierciadła „przebieg eksperymentu".

John Marks, autor The Search for the Manchurian Candidate (Poszukiwania mandżurskiego kandydata) - jednej z najbardziej wyczerpujących prac traktujących o przeprowadzanych pod auspicjami amerykańskiego rządu badaniach nad kontrolą pracy mózgu - zaznacza, że wszystkie jego materiały źródłowe ograniczały się do dziesięciu pudeł z dokumentami, chociaż potrzebował całego roku, by ogarnąć zawartą w nich treść, mimo pomocy innych osób.

Marks pisze, że poszukiwał dostępu do danych działu CIA zwanego Office of Research and Development

(ORD)

-

Biuro Badań i Rozwoju, które przejęło badania behawio-rystyczne po rozpadnięciu się zespołu realizującego MK-ULTRA.

Uzyskał informację, że akta ORD znajdują się w 130 pudłach z dokumentami dotyczącymi badań behawiory-stycznych. Nawet jednak gdyby wszystkie z nich zostały odtajnione, już sama ilość materiałów by wystarczyła do odstraszenia nawet najbardziej zapalonego badacza.

Z pewnością stworzenie tak ogromnej ilości dokumentów musiało zająć odpowiednią ilość czasu i pracy. Mimo to CIA zawsze utrzymywała, że jej wysiłki zmierzające do stworzenia istoty na wzór Raymonda Shawa

-

hipnotycznie zaprogramowanego zabójcy z The Manchurian Candidate, zakończyły się kompletnym fiaskiem.

Gdybyśmy temu wierzyli, program stałby się jednym z największych przykładów marnotrawstwa pieniędzy podatników w całej historii Stanów Zjednoczonych, która przecież pełna jest również przykładów efektywnego lokowania dolarów.

22

CIA skutecznie blokuje wypływ informacji na temat badań nad kontrolą pracy mózgu, podkreślając konieczność przeprowadzania prac badawczych bez niepotrzebnego rozgłosu. Dlatego też, być może, Agencja rozmyślnie ukazuje swoich pracowników jako niekompetentnych figurantów, zachęcając opinię publiczną do naśmiewania się z ich nieudolnych wysiłków uzyskania trucizny rakotwórczej albo zgładzenia przywódców innych państw.

W tym świetle zespół badawczy MK-ULTRA miał być jedynie grupą nieproduktywnych ekscentryków. „Nasze badania okazały się dosyć nieefektywne, dlatego też wyniki ich mogą zostać opublikowane" -

oświadczył jeden z konsultantów MK-ULTRA.

Taki właśnie obraz poparła komisja senacka pod przewodnictwem Teda Kennedy'ego stwierdzając, że amerykański program badawczy nad kontrolą pracy mózgu okazał się jednym wielkim fiaskiem. W

tym samym kierunku zmierzały też konkluzje Marksa - badacza o nieco konserwatywnym podejściu do zagadnienia. Przyznał on, że nie znalazł żadnego dokumentu potwierdzającego, iż projekt mógł jednak zakończyć się sukcesem.

Marks zaznacza jednak na zakończenie: „Nie mogę jednoznacznie stwierdzić, że badania nie doprowadziły do powstania techniki umożliwiającej kontrolowanie zachowań ludzkich, pomimo mojej skłonności do wiary, że natura ludzka pokonała manipulatorów".

Cóż za optymistyczna i jakże pocieszająca ocena ludzkiej natury.

Działający w utajnieniu uczeni z pewnością zbadali każdy możliwy sposób, by wpływać na ludzki umysł. Eksperymenty z LSD stały się najsłynniejszym przedsięwzięciem MK-ULTRA, ale przecież narkotyk ten wcale nie był najmocniejszym środkiem testowanym przez wywiad i agendy wojskowe. Poza tym badania nie ograniczały się jedynie do środków farmakologicznych.

23

Zajmowano się także hipnozą, elektronicznymi implantami w mózgu, przekazywaniem sygnałów na odległość, a także parapsychologią.

Zarówno Marks, Kennedy, jak i wielu innych naiwnie wierzy, że amerykański aparat władzy poniósł klęskę na tym polu badań. Czy można jednak wierzyć, że efektu „prania mózgów", tak rozpowszechnionego wśród członków wielu sekt religijnych, nie udało się osiągnąć w wyniku badań naukowych 0

milionowych nakładach, w ramach sponsorowanych przez amerykański rząd akcji służb wywiadowczych 1

wojskowych?

Wielce prawdopodobne, że bodźcem dla całego programu było ogłoszenie przez kraje komunistyczne sukcesów w badaniach nad

„praniem mózgów". Określenie to pierwotnie odnosiło się do kilku żołnierzy, którzy uczestniczyli w wojnie koreańskiej, wykazujących dziwne odchylenia w swoim zachowaniu. Stwierdzono u nich również obszerne „czarne dziury" w pamięci - zwłaszcza z okresu dotyczącego podróży przez Mandżurię. Zjawisko to stanowiło inspirację dla Richarda Condona, autora powieści Manchurian Candidate (Mandżurski kandydat), w której grupa amerykańskich żołnierzy została poddana hipnotycznemu „praniu mózgów" przez koreańskich i chińskich komunistów. Wskutek tego jeden z nich został

zaprogramowanym zabójcą kandydata na przyszłego prezydenta.

Rzecz ciekawa, przyjmowanie, że czyjaś psychika ulega wpływom sygnałów, przekazywanych drogą radiową czy też poprzez elektroniczne implanty, uważane jest za symptom paranoidalnej schizofrenii. Nie ma jednak wątpliwości, że CIA rozpatrywała stosowanie tego typu metod i przeprowadzała odpowiednie eksperymenty na zwierzętach. Przyjmowanie, że zakończyły się one na tak wczesnym etapie, wydaje się nieco naiwne (chyba że podkomisja senacka uzna, że tak właśnie było). Nawet Marks, który podziela dziennikarską mądrość i trzyma się tylko tego, co może poprzeć konkretnymi dowodami,

24

ochoczo przyznaje, że tajne badania „zapewne" doprowadziły do umieszczenia elektrod w ludzkich mózgach. Zaznacza też, że eksperymenty z elektrodami „poszły znacznie dalej aniżeli wywoływanie orgazmu u małp" - które stanowiło jedno z pierwszych osiągnięć badaczy.

Ostatecznym celem badań nad kontrolą pracy mózgu mogło być

„wyprodukowanie" zabójcy w stylu mandżurskiego kandydata, agenta, który nie zdaje sobie sprawy z tego, kim jest naprawdę. A wszystko to w wyniku „prania mózgu" programującego do najbardziej

„subtelnych" misji. Czy zamiar ten powiódł się? O tym zapewne opinia publiczna nigdy się nie dowie. Pozostają jedynie przypuszczenia i nadzieja, że jednak nie udało się wyprodukować

„zaprogramowanych morderców".

W 1967 roku Louis Castillo, Portorykańczyk aresztowany na Filipinach za planowanie obalenia Ferdynanda Marcosa, twierdził

(gdy został poddany hipnotycznemu transowi), że zaszczepiono mu sugestię posthipnotyczną, skłaniającą go do dokonania zamachu.

Shirhan Bishara Shirhan, uznany za zabójcę Roberta F. Kennedy'ego, wykazywał jednoznaczne symptomy hipnozy. Psychiatra zeznający w obronie Shirhana stwierdził, że oskarżony w momencie oddawania strzałów do Kennedy'ego znajdował się w transie hipnotycznym, chociaż wywołanym przez siebie samego. Konkluzję lekarza przytacza Robert Kaiser w swojej książce RFK Must Die! (Robert Kennedy musi umrzeć!) Inni, rzecz oczywista, snują znacznie dalej idące domysły co do przyczyn stanu psychicznego Shirhana.

James Earl Ray, zabójca Martina Luthera Kinga, również znany był z fascynacji hipnozą. Z kolei całkiem niedawno brytyjski prawnik Fenton Bressler zebrał przypadkowe dowody potwierdzające teorię, że Mark David Chapman, zabójca Johna Lennona, był poddany przez CIA zabiegowi umożliwiającemu kontrolę pracy jego mózgu. Cofając się do roku 1967, w książce zatytułowanej Were We Controlled? (Czy byliśmy kontrolowa-25

ni?), autor, ukrywający się pod pseudonimem Lincoln Lawrence, twierdzi, że zarówno Lee Harvey Oswald, jak i Jack Ruby działali pod wpływem technik kontrolujących pracę mózgu. Warto też dodać, że pewien szczegół w tej książce przekonał matkę Oswalda, iż autor był

osobistym znajomym jej syna.

Czy MK-ULTRA rozkręciła falę zmieniających historię Ameryki zabójstw? Czy zrodziła zaprogramowanych pod wpływem hipnozy morderców?

Z pewnością ostateczna odpowiedź na to pytanie nigdy nie zostanie ujawniona. Pozostaje nam jedynie, razem z Johnem Marksem, żywić nadzieję, że tak nie jest.

Być może wcale nie poprzez zabójstwa, możliwe, że całkiem przypadkowo, MK-ULTRA ostatecznie zmieniła całą generację ludzi.

John Lennon był tylko jednym z licznych narkotykowych fanów w latach sześćdziesiątych, którzy dostrzegali powiązania między nastrojem ulic i tajnymi laboratoriami CIA.

Martin Lee i Bruce Shlain w Acid Dreams (Narkotykowe wizje), książce przedstawiającej zarówno te utajnione, jak i subkulturowe aspekty rewolucji, jaką stanowiło LSD, pisali: „Zadziwiająco duża liczba weteranów kontrkultury potwierdza, że Agencja masowo rozdawała narkotyki na ulicach, by zmniejszyć polityczny potencjał

rebelii młodych". - Autorzy kontynuują: - „Narkotyki przyspieszyły czas, kiedy cały ruch stracił swoją

spójność. Stosowanie LSD przez amerykańską młodzież osiągnęło szczyt pod koniec lat sześćdziesiątych, wkrótce po zainicjowaniu przez CIA serii tajnych operacji wymierzonych w rozbicie, zdyskredytowanie i neutralizację Nowej Lewicy. Czy była to jedynie przypadkowa zbieżność, czy też może Agencja podjęła kroki, by promować nielegalny handel narkotykami?"

Historia Ronalda Starka, opowiedziana przez Lee i Shlaina, może dostarczyć dowodów na powiązania CIA z Lewicą. Stark był

wiodącym dystrybutorem LSD pod koniec lat sześćdziesiątych, szczytowego okre-26

su narkotykowego szaleństwa, i zapewne agentem operacyjnym CIA.

Agencja nigdy tego nie potwierdziła, ale włoski sędzia decydujący w 1979 roku o tym, czy wytoczyć Starkowi sprawę za „akty rozboju z bronią w ręku", mając dowody licznych kontaktów Starka z terrorystami (między innymi dokładnie przepowiedział zamach na Aldo Moro), wypuścił handlarza narkotyków na wolność. Nastąpiło to po ujawnieniu serii skrupulatnie wyliczonych dowodów, że Stark od 1960 roku pracował dla CIA.

Tim Scully, przywódca jednej z większych grup, będących odbiorcami dostarczanego przez Starka „towaru" (grupa idealistycznych radykałów nazywana Bractwem), komentował:

„Możliwe, że Stark byl pracownikiem amerykańskiego wywiadu, który realizował zadanie polegające na tym, by na ulicach było więcej narkotyków". Jednakże Lee i Shlain pozostawiają otwartą możliwość, że Stark był wyłącznie jednym z najbardziej twórczych artystów subkulturowych na świecie - tezę, którą poparłby ponoć każdy, kto miał z nim bezpośredni kontakt.

Pierwotnym zamysłem przyświecającym badaniom CIA nad LSD

było dążenie do otwarcia umysłu ludzkiego na sugestie pod wpływem działania narkotyku. Stwierdzono jednak, że LSD jest narkotykiem zbyt silnym, by go do tego celu wykorzystać. Około roku 1973, tuż przed swym ustąpieniem ze stanowiska szefa CIA, Richard Helms, inicjator programu MK-ULTRA, rozkazał zniszczyć większość tajnych dokumentów związanych z jego realizacją. Uzasadnił to posunięcie szybko narastającym problemem braku papieru. Wśród zniszczonych materiałów, jak donosili Lee i Shlain, znajdowały się wszystkie istniejące kopie utajnionych instrukcji CIA zatytułowanych: LSD: Niektóre pozapsychodeli-czne implikacje.

Obecnie nie istnieje spisany czarno na białym dowód stwierdzający, że MK-ULTRA był elementem spisku

27

dążącego do „opracowania" zdalnie sterowanych ludzkich robotów, zdolnych do wykonywania „zadań specjalnych", albo też mającego osłabić całą generację amerykańskiej młodzieży przez rozpowszechnianie wśród niej deformujących pracę mózgu narkotyków. Program MK-ULTRA był jednak faktem. Dlatego obawa przed prowadzeniem przez amerykański rząd programu zmierzającego do kontroli myśli swych obywateli, choćby zaledwie kilku z nich, nie wymaga chyba dalszego uzasadniania.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Stephen Budiansky, Erica E. Goode i Ted Gest. The Cod War Ex-peńments. „U.S. News & World Report", 24 styczeń 1994. Martin Lee i Bruce Shlain. Acid Dreams. Nowy Jork: Grove Press, 1985.

John Marks. The Search for the Manchurian Candidate. Nowy Jork: Dell, 1979.

2. Polowanie na Castro

Okres zimnej wojny stał się powodem ogólnoamery-kańskiej histerii, która zapewne swoje apogeum osiągnęła na Florydzie w początkach lat sześćdziesiątych. Tajne spiski mające na celu zgładzenie Fidela Castro rodziły się niczym grzyby po deszczu. Inwazja w Zatoce Świń, która, jak wiemy, zakończyła się dla Amerykanów katastrofą, stanowiła jedynie drobną część tego szaleństwa. W czasie gdy rosło napięcie powodowane zimną wojną, CIA podjęła się zadań, które stały się najbardziej skandalicznymi epizodami w jej historii. Była to seria prób zgładzenia Fidela Castro, przy współpracy kubańskich uchodźców zamieszkałych na Florydzie oraz największych mafiosów w kraju.

28

Jak to później określił prezydent Johnson: „Prowadziliśmy na Karaibach przeklętą próbę morderstwa". Trzech kolejnych prezydentów amerykańskich miało wgląd w akcje CIA, mimo to w kilku przypadkach Agencja wydawała się działać samodzielnie - a nawet przeciwko stanowisku władzy prezydenckiej.

W 1975 roku podczas przesłuchań w amerykańskim Senacie związanych z aferą Watergate, zostały ujawnione samodzielne akcje prowadzone przez CIA. Senacka Komisja ds. Wywiadu pod przewodnictwem Franka Churcha doprowadziła do ujawnienia ośmiu nieudanych prób zabójstwa Castro i kilku innych spisków wymierzonych w przywódców różnych krajów. Komisja postanowiła eufemistycznie nazwać swoje odkrycia „domniemanymi spiskami mającymi na celu zabójstwo". Co więcej, według zeznań pracownika CIA, Brahminsa, wszystkie rozpatrywane akcje zakończyły się niepowodzeniem. Mimo tych oświadczeń istnieje jednak podstawa do podejrzeń, że przesłuchania objęły tylko niektóre akcje Agencji mające na celu ingerencję w sprawy polityki światowej.

Osobą, od której najlepiej rozpocząć tę opowieść, jest wzorcowy szpieg, E. Howard Hunt, propagandzista CIA, którego imię utożsamiano z aferą Watergate, Zatoką Świń i całą listą akcji ciągnących się na przestrzeni 25 lat. Ten powracający z Kuby oficer Agencji nakreślił rekomendowaną listę strategicznych celów; na jej pierwszej pozycji znajdowało się hasło: „Załatwić Castro!" Firma najwidoczniej poszła za radą Hunta, gdyż w 1960 roku komitet ekspertów w łonie CIA rozpoczął przygotowania do opracowania planów mających na celu ostateczną „eliminację" kubańskiego przywódcy.

Już w sierpniu tegoż roku Biuro Służb Medycznych CIA nasączyło pudełko ulubionych cygar Castro silną trucizną. Jej moc była tak wielka, że jedno zaciągnięcie się cygarem wystarczyłoby do uśmiercenia dyktatora w ciągu kilku chwil. W owym czasie Castro zamierzał przybyć do

29

siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku i możliwe, że właśnie tam owe zatrute cygara miały mu zostać podrzucone. Nie jest jasne, jak potoczyły się dalej losy tego spisku.

Według jednego z raportów, Departament Policji w Nowym Jorku został poinformowany przez oficerów CIA o porzuceniu planów zatrucia Castro specjalnymi cygarami.

Inne nie zrealizowane plany - w tym kilka będących może nie tyle zamachem na samo życie kubańskiego przywódcy, ile na jego psychikę - wydały się równie mało praktyczne, można nawet powiedzieć -

infantylne.

•

Jeden z tych cudownych pomysłów zalecał rozproszenie w studiu radiowym w Hawanie skoncentrowanego LSD, który miał

spowodować, że Fidel Castro podczas publicznego wystąpienia wpadłby w szał. Odmiana tego wariantu mówiła o nafaszerowaniu przez techniczne służby CIA cygar owym narkotykiem, by w ten sposób wyprawić zagorzałego marksistę w przysłowiową „złą podróż".

•

Inny plan proponował spryskanie butów Castro silnym środkiem depilacyjnym, który mógł spowodować wypadanie włosów z brody, brwi i innych części ciała, w ten sposób podważając pozycję kubańskiego przywódcy jako prawdziwego mężczyzny, co w kolejności miało pomniejszyć jego własne poczucie wartości.

•

Jeden z całej serii spisków wymierzonych bezpośrednio w życie Castro, skądinąd zagorzałego płetwonurka, polegał na ofiarowaniu mu spreparowanego akwalungu. Wręczyłby go amerykański prawnik negocjujący uwolnienie zakładników schwytanych podczas akcji w Zatoce Świń. Sekcja Obsługi Technicznej zakupiła odpowiedni sprzęt, a następnie do aparatu oddechowego wprowadzono zarazki gruźlicy.

Natomiast sam strój nasączono specjalną odmianą grzybów powodujących rzadką chorobę skóry. Jednakże w wyniku samodzielnej inicjatywy przedsięwziętej przez dyplomatę łącznikowego, Castro otrzymał nowy, niczym nie skażony strój nurka.

30

•

Inny plan, niczym z powieści lana Fleminga [autora przygód Jamesa Bonda - przyp. tłum.], przewidywał umieszczenie na dnie morza ozdobnej muszli, naładowanej ładunkiem wybuchowym, w miejscu, gdzie zwykł nurkować Castro. Ostatecznie plan ten został

skreślony jako niepraktyczny.

•

Pracownik operacyjny CIA, Felix Rodriguez - zresztą zaufany człowiek George'a Busha - oświadczył w swojej autobiografii, że trzykrotnie próbował dostać się na Kubę w ramach akcji przeciwko życiu Castro. Działania te wypływały ponoć z jego własnej inicjatywy, a sam Rodriguez rzekomo nie zdawał sobie sprawy, że CIA jest jego cichym patronem. W 1987 roku zapytany przez komisję badającą sprawę Iran-Contras, czy brał udział w próbie zatrucia ulubionych cygar Castro, Rodriguez odpowiedział z oburzeniem:

„Nie, nie brałem udziału. Natomiast z własnej woli podjąłem starania, by zabić tego sukinsyna w 1961 roku używając karabinu z celownikiem".

•

Zapewne z najbardziej wizjonerską propozycją wystąpił

człowiek o wyjątkowo bujnej fantazji, generał Edward Lansdale, który nadzorował skrytobójcze poczynania administracji Kennedy'ego przeciw Castro. Generał pragnął mianowicie wywołać kontrrewolucję przez głoszenie wśród dewocyjnie nastawionych kubańskich katolików przepowiedni o zbliżającym się ponownym nadejściu Boga.

Castro zaś przypisywano rolę Antychrysta. O wyznaczonej godzinie Chrystus, we własnej osobie, miał przybyć na kubański brzeg na pokładzie amerykańskiej łodzi podwodnej, podczas wspaniałej iluminacji nieba ogniami sztucznymi. W swym szaleństwie, wywołanym przez nastroje zimnowojenne, autor łudził się, że naród kubański powstanie, by spontanicznie obalić swego satanicznego przywódcę.

W świetle tych szalonych wizji kuszące wydaje się podsumowanie, że CIA mimo dostępu do szerokiej gamy najnowocześniejszych środków nie mogła po-31

radzić sobie z całkiem prostym zadaniem. Choć trzeba przyznać, że często takie potknięcia stanowiły jedynie zasłonę dymną dla innych, bardziej tajnych akcji.

Program mający na celu zabójstwo nadal stanowił jeden z priorytetów Agencji. W nawiązaniu do wcześniejszych spisków wymierzonych w Fidela Castro, w 1960 roku wicedyrektor CIA, Richard Bissell, wydał

swemu naukowemu doradcy, Sidneyowi Gottliebowi, zgodę na rozpoczęcie badań nad technikami skrytobójczymi zabójstw. Owocem pracy zespołu Gottlieba był podręczny zestaw, składający się między innymi ze środków toksycznych, kompletu iniekcyjnego i gumowych rękawic.

Gottlieb dostarczył zestaw do Afryki, gdzie główny szef CIA zalecił

dokonanie zabójstwa kongijskiego przywódcy Patrice'a Lumumby.

Chociaż próba otrucia Lu-mumby spaliła na panewce, w 1975 roku Senacka Komisja ds. Wywiadu odkryła, że CIA sponsorowała oddzielny zamach na Lumumbę, z wykorzystaniem europejskich płatnych morderców. Ten plan również miał upaść, gdy główny uczestnik spisku okazał się człowiekiem wymykającym się spod kontroli, słowami szefa placówki Agencji w Kongo - niczym niesterowalny pocisk. Wedle oficjalnej wersji to sami współziomkowie Lumumby wyręczyli CIA w wykonaniu mokrej roboty, przejmując inicjatywę i mordując swego przywódcę w styczniu 1961 roku.

Istnieją jednak nadal wątpliwości, czy rzeczywiście CIA nie maczała w tym palców. W książce In Search of Enemies (Poszukując wrogów) były pracownik Agencji, John Stockwell, pisze, iż jeden z oficerów CIA przechwalał się przed nim, że przewoził w bagażniku swego samochodu ciało Lumumby.

Kilka miesięcy później został zamordowany dominikański autokrata Rafael Trujillo. Wiadomo powszechnie, że CIA zaopatrywała w broń dysydentów, których oczywistym celem było pozbycie się Trujillo, choć pra-32

cownicy CIA przysięgali, że to miejscowi spiskowcy śmiertelnie ranili swego przywódcę. Jest jednak wielce prawdopodobne, że uczynili to posługując się dostarczoną przez CIA bronią.

W swojej książce The Man Who Knew Too Much (Człowiek, który wiedział za dużo), traktującej o zabójstwie Johna Kennedy'ego, Dick Russell wysuwa inną hipotezę. Udało mu się przeprowadzić wywiad z emerytowanym pułkownikiem armii Billem Bishopem, którego ktoś określił mianem „płatnego mordercy pozostającego na usługach CIA".

Podczas spotkania z Russellem Bishop radośnie oświadczył: „To ja zabiłem Trujillo... Z misji tej jestem szczególnie dumny, ponieważ wielu moich współpracowników twierdziło, że jest to niewykonalne".

Jeżeli zakończone powodzeniem zabójstwa pozostawiły jedynie mgliste ślady uczestnictwa w nich CIA, to spiski, w których Agencja odgrywała wiodącą rolę, niemal zawsze kończyły się fiaskiem. Na przykład były dyrektor Agencji, Richard Helms, w lutym 1960 roku opracował plan, według którego dowodzący iracką juntą wojskową Abd al-Karim Kassem miał zostać „unieszkodliwiony" za pomocą zatrutego widelca. Mimo że pracownicy Sekcji Obsługi Technicznej przygotowali odpowiednie narzędzie i podłożyli je Kassemowi, to jednak użycie go nie przyniosło spodziewanych efektów.

Duża nieskuteczność zamachów przy użyciu trucizn spowodowała w końcu, że CIA uciekła się do pomocy amerykańskiej mafii, starych fachowców od „mokrej roboty". W odniesieniu do Castro krok ten miał wyjątkowe uzasadnienie, jako że mafii co najmniej w równym stopniu zależało na doprowadzeniu do śmierci kubańskiego przywódcy. Szef mafii Meyer Lansky wyznaczył nawet nagrodę za głowę Castro w wysokości miliona dolarów. Należy tu może przypomnieć, że po dojściu do władzy po rewolucji w 1959 roku Castro, mówiąc oględnie, nie widział w mafii swoich sprzymierzeńców. Ku-33

bański przywódca dokonał konfiskaty lukratywnych, kontrolowanych przez mafię kasyn w Hawanie, które w owym czasie były bardziej dochodowe od posiadłości syndykatu w Las Vegas.

Oczywiście rekrutacja mafiosów nie była niczym nowym: podczas II wojny światowej Biuro Wywiadu Marynarki Wojennej zleciło mafii patrolowanie nabrzeży Nowego Jorku narażonych na akcje sabotażowe, a także wykorzystało ją do wspomożenia inwazji aliantów na Sycylię. (Przywódcy mafii Lucky Luciano skrócono w związku z tym wyrok, a amerykańska i sycylijska mafia złapały oddech.) Nasłanie mafiosów na Castro wyglądało na wspaniały pomysł. Powiązanie potężnej agencji rządowej z działaniami świata przestępczego miało jednak swój oczywisty dwuznaczny wydźwięk.

Niemniej, za przyzwoleniem dyrektora Agencji Allena Dullesa i posługującego się wszelkimi metodami Roberta Maheu, występującego w roli pośrednika, CIA złożyła mafii ofertę nie do odrzucenia: 150 tysięcy dolarów nagrody dla każdego, kto zlikwiduje Castro - i co ważniejsze, z rządowym „milczącym" przyzwoleniem na wykonanie tego zadania. Maheu, „wypożyczony" od Howarda Hughesa, już wcześniej przedstawił CIA kilka swoich „subtelnych"

patentów. Należał do nich między innymi sfałszowany film porno z udziałem sobowtórów indonezyjskiego prezydenta Sukarno i Richarda Nixona, czy też parę trików wycelowanych w greckiego potentata stoczniowego Arystotelesa Onassisa. Według relacji Maheu, po usłyszeniu jego planów dotyczących Castro stanowczy Nixon, wytrącony z równowagi, odburknął: „Jeżeli już mamy sprzątnąć tego drania, to przynajmniej nie róbcie tego na amerykańskiej ziemi".

Jesienią 1960 roku, dwa miesiące przed zwycięstwem Johna F.

Kennedy'ego w wyborach prezydenckich, Maheu przedstawił

pracownikowi CIA Jimowi 0'Connellowi swego kompana, Johna Rosellego. W Miami Roselli przedstawił z kolei tych dwóch ojcu chrzestnemu chicago-34

wskiej mafii, Samowi „Momo" Giancanie, i potężnemu bossowi mafijnemu z Florydy, Santosowi Trafficante. Zarówno Giancana, jak i Trafficante prowadzili na Kubie swoje interesy do czasu, kiedy Castro potrząsnął światem przestępczym narkotyków i hazardu. Szczególne powody do irytacji miał Trafficante, ponieważ przed rewolucją sprawował kontrolę nad wszystkimi grupami przestępczymi na Kubie, a po przejęciu władzy Castro wtrącił go do więzienia. Ażeby pozostać w cieniu, mafiosi przyjęli niewinnie brzmiące nazwiska: Roselli został

Johnem Rawlstonem, a Giancana przedstawiany był jako Sam Gold.

Siejący strach Trafficante zachował natomiast namiastkę swego pochodzenia etnicznego, przybierając przydomek Joe Pecora.

Przedsiębiorcza Sekcja Obsługi Technicznej rozpoczęła wkrótce produkcję partii pigułek rozpuszczalnych w zupie, kawie czy koktajlach, z zawartością silnie trującego jadu kiełbasianego. Po kilku ulepszeniach i zakończonych powodzeniem testach na małpach, w lutym 1961 roku CIA przekazała pastylki Rosellemu. Plan zakładał, że jeden z dobrze umieszczonych łączników Trafficante na Kubie wsypie tę śmiertelną truciznę do napoju podawanego Castro. Pierwsza próba nie powiodła się jednak, ponieważ wyznaczony do tego zadania osobnik stracił nagle swoją pracę. Również i druga próba zakończyła się fiaskiem, jako że Castro przestał nagle odwiedzać swoją ulubioną restaurację.

Po klęsce Amerykanów w Zatoce Świń, w kwietniu 1961 roku, kontrakt z mafią pozostawał w uśpieniu prawie przez rok. Kiedy go reaktywowano, udział w nim Maheu i Momo uznano za zbyt ryzykowny, dlatego też odsunięto ich. (Spowodowały to zapewne przechwałki Momo o uczestnictwie w planach usunięcia Castro, które doszły do długich uszu J. Edgara Hoo-vera, skądinąd przewrażliwionego na punkcie zachowania pozorów nieskazitelności CIA.) Helms wyznaczył Williama Harveya na nowego koordynatora z ramienia

Agencji do realizacji tego projektu. Harvey wkrótce zorganizował

„biuro zajmujące się zabójstwami", ukrywające się pod kryptonimem ZR/RIFLE, a na kubańskim odcinku ustanowił Task Force W

(Oddział Specjalny W) - placówkę CIA, której działalność była wymierzona przeciwko Castro. Druga faza akcji oznaczała użycie kolejnych środków: trucizn, karabinów i materiałów wybuchowych, na przestrzeni ponad jedenastu miesięcy - ale również i w tym przypadku wszystkie działania spełzły na niczym. Castro nadal pozostawał żywy. W lutym 1963 roku Harvey zwolnił Rosellego z funkcji agenta. Ani Harvey, ani Helms nie poinformowali przy tym nowego dyrektora CIA, McCone'a, o udziale mafii w drugiej fazie operacji.

Powraca tu natrętne pytanie - co wiedzieli na ten temat bracia Kennedy i kiedy właściwe informacje do nich dotarły? W ten sposób dochodzimy do drobnego, ale wymownego fragmentu w zeznaniach pracowników Agencji przed komisją senacką Churcha. Mimo że agenci CIA sugerowali, iż zawsze wypełniali jedynie dyrektywy Kennedy'ego, to jednak komisja nigdy nie doszła w tym względzie do ostatecznej konkluzji. W biografii Richarda Helmsa, The Man Who Kept the Secrets, Thomas Powers stawia pytanie, które określa największym ze wszystkich sekretów - kto wydawał rozkazy?

Wiemy, że współpraca Agencji z mafią rozpoczęła się przed wyborem Kennedy'ego na najwyższy amerykański urząd, jeszcze za prezydentury Eisenhowera. Nieco ponad rok po pierwszych wspólnych działaniach CIA i mafii prokurator generalny Robert Kennedy został pokrótce poinformowany o operacji. Lawrence Houston, ówczesny prawnik CIA, wyznał, że Kennedy wpadł w szał, ponieważ jego oskarżenia Giancany i innych mafiosów wzięły w łeb.

Houston zeznał, że Robert Kennedy oświadczył: „Wierzę, że jeżeli kiedykolwiek jeszcze będziecie zamierzali współpracować z kręgami zorganizowanej przestępczości - z tymi gangsterami 36

- dacie najpierw znać prokuratorowi generalnemu". W owym czasie Harvey, Helms i Roselli byli już jednak dobrze zaprzyjaźnieni.

Istnieje także powód, by przypuszczać, że już w początkach swego administrowania w Białym Domu John Kennedy wiedział o kontrakcie z mafią. Według Judith Campbell Exner, przelotnej towarzyszki Johna Kennedyego, która była również na usługach Giancany, prezydent wcześnie nawiązał kontakty z Giancaną. „Miały one - jak mówiła Campbell - coś wspólnego z wyeliminowaniem Castro".

Z kolei inne fakty świadczą o tym, że bracia Kennedy, chociaż mogli wspierać spisek we wstępnej fazie, później zmienili zdanie na ten temat. Jak mówią raporty, Robert Kennedy, dowiedziawszy się o udziale mafii w pierwszym spisku, zakazał jego dalszej realizacji.

Uczynił to zapewne zbyt pochopnie. Pod koniec 1961 roku jego brat, prezydent, z pewnością rozważał możliwość zamordowania kubańskiego przywódcy. Spytał kiedyś dziennikarza Tada Szulca,

„Jak by pan przyjął wiadomość, że wydałem rozkaz zabójstwa Castro?" A gdy dostrzegł konsternację Szulca, wycofał się i dodał, że jego doradcy naciskają na niego, by pozbyć się Castro. Według senatora George'a Smathersa, również zagorzałego przeciwnika Castro, John Kennedy był przerażony myślą o zamachu na Castro i wyrażał zaniepokojenie, że CIA jest w swych poczynaniach niemal autonomiczną organizacją.

Bracia Kennedy nie byli zapewne poinformowani o jeszcze innej serii prób CIA prowadzącej do eliminacji Castro, rozpoczętej jesienią 1963

roku. Desmond Fitz-Gerald (człowiek, od którego wzięły początek pomysły z zatrutym akwalungiem i muszlą naładowaną materiałami wybuchowymi) rozpoczął przygotowywanie osoby odpowiednio ulokowanej, by rozprawić się z kubańskim przywódcą.

Osobą tą był Rolando Cubela, major w kubańskiej armii, który cieszył

się zaufaniem Castro, ale był także

człowiekiem zbuntowanym, któremu nie podobał się wzrost radzieckich wpływów na Kubie. Uciekając się do zuchwałego podstępu, FitzGerald (za zgodą Helmsa) spotkał się z Cubelą w Paryżu, podając się za osobistego wysłannika Roberta Kennedy'ego -

choć w rzeczywistości spotkanie odbyło się bez wiedzy zainteresowanego. (Cubela wyznał później dziennikarzowi Anthony Sum-mersowi, że FitzGerald przedstawił mu się również jako amerykański senator.) FitzGerald, nie posiadając na to żadnych pełnomocnictw, powiedział Cubeli, iż rząd amerykański w pełni popiera zamach na Fidela Castro. Następnie FitzGerald przekazał

Cubeli specjalne pióro, którym ten mógł wstrzyknąć truciznę (Blackleaf 40) w żyły kubańskiego dyktatora.

W czasie gdy CIA toczyła z Cubelą rozmowy na temat zabójstwa, John Kennedy złagodził kurs swej uprzednio konfrontacyjnej polityki kubańskiej. Aby być bardziej precyzyjnym, Robert Kennedy wciąż aprobował ataki na Kubę, natomiast administracja wydawała się zmieniać swoją taktykę. Na początku 1963 roku, w wyniku rozpoczęcia amerykańsko-radzieckich negocjacji na temat zamrożenia prób z bronią jądrową, administracja Johna Kennedy'ego zaczęła ograniczać „nieautoryzowane" wypady skierowane przeciwko Kubie (i stacjonującym tam okrętom radzieckim), organizowane przez żądnych zemsty kubańskich uchodźców i dysydentów. Trzeba bowiem wiedzieć, że CIA posiadało licznych agentów operacyjnych wśród prześladowanej opozycji kubańskiej.

Jak twierdzi Anthony Summers w swym studium Conspiracy, poświęconym zabójstwu Johna Kennedyego, podczas ostatnich miesięcy życia prezydent wysłał dyplomatyczne czułki, by przetestować Castro. Z udziałem amerykańskiego doradcy przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, Kennedy rozpoczął tajne pertraktacje z Castro - dokładnie w tym samym czasie, gdy FitzGerald zapewniał Cubelę, że Kennedy wesprze przewrót na Kubie. Mimo że dyplomacja ta nie posunęła się

zbyt daleko (dwa miesiące później Kennedy zosta! zamordowany), specjalny doradca prezydenta, historyk Arthur Schlesinger, widział w ówczesnych poczynaniach CIA coś zastanawiającego.

Jak mówi Summers: „Cala sprawa z Cubelą skłania do zadania dalszych pytań. W tym samym czasie, gdy prezydent Kennedy rozpatrywał możliwość normalizacji stosunków z Kubą, CIA ponownie przygotowywała akcje zmierzające do zamordowania kubańskiego przywódcy - co stanowiło rzecz bez precedensu. Jeżeli zachowanie takie nie było przejawem niekompetencji - czego w przypadku CIA nie można wykluczyć - to zapewne stanowiło wypracowaną próbę zmiany kierunku polityki amerykańskiej".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Warren Hincle and William Turner. Deadly Secrets. Nowy Jork: Thun-der's Mounth Press, 1992.

Jim Hougan. Spooks: The Haunting of America - The Private Use of Secret Agents. Nowy Jork: William Morrow and Company, 1978.

Thomas Powers. The Man Who Kept the Secrets: Richard Helms and the CIA. Nowy Jork: Pocket Books,

1979.

Felix I. Rodriguez and John Weisman. Shadow Warrior. Nowy Jork: Simon & Schuster, 1989.

Dick Russell. The Man Who Knew Too Much. Nowy Jork: Carroll and Graf, 1992.

Senate Select Committee on Government Operations with Respect to Intelligence Activities. Alleged Assassination Plots Involving Foreign Leaders. Washington: US. Government Printing Office, 1975.

3. W poszukiwaniu lepszych ludzi

Dwie wypowiedzi, cytowane poniżej, pochodzą z 1925 roku, a ich autorzy, poza tym, że byli ludźmi powszechnie znanymi, w zasadzie nie mieli ze sobą wiele wspólnego:

39

„Osoby fizycznie i psychicznie upośledzone nie mogą przenosić swoich cierpień na własne dzieci. Wykorzystując możliwości edukacyjne państwo powinno rozpowszechniać pogląd, że choroba wcale nie jest wstydem, ale nieszczęściem, z powodu którego ludziom należy się jedynie współczucie. Jednocześnie jest przestępstwem i hańbą pogłębianie tych cierpień przez przenoszenie ich na niewinne istoty, kierując się wyłącznie egoistycznymi pobudkami".

„Dla dobra świata zamiast czekać, by zdegenerowane potomstwo dopuściło się przestępstw lub też pogrążało się w swojej głupocie, społeczeństwo powinno powstrzymać tych, którzy w widomy sposób są niezdolni do przedłużania swego gatunku".

Pierwszy fragment jest autorstwa 01ivera Wendella Holmesa, sędziego amerykańskiego Sądu Najwyższego, i został zaczerpnięty z jego książki Buck v. Bell. Drugi pojawił się natomiast w Mein Kampf Adolfa Hitlera. Jak więc widać, eugeniką interesowali się nie tylko naziści.

Programy „higieny rasowej" nazistowskich Niemiec były najbardziej tragicznym zastosowaniem „teorii" eu-genicznej, choć z pewnością nie pierwszym i nie ostatnim. Na początku dwudziestego wieku czternaście państw, w tym Stany Zjednoczone, wprowadziło pewien rodzaj eugenicznego prawodawstwa. W pierwszych trzydziestu latach w trzydziestu amerykańskich stanach wprowadzono prawo do sterylizacji. Według jednego z szacunków w sposób całkowicie legalny poddano sterylizacji co najmniej 60 tysięcy ludzi. Prawdziwa liczba zapewne nigdy nie będzie znana, ponieważ wielu zabiegów dokonywanych w zakładach karnych i szpitalach psychiatrycznych po prostu nie rejestrowano.

Warto wiedzieć, że Stany Zjednoczone jako pierwszy kraj uprzemysłowiony wprowadziły prawo umożliwiające stosowanie zabiegów mających na celu „poprawienie rasy". Pod koniec dziewiętnastego wieku w stanach Michigan i Massachusetts wykastrowano licznych pacjen-40

tów szpitali psychiatrycznych oraz młodych chłopców wykazujących takie genetyczne niedoskonałości jak „ciągła epilepsja", „imbecylizm"

i „masturbacja wraz z obniżonym poziomem inteligencji".

Kastracja wydała się z czasem metodą zbyt drastyczną, dlatego też w późniejszym czasie przyjęto wasek-tomię, jako preferowaną metodę sterylizacji mężczyzn, i salpingektomię jako zalecany sposób sterylizacji kobiet.

W odróżnieniu od leciwego Holmesa, sądy w zasadzie nie odnosiły się z aprobatą do prawodawstwa popierającego sterylizację. Już w 1912 roku Sąd Najwyższy w New Jersey zakazał stosowania prawa zezwalającego na sterylizację osobników „o obniżonym poziomie inteligencji", w tym, według terminologii prawniczej, „idiotów i imbecyli".

Trzeba jednak zwrócić uwagę, że niektórzy twórcy prawa, a zarazem zwolennicy eugeniki, wykazywali się wręcz obsesyjnym podejściem w stosunku do „imbecyli" i „idiotów". Prawo w stanie Indiana mówiło o „u-niemożliwieniu aktów prokreacji notorycznym przestępcom, idiotom, imbecylom i gwałcicielom". Z kolei statut Kalifornii (gdzie przeprowadzono więcej zabiegów ste-rylizacyjnych niż w jakimkolwiek innym stanie) przyzwalał, za zgodą lekarza, na

„aseksualizację każdego idioty" oraz więźnia, który wykazywał

oznaki „moralnego zepsucia". Z kolei w stanie Iowa prawo piętnowało ludzi, „którzy mogli płodzić dzieci z tendencją do chorób, deformacji, przestępstw, obniżonej inteligencji, idiotów, imbecyli, epileptyków i alkoholików".

Wprawdzie sądy w swych wyrokach często orzekały przeciwko eugenicznemu prawu, to jednak programy sterylizacji przez wiele lat nadal funkcjonowały, a w większości stanów paragrafy zezwalające na te zabiegi tkwiły w prawodawstwie aż do lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, mimo że praktycznie już dawno zaniechano ich stosowania. Chociaż jeszcze w począt-41

kach naszego wieku dokonano w Kalifornii sterylizacji 6200

„umysłowo niedorozwiniętych" osobników.

Sprawę określenia statusu „niedorozwoju umysłowego" znakomicie ułatwiły stosowane powszechnie testy na inteligencję. Korzystano również z pomocy osób ze świata nauki, a nie tylko sędziów, co jak uważano, miało gwarantować prawidłowe, obiektywne podejście do zagadnienia.

Przy zastosowaniu tych standardów nie tylko „idioci i imbecyle", ale również całe grupy etniczne zostały uznane za „upośledzone". Rzecz jasna nie istnieją dostępne dane o osądach naukowców, którzy stwierdzaliby o podrzędności swojej własnej grupy etnicznej.

Niedorzeczne teoretyzowanie o „naukowych" podstawach kwalifikacji lepszych i gorszych ras datuje się co najmniej od czasu zainicjowania rewolucji przemysłowej. Wraz z uprzemysłowieniem dobrobyt światowy szybko wzrastał i wyglądało na to, że cały świat ogarnie powszechne bogactwo. W tym samym czasie pojawiła się jednak potrzeba określenia grupy nieszczęśników zatrudnianych przy obsłudze ciężkiego sprzętu.

Idąc tym tropem niektórzy przedstawiciele warstw posiadających wystąpili z ryzykowną tezą wyjaśniającą, dlaczego to właśnie im przypadły wspaniałe posiadłości, a innym zaledwie dziewiętnastogodzinne dni pracy w nieustannym wysiłku, by związać koniec z końcem. Odpowiedzią miał być społeczny darwinizm, pseu-dobiologiczne pojęcie, głoszące, że już w chwili narodzenia pewne jednostki ludzkie zostały obarczone genetycznym kodem, kwalifikującym je do wykonywania najcięższych, a zarazem marnie opłacanych prac, podczas gdy inni predysponowani zostali do życia w luksusie i decydowania o losach świata.

Od początku najbardziej zagorzałymi zwolennikami eugeniki byli przedstawiciele wyższych warstw społecznych. David Starr Jordan, prezydent uniwersytetu w Stanford, kierował także Cold Spring Harbor, pierw-42

szym państwowym laboratorium zajmującym się płodzeniem

„lepszych ludzi". Pani E. H. Harriman przeznaczyła dla Eugenics Records Office (ERO) - Eu-genicznego Banku Mózgów, stypendia w wysokości 15 tysięcy dolarów, z własnej kieszeni pokrywała też wydatki na pensje dla personelu.

John D. Rockefeller, którego potomstwo uosabiało amerykańską klasę panującą, był kolejnym ważnym sponsorem ERO. Pierwsza konferencja na temat poprawiania rodzaju ludzkiego odbyła się w Battle Creek, w stanie Michigan, z inicjatywy dr. Johna Harveya Kellogga, którego rodzinny biznes nadal przewodzi w zachodnim świecie w opracowywaniu technik dążących do polepszenia gatunków.

Plutokraci zjednoczyli się w swych wysiłkach z naukowcami.

Zaangażowani w sprawę badacze wykazywali ogromną energię, próbując „udowodnić", że czarni są głupi, Żydzi chciwi, Meksykanie leniwi, a kobiety szalone, jak również idąc tym tropem, że biali, bogaci ludzie z dobrymi manierami i błyszczącymi dyplomami są rasą genetycznie uprzywilejowaną. Ten szalony ruch zapoczątkowały opublikowane wyniki obserwacji żyjącego w XIX wieku Anglika sir Francisa Galtona, prowadzące do konkluzji, że najbardziej wybitne jednostki społeczeństwa brytyjskiego w przeważającej mierze były dziećmi wybitnych rodziców. Dzisiaj oświadczenie to nie ma zapewne sensacyjnego posmaku, ale dla Galtona owa idea była zapewne tak odkrywcza, że nie przyszło mu na myśl, iż na zjawisko to oprócz czystej dziedziczności genów mogły mieć wpływ inne czynniki. Sam Karol Darwin oddał hołd Galtonowi i jego „godnej podziwu pracy", ogłaszając, że „geniusz (...) musi być odziedziczony".

Galton utworzył pojęcie „eugenika", określające badania nad płodzeniem lepszych jednostek ludzkich. Podobnie jak wielu innych teoretyków tamtych czasów, przyjmował, że czarni wloką się daleko w tyle za białymi

na skali ewolucyjnego rozwoju. Ten przejaw szarlatari-stwa niczym odcisk wciąż pokutuje w naszych czasach.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku Henry Garrett, psycholog z Uniwersytetu Columbia, utrzymywał, że ludzie pochodzenia afrykańskiego są de facto o 200 tysięcy lat zapóźnieni w rozwoju ewolucyjnym w stosunku do rasy białej. W erze walki o równouprawnienie był zdecydowanym przeciwnikiem desegregacji rasowej, a nieuniknione mieszane związki czarnych z białymi określał

mianem „degradacji rasy".

Wciąż pojawiają się próby kodyfikacji istniejącej struktury społecznej poprzez ujęcie tego zagadnienia w pewien rodzaj biologicznego schematu. Warto zaznaczyć, że cały ten wysiłek nie ogranicza się do członków Klanu czy niektórych kryptofaszystów (tak jak to się dzieje z fałszywym założeniem naukowym, jakoby holocaust nigdy nie miał

miejsca). Gorące przyjęcie w mediach, z jakim spotkały się mocno dyskusyjne prace harwardz-kiego eksperta od owadów Edwarda O.

Wilsona: z 1975 roku Sociobiology: The New Synthesis (Socjologia: nowe syntetyczne ujęcie) i On Humań Naturę (Na temat natury ludzkiej) - artykuł przewodni w magazynie „Time", a także przyznanie mu

Nagrody Pulitzera ujawniają nieustający entuzjazm pewnych środowisk propagujących ideę, że niektórzy ludzie w naturalny sposób są lepsi od innych.

Sprawy tej z pewnością nie można uznać za zamkniętą. Fundusz Pioneer, ustanowiony w 1937 roku dla finansowania badań nad zagadnieniami poprawienia „rasy ludzkiej", według swego statusu (i to uaktualnionego) w 1989 roku wciąż przekazywał pieniądze na ten cel. Naukowiec z uniwersytetu w Delaware, Linda Gottfredson otrzymała z tego źródła 174 tysiące dolarów na badania dotyczące przypuszczalnych relacji pomiędzy rasą i wynikami w pracy zawodowej.

Prezydent Funduszu Pioneer, nowojorski prawnik Harry Weyher, odpiera zarzuty, jakoby jego organizacja

miała jakikolwiek rasistowski charakter. Jak twierdzi, zainteresowana jest ona jedynie zagadnieniami dziedziczności u ludzi.

Od przekonania, że pewne grupy ludzkie obciążone są piętnem dziedzictwa, jest jednak tylko mały krok do ruchu eugenicznego.

Laureat Nagrody Nobla, William Shockley — pionier w dziedzinie elektroniki, z całą powagą wysunął propozycję płacenia przedstawicielom rasy czarnej z niskim współczynnikiem inteligencji zachęty finansowej w wysokości tysiąca dolarów za każdy punkt poniżej 100 [w testach określających współczynnik inteligencji -

przyp. tłum.], jeżeli dobrowolnie poddadzą się zabiegowi sterylizacji.

Kamień milowy w naukowym uzasadnieniu pozycji w hierarchii społecznej położył Konrad Lorenz. Urodzony w Austrii lider etnologii, nauki zajmującej się odpowiedzią na pytanie, w jaki sposób wzorce zachowania są uzależnione od genetyki. Jego prace były ważnym źródłem inspiracji dla innych teoretyków. W dniu 28 czerwca 1938 roku Lorenz wstąpił do partii faszystowskiej. W 1942 roku napisał rozprawę, w której przedstawił zasady etnologii, wzywał też do „samoświadomej, naukowo podpartej polityki rasowej" kierowanej przez „naszych najlepszych przedstawicieli" za pomocą wprowadzenia „bardziej zdecydowanej eliminacji moralnie podrzędnych jednostek ludzkich".

Należy ze smutkiem przyznać, że wdrażanie tego programu było już w owym czasie mocno zaawansowane przez partię faszystowską.

Późniejszy bestseller Lorenza Naturalna historia agresji głosił w zasadzie te same idee, chociaż wyrażone w bardziej akceptowalnym politycznie języku. Książka Naturalna historia agresji, w której Lorenz przedstawił w popularny sposób cały swój etnologiczny dorobek życiowy, została opisana przez jednego z dziennikarzy jako praca

„potwierdzająca sympatyzowanie autora z autorytarną prawicą".

W 1973 roku, mimo stanowczych protestów uczonych z całego świata, znających przeszłość Lorenza i rozumiejących jego ideologiczne inklinacje, temu kontrowersyjnemu badaczowi przyznano Nagrodę Nobla.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Stephan L. Chorover. From Genesis to Genocide: The Meaning of Humań Naturę and the Power of Behayior Control. Cambridge, Mass: MIT Press, 1983.

Adam Parfrey. Eugenics: The Orphaned Science. W „Apocalypse Culture", wydane przez Adam Parfrey. Los Angeles: Feral House, 1990.

Philip R. Reilly. The Surgical Solution: A History of Involuntary Sterilization in the United States. Baltimore: Johns Hopkins University Press, 1991.

Znaczna część tego rozdziału została oparta na materiałach źródłowych zebranych przez G. Lawrence'a Yankina.

4. Agencja katastrofy narodowej

Plaga huraganów, trzęsień ziemi i innych klęsk żywiołowych, która nawiedziła Amerykę pod koniec lat osiemdziesiątych, wydawała się być pełnym zaskoczeniem dla Federal Emergency Management Agency (FEMA) - Federalnej Agencji Pomocy w Nagłych Wypadkach. Kiedy ofiary czekały na jakąkolwiek pomoc, administracja zajmująca się jej niesieniem reagowała wyjątkowo nieudolnie i ospale. Zupełnie inaczej byłoby zapewne w wypadku, gdyby katastrofa przyjęła nieco inną formę - na przykład wojny nuklearnej, szturmowania granic czy wystąpień agresywnych radykałów - FEMA z pewnością wiedziałaby dokładnie, co ma robić: zamknąć wywrotowców w państwowych ośrodkach odosobnienia, wprowadzić stan wyjątkowy, zawiesić amerykańską konstytucję i sprawować rządy z podziemnych bunkrów do momentu, 46

aż uda się zapanować nad sytuacją i doprowadzić do jej szczęśliwego zakończenia.

Większość Amerykanów nigdy nie słyszała o tej tajnej rządowej agencji do chwili, aż jeden z poczytnych dziennikarzy, Jack Anderson, doniósł w 1984 roku, że FEMA przygotowała alternatywne prawo, dzięki któremu, w wypadku narodowego zagrożenia, można by

„zawiesić Konstytucję i Deklarację Praw, efektywnie wyeliminować prywatną własność, zakazać prowadzenia nieskrępowanej działalności i generalnie zamknąć Amerykanów w totalitarnym piekle". W każdej mającej respekt dla samej siebie republice bananowej dokument taki byłby nazwany planem zamachu stanu. FEMA nazwała go natomiast niewinnie „planem dotyczącym narodowego bezpieczeństwa".

Gorączka okresu zimnej wojny tylko częściowo wyjaśnia zainteresowanie FEMA spiskami wojskowymi. By zrozumieć, w jaki sposób agencja pojmowała siebie jako „młodszą siostrę CIA lub FBI", jak to ujął jeden z jej krytyków, pomocne będzie rozpatrzenie nowej polityki, zapoczątkowanej przez Reagana. W 1981 roku Reagan ze swoimi superkonserwatywnymi zwolennikami pomaszerował na Waszyngton, by ugasić pożar, który w rzeczywistości dawno już się wypalił. Jednakże w oczach starzejącego się prezydenta nawiedzeni hippisi, mniejszość wojskowa i unikający wojska radykałowie z lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych wciąż stwarzali wyraźne zagrożenie.

W ten sposób narodziła się, a mówiąc dokładnie odrodziła FEMA.

Agencję do zajmowania się niesieniem pomocy w razie klęsk żywiołowych i obrony cywilnej założył już bowiem Jimmy Carter.

Dopiero jednak za kadencji Reagana FEMA szybko zmieniła swoje cele, widząc w pokojowych demonstrantach potencjalnych terrorystów rzucających bomby.

Do kierowania agencją, Reagan i doradca prezydenta Edwin Meese III (późniejszy prokurator generalny)

47

wybrali swego starego przyjaciela, Louisa O. Giuffridę („Generała"), obsesyjnie zafascynowanego konspiracją byłego oficera kalifornijskiej Gwardii Narodowej. Giuf-frida wydawał się idealnym kandydatem do realizacji zadań Reagana i Meese. Przygotowany na wszystkie trudne sytuacje, nawet w

biurze miał mały skład broni.

W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych Giuffrida pełnił funkcję doradcy ds. terroryzmu przy ówczesnym gubernatorze Ronaldzie Reaganie i na jego życzenie założył California Specialized Training Institute (CSTI) - Kalifornijski Instytut Szkolenia Specjalistycznego, szkołę przeznaczoną do kształcenia policjantów i wojskowych komandosów. Między innymi wpajano im tam podstawową tezę, że: „stosowanie prawnie uzasadnionej przemocy jest integralną formą sprawowania władzy, jako że za pomocą tego środka będziemy mogli stopniowo pozbyć się naszej słabości".

Giuffrida i Meese (główny asystent gubernatora Reagana) pomogli rozwinąć plan oczyszczenia Kalifornii z uzbrojonych, a także pokojowych protestantów. Operacja „Cable Splicer", odmiana wojskowego „Garden Plot", czyli „wewnętrznej kontrinsurekcji", polegała na szpiegowaniu podejrzanych radykałów i skierowaniu znacznych sił do rozpędzania rozruchów, a także zgodnych z prawem pokojowych demonstracji.

Można powiedzieć, że jeżeli wczesne lata siedemdziesiąte były rajem dla militarnych i cywilnych planistów obronnych, to początek lat osiemdziesiątych okazał się prawdziwym renesansem dla zwolenników zimnej wojny.

Podczas gdy Reagan ostrzegał pławiących się w dobrobycie Amerykanów przed Imperium Zła i hordami komunistów, Pentagon czynił przygotowania do IV wojny światowej - jako że branie pod uwagę jedynie III wojny światowej uznawano za podejście zbyt krótkowzroczne. W tym samym czasie Giuffrida okrył całkowitą tajemnicą działania FEMA. W biurach ustawio-48

no tablice głoszące, że „BEZPIECZEŃSTWO JEST

OBOWIĄZKIEM KAŻDEGO". Zainstalowano nowy system telefoniczny do rejestrowania każdego wykręconego numeru, a notatki krążące wśród personelu przypominały, że rozmowy prywatne są zabronione; „nawet telefonowanie do domu z informacją, iż będzie się dzisiaj później, może spowodować nałożenie grzywny, a nawet utratę pracy" - ostrzegała notka.

Sponsorowane przez FEMA konferencje obsesyjnie zajmowały się zagrożeniem, jakie stwarzała możliwość współpracy „radykalnych zwolenników ochrony środowiska" z terrorystami w celu sabotażu w elektrowniach atomowych. Zdaniem Donalda Goldberga, pomagającego Jackowi Andersonowi w wyszukiwaniu materiałów, naukowcy rządowi doradzali FEMA stosowanie takich technik zapanowania nad tłumem jak: „szczepienie terrorystów środkami stymulującymi i uspokajającymi, by wpłynąć na ich działania w czasie kryzysu, czy poddawanie ich działaniu mikrofal, by wpłynąć na ich percepcję".

Pomimo utajnienia poczynań FEMA wiadomo skądinąd, że z organizacją Giuffridy współpracował niejaki podpułkownik 01iver North, jedna z głównych postaci w aferze Iran-Contras. Zapewne pomagał on Giuffri-dzie w opracowywaniu tajnego planu na wypadek wojny. Chociaż North wyparł się zarzutów, jakoby miał uczestniczyć w przygotowywaniu takiego planu, prowadzący śledztwo w sprawie Iran-Contras przedstawiciele Kongresu nigdy nie przycisnęli go w tej kwestii do muru. Kiedy przedstawiciel Teksasu, Jack Brooks, zapytał

Northa o jego pracę dla FEMA, przewodniczący Senatu Daniel Inouye zobowiązał Brooksa do milczenia, wyjaśniając, że kwestia ta łączy się ze sprawami ściśle tajnymi. Świadczy to o olbrzymich wpływach, jakie dawał FEMA stempel organizacji zajmującej się bezpieczeństwem narodowym.

Plan strategii FEMA na wypadek wojny został przetestowany na ćwiczeniach przeprowadzanych razem

z manewrami Pentagonu. Na początku 1984 roku FEMA, przedstawiciele wojska i rządu spotkali się w największej tajemnicy, by opracować plan „ćwiczeń gotowości bojowej" pod kryptonimem REX-84.

FEMA zgrała manewry REX-84 z operacją wojskową Night Train 84, w czasie której w kwietniu 1984 roku rozmieszczono tysiące żołnierzy w pobliżu baz zaopatrzeniowych contras w Hondurasie. Założenia programu FEMA przewidywały symulację działań w wypadku międzynarodowego kryzysu, spowodowanego na przykład inwazją Stanów Zjednoczonych na Nikaragę. Mogłaby ona, wg programu, wywołać „nie kontrolowane ruchy migracyjne", m.in. falę uchodźców próbujących przeniknąć na teren Stanów Zjednoczonych.

Według artykułu Goldberga z sierpnia 1985 roku zamieszczonego w magazynie „Penthouse", w ramach ćwiczeń FEMA - w czasie sześciu godzin - miałaby otoczyć 400 tysięcy fikcyjnych obcych i zatrzymać ich (a raczej wykonać symulację otoczenia i zatrzymania ich) w obozach wojskowych na terenie Stanów Zjednoczonych. FEMA uzasadniała istnienie obozów niebezpieczeństwem obecności terrorystów wśród schwytanych uchodźców.

Jak zauważył Goldberg, trudności terenowe wokół granicy meksykańskiej sprawiały, że jednoczesny napływ setek tysięcy uchodźców wydawał się wyjątkowo mało prawdopodobny. W

rzeczywistości, zdaniem wielu komentatorów manewry REX-84

oznaczały ćwiczenia w okrążaniu i obezwładnianiu tłumu obywateli amerykańskich. Mógł to być plan zbliżony do „Cable Splicer" czy

„Garden Plot", akcji mających na celu stłumienie publicznych protestów w wypadku wysoce kontrowersyjnego posunięcia rządu - na przykład inwazji w Ameryce Środkowej.

W rzeczy samej Giuffrida rozważał swego czasu zamknięcie Amerykanów w obozach. W opracowaniu napisanym jeszcze podczas studiów w akademii wojskowej

opracował hipotetyczny plan uwięzienia czarnych radykałów, opisując miejsca odosobnienia oraz sposób, w jaki należy je budować i jak nimi zarządzać.

Wiadomo też, że operacja REX-84 miała polegać nie tylko na ćwiczeniach w aresztowaniu nielegalnych imigrantów. Okryta najwyższą tajemnicą notatka otrzymana przez gazetę „Miami Herald"

opisywała fazę „Alpha Two" tych ćwiczeń, mającą być testem wprowadzania „specjalnego ustawodawstwa, przejęcia władzy w nagłych wypadkach... itd." Innymi słowy - wprowadzania stanu wyjątkowego.

Połączony plan FEMA i wojska dotyczący stanu wyjątkowego był

czymś więcej aniżeli tylko symulacją. Tuż przed rozpoczęciem ćwiczeń REX-84 członkowie Kolegium

Szefów Połączonych Sztabów Pentagonu przygotowali wewnętrzny dokument nadający wojsku prawo do ogłoszenia stanu wyjątkowego w razie zaistnienia sytuacji kryzysowych, przejęcia władzy nad lokalną policją, a także funkcji sądów. Nie trzeba chyba dodawać, że akty te wzbudziły powszechne wątpliwości. Należy bowiem zaznaczyć, że Pose Comitatus Act zakazuje wojsku podejmowania tego typu akcji na terenie Stanów Zjednoczonych.

Giuffrida już wtedy dał się poznać jako zwolennik prawodawstwa umożliwiającego wprowadzenie stanu wyjątkowego. W 1972 roku opisał stan wyjątkowy jako „legalne środki mogące być wykorzystane do kontrolowania ludności w czasie społecznych niepokojów", w tym możliwość zastąpienia rządu władzą wojskową.

Ujawnione przez Andersona gotowe rozwiązania prawne na wypadek zaistnienia szczególnej sytuacji opisują Stany Zjednoczone jako kraj o zapędach policyjnych. Zarys planu nazwany Defense Recources Act -

ustawą o zasobach obronnych - przypuszczalnie pokryłby się grubą warstwą kurzu, zanim w czasie kryzysu mógłby być podsunięty zajętemu Kongresowi do szybkiego zatwierdzenia. W rzeczywistości niewinnie nazwane akty

legislacyjne dawały prezydentowi niemal dyktatorską władzę, w tym prawo do cenzurowania wiadomości, zakazu antyrządowych strajków, nacjonalizacji przemysłu, przejmowania prywatnej własności na cele obrony narodowej, a także sankcjonowania przysięgi lojalności względem państwa.

By uzupełnić Defense Resources Act, FEMA przygotowała szkic prezydenckiego rozkazu wykonawczego, który byłby wydany w razie wyższej konieczności. W wyniku tego rozkazu FEMA miała przejąć funkcje wszystkich rządowych agend. Zdaniem „Miami Herald" ten rozkaz wykonawczy wprowadzał w życie wspomniany powyżej system prawny, pozbawiając Kongres i demokrację konstytucyjną swoich normalnych funkcji.

Ambitne plany FEMA zostały niestety ukrócone wkrótce po ćwiczeniach REX-84, kiedy to prokurator generalny William French Smith złożył zażalenie na próby przejęcia władzy przez wspomnianą agencję. Smith ostrzegał, że FEMA rości sobie prawo do przejęcia absolutnej władzy w razie zaistnienia pewnych szczególnych sytuacji.

Wyrażał też wątpliwość, czy szeroka definicja sytuacji kryzysowej podawana przez FEMA obejmowała także zwyczajne przypadki stanu wyjątkowego. Obiekcje Smitha zapewne przyczyniły się do zaniechania prac nad rozkazem wykonawczym.

Aczkolwiek pełne spektrum ćwiczeń REX-84 nie jest do końca znane, szczególnie interesujący wydaje się udział w nich 01ivera Northa, który pokazał, iż równocześnie współpracował zarówno z Pentagonem, jak i CIA nad planami wzmocnienia sił zbrojnych w Ameryce Środkowej. Czy FEMA uczestniczyła w sprawie Iran-Contras koordynowanej przez Northa? Ponieważ Kongres nie uznał za konieczne badać głębiej tego śladu, nie wiemy tego na pewno.

Jednakże zarzuty takie zostały postawione. Prokurator Daniel Sheehan podejrzewał, że REX-84 służyły jako przykrywka dla nielega-52

lnych dostaw broni dla nikaraguańskich contras. Cytując anonimowych informatorów (w tym jednego, określającego się jako członka działu prawnego FEMA) Sheehan twierdzi, że FEMA rozdzieliła tysiące ton broni ręcznej i amunicji cywilnym oddziałom militarnym w państwowych siłach obronnych Stanów Zjednoczonych.

Niemal od samego początku rządów administracji Reagana FEMA wysuwała projekty legislacyjne umożliwiające formowanie Narodowych Sił Obronnych, które miały stanowić paramilitarną policję w razie kryzysu ogólnopaństwowego. Werbunek do tych jednostek stał się pewnego rodzaju skandalem. W kilku stanach do oddziałów tych rekrutowano ochotników, umieszczając ogłoszenia w popularnej prasie. W kilku przypadkach w wyniku tak przeprowadzonej akcji niektóre Narodowe Oddziały Obronne składały się głównie z neonazistów, rasistów i innych podejrzanych osobników.

Według Sheehana w ramach ćwiczeń REX-84, FEMA planowała rozdanie broni i amunicji Narodowym Siłom Obronnym. Po zakończeniu manewrów członkowie tych oddziałów mieli zwrócić jedynie połowę broni, natomiast pozostała część zostałaby przeszmuglowana dla contras, w ten sposób obchodząc zakaz Kongresu na dostawy broni dla nikaraguańskich partyzantów.

Mimo że schemat ten brzmi bardzo ciekawie, nawet pasjonująco, jednak trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób taka organizacja, jak FEMA, mogłaby usprawiedliwić rozdanie broni i amunicji jedynie dla faktu odbycia symulacji stanu wyjątkowego. Ponieważ Sheehan nigdy nie miał szansy przedstawienia swojej sprawy w sądzie (sędzia odrzucił zarzuty wysunięte przez Christie Insti-tute, określając je jako

„błahe"), jego teoria musi więc zostać umieszczona jedynie w kategorii interesujących spekulacji.

Inne spekulacje dotyczące maczania rąk FEMA w aferze Iran-Contras obracają się wokół tajnej infor-53

macji, przekazanej senackim śledczym w 1983 roku, mówiącej, że samoloty transportowe CO-130 i C-141 udawały się do Teksasu.

Ponieważ samoloty wyposażone były w siedzenia dla wojska, pracownicy Senatu podejrzewali, iż mogą one służyć do tajnych transportów oddziałów wojskowych do Ameryki Środkowej. FEMA wyjaśniała natomiast, że loty jakoby odbywają się w ramach COG -

supertajnego programu utrzymania ciągłości rządu - i stanowczo odmówiła udostępnienia dalszych szczegółów.

FEMA uczyniła z COG kolejną ze swych obsesji. Kiedy opracowanie bieżących planów dotyczących walki z klęskami żywiołowymi w latach osiemdziesiątych zostało odłożone na półkę, FEMA zajmowała się zawzięcie wyszukanymi strategiami umożliwiającymi przeżycie wojny jądrowej, z naciskiem oczywiście na ochronę rządu federalnego. A co z resztą ludności? No cóż, jak to ujął jeden z wyższych rangą urzędników Departamentu Obrony: „należy wykopać dół, przykryć go drzwiami i przysypać metrową warstwą śmieci.

Jeżeli tylko wystarczy łopat, wszyscy powinni to zrobić".

Pod auspicjami FEMA, kosztem ponad miliarda dolarów, rozbudowywano i udoskonalano supertajną podziemną fortecę wybudowaną na początku lat pięćdziesiątych (czyli wcześniej aniżeli wyszukane posiadłości Jamesa Bonda). Jest to rodzaj nuklearnego schronu dla ekipy sprawującej władzę,

umieszczonego pod granitową skałą Mount Weather w Bluemont, w stanie Wirginia, siedemdziesiąt kilometrów na zachód od Waszyngtonu. Opisywano go jako

„podziemne miasto" z siecią dróg i koleją podziemną. Mieściły się tam pomieszczenia biurowe i szpitale, prywatne apartamenty i sypialnie, elektrownia, a także sztuczne jezioro iluminowane fluorescencyjnym światłem. Obok futurystycznych mebli z powieści science fiction znajdował się tam elektroniczny system łączności z kolorowymi ekranami, a także potężne komputery.

W razie większej nuklearnej lub też innej katastrofy, pozostali przy życiu pracownicy rządowi mieli dowodzić krajem z tego potężnego bunkra, jak również z podziemnego centrum dowodzenia FEMA w Olney w stanie Maryland i z pięćdziesięciu regionalnych bunkrów rozsianych na terenie całego kraju. Jest tam nawet podziemny Pentagon umieszczony ponad dwieście metrów pod litym granitem na północ od Camp David.

Istnieje jeszcze jedna wielce interesująca rzecz. Otóż urzędnicy federalni administrujący Stanami Zjednoczonymi podczas ogólnonarodowej katastrofy mogą okazać się osobami nikomu nie znanymi. Plan COG przewiduje bowiem rekrutację trzech tysięcy przećwiczonych przez FEMA kandydatów do służby na dowódczych stanowiskach w rządzie federalnym w czasie zagrożenia bezpieczeństwa narodowego.

Zapewne dobrze się stało, że FEMA pod rządami Giuffridy nigdy nie miała „okazji" do wycofania się do swych drążonych w ziemi centrów, obsługiwanych zdalnie sterowanymi urządzeniami, czy użycia „prawnie uzasadnionej przemocy". W 1985 roku Giuffrida ustąpił ze swego stanowiska, zapewne pod naciskiem przedstawicieli Pentagonu i FBI, którzy w ambitny „Generale" widzieli bezpośrednie zagrożenie ich własnego królestwa.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Alfonso Chardy. North Helped Revise Wartime Plans. „Miami Herald", 9 lipca 1987.

Steven Emerson. America's Doomsday Project, „U.S. News & World Report", 7 sierpnia 1989.

Donald Goldberg and Indy Bodhwar. „Penthouse", sierpień, 1985.

Keenen Peck. The Take-Charge Gang. The Progressive, maj 1985.

William Poundstone. Bigger Secrets. Boston: Houghton Mifflin Company, 1986.

Daniel P. Sheehan. Affidavit of Daniel P. Sheehan. 12 grudnia 1986.

5. Sekret tajemniczych chorób

Trudno powiedzieć, kto jako pierwszy w historii wpadł na genialny pomysł, by z choroby uczynić śmiercionośną broń. Być może był nim jeden z Tatarów w XIV wieku, obserwujący swych padających towarzyszy podczas trzyletniego oblężenia zamieszkanego przez Genueńczyków miasta Kaffa nad Morzem Czarnym. Jak wiemy, Tatar ów wymyślił, by za pomocą katapult przerzucać do miasta trupy zmarłych na

dżumę.

Z pewnością był to chytry pomysł, chociaż zapewne krótkowzroczny.

Faktem jest, że Genueńczycy zostali w ten sposób zmuszeni do opuszczenia miasta. Zabrali oni jednak ze sobą i roznieśli niemal po całej Europie zarazki śmiertelnej choroby.

Takim prekursorem mógł być także pewien Niemiec, który sądził, że za pomocą wąglika uda mu się uśmiercić europejski żywy inwentarz, odcinając w ten sposób dostawy żywności dla wrogich armii w czasie I wojny światowej. Właściwie wcale nie jest to takie ważne, kto pierwszy wpadł na ten szaleńczy pomysł. Faktem jest natomiast, że idea wojny biologicznej, jakby na przekór, rozkwitła w czasie, gdy większość rządów zgodnie pragnęła jej uniknąć, składając podpisy pod aktem Konwencji Genewskiej w 1925 roku. W czerwcu tego roku niemal wszystkie światowe potęgi podpisały się bowiem pod dokumentem zakazującym stosowania broni biologicznej.

Tylko dwa wielkie kraje nie złożyły podpisów pod tym protokołem, w tym Stany Zjednoczone. Był to fakt tym dziwniejszy, że w owym czasie Amerykanie wykazywali raczej niewielkie zainteresowanie rozwojem tego rodzaju broni. Natomiast drugi kraj miał ku temu własne rozliczne powody. Japonia, gnana ambitnym planem młodego lekarza wojskowego Shiro Ishii, była wówczas zaślepiona marzeniami o pozbyciu się swych wrogów właśnie drogą eksterminacji biologicznej. Dekadę później, na okupowa-56

nych przez Japonię obszarach Mandżurii, Ishii rozpoczął budowanie swego unikalnego laboratorium przygotowującego do wojny biologicznej, oczywiście za przyzwoleniem cesarza.

Zakrojoną na szeroką skalę operację, przeprowadzano w odosobnionym mieście mandżurskim Pingfan, nazywając tę placówkę eufemistycznie Anti-Epidemic Water Supply Unit 731 - 731

Przeciwepidemiczny Ośrodek Zaopatrzenia w Wodę, obecnie lepiej znany pod nazwą Korpus Ishii.

Metody badawcze Unit 731 zarówno pod względem naukowym, jak i etycznym nie pozostawiają żadnych złudzeń. Od początku testy przeprowadzano na ludziach: w pierwszej fazie na Koreańczykach, Chińczykach i Rosjanach. W późniejszym okresie, gdy Japonia przystąpiła do wojny z Zachodem, wysyłano tam również amerykańskich, brytyjskich i australijskich jeńców wojennych, grupując ich w obozie położonym w okolicach mandżurskiego miasta Mukden. Witał ich tam personel medyczny z zawiązanymi na twarzach maskami, spryskując przybyłych nieokreślonym płynem, wkładając w kiszki stolcowe szklane probówki i szczepiąc tajemniczym serum.

Wielu żołnierzy, co było do przewidzenia, szybko umierało. Ciała ich nie były jednak tradycyjnie poddawane sekcji w celu sprawdzenia przyczyny zgonu, ale, by określić to w oględny sposób, makabryczny zespół naukowców zabierał zwłoki i dosłownie je ćwiartował.

Praktyki takie stanowiły rutynową czynność w Oddziale 731 doktora Ishii, którego rozległe królestwo objęło dużą część wschodniej Azji.

Samo laboratorium w Pingfan utrzymywało zakłady wytwarzania zarazków, które w ciągu miesiąca produkowały osiem ton toksyn.

Mieściła się tam także duża farma much, służących do przenoszenia dymicy morowej, „ulubionej"

choroby doktora Ishii. W ramach akcji bojowych jednostka specjalna podlegająca Ishii obrzuciła kilka chińskich miast

57

„bombami z much", zapoczątkowując w ten sposób epidemie.

W Oddziale 731 zarażono tysiące ludzi, w tym amerykańskich i brytyjskich jeńców wojennych. Padali na tężec, wąglik, botulizm.

Zaszczepiano im zarazki wywołujące zapalenie opon mózgowych, gruźlicę i wiele podobnych, wyjątkowo niebezpiecznych chorób.

Zespół ekspertów doktora Ishii z zimną krwią obserwował rozwój choroby od chwili infekcji aż do śmierci pacjenta. Więźniowie, którzy żalili się na nieustanne biegunki, byli zmuszani do biegu wokół obozu tak długo, aż padali z wyczerpania. Innych przetrzymywano rozebranych do naga na siarczystym mrozie, co powodowało trwałe odmrożenia kończyn, a wszystko odbywało się rzekomo dla dobra badań nad efektami chorób w zimnym klimacie. Szczegóły nie odgrywały tu najmniejszej roli.

Zastanawiająca wydaje się tu dwuznaczna postawa Departamentu Wojny Stanów Zjednoczonych i generała Douglasa MacArthura w tej sprawie. Amerykańskie dowództwo wojskowe uznało, że placówka Ishii dysponuje bezcennym zbiorem danych, których Stany Zjednoczone same nigdy by nie uzyskały, ze względu na - jak to określił jeden z amerykańskich specjalistów od broni biologicznej po powrocie z obozu Ishii - „skrupuły pojawiające się przy przeprowadzaniu eksperymentów na ludziach".

MacArthur zaproponował Japonii układ, na mocy którego doktorowi Ishii i jego szalonym naukowcom z Oddziału 731 gwarantowano immunitet, chroniący ich przed odpowiedzialnością za zbrodnie wojenne, jeżeli tylko podzielą się wynikami swych badań z badaczami amerykańskimi. Propozycja ta najzupełniej satysfakcjonowała Ishii.

Jedynie Departament Stanu miał obiekcje, czy późniejsze ujawnienie tego układu nie zaciąży nad rządem Stanów Zjednoczonych.

Ishii usunął się w cień, przechodząc na emeryturę i poświęcając się, według słów córki, rozważaniom reli-58

gijnym. Krążyły jednak pogłoski, że składał kolejne wizyty w Korei, pomagając Stanom Zjednoczonym rozwinąć badania nad bronią biologiczną. Dr Murray San-ders, lekarz wojskowy, który ostatecznie ujawnił informacje o tajnym układzie, twierdził, że Ishii prowadził też wykłady w Fort Detrick w stanie Maryland, gdzie po zakończeniu wojny amerykańscy naukowcy zajmowali się supertajnym projektem broni bakteriologicznej.

Wielu głównych doradców Ishii zrobiło przykładne kariery na japońskich uniwersytetach, w dużych korporacjach i w sferach rządowych. Lekarz, który nadzorował eksperymenty przeprowadzane na mrozie, zawarł lukratywne kontrakty z zakładami rybnymi jako

„specjalista od zamrażania". Można mieć jedynie pewne wątpliwości co do jego wkładu w rozwój sektora zajmującego się mrożeniem ryb.

Rozległe działania Unit 731 pozostają jednymi z najmniej zbadanych zbrodni przeciwko ludzkości, dokonanych na szeroką skalę w czasie II wojny światowej, jedynie dzięki zasłonie ze strony amerykańskiego rządu oraz intrygującemu dążeniu Japonii do przerabiania, ignorowania czy „odkrywania na nowo" własnej historii.

W rzeczy samej, gdyby pewnemu studentowi w Tokio na początku lat osiemdziesiątych nie udało się natrafić przypadkiem na strzępy dokumentów Ishii, japońska opinia publiczna zapewne nigdy nie dowiedziałaby się o jego działalności.

Jednakże imperium Ishii rozciągało się aż po Tokio, gdzie nieco trudniej można było ukryć pewne fakty, ponieważ aglomerację tę zamieszkuje przeszło piętnaście milionów ludzi. W 1989 roku pod jednym z chodników w Shinjuku, dzielnicy Tokio objętej programem przebudowy, ekipa robotników natrafiła na dół wypełniony ludzkimi kośćmi. „Szczątki te znaleziono zaledwie o krok od miejsca, gdzie w czasie wojny mieściło się laboratorium gen. Shiro Ishii" - donosił

„Asahi Eve-

ning News", który odnotowywał również pogląd profesora Keiichi Tsuneishi z Uniwersytetu Kanagawa, że oddział Ishii transportował

zwłoki ofiar do Tokio w celu dalszych badań.

W sierpniu 1993 roku kilka chińskich rodzin, które sądziły, że w tym upiornym stosie kości mogą znajdować się szczątki ich krewnych, zwróciło się z prośbą do japońskiego rządu o przeprowadzenie ekshumacji zwłok. Jak dotąd, rząd nie zajął żadnego stanowiska w stosunku do tego niecodziennego znaleziska archeologicznego, nie zamierzając podejmować badań prowadzących do ustalenia pochodzenia tych kości.

Stany Zjednoczone również nie są tu najlepszym przykładem otwartości, zwłaszcza jeżeli chodzi o tajemnice dotyczące broni biologicznej. Z nie znanych bliżej przyczyn rozdział książki Petera Williamsa i Davida Wallace'a Unit 731: The Japanese Army's Secret of Secrets (Oddział 731: największy sekret japońskiej armii) w amerykańskim wydaniu został pominięty. Pojawił się on natomiast w wydaniu angielskim, australijskim, kanadyjskim i nowozelandzkim.

Rozdział zatytułowany jest „Wojna koreańska" i zajmuje się wywołującym wciąż wiele kontrowersji dowodem, że amerykańska armia wykorzystywała techniki Ishii przeciwko Chinom i Korei Północnej. Zarzuty te pojawiały się już w latach pięćdziesiątych i były albo tuszowane, albo też nazywane komunistyczną propagandą.

„FOTOGRAFIE BRONI BIOLOGICZNEJ PRZEDSTAWIONE

PRZEZ CZERWONYCH OKAZAŁY SIĘ FAŁSZERSTWAMI -

ŚWIADECTWO JEST OSTATECZNE" - głosił tytuł „New York Timesa" z 15 marca 1952 roku. Williams i Wallace opierali swoją relację głównie na ustaleniach International Scientific Comission for the Facts Concerning Bac-terial Warfare (ISC) (Międzynarodowej Komisji Badawczej ds. Faktów

Dotyczących Broni Bakteriologicznej) w Korei i Chinach, jedyne źródło powszechnie akcep-60

towane dzisiaj ze względu na wysoki poziom swych badań, jak twierdzą autorzy.

ISC odkryła, że w licznych chińskich i koreańskich miejscowościach nastąpiły nieoczekiwane wybuchy epidemii dżumy i innych chorób, które wiązały się z pojawieniem nie występujących normalnie w tych rejonach lub o tej porze insektów. Chiński ekspert, badający przypadek w Korei, powiedział ISC, że rezultaty jego prac wyjaśniają powody, dlaczego Amerykanie dobrowolnie ochraniali japońskich kryminalistów zajmujących się bronią bakteriologiczną. Jak wskazują wnioski ISC, Stany Zjednoczone wykorzystały metodę Ishii „bomby z pchłami" do wywołania epidemii.

W swoich eksperymentach z bronią biologiczną Amerykanie nie ograniczali się jedynie do much. Pewnej kwietniowej nocy w 1952

roku nad wioską chińską w pobliżu granicy mongolskiej zaobserwowano amerykański myśliwiec F-82. Wraz z nadejściem dnia mieszkańcy odkryli stado myszy liczące kilkaset sztuk. Wśród tych, które przeżyły chłód nocy i umknęły przed polującymi na nie kotami, wiele było „ociężałych lub ze złamanymi nogami".

Badania przeprowadzone na jednej z padniętych myszy wykazały, że była ona zainfekowana dżumą. „Z początku Komisja nie umiała odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób myszy mogły być zrzucone z powietrza - pisali Williams i Wallace. - Wiadomo jednak, że Oddział

731 pracował również i nad takimi metodami".

Do ISC dotarły informacje o dziwacznym bombardowaniu mięczakami na terenie Korei Północnej. Komisja stwierdziła następnie, że była to nieudana próba zatrucia miejscowego ujęcia wody mięczakami zarażonymi cholerą zrzuconymi przez amerykańskie samoloty na wzgórze w pobliżu stacji ujęcia wody.

Williams i Wallace donosili, iż japońskie badania wykazały, że morskie małże blaszkoskrzelne doskonale nadają się do rozwoju bakterii cholery.

61

Kilku więźniów obozu Mukden, którym udało się przeżyć ten koszmar, chociaż po wielu latach wciąż cierpieli na niewytłumaczalne nawroty gorączki i choroby, próbowało dowiedzieć się prawdy od swoich rządów. Jednakże aż do 1987 roku zarówno brytyjskim, jak i amerykańskim weteranom z Mukden wmawiano, iż „nie istnieją świadectwa" potwierdzające fakt, że alianccy więźniowie byli ofiarami oddziału Ishii i jego medycznych eksperymentów. W

rzeczywistości dowody takie istniały już od ponad czterdziestu lat i znane były generałowi MacArthurowi, kiedy ten zawierał tajny pakt.

W wyniku tego tajnego amerykańsko-brytyjskiego porozumienia tuszowano dowody istnienia obozu oraz faktu, że Shiro Ishii stał się ojcem nowoczesnej broni biologicznej. Amerykański program badań nad bronią biologiczną posuwał się niemrawo aż do 1942 roku, kiedy to Czang Kaj-szek napisał w liście do Winstona Churchilla o eksperymentach przeprowadzanych przez ekipę Ishii. Brytyjczycy w owym czasie zajmowali się tylko na niewielką skalę podobnymi badaniami, do których przyłączyły się Stany Zjednoczone. Rok później Amerykanie rozpoczęli swoje własne eksperymenty w miejscu nazwanym

Camp — później Fort - Detrick w stanie Maryland.

Wyścig nad opracowaniem „bomby biologicznej" był

przeprowadzony w atmosferze całkowitej mobilizacji sił i środków, podobnie jak równoległy program atomowy. Jednakże w odróżnieniu od atomowego Projektu Manhattan, który przyciągnął czołowych fizyków owych czasów, badania nad bronią bakteriologiczną zostały odrzucone przez środowisko wybitnych biologów.

Rząd ogłosił rozpoczęcie realizacji projektu nad bronią biologiczną w 1946 roku, ale reakcja oburzonej opinii publicznej zmusiła szefa sztabu armii Dwighta Eisenhowera do objęcia projektu tajemnicą -

złamaną w 1949 roku przez sekretarza obrony Jamesa Forrestala, który stwierdził, że troska opinii publicznej w tym względzie jest zbyt spektakularna.

62

W tym czasie Fort Detrick, obecnie w przeważającej części placówka CIA, zajął się takimi kontrowersyjnymi badaniami, jak poszukiwanie toksyn, które mogłyby pozorować normalną śmierć ofiar zmarłych w wyniku zabójstw i umożliwiały inne szpiegowskie triki, od tej pory stanowiące źródło legend i będące inspiracją literatury sensacyjnej.

Amerykańscy naukowcy także przeprowadzali testy działania toksyn bezpośrednio na ludziach, chociaż w tym wypadku korzystano z wolontariuszy. Byli nimi z jednej strony więźniowie, a z drugiej, co dziwniejsze, adwentyści Dnia Siódmego, którzy ustawiali się w kolejce po zastrzyk z bakteriami choroby papuziej, końskiego zapalenia mózgu czy tularemii.

Jeden z największych problemów przy stosowaniu broni biologicznej polega na zabezpieczeniu własnych oddziałów przed śmiercionośnymi zarazkami. Aby przetestować, jak chmury zarazków dryfują pod wpływem aktualnych warunków pogodowych, wojsko rozpoczęło nasyłanie na amerykańskie miasta chmur bakterii.

W 1950 roku, w wyniku „ataku" na San Francisco, kiedy to stawiacz min marynarki wojennej rozpylił chmury rzadkiej bakterii serratia nad miastem wokół zatoki, jedenaście osób hospitalizowano, z czego jedna zmarła. Badacze rozsiewali toksyny również w systemie wentylacyjnym Pentagonu, a także w nowojorskim metrze.

Oskarżenie wniesione przeciwko rządowi przez ofiary z San Francisco pozwoliły ujawnić przeprowadzenie w latach 1950-1969 trzystu testów z zarazkami „na wolnym powietrzu". W 1972 roku rząd amerykański oficjalnie wyrzekł się prac badawczych i stosowania broni biologicznej.

Mimo to tajne badania nad zarazkami są kontynuowane, często nawet pod auspicjami uniwersytetów i prywatnych instytutów badawczych.

Dzisiejsze eksperymenty budzą większą grozę. Wykorzystuje się do nich najnowocześniejsze techniki, m.in. inżynierię genetyczną. W

1986 roku Instytut Wistar, czcigodna placówka bada-63

wcza w Filadelfii, zainfekował argentyńskie bydło genetycznie zmodyfikowanym wirusem wścieklizny, co zupełnie zaskoczyło argentyńskich hodowców.

Uniwersytet w Oregonie przeprowadził podobny eksperyment w Nowej Zelandii. Również wojsko nie chce tak łatwo wyrzec się uczestnictwa w biologicznym „interesie". Mimo zakazu z 1972 roku Departament Obrony uzyskał pozwolenie na klonowanie genu toksyny Shiga wywołującej dyzenterię. Przedstawiciele wojska, jak zwykle dbający o dobro publiczne, zapewniali, że jedynie poszukują szczepionki przeciw śmiertelnej chorobie. Jeżeli historia badań nad bronią bakteriologiczną wykaże jednak co innego, to jedynie dlatego, że w tym zwariowanym świecie chorób zakaźnych obrona i atak często bywają zamieniane miejscami.

Ponury epilog, a może nawet epitafium do tej godnej pożałowania relacji brzmi A-I-D-S. Istnieje teza, że plaga końca dwudziestego stulecia wzięła swój początek od eksperymentów genetycznych nad bronią biologiczną, być może rozmyślnie, jak to często podnoszą tropiący ślady spisków dziennikarze. Nie trzeba chyba dodawać, że nie istnieją żadne potwierdzające tę tezę dowody.

Choć przecież nie było także dowodów, że amerykańscy jeńcy byli przedmiotem eksperymentów przeprowadzanych przez zespół Ishii.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Robert Harris, Jeremy Paxman. A Higher Form of Killing: The Secret Story of Chemical and Biological Warfare. Nowy Jork: Hill and Wang, 1982. Jeanne McDermott. The Killing Winds: The Menace of Biological Warfare. Nowy Jork: Arbor House, 1987.

Charles Piller, Keith Yamamoto. Gene Wars: Military Control Over the New Genetic Technologies. Nowy Jork: Beech Tree Books, 1988.

Peter Williams, David Wallace. Unit 731: The Japanese Army's Secret of Secrets. Londyn: Hoder and Stoughton, 1989.

6. Te wspaniałe wojenki

Z perspektywy czasu wojnę w Zatoce - o ile skomasowany atak sił

alianckich na Irak rzeczywiście można nazwać „wojną" - odbiera się niczym widowisko surrealistyczne. Zapewne nieliczne tylko wydarzenia w historii ukazywały tak oczywisty rozdźwięk pomiędzy rzeczywistością i kreowanym spektaklem. Jeszcze bardziej alarmujące jest to, że wojna ta uświadomiła nam dobitnie, w jakim, tak naprawdę, świecie żyjemy. Oprócz faktów oczywistych, jak np. to, że Saddam Husajn dokonał inwazji na Kuwejt - prezentowany przez amerykańskie agendy rządowe obraz sytuacji rzadko miał coś wspólnego z weryfikowalnymi faktami.

Zachowanie się amerykańskiego rządu bezpośrednio przed kryzysem, w jego trakcie i zaraz po, sugeruje, że inauguracyjna bitwa o Nowy Światowy Ład była pewnego rodzaju sfabrykowaną mistyfikacją z ukrytym, bardziej odległym celem.

„Prezentowany przez telewizję spłycony obraz wojny, wzięty jakby prosto z gier komputerowych, był

fałszywy" - zeznał przed Kongresem Pierre Sprey, poprzedni ekspert ds. obrony w Pentagonie.

„Został stworzony przez starannie dobrane materiały telewizyjne i bezwstydnie sfałszowane statystyki". Weźmy na przykład tak zwane

„chirurgiczne" naloty bombowe. Były one „tak chirurgiczne, jak operowanie tęczówki oka za pomocą maczety" - pisał jeden z dziennikarzy „Washington Post" zaledwie miesiąc po bombardowaniach.

„Kuwejt już niedługo będzie wolny" - przepowiadał George Bush, wraz z ogłoszeniem decyzji o bombardowaniach. Natomiast „New York Times" - kiedy wojna dobiegła już końca odnotował w nagłówku: „Długotrwały stan wyjątkowy".

George Bush oświadczył, że Saddam Husajn pod niektórymi względami jest nawet gorszy od Hitlera.

Opinia z pewnością wielce dyskusyjna, natomiast faktem jest, że ten sam George Bush podpisał w 1989 roku National Security Directive -

Dyrektywę dotyczącą Narodowego Bezpieczeństwa nakazującą nawiązanie bliższych związków z Irakiem, otwierając drogę dla kredytów sięgających sumy 500 milionów dolarów dla „gorszego od Hitlera". Z drugiej strony nie jest to wcale aż tak zaskakujące. Podczas prawie dziesięcioletniego urzędowania w administracji Bush wydawał

się dziwnie oczarowany Irakiem, mimo okazyjnych oświadczeń publicznych o policyjnym charakterze sprawowania władzy przez Saddama Husajna.

W czasie ośmioletniej iracko-irańskiej wojny na wyniszczenie rządy Francji, Brytanii i Niemiec sprzedawały irackiemu dyktatorowi niemal wszystko, począwszy od myśliwców bojowych po pociski rakietowe Exocet, a nawet składniki do produkcji gazów bojowych. Stany Zjednoczone - przynajmniej oficjalnie - trzymały się zasad wprowadzonego embarga na dostawy broni do Iraku, ale administracja Reagana obchodziła tę niedogodność sprzedając broń przez pośredników, jak również poprzez bezpośrednią sprzedaż technologii o „podwójnym zastosowaniu" np. komputerów czy helikopterów, które Irakijczycy zobowiązywali się stosować jedynie w celach „edukacyjnych i rekreacyjnych". Jedna wielka mistyfikacja.

Można nawet zaryzykować twierdzenie, że wraz z objęciem urzędu prezydenckiego przez Busha sprzedaż materiałów i urządzeń o podwójnym zastosowaniu wkroczyła w znacznie bardziej niebezpieczne rejony - stanowiąc wstęp do handlu bronią masowego rażenia.

Po zakończeniu wojny błyskawicznej w Zatoce rozpoczęły się dochodzenia dotyczące transakcji bronią, co przerodziło się w krótkotrwały skandal zwany Irakgate. W centrum owej burzy znajdował się pozornie mało znaczący oddział międzynarodowego banku włoskiego Banca Nazionale del Lavoro (BNL), który w ciągu 66

zaledwie dwóch lat w jakiś tajemny sposób przekazał niemałą skądinąd sumę 5 miliardów dolarów do Iraku, zanim 4 sierpnia 1989

roku w siedzibie banku pojawili się agenci FBI. Mimo to prokurator zażądał dla dyrektorów banku

zaledwie rocznej kary więzienia (wszystko za kadencji Busha). Jeszcze bardziej dziwnym zbiegiem okoliczności już w dzień po ogłoszeniu przez Busha przerwania ognia w Zatoce oskarżenie zostało wycofane.

Rządowi oskarżyciele nazwali przedstawicieli oddziału BNL jedynie nierzetelnymi urzędnikami. Nie zadali sobie nawet trudu, by zapytać, w jaki sposób suma 5 miliardów (tak, właśnie miliardów!) dolarów mogła zostać przelana z jednego banku dla „gorszego od Hitlera"

dyktatora, i to bez wiedzy urzędników rządowych oraz zarządu banku we Włoszech.

Administracja Reagana i Busha nie tylko dzieliła się z Saddamem pieniędzmi i sprzętem, ale także informacjami dostarczanymi przez wywiad, w czasie gdy Irak walczył z szatańskimi siłami ajatollaha w Iranie.

„Innymi słowy - jak mówił dawny urzędnik reagano-wskiej Narodowej Rady Bezpieczeństwa Howed Tei-cher - doradzaliśmy Irakijczykom, jak przygotowywać się do wojny ze Stanami Zjednoczonymi".

Przed inwazją na Kuwejt Stany Zjednoczone dały Saddamowi Husajnowi nie tylko pomoc materialną, ale także poczucie bezkarności jego działań. Zaledwie na tydzień przed inwazją, 2

sierpnia 1990 roku, Saddam zasiadł razem z amerykańską panią ambasador, April Glaspie, do niesławnego obecnie spotkania, dającego mu „zielone światło". Glaspie zachowywała się dziwnie spokojnie w obliczu szybko narastającego kryzysu. Zaznaczyła nawet, że Stany Zjednoczone nie mają skrystalizowanej opinii na temat międzyarabskiego konfliktu, takiego jak spór o granicę z Kuwejtem.

Powiedziała także Saddamowi, że sam sekretarz stanu James Baker wyraził opinię, iż sprawa ta nie ma nic wspólnego z Ameryką.

Saddam z pewnością wziął wynurzenia Glaspie za swoistą carte blanche. Być może właśnie do tego zmierzały wysiłki strony amerykańskiej. Trudno w to uwierzyć, z uwagi na późniejszą postawę administracji, ale przyzwalające na wszystko podejście było całkowicie spójne z polityką rządu Busha. Kilka dni po poufnym spotkaniu Glaspie z Husajnem, zaledwie trzy dni przed inwazją, John Kelly, asystent sekretarza stanu do spraw Bliskiego Wschodu, zeznawał przed Kongresem. Zapytany, czy w wypadku irackiej akcji militarnej „można powiedzieć, że nie posiadamy żadnego traktatu ani zobowiązania, które obligowałyby Stany Zjednoczone do użycia amerykańskich sił?" - odparł: - „Tak jest z całą pewnością". Kolejne jasno świecące „zielone światło".

To prawda, że nikt nie obiecywał, iż Stany Zjednoczone nie użyją siły.

Gdyby jednak celem administracji Busha było zapobieżenie wojnie, to jak wytłumaczyć przyjętą przez niego taktykę?

Kuwejcki monarcha al-Sabah, który miał w rezultacie wojny ponieść największe straty, także zachowywał się co najmniej dziwnie. Na poprzedzającym inwazję szczycie Irak zażądał od Kuwejtu 10

miliardów dolarów w ramach rekompensaty za obronę przed nacierającymi siłami islamskiego fundamentalizmu, przez osiem lat prowadząc wyniszczającą wojnę z Iranem. Żądanie to wcale nie było

bezpodstawne, zważywszy na to, że Kuwejt wyraził zgodę na ową zapłatę. Niemniej al-Sa-bah zaoferował jedynie 9 miliardów dolarów -

co było zapewne rozmyślnym policzkiem wymierzonym Saddamowi.

W późniejszym czasie, po dalszych uzgodnieniach, Kuwejt mógł

zmienić swoje warunki. Jednak w tym czasie wojska Saddama gromadziły się już na kuwejckiej granicy. Czy oznaczało to nadzwyczajną odwagę ze strony rządu al-Sabaha? Nie wygląda na to, jako że byli oni pierwszymi, którzy opuścili kraj, gdy irackie czołgi przekroczyły granicę. Następnie spokojnie czekali w ekskluzywnym hotelu na terenie Arabii Sau-68

dyjskiej, podczas gdy „koalicja" Busha prowadziła za nich wojnę.

„Jeżeli Saddam pragnie przekroczyć granicę, niech to czyni" -

powiedział minister spraw zagranicznych Kuwejtu szejk Sabbah do jordańskiego króla Husajna w trakcie poprzedzających inwazję negocjacji. „Amerykanie go stąd wyprowadzą".

Okazuje się, że do takiego stwierdzenia miał wyraźne podstawy.

Kiedy irackie wojska przeczesywały kuwejc-kie ministerstwo spraw zagranicznych, znalazły notatkę, relacjonującą wyniki spotkania kuwejckich i amerykańskich polityków. Zapis głosił: „Zgadzamy się ze stroną amerykańską, że sprawą niezmiernie ważną jest wykorzystanie pogarszającej się sytuacji ekonomicznej w Iraku, przez wywarcie presji na rząd tego kraju, by wyraził zgodę na żmianę naszej wspólnej granicy. Centralna Agencja Wywiadowcza przekazała nam swój punkt widzenia zastosowania odpowiednich środków nacisku..."

CIA uznała później ów dokument za sfałszowany - chociaż przyznała, że takie spotkanie miało miejsce.

Odbyło się również drugie interesujące, choć może mniej zakamuflowane spotkanie. Pięciu amerykańskich senatorów konferowało 12 kwietnia 1990 roku z „Rzeź-nikiem z Bagdadu".

Wtedy to republikanin Alan Simp-son stwierdził, że problem iracki tworzą jedynie zachodnie środki przekazu, a nie amerykański rząd...

prasa jest zbyt rozpieszczona i ma o sobie niezwykle wysokie mniemanie; wszyscy postrzegają siebie jako politycznych geniuszy.

Opinia ta znalazła później odbicie w wypowiedzi Glaspie, która podzieliła się z Saddamem opinią, że jeżeli amerykański prezydent miałby kontrolę nad mediami, jego praca byłaby znacznie łatwiejsza.

No cóż, amerykański prezydent podczas wojny w Zatoce posiadał

właśnie taką kontrolę nad mediami. Miało ją również wojsko.

Zwoływanie reporterów na konferencje prasowe okazało się działaniem nadzwyczaj efektyw-69

nym - co odbyło się zresztą za przyzwoleniem samych dziennikarzy.

„Jeżeli spojrzymy na to z zewnątrz, prasa oddawała poglądy rządu -

wypowiedział znamienne słowa szef waszyngtońskiego biura «Los Angeles Times» Jack Nelson - i tak naprawdę nigdy tego stanu rzeczy nie zmieniła".

Jednym z kilku reporterów, którzy ignorowali owe konferencje, był

bliskowschodni korespondent brytyjskiego dziennika „Independent"

Robert Fisk. Kiedy pojawił się w pomieszczeniu, gdzie regularnie gromadzili się reporterzy uczestniczący w konferencjach, w oczekiwaniu na oficjalne komunikaty, naraził się na obraźliwy atak reportera NBC, który przywitał go słowami, „Ty dupku!

Przeszkadzasz nam tylko w pracy. Nie masz prawa tu przebywać.

Wynoś się stąd".

Tym rozgorączkowanym członkiem konferencji był Brad Willis, którego wersja tego incydentu, wspomniana w książce Johna MacArthura o doniesieniach prasowych w czasie wojny w Zatoce, zawierała jeden dodatkowy szczegół. Jak twierdził Willis, Fisk udając stałego uczestnika tych konferencji, zajął jego miejsce. Jeżeli podstęp Fiska zakończyłby się sukcesem, nie tylko Willis, ale i wszyscy inni stali uczestnicy konferencji byliby pozbawieni wiadomości. Trzeba tu bowiem powiedzieć, że zgodnie z cichą umową uczestnicy spotkań zobowiązywali się do podzielania wyrażonej przez przedstawicieli wojska wersji wypadków, a nie do rywalizacji o najlepszy tekst.

W konsekwencji tego, z wyjątkiem kilku przypadków takich jak Fisk, kreślony przez prasę obraz wojny przyjął niemal orwellowski charakter. Z jednej strony ukazywał szlachetnych Amerykanów, a z drugiej szatańskiego Saddama. Amerykańscy reporterzy, niemal bez wyjątku, pisali o amerykańskim wojsku jako „my", pomijając jakikolwiek dystans pomiędzy dziennikarzem i opisywanym tematem, odrzucając honorowany przez wieki obiektywizm spojrzenia. Idąc tym tropem - irackie po-70

ciski Scud stały się bronią „terrorystów" i „przerażającymi machinami śmierci", natomiast amerykańskie bombowce były „szlachetne". I tak aż po okładkę „Ne-wsweeka", na której pojawił się bombowiec Stealth, a pod zdjęciem widniało pytanie: „Jak wiele istnień ludzkich może on ocalić?"

„To było istne szaleństwo" - komentują krytycy prasowi Martin Lee i Norman Solomon w książce Unreliable Sources (Wątpliwe źródła informacji). „Amerykańska broń nie służyła zabijaniu; wręcz przeciwnie, ocalała życie! Z kolei zabici Irakijczycy nie byli zaliczani do «ofiar wojny». Stanowili jedynie «dodatkowe stratyo; według definicji magazynu «Time» oznaczało to «zabi-tych lub rannych cywilów», którzy powinni wybrać bardziej bezpieczne sąsiedztwo.

Zaprzeczanie faktom było kluczową psychologiczną i polityczną zasadą wspierającą wojnę" - piszą Lee i Solomon.

Jeżeli chodzi o oficjalne motywy przystąpienia Amerykanów do wojny, to warto zaznaczyć, iż całkowitą zmową milczenia okryto ważne skądinąd interesy zakorzenionych na Zachodzie międzynarodowych koncernów naftowych i, być może jeszcze ważniejszych, zachodnich banków, w których kuwejccy i saudyjscy szejkowie deponowali swoje bogactwa.

Podczas gdy, z jednej strony, nic nie wspominano o propagandzie szerzonej przez administrację Busha, z drugiej - amerykańskie media szybko ogłosiły informacje napływające z Iraku jako „czystą propagandę", nawet gdy takimi one wcale nie były - jak chociażby w przypadku niesławnego zbombardowania zakładów produkujących mleko dla niemowląt. W tydzień po rozpoczęciu działań wojennych reporter CNN Peter Arnett, jedyny zachodni reporter w Bagdadzie, ściągnął na siebie potępienie niemal całego świata donosząc, że w wyniku bombardowania alianckich sił zniszczono jedyne w Iraku zakłady produkujące mleko dla niemowląt, pozostawiając o głodzie irackie niemowlęta.

71

Wojsko i amerykańscy politycy odrzucili irackie zarzuty. „Był to zakład produkcji broni biologicznej, co do tego nie mamy żadnych wątpliwości" - twierdził przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów Colin Powell. Niemniej, francuscy budowniczowie, którzy wznosili te zakłady, i nowozelandcy technicy, którzy regularnie je odwiedzali, przysięgali, że pełniły one dokładnie funkcje wymienione przez Irakijczyków.

Z kolei program News Hour prezentował krótką migawkę z rannymi irackimi cywilami - i komentarzem mówiącym, że ukazywane sceny są przykładem „gruboskórnej manipulacji" ze strony irackiego rządu.

Jak podsumowują Lee i Solomon, ta „wysublimowana" relacja miała zasugerować, że każdy człowiek przejęty cierpieniami Irakijczyków jest jedynie ofiarą propagandy Saddama Husajna.

Pod koniec 1991 roku, w artykule opublikowanym w lewicującym magazynie „Mother Jones", niejaki Scott Armstrong donosił o innym, nie prezentowanym dotychczas czynniku skłaniającym do prowadzenia tej wojny. Armstrong pisał, że w ubiegłej dekadzie Stany Zjednoczone razem z Arabią Saudyjską wybudowały na pustyni potężną sieć baz wojskowych, kosztem astronomicznej sumy 200

miliardów dolarów. Dokonano tego bez wiedzy opinii publicznej, a nawet Kongresu. Wojna pozwoliła zachować te bazy, a trzeba przyznać, że odegrały one zasadniczą rolę w prowadzeniu walk.

Artykuł Armstronga nie wywołał zainteresowania poważniejszych mediów ani sił politycznych.

Gwiazda Busha, świecąca jasnym blaskiem w czasie wojny w Zatoce, szybko zbladła. Wkrótce zmuszony był do opuszczenia Białego Domu w wyniku nieudanej próby reelekcji. Nawet jednak będąc pokonanym, Bush, a co najmniej jego dzieci i przyjaciele czerpali profity z wojny w Zatoce. Zdaniem reportera Seymoura Hersha przedstawiciele rodziny byłego prezydenta Neil i Marvin Bush, przyjaciel rodziny i sekretarz stanu w rządzie

72

Busha James Baker i ongiś wysoko mierzący szef sztabu John Sununu

„ciężko harowali", by otrzymać lukratywne kontrakty od kuwejckiego rządu na likwidację szkód wojennych.

Baker reprezentował Enron, największego amerykańskiego potentata od budowy gazociągów. Szef Enron, który wysyłał Bakera do Kuwejtu, otwarcie stawiał sprawę: „Czy istnieje jakikolwiek powód, by amerykańskie firmy nie mogły czerpać profitów z wojny w Kuwejcie?"

Amerykańscy politycy wciąż czerpią z niej poważne korzyści.

Następca Busha, Bill Clinton, doświadczył nagłego wzrostu popularności w sondażach opinii publicznej, kiedy 26 czerwca 1993

roku - dwa i pół roku po zakończeniu wojny w Zatoce - wydał rozkaz ponownego zbombardowania Bagdadu.

Co miało być tego przyczyną? Amerykanie twierdzili, że naloty spowodowali sami Irakijczycy, którzy kilka miesięcy wcześniej próbowali przeprowadzić zamach na Busha podczas jego wizyty w Kuwejcie. Kuwejtczycy aresztowali siedemnastu podejrzanych spiskowców, choć jak donosił Hersh - „zarzuty amerykańskiego rządu przeciwko Irakowi w tej formie, w jakiej zostały podane do publicznej wiadomości, mają poważną skazę".

„Przeklęci" iraccy terroryści zwerbowani do tej akcji składali się między innymi z właściciela sklepu z kawą i sanitariusza - ten ostatni miał być jedynym źródłem informacji o zamierzonym spisku.

Większość niedoszłych zabójców zajmowała się natomiast przemytem whisky. Warto tu zapewne nadmienić, że Kuwejtczycy znani są ze swej skłonności do przesady, zwłaszcza gdy Irakijczycy naruszają ich suwerenność. Kiedy pewnego razu grupa irackich rybaków nieopatrznie wylądowała na kuwejckiej wyspie Bubiyan, agencja kuwejcka podała, że irackie siły morskie próbowały przeprowadzić inwazję na wyspę, co zostało uniemożliwione dzięki akcji wojsk kuwejckich.

Żadne ze świadectw sanitariusza nie prowadziło do jednoznacznych konkluzji czy zamknięcia sprawy. Najpoważniejszym dowodem winy był zdalnie sterowany elektroniczny detonator znaleziony w bombie, podobno przeznaczonej do wysadzenia w powietrze Busha. Hersh twierdzi jednak, że część ta była jedynie urządzeniem elektronicznym, którego przeznaczenie wcale nie jest takie jednoznaczne.

Wydaje się mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek odsłonięto

„prawdziwy" powód przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny w Zatoce - a tym bardziej wątpliwe jest, czy był nim tylko jeden określony motyw. W odróżnieniu od wojny w Wietnamie, której dwuznaczne zakończenie wywołało naturalne podejrzenia spiskowe, to zdecydowane zwycięstwo w Zatoce uśpiło czujność teoretyków spiskowych.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Scott Armstrong. Eye of the Storm. „Mother Jones", listopad-grudzień 1991.

Seymour M. Hersh. A Case Not Closed. „New Yorker", 1 listopada 1993.

Seymour M. Hersh. The Spoils of the Gulf War. „New Yorker", 6

września 1993.

Al. Kamen. Was It a Milk Factory or a Weapons Plant? „Washington Post" (w „San Jose Mercury News"), 8 lutego 1991.

Martin A. Lee, Norman Solomon. Unreliable Sources: A Guide to Detecting Bias in News Media. Nowy Jork: Lyle Stuart, 1991.

John R. MacArthur. Second Front: Censorship and Propaganda in the Gulf War. Nowy Jork: Hill and Wang, 1992.

Knut Royce. A Trail of Distortion Against lraq. „Newsday", 21

stycznia 1991.

Pierre Salinger, Erie Laurent. Seret Dossier: The Hidden Agenda Behind the Gulf War. Nowy Jork: Penguin Books, 1991.

Micah Sifry, Christopher Cerf, eds. The Gulf War Reader. Nowy Jork: Random House, 1991.

7. Dla zachowania porządku publicznego

Szturm sił policyjnych 19 kwietnia 1993 roku na siedzibę apokaliptycznej sekty religijnej zwącej się Gałęzią Dawidową, na porośniętych chwastami równinach Waco, w stanie Teksas, z pewnością można zaliczyć do bogatej „tradycji zaprowadzania prawa"

na amerykańskiej ziemi.

Ta „nastrajająca do dumy spuścizna" zawiera tak znaczące przykłady jak spalenie na popiół domu Symbioneskiej Armii Wyzwolenia w Los Angeles; zbombardowanie z powietrza kompleksu apartamentów czarnych separatystów z organizacji MOVE w Filadelfii i atak chicagowskiej policji o godzinie 4 nad ranem na Freda Hamptona, przywódcę Czarnych Panter, który został naszpikowany kulami we własnym łóżku podczas snu.

Masakra w Waco, która pochłonęła życie osiemdziesięciu sześciu członków sekty (i kilku agentów służb federalnych) w zespole zabudowań należących do Gałęzi Dawidowej, była czymś więcej niż akcją z udziałem oddziałów paramilitarnych. Incydent ten może mieć wiele wspólnego z rzezią dokonaną piętnaście lat wcześniej w Jonestown w Gujanie. Wciąż nie ma jednoznacznej odpowiedzi, czy było to masowe samobójstwo - czy też raczej masowe morderstwo zlecone przez rządowe agendy, które próbowały następnie przenieść winę na same ofiary.

Przez sześć tygodni przed wspomnianym szturmem Bureau of Alcohol, Tabacco and Firearms - (ATF) Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej oraz FBI szalały wręcz na punkcie „przedstawicieli sekt religijnych". W mediach, z przyzwoleniem władz, pojawiały się liczne artykuły ukazujące w krzywym zwierciadle członków Gałęzi Dawidowej - dowodzonej przez Davi-da Koresha (vel Yerona Howella) - skłonnych w każdej

chwili popełnić masowe samobójstwo, podobnie jak niegdyś szaleńcy z Jonestown. Oczywiście, z uwagi na nagłośniony w mediach nieudany atak lutowy na siedzibę sekty, rozwiązania polubownego zupełnie nie brano pod uwagę. Powielając technikę zastosowaną wcześniej do wypłoszenia ze swej kryjówki

Manuela Noriegi, oddziały szturmowe emitowały rozsadzające uszy przeróżne dźwięki, takie jak odgłosy zarzynanych królików, zawodzące śpiewy tybetańskich mnichów, ryk silników odrzutowych oraz przebój Nancy Sinatry These Boots Were Made For Walking.

Jakby tej tortury było za mało, przez całą noc dwupoziomowy budynek, gdzie Koresh ze swymi wyznawcami próbował zasnąć, zalewało morze światła, a tłum agentów rządowych i prasy roił się na zewnątrz. Co gorsza, agenci odcięli komunę od dostaw energii, wody i żywności. To swoiste embargo utrzymane zostało nawet wtedy, gdy po sześciu tygodniach Koresh prosił o wznowienie dostaw mleka dla dzieci.

Oblężenie rozpoczęło się 28 lutego, kiedy to ATF przystąpiło do ataku

„z zaskoczenia" na rozlokowaną na górze Carmel komunę. Cała operacja była „tak wielkim zaskoczeniem", że trzy lokalne stacje telewizyjne zdążyły wysłać tam swoje ekipy, by zarejestrować przebieg operacji, a dwóch reporterów usadowiło się na pobliskim drzewie dla pełniejszego przeglądu sytuacji.

Jak wiadomo, sam atak doprowadził do powstania sytuacji patowej, a siły ATF zanotowały aż 20 procent strat (czterech zabitych i szesnastu rannych).

Co najmniej kilku, jeśli nie wszyscy zabici agenci byli ofiarami własnego ognia komandosów ATF. Według złożonych pod przysięgą wyjaśnień specjalisty ds. łączności Kena Fawcetta, który autoryzował

analizę oryginalnego nagrania wideo początkowej fazy ataku, pierwszy strzał został oddany przypadkowo. Broń jednego z nacierających agentów w nie wyjaśniony sposób wypaliła, zabijając innego agenta ATF, Stephena Willisa.

Bitwa na dobre rozpoczęła się w chwili, gdy jeden z agentów również przypadkowo postrzelił się w nogę. Inni, myśląc, że znajdują się pod ostrzałem, otworzyli ciągły ogień z broni maszynowej.

W wywiadzie dla telewizji dyrektor ATF, Stephen Higgins, próbował

usprawiedliwiać poniesioną klęskę utratą możliwości ataku z zaskoczenia, spowodowaną przeciekami ze strony bliżej nie określonej osoby. Kiedy jednak kilku agentów ATF udzieliło wywiadu przedstawicielom gazety z Waco, opinia publiczna dowiedziała się, że to samo ATF było źródłem owych przecieków.

Zeznając przed Senacką Komisją Sprawiedliwości Higgins był już na tyle rozważny, że nie powtarzał poprzedniego kłamstwa, a żadna konkretna osoba nie została wskazana. Trzeba jednak przypomnieć, że helikopter ATF krążył nad zabudowaniami tuż przed atakiem komandosów. Członkowie sekty zapewne szybko spostrzegli, że zanosi się na coś poważnego.

W dniu 19 kwietnia agenci służb federalnych - tym razem połączonych sił FBI oraz gnanych żądzą zemsty członków ATF -

zaatakowali ponownie, wyposażeni już w wozy bojowe i poprzedzając szturm ośmiogodzinnym działaniem gazu bojowego CS, wyjątkowo szkodliwego, a zarazem palnego środka łzawiącego, wzmacnianego zazwyczaj naftą. Zabudowania szybko ogarnął ogień, a rozprzestrzenianie się go ułatwiło

uderzenie czołgów M-60, które zrobiły wyłomy w ścianach. Pozostali przy życiu członkowie sekty twierdzili nie bez racji, że to właśnie czołgi spowodowały ogień, tratując palące się lampy naftowe, których pozbawiona elektryczności sekta używała do oświetlania wnętrz. Poza tym potężne wyłomy w ścianach przyczyniły się do powstania ciągu powietrza, który z kolei umożliwił szybkie rozprzestrzenianie się ognia.

W ten makabryczny sposób zginął Koresh razem z większością swoich wyznawców, wśród których znajdowała się spora grupa dzieci.

77

FBI niemal natychmiast ogłosiło, że dwóch członków kultu, którzy przeżyli kataklizm, przyznało się do podłożenia ognia. W późniejszym czasie Biuro wycofało się jednak z tych oświadczeń, zaznaczając, że aczkolwiek członkowie grupy kultowej nie wyznali tego — to snajperzy osobiście widzieli ich, gdy to robili.

Prowadzony później „niezależny" proces za spowodowanie pożaru obwiniał członków Gałęzi Dawidowej, w widoczny sposób sugerując powtórzenie się historii masowego morderstwa w Jonestown.

Niemniej, prawda o pożarze w Waco wciąż pozostaje niejasna. Warto tu zaznaczyć, że jego przyczyny badał nie kto inny, jak dawny agent ATF. Żona owego specjalisty wciąż pracowała w placówce ATF w Houston, kierowanej z kolei przez Phila Chojnackiego. Podobno to właśnie Chojnacki krążył nad zabudowaniami w helikopterze przed wykonanym „z zaskoczenia" atakiem ATF.

Inną nie wyjaśnioną wciąż zagadką jest pytanie - dlaczego urzędnicy federalni wprowadzili do akcji Zielone Berety. Krążą na ten temat przeróżne spiskowe teorie. Prawnik Peter Jennings, utrzymujący, że reprezentuje kilku członków Gałęzi Dawidowej i ich rodziny, twierdził, że w czasie trwającego kilka tygodni oblężenia zabudowań, na terenie kraju zaobserwowano dziwne ruch wojsk. Jego zdaniem jest to ostrzeżenie przed wydarzeniami, które dopiero mają nastąpić.

W dniu 21 lutego Koresh przesłuchiwany był przez agenta ATF i w przypływie dobrego humoru pokazał materiały wideo, ukazujące uzbrojenie członków sekty umożliwiające obronę przed ewentualnym atakiem ATF. W dniu 25 lutego ATF zwróciło się o wydanie pozwolenia na dokonanie przeszukania siedziby sekty, co stało się przyczynkiem do zapoczątkowania kryzysu.

Odkładając spekulacje na bok, jedynym realnym powodem do przeprowadzenia pierwszego ataku była próba przeszukania kompleksu budynków. Nie istnieją dowody stwierdzające, iż ATF

poinformowało członków

78

sekty o swym zamiarze (chociaż jeden z agentów ATF twierdził, że krzykiem zawiadomił sektę już w trakcie ataku). Nie można też jednoznacznie stwierdzić, że członkowie zgromadzenia odmówili im wstępu. Według amerykańskiego prawa najpierw muszą być spełnione obydwa wspomniane wymogi, zanim można uciec się do użycia siły.

Szefowie ATF mogli też wystąpić o wydanie zgody na specjalne przeszukanie „bez pukania", ale, jak

widać, wcale tego nie uczynili.

W nagranej rozmowie telefonicznej, już po pierwszym ataku, zdziwiony Koresh powiedział negocjatorowi ze strony ATF: „Byłoby lepiej, gdybyście po prostu mnie zawołali lub porozmawiali ze mną.

Wtedy wszyscy moglibyście wejść i zrobić swoją robotę".

Istnieją nawet wątpliwości, czy Gałąź Dawidowa popełniła jakiekolwiek przestępstwo. Co prawda członkowie sekty byli doskonale wyposażeni w broń i materiały wybuchowe - ale nie jest to niezgodne z prawem, dopóki wszystkie papiery są w porządku. Co najmniej część materiałów wybuchowych została zakupiona, by wyrobić dół pod basen pływacki. Gdy sekta znalazła się pod obstrzałem, był w trakcie budowy.

Mniej więcej w połowie oblężenia ATF nagle ogłosiło, że przedstawiciele Gałęzi Dawidowej w tajnym laboratorium produkują metamfetaminę. Nikt nie zaprzątał sobie jednak głowy, by zapytać, po pierwsze, skąd pochodziła owa informacja, a po drugie, jaki był cel wyciągania na światło dzienne tej sprawy. ATF nie posiadało uprawnień do zajmowania się kwestią narkotyków. Nie miało również prawa aresztowania rodziców molestujących dzieci - to inne oskarżenie, które pomogło stworzyć demoniczny wizerunek Koresha w amerykańskich mediach.

Prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że cała historia z narkotykowym laboratorium została wymyślona jedynie po to, by umożliwić loty helikopterów nad siedzibą sekty. W ten sposób można było obejść obo-79

wiązujący w Teksasie zakaz używania państwowych helikopterów przez osobistości państwowe, z wyjątkiem spraw związanych właśnie z narkotykami.

Zarzuty związane z metamfetaminą, rzecz charakterystyczna, nigdy nie pojawiły się w żadnym prawnym dokumencie. Jak to zaznaczył

jeden ze sceptyczne nastawionych reporterów, „nie jest przestępstwem kłamanie przed prasą, natomiast mówienie nieprawdy przed sędzią pociąga już za sobą pewne konsekwencje".

Z drugiej strony, oświadczenie złożone pod przysięgą, mające spowodować wydanie zezwolenia na przeszukanie siedziby sekty w dniu 28 lutego, nie było przykładem dokładności. Agent ATF Davy Aguilera twierdzi w nim - co później posłużyło do udowodnienia fanatyzmu Koresha - że 6 kwietnia 1992 roku Koresh ostrzegł

przedstawiciela Texas Humań Services (Teksaskie Służby Humanitarne), że jest „wysłannikiem Boga" i że kiedy ujawni swoją prawdziwą naturę, „zamieszki w Los Angeles będą niczym w porównaniu z tym, co wydarzy się w Waco, w Teksasie".

Z pewnością była to przeraźliwa wizja, chociaż warto wiedzieć, że gdy Koresh miał wypowiadać tę domniemaną groźbę, do rozpoczęcia zamieszek w Los Angeles było jeszcze całe trzy tygodnie.

Przedstawiciele ATF utrzymywali również, że zostali zmuszeni do unicestwienia sekty, ponieważ Koresh, w stylu Hitlera, zabarykadował

się w środku i przez tygodnie nie opuszczał swojej siedziby. W

rzeczywistości co najmniej raz w tygodniu odwiedzał on miasto.

Jeszcze na dwie noce przed lutowym atakiem pojawił się w Waco.

Na zakończenie warto podkreślić fakt, że ATF nigdy nie wysunęło przeciwko Koreshowi poważniejszych zarzutów aniżeli nielegalne posiadanie broni. Co prawda pięć lat wcześniej Koresh wraz z sześcioma towarzyszami został zatrzymany przez miejscową policję pod zarzutem usiłowania popełnienia morderstwa, nie przyznali się jednak do winy (a później zostali uwolnieni od 80

zarzutów). W jaki sposób natomiast szeryfowie z Waco próbowali zapobiec rozlewowi krwi, który władze federalne uznały za konieczny?

„Traktowaliśmy ich jak normalnych ludzi - mówił miejscowy prokurator Vic Feazell - a nie jak tajfun siejący zniszczenie".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

John D. Dingeli III. Lkensed w Slaughter. „Indte Information", lipiec-sierpień 1993.

Ken Fawcett. Why Waco? W „Secret and Suppressed", wydane przez Jim Keith. Portland, OR: Feral House Press 1993.

James L. Pate. Waco's Defective Warrants: No Probabłe Cause for Raid

on Ranch Apocalipse. „Soldier of Fortune", sierpień 1993.

Raport Lindy Thompson, American Justice Federation. Opublikowany elektronicznie. Kopia w posiadaniu autora.

W rozdziale tym wykorzystano materiały źródłowe zebrane przez Ken-na Thomasa.

8. Królowa spisków i detektywi

W kwietniu 1981 roku do domu Mae Brussell, w nadmorskim miasteczku Carmel w stanie Kalifornia, przybyli agenci Federalnego Biura Śledczego. Celem tej wizyty było uzyskanie informacji, co właścicielka domu wie o spisku dotyczącym zamachu na prezydenta Ronalda Reagana.

Było to pierwsze, a zarazem jedyne bezpośrednie spotkanie pani Brussell z agentami FBI, chociaż Biuro już od trzynastu lat zbierało dane na jej temat.

Siedem lat później, w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, Mae Brussell zmarła na raka, zamykając siedemnas-toletną karierę autorki dyskusyjnych programów radiowych. Nadawane w niekomercyjnych stacjach w Bay Area audycje przyczyniły się w dużym stopniu do zapoczątkowania całego szeregu prywatnych dochodzeń, do-81

tyczących nie rozwikłanych dotąd tajemnic amerykańskiego życia politycznego.

Z pewnością Brussell nie wynalazła spiskowej teorii dziejów, jako że ten pogląd na historię dziejów stanowił obsesję wielu ludzi już od dość długiego czasu. Była natomiast pionierką teorii mówiącej, że faszyzm Trzeciej Rzeszy stanowił źródło władzy zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i na całym świecie. To, co uczyniło tę hipotezę fascynującą i przerażającą to fakt, że pomysł ten nie był jedynie owocem wybujałej fantazji autorki, ale wynikał z analizy bogatych tekstów źródłowych. W 1964 roku Mae Brussell zakupiła bowiem, przeczytała i przez kilka kolejnych lat opatrzyła indeksami i odniesieniami wszystkie dwadzieścia sześć tomów akt zebranych przez Komisję Warrena, dotyczących dochodzenia w sprawie zabójstwa prezydenta Kennedy'ego.

W chwili śmierci właścicielki, domowa biblioteka Mae liczyła ponad sześć tysięcy tomów. Ponadto pozostawiła po sobie ogromny zbiór wycinków prasowych obejmujących mniej więcej dwudziestoletni okres (czytywała codziennie siedem gazet). W czasie swego życia przygotowała setki audycji radiowych i opublikowała kilka artykułów na tak różne tematy, jak związki CIA z porwaniem Patrycji Hearst

[córki magnata prasowego - przyp. tłum.], masakra w Jonestown, afera Watergate, satanizm i tym podobne. Miała ona swoich oddanych zwolenników na całym świecie. Podzielali oni opinię, że za śmierć ich duchowej przywódczyni odpowiedzialne są środowiska związane z wywiadem.

Legendy opowiadające o konflikcie Mae Brussell z przedstawicielami służb specjalnych są niezliczone, chociaż na papierze znalazły się tylko niektóre z nich.

Secret Service założyła jej kartotekę, ponieważ Brussell nie zwykła ograniczać się tylko do posiadania poglądów.

„Ponad połowa jej akt [144 strony] nie zaistniałaby - pisał jeden z badaczy, który je przeglądał - jeżeli tylko 82

powstrzymałaby się od wysyłania listów do prezydentów, wzywania agencji policyjnych, czy też odwiedzania Maureen Reagan". Znaczna część pozostałych akt Secret Service wywodzi się z faktu, że ojciec Brussell, rabin Edgar Magnin, był osobistym przyjacielem Richarda Nixona, któremu Brussell nie szczędziła słów krytyki. Jednak tylko jeden człowiek mógł traktować Mae Brussell jako osobę na tyle niepożądaną, żeby uciszyć nieznośną damę - najbardziej szalony przedstawiciel wewnętrznych sił policyjnych FBI, sam J. Edgar Hoover.

W aktach Mae Brussell znajduje się umieszczona zupełnie bez powiązania notatka, przekazana dalekopisem z dołączoną uwagą:

„Zabójstwo prezydenta Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, informacje różne", datowana 17 września 1967 roku, chociaż odnosi się do zdarzeń z pierwszych dwu miesięcy poprzedniego roku. Powstała ona w biurze FBI w San Francisco i została skierowana do dyrektora (Hoovera) i do przedstawicielstw Biura w Nowym Orleanie i Dallas.

Początek jej brzmiał następująco: „Akta z San Francisco mówią, że 1/20/66 [ocenzurowane] prywatny detektyw z Carmel w stanie Kalifornia donosił, że jego agent przekazał mu, iż May [sic!] Magnin Brussell wyrażała wielkie zaniepokojenie faktem, że Stany Zjednoczone stają się coraz bardziej faszystowskie i że w ciągu najbliższych dwu lat może dojść do faszystowskiego przewrotu.

Warto wiedzieć, iż jest ona córką rabina Edgara F. Magnina ze Świątyni Wishire w Los Angeles.

[Ocenzurowano] twierdził, że ostatnio wraz z kilkoma małymi dziećmi przeniosła się do Carmel Valley. Jak głoszą pogłoski, ma ona skłonności lewicowe i nie jest w najlepszych stosunkach ze swoim ojcem".

W dalszej części dalekopis wspomina o „wstępnym dochodzeniu" w rezydencji rabina Magnina, sprawdzeniu danych Brussell (które, jak się wydaje, nie zawierały nic więcej prócz nazwiska męża i jego zawodu) oraz negatywnej opinii o niej wydanej przez szeryfa z Monte-83

rey County. Notatka wspomina o otwartym przez służby specjalne liście do wydawcy Mae, w którym autorka „wyraża opinię, iż Lee Harvey Oswald nie był komunistą".

Dalekopis kończył się konkluzją: „SF (służby federalne) nie podjęły żadnych dalszych akcji".

Nie trzeba chyba dodawać, że w rzeczywistości dalekopis dotyczył

czegoś ważnego i że następny dokument w aktach, notatka od

„dyrektora FBI" do Dallas, rzuca nieco światła, co przypuszczalnie mogło wzbudzić tak nagłe zainteresowanie nie znaną dotąd panią Brussell.

„Z uwagi na fakt, że pani Brussell nawiązała kontakt z Jamesem [sic!]

Garrisonem z Nowego Orleanu i wydaje publiczne komentarze dotyczące śledztwa, biura w Dallas i San Francisco mają niezwłocznie załączyć tę informację do opatrzonego odpowiednim nagłówkiem jednostronicowego raportu, gotowego do rozpowszechniania...

Sprawą tą należy się zająć natychmiast".

Specjalne zainteresowanie FBI dochodzeniem prowadzonym przez okręgowego prokuratora Garrisona, dotyczącym zabójstwa Johna Kennedy'ego, zostało szeroko i wyczerpująco udokumentowane.

Poprzez rozmowy z Garrisonem Mae wpadła w sieć Biura. A może jeszcze głębiej, chociaż udostępnione dokumenty nie dają pełnej jasności obrazu.

Notatka dołączona do odpowiedzi „dyrektora" głosi bez żadnych wstępów, że 17 września 1967 roku linia lotnicza Delta Airlines otrzymała informację o zamachu bombowym na samolot odbywający lot z Dallas do San Francisco i że „Pani May [sic!] Magnin Brussell, która była jedną z pasażerek tego lotu, skomentowała ten fakt w Love Field w Dallas, mówiąc, że prowadzi ona śledztwo w sprawie zabójstwa Kennedy'ego i że przez trzy dni prowadziła konsultacje z prokuratorem Jimem Garrisonem z Nowego Orleanu".

Wynika z tego wniosek, że według Mae to jej osoba miała być celem owego zamachu bombowego. Zapoczątkowane w 1967 roku zainteresowanie FBI postacią

Brussell mogło być wzmożone po incydencie z samolotem Delta Airlines, zwłaszcza że Biuro uświadomiło sobie, iż utrzymuje ona kontakty z Garrisonem.

Na następnych trzydziestu ośmiu stronach nie pojawiają się już żadne wiadomości dotyczące zamachu

bombowego na samolot Delty, ani też odniesienia związane z tym wydarzeniem do osoby Mae. Do czasu nowego wpisu w aktach, Mae Brussell rozpoczęła publiczną karierę jako nowatorka na polu amerykańskich teorii spiskowych. Planowała wydawanie publikacji zatytułowanej Conspiracy Newsletter.

Jak mówi notatka sporządzona przez FBI w San Francisco, „12/19/72

wykonana została rozmowa telefoniczna pod pretekstem

[ocenzurowane] przez SA [ocenzurowane] podającego się za studenta pragnącego otrzymać egzemplarz nowej publikacji, [ocenzurowane]

stwierdzał, że wydanie Conspiracy Newsletter zostało ostatecznie odłożone. Oświadczał także, że zarówno on, jak i MAE BRUSSELL, która miała być redaktorem naczelnym tej publikacji, obecnie nie mają czasu, by się tym zająć. W obliczu powyższego, sprawa została zamknięta; jednakże biuro w San Francisco wciąż będzie śledziło w przyszłości próby publikowania Conspiracy Newsletter".

Jest doprawdy zdumiewające, że personel instytucji zajmujących się porządkiem w państwie pozostawał „w podwyższonej gotowości"

jedynie przez możliwość ukazania się w przyszłości Conspiracy Newsletter.

W aktach znajduje się też pojedyncza strona, zatytułowana „List Biura do San Francisco, 8/25/72". Gdzie znajduje się sam list? Nie ma go w aktach. Najprostsza odpowiedź sugerowałaby, że Mae Brussell nie była wymieniana po nazwisku w tym liście, co stało się powodem przeoczenia go przez urzędników FBI i zarazem pominięcia w aktach.

Pierwsze trzy paragrafy w notatce „listu Biura" zostały ocenzurowane, co stanowi największą białą plamę

w ujawnionych stronach akt Mae Brussell posiadanych przez FBI.

Następny dokument, datowany na 6 listopada 1975 roku, jest równie intrygujący, aczkolwiek z nieco innych powodów. W owym czasie Mae była już powszechnie znaną, można powiedzieć, kontrowersyjną osobowością radiową. Co tydzień stawała przed mikrofonem publicznej radiostacji, by wygłaszać niezmiernie skomplikowane monologi na temat spisków.

Dokument ten powstał, ponieważ Mae powiadomiła asystenta prokuratora Stanów Zjednoczonych - który następnie przekazał tę informację do FBI - że otrzymała następującą korespondencję (list wydawał się podpisany, ale nazwisko zostało skreślone): „Mae, twoje myśli są szalone. Charles Manson już od 28 lat znajduje się w więzieniu i wszystko, czym B.S. się zajmujesz, jest ledwie odbiciem wiadomości i książek, które zaprogramowały twój umysł do takiego myślenia. Należy się tobą zająć. Sprawiasz wrażenie, jakbyś chciała dać powód swej śmierci z rąk Rodziny".

Pozostający bez związku inny dokument, datowany pięć lat później, odnosi się do tego incydentu i oświadcza jasno, że „w październiku i listopadzie 1975 roku otrzymywała ona listy z pogróżkami od

[ocenzurowane] członka rodziny Mansona".

Obecnie prawdą jest, że ludzie Mansona szafowali pogróżkami śmierci równie często, jak kontrolerzy rozdający bilety na parkingu.

Niemniej wiele z nich się spełniło. Jeżeli jakąkolwiek organizację należało w tym przypadku traktować poważnie, z pewnością była nią grupa Mansona. Mimo to, według dokumentu FBI, asystent prokuratora Stanów Zjednoczonych F. Steele Langford uznał, że samo otrzymanie listu z pogróżkami nie równa się groźbie.

W dalszym toku tej sprawy FBI nakazało zaniechanie przeprowadzania dodatkowego śledztwa. Jednakże w jednoznaczny sposób FBI zaleciło Mae zmianę numeru

telefonicznego na zastrzeżony i natychmiastowe kontaktowanie się z FBI w razie otrzymania dalszych pogróżek.

Być może agenci FBI byli zbyt zajęci oczekiwaniem na publikację Conspiracy Newsletter, by zaprzątać sobie głowę pogróżkami ze strony rodziny Mansona. Bezczynność FBI musi wydawać się jednak dziwna, zważywszy na to, że Mae zmarła w 1988 roku zaledwie kilka miesięcy po podjęciu decyzji o zaprzestaniu nadawania -

prowadzonych od dwudziestu lat - audycji radiowych, w odpowiedzi na powtarzające się pogróżki. (Chociaż jej choroba nowotworowa rozpoznana została przez lekarza jako całkowicie naturalna, zwolennicy Mae spekulowali, iż zapewne jej wrogowie rozmyślnie zainfekowali ją tą śmiertelną chorobą.) W owym czasie Mae zajmowała się kultami satanicznymi w wojsku. Wyznawała również pogląd, często pojawiający się w dokumentach FBI, że gang Mansona miał powiązania z amerykańskimi służbami wywiadowczymi i wojskiem.

Dalsza część akt zawiera korespondencję Mae z 1976 roku z dyrektorem FBI Clarence Kelleyem, wynikłą z jej przekonania, że ciało pochowane w grobie Howarda Hughesa nie jest Howardem Hughesem. Ostatnie czternaście stron akt dotyczy wyłącznie oświadczenia złożonego w kwietniu 1981 roku przez Mae, że John Hinckley obserwował jej dom, zarzutu, po którym agenci FBI pojawili się u niej osobiście.

Oświadczenie Mae, złożone w niecały miesiąc po próbie zamordowania Reagana, że Hinckley, niedoszły zabójca prezydenta,

„odwiedził ją" tego roku w styczniu, wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie władz. Epizod rozpoczął się, gdy Rudy Guiliani, ówczesny prokurator Stanów Zjednoczonych, a później burmistrz Nowego Jorku, zawiadomił FBI o telefonie od Mae. 23 kwietnia FBI dokonało przesłuchania Brussell w jej własnym domu.

Mae opowiedziała, jak to 13 stycznia zaobserwowała białe auto zaparkowane po drugiej stronie ulicy naprze-87

ciwko jej domu. Od razu przyjęła założenie, że pasażerowie samochodu szpiegują ją. W samochodzie

znajdowała się kobieta z mężczyzną. Mae dobrze zapamiętała ich wygląd. Kiedy w późniejszym czasie doszło do zamachu na Reagana, Mae rozpoznała w osobie strzelającego zbrodniarza tego samego mężczyznę, który zaparkował samochód owego dnia naprzeciwko jej domu.

Po śmierci Mae wielu jej przyjaciół i sympatyków ogarnął pewien rodzaj szaleństwa. Zajęli się ukrywaniem jej wycinków z prasy, tak by policja nie mogła ich przejąć. Trzeba jednak przyznać, że gdy w domu Brussell pojawili się swego czasu agenci FBI, Mae wręcz prosiła ich, by zapoznali się z jej prywatną biblioteką. Posunęła się nawet tak daleko, że zwróciła się do FBI o powołanie „zespołu operacyjnego"

do przeszukania „tysięcy wycinków prasowych i setek książek, które zebrała" - jak głosił raport FBI z 4 maja 1981 roku.

Ten nieco mętny raport kończy się stwierdzeniem: „Należy zawiadomić Biuro, że jakikolwiek dalszy kontakt z panią Brussell w nawiązaniu do jej teorii nie jest wart wysiłków".

Inna notatka dotycząca incydentu z Hinckleyem i wizyty pracowników FBI, którzy odwiedzili Mae w domu, zawiera wyznania agenta, w których mówi: „Pani Brussell jest osobą powszechnie znaną ze swych zmiennych stanów psychicznych, a jej teorie spiskowe nie są brane poważnie przez miejscową ludność".

Co ciekawsze, akta Secret Service dotyczące incydentu z Hinckleyem, chociaż całkowicie pomijają raport, zaznaczają, że „pani Brussell wydaje się być osobą normalną".

Chociaż Mae żyła jeszcze siedem lat, to dotyczące jej dokumenty zbierane przez FBI kończą się na wspomnianym już, domniemanym zauważeniu Hinckle-ya i następujących po tym incydencie zeznaniach złożonych agentom. Czyżby FBI całkowicie straciło zainteresowanie jej osobą, ostatecznie skreślając ją jako nieszkodliwą wariatkę? Czy z kolei może to ona przestała

kontaktować się z nimi, co w konsekwencji nie pozostawiło śladów w danych FBI? A może jest jeszcze coś, co znajduje się w nie ujawnionych dotąd aktach?

Dokumenty kończą się krótkim podsumowaniem kontaktów Biura z Mae Brussell na przestrzeni lat. Ostatni opisywany incydent, który znalazł odbicie w aktach FBI, to rozmowa telefoniczna z przedstawicielstwem w Monterey, którą Mae odbyła w 1977 roku.

„Zawiadamiała, że jest zatroskana sytuacją jednej z jej córek.

Zauważyła bowiem, że młody mężczyzna, który pojawiał się w towarzystwie jej córki, wykazywał pewne głębsze zainteresowanie nią samą. Jeden fakt wydawał się podejrzany: osobnik ten dysponował

znacznymi środkami finansowymi, mimo że nie okazywał źródeł ich pochodzenia. Brussell podejrzewała, że mógł być on obserwującym ją agentem FBI, który przedostał się w otoczenie Mae za pośrednictwem jej córki".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Greg Beebe. Conspiracy Theorists Ponder the Mae Brussell Question.

„Santa Cruz Sentinel", 28 lutego 1992.

X. Sharks Despot. Mae Brussell: Secret Service Files on the Queen of Conspiracy Theorists. „Steamshovel Press", nr 8 (lato 1993) Jonathan Vankin. Conspiracies, Cover-Ups, and Crimes. Nowy Jork: Dell, 1992.

John Whalen. Ali Things Conspired. San Jose: „Metro", 17 listopada 1988.

Akta FBI dotyczące Mae Brussell, ujawnione przez Biuro, znajdują się w posiadaniu autorów.

9. CIA i media

W 1977 roku Carl Bernstein z „Washington Post" donosił, że „w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat ponad czterystu amerykańskich dziennikarzy w tajem-89

nicy przekazywało swe informacje CIA. Dziennik „New York Times"

- według źródeł Bernsteina jeden z najbardziej cenionych

„współpracowników" CIA - nieco inaczej widzi to zjawisko, oceniając, że z Agencją współpracuje „ponad osiemset organizacji informacyjnych i publicznych oraz osoby indywidualne".

Odkrycie to z pewnością miało posmak sensacji. Przez ponad dwie dekady zastępy szacownych reporterów pozwalały zaglądać agentom CIA w swoje notatki. Asystowali w rekrutacji zagranicznych szpiegów oraz służyli jako źródła informacji Agencji poza granicami Stanów Zjednoczonych. Liczni doczekali się nawet dobroczynnego czeku od szczodrego wujka Sama.

Wielu współpracujących z CIA dziennikarzy zajmowało się także rozmyślnym szerzeniem poza granicami Stanów fałszywej propagandy. Wielokrotnie dezinformacja zasiana za morzami przedostawała się z powrotem do Ameryki, gdzie przytaczano ją w rodzimych mediach niczym prawdę objawioną. Należy tu zaznaczyć, że ta nieskrępowana propaganda czasami była wymierzona dokładnie

- choć nielegalnie - w samych Amerykanów.

Agencji udało się również umieścić swych pracowników w kilku cieszących się dużym prestiżem amerykańskich dziennikach. Jako

„pracownicy" dziennika „New York Times" czy tygodnika „Time"

agenci CIA mieli znakomitą zasłonę. W przebraniu reporterów szukających sensacji i tajnych informacji, pracownicy Agencji mogli pojawiać się wszędzie i bez wzbudzania podejrzeń zadawać trudne pytania.

Wysoki rangą przedstawiciel CIA oświadczył ponoć Bernsteinowi, że

„...jeden dziennikarz wart jest dwudziestu agentów". Fałszywi dziennikarze z CIA przechodzili nawet odpowiednie szkolenia, by nauczyć się zachowania i stylu rozmawiania charakterystycznego dla zawodowych reporterów. Równocześnie prawdziwi dziennikarze zdobywali wprawę w elitarnej sztuce

szpiegowania: pisaniu szyfrów, technikach inwigilacji i wielu innych przydatnych czynnościach.

Sekcja CIA zajmująca się manipulacją mediami w gwarze Agencji określana była jako Propaganda Assets Inventory (Wydział

Propagandy). Frank G. Wis-ner, pierwszy szef Agencji zajmujący się tajnymi akcjami, nieskromnie nazwał je Wurlitzerem Wisnera -

sposobem kształtowania poglądów opinii publicznej na całym świecie.

Chociaż Wisner popełnił w 1961 roku samobójstwo, jego styl pracy przetrwał przez kilka kolejnych dekad. Oprócz współpracujących dziennikarzy i agentów, CIA subsydiowała lub też posiadała co najmniej pięćdziesiąt dzienników prasowych, serwisów informacyjnych, stacji radiowych i magazynów - głównie poza granicami kraju, chociaż niektóre z nich działały też i w Stanach. Dla przykładu własnością Agencji były takie dzienniki jak „Rome Daily American", „Manila Times" oraz „Bangkok Post".

Dzięki sprytnym manewrom uprzednich dyrektorów Agencji Williama Colby'ego i George'a Busha, którym udało się spuścić kurtynę milczenia na senackie dochodzenie w tej sprawie, zapewne nigdy nie dowiemy się

0

pełnym zasięgu manipulacji mediami przez CIA. Jak pisze Bernstein - napotykająca na każdym kroku przeszkody i straszona ostrzeżeniami, że wszelkie dociekanie może się później przerodzić w

„polowanie na czarownice", Senacka Komisja ds. Wywiadu pod przewodnictwem Franka Churcha „dobrowolnie zrzekła się publikacji" rezultatów swego śledztwa w sprawie powiązań CIA ze światem dziennikarskim.

Wiemy jednak, że naczelni redaktorzy wielu gazet 1

magazynów wyrażali zgodę na angażowanie swych reporterów jako szpiegów, informatorów i propagandzistów. Dawny dyrektor CIA William Colby tak to określił: „Nie zabierajmy się za jakichś zwykłych dziennikarzy. Zwróćmy się do zarządów. One tylko na to czekają".

91

W swojej krucjacie walki z „globalnym komunizmem", jak pisał

Bernstein, wiodący amerykańscy wydawcy pozwolili sobie i swoim serwisom informacyjnym stać się sługami służb wywiadowczych.

Lista szefów agencji i serwisów informacyjnych współpracujących z CIA zawiera takie nazwiska jak byłego wydawcy „New York Timesa"

Arthura Hayesa Sulzbergera, prezydenta Columbia Broadcasting System - Williama Paleya, założyciela magazynów „Time" i „Life"

Henry'ego Luce'a, a także Jamesa Cop-leya z „Copley News Service"

(który nagłaśniał informacje skierowane przeciwko pacyfistom i czarnym protestantom, publikował zredagowane przez CIA artykuły oraz przeznaczył co najmniej dwudziestu trzech pracowników do usług Agencji). Wśród innych potężnych firm informacyjnych, współpracujących z CIA, znajdowały się: ABC TV (gdzie, jak mówiono, powszechnie znany, choć nie wymieniony po nazwisku korespondent zagraniczny był współpracownikiem CIA), NBC, Associated Press, United Press International, Reuter, magazyn

„Newsweek", Scipps-Howard, Hearst Newspapers oraz „Miami Herald".

Według źródeł Bernsteina w Senacie i CIA dwiema najważniejszymi zdobyczami Agencji były „New York Times" i CBS, posiadające rozbudowaną sieć reporterów zagranicznych. Z „Timesem" Arthur Hayes Sulz-berger podpisał tajne porozumienie, w myśl którego kilku agentów CIA występowało jako etatowi pracownicy gazety w jej zagranicznych oddziałach. Mimo że wydawca „Timesa" Sulzberger utrzymywał bliskie stosunki z ówczesnym dyrektorem Agencji, Allenem Dul-lesem, to jednak wyraził zgodę na podpisanie tajnego porozumienia, podobnie jak uczynił to jego bratanek, C. L.

Sulzberger. Według kilku źródeł CIA, C. L. Sulzberger, późniejszy redaktor „Timesa" do spraw zagranicznych, umieścił kiedyś swą notkę na raporcie do CIA i opublikował ją następnie w całości (choć Sulzberger

określił później ten zarzut jako „stek bzdur"). „Times" przekazywał

artykuły do Dullesa, a następnie do jego następcy, McCone'a, który dokonywał „edytorskiego opracowania" tekstów, eliminując część informacji, w efekcie decydując w imieniu „Timesa", które wiadomości „nadawały się do publikacji".

Podobnie jak pochodzący z CBS Paley i starszy Sulzberger, Henry Luce, założyciel magazynów „Time" i „Life", pozostawał w zażyłych stosunkach z Dullesem, który często podkreślał pomoc swego superkonserwatywnego przyjaciela wydawcy. Luce zezwalał swym pracownikom na kooperację z CIA i także dawał pracę oraz listy polecające oficerom CIA. Ustanowił nawet własnego reprezentanta do spraw kontaktów z CIA, dziennikarza z magazynu „Life", C. D.

Jacksona, który dał się poznać jako „specjalny konsultant prezydenta ds. broni psychologicznej", polecony przez CIA.

Zajmujący się spiskami badacze komentują wielce podejrzaną sprawę wykupienia przez magazyn „Life" materiału zdjęciowego do filmu Zaprudera o zabójstwie prezydenta Kennedy'ego. Magazyn Jacksona nie tylko wykupił prawa do filmu i przetrzymywał je w zawieszeniu przez lata. Dokonując sprytnego montażu klatek ze słynnego prywatnego ujęcia momentu zabójstwa, wywołał fałszywe wrażenie, jakoby głowa Kennedy'ego po strzale pochyliła się ku przodowi. Tak przedstawiła przebieg wypadków w swym raporcie Komisja Warrena (choć niesłusznie), by przekonać opinię publiczną, że istniał tylko jeden zabójca, który strzelał z tyłu.

Żona Henry Luce'a, Claire Boothe Luce, zapewne również wiedziała o wielu pracownikach CIA zatrudnionych jako dziennikarze. Jako przedstawicielka wyższych warstw, działająca w kręgach szpiegowskich, pani Luce sponsorowała działalność wymierzoną w Castro. Natomiast w późniejszych czasach stała się dyrektorem założycielskim organizacji o nośnej nazwie: As-93

sociation of Former Intelligence Officers (Związek Dawnych Oficerów Wywiadu).

Współpraca dziennikarzy z agentami wywiadu polegała zazwyczaj na prostym przekazywaniu lub dostarczaniu informacji, chociaż niektóre agencje prasowe posunęły się w tej współpracy znacznie dalej.

Według wysokiego rangą urzędnika Agencji, cytowanego przez Bernsteina, znany dziennikarz Stewart Alsop, który pisał dla „New York Herald Tribune", „Saturday Eve-ning Post" i „Newsweeka", był

agentem CIA. Alsop pomagał umieszczać w zagranicznych mediach artykuły siejące dezinformację i prowadzić w odpowiednim kierunku zagraniczne „placówki" CIA. Brat Alsopa, Joseph, sam publicznie odrzucił te zarzuty, choć mimowolnie się do nich przyznał, gdy oświadczył Bernsteinowi, że on sam był bliżej CIA niż jego brat Stew.

Rozróżnienie między zwykłą dziennikarską pracą a szerzeniem propagandy na rzecz CIA odnosi się także do Hala Hendrixa, jednego z najcenniejszych współpracowników Agencji w latach sześćdziesiątych. Jako korespondent zajmujący się problematyką latynoamerykańską dla „Miami News", Hendrix miał bliski kontakt z organizatorami tajnych przedsięwzięć. Według Bernsteina akta Agencji zawierają liczne raporty o działalności Hendrixa na rzecz CIA. Mimo że sam Hendrix wszystkiemu zaprzecza, mówiąc, że z CIA łączyły go jedynie „normalne dziennikarskie stosunki", to jego współpracownicy zwracali się do niego per „Szpieg".

W późniejszym czasie Hendrix porzucił działalność dziennikarską i rozpoczął pracę w International Tele-phone and Telegraph Corporation (ITT) w Chile. Występując później przed senacką komisją badającą zaangażowanie CIA i ITT w tajną kampanię mającą na celu udaremnienie wyboru na stanowisko prezydenta Chile lewicowego przywódcy Salvadora Allende w 1970 roku, dopuścił się aktu krzywoprzysięstwa. Zapytany bowiem o pochodzenie informacji wysłanej do wiceprezydenta

ITT, że administracja Nixona popiera plany zmierzające do udaremnienia przejęcia władzy przez Allende, Hendrix twierdził, że wiadomość tę przekazał mu jego chilijski przyjaciel. Wkrótce odnalazł

się jednak telegram z CIA, który jednoznacznie wskazywał, że prawdziwym źródłem tej informacji był dla Hendrixa oficer Agencji.

Zdaniem Bernsteina dziennikarze odgrywali znaczącą rolę w wysiłkach CIA zmierzających do podkopania pozycji Allende.

Reporterzy przekazywali środki finansowe dla przeciwników Allende, pisali też oczerniające go artykuły propagandowe w kontrolowanych przez CIA publikacjach. W podsumowującym 1970 rok raporcie CIA napisano o „ciągłym powtarzaniu chilijskich materiałów" w amerykańskiej prasie, w tym w „New York Timesie" i „Washington Post". Raport stwierdzał dalej: „Działalność propagandowa ukazuje obraz sytuacji w Chile zgodnie z naszym kierunkiem działania".

Po rewelacjach ujawnionych pod koniec lat siedemdziesiątych można jedynie gdybać, jak wielu dziennikarzy amerykańskich wciąż pozostaje na usługach CIA. Chociaż „New York Times" donosił, że CIA zakończyła współpracę z reporterami, w rzeczywistości za kadencji George'a Busha Agencja jedynie zabroniła zatrudniania pełnoetatowych agentów prasowych, pozostawiając natomiast otwartą drogę dla okazjonalnych kontaktów. W 1980 roku nagłówek w „Los Angeles Times" głosił: „POTĘŻNY WURLITZER CIA ZAMILKŁ".

Czy to już koniec opowieści? Być może wcale nie. Mimo braku głównej motywacji do współpracy CIA i mediów po zakończeniu zimnej wojny, odtajniony w 1992 roku raport Agencji sugeruje, iż cały ten

proceder wcale się nie zakończył. Raport o „otwartości" CIA stwierdza, że biuro zajmujące się sprawami publicznymi „posiada obecnie kontakty z reporterami z każdego większego serwisu informacyjnego, gazety, tygodnika

i stacji telewizyjnej na terenie Stanów Zjednoczonych". Z pewnością kontakty te były owocne dla CIA, ponieważ umożliwiły one przekształcenie niektórych doniesień „o porażce wywiadu" w materiały „o jego sukcesie". W dalszym ciągu raport z 1992 roku stwierdzał: „w wielu przypadkach sugerowaliśmy redaktorom przełożenie, zmianę, wstrzymanie, a nawet skreślenie informacji, które mogły wpłynąć na interes bezpieczeństwa narodowego".

Trzeba przyznać, że brzmi to tak, jakby potężny Wurlitzer wciąż działał.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Carl Bernstein. The CIA ad the Media. „Rolling Stone", 20

października 1977.

John M. Crewdson, Joseph B. Treaster. CIA: Secet Shaper of Public Opinion. „New York Times", 25-27 grudnia 1977. Martin A. Lee, Norman Solomon. Unreliable Sources: A Guide to Detecting Bias in News Media. Nowy Jork: Lyle Stuart, 1991.

10. Sekrety nieba

Co się rozbiło w Roswell, w amerykańskim stanie Nowy Meksyk?

Srebrzysty obiekt o sporych rozmiarach zachybotał w powietrzu, po czym z ogłuszającym hukiem zarył w pustynnym pyle. Ten fakt nie budzi wątpliwości. Zdarzyło się to 2 lipca 1947 roku.

Jest również faktem, że amerykański rząd natychmiast wykazał

zainteresowanie... hm, powiedzmy, tym tajemniczym obiektem. Siły powietrzne wysłały zespół, by wykopał wrak - którego jedna metalowa część miała ponad metr długości - i przesłał go w celu dalszych badań do bazy wojskowej sił powietrznych w Dayton, w stanie Ohio. Dowodzący akcją generał Roger Ramey zakazał swym ludziom rozmawiania z przedstawicielami prasy. Zanim jednak Ramey utajnił całą sprawę, oficer zajmujący się kontaktami z prasą zwołał konferencję, na której ogłosił przechwycenie „latającego dysku". Wiadomość tę podchwyciła stacja radiowa w Albuquerque. W

czasie gdy przekazywała sensacyjną informację słuchaczom, nadszedł

pilny telegram z FBI.

„Uwaga Albuquerque: przerwać transmisję. Powtarzam: przerwać transmisję. Wiadomość dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Nie nadawać. Czekajcie na dalsze instrukcje..."

Następnego dnia siły powietrzne na pospiesznie zor-99

ganizowanej konferencji prasowej podały, że w Roswell rozbił się po prostu balon.

Cała historia z UFO tak naprawdę rozpoczęła się kilka dni wcześniej, kiedy to pewien biznesmen, a zarazem lotnik-amator, Kenneth Arnold, podczas lotu swym prywatnym samolotem śledził eskadrę dziewięciu „poruszających się wahadłowym, kluczącym ruchem"

tajemniczych obiektów. Opisał je później jako „przypominające kształtem spodki". Jakiś żartowniś w biurze AP wysyłając telegram wymyślił nazwę „latające spodki" i takie określenie na stałe zadomowiło się w mowie potocznej. Przedstawiciel sił powietrznych oświadczył jednakże, że to, co śledził Arnold, było zwykłym

„złudzeniem".

Od roku 1947 zaczęły napływać niezliczone raporty dotyczące UFO.

Niektóre z nie zidentyfikowanych obiektów uwieczniono na fotografiach, a także na taśmie filmowej, zarówno jako obiekty nieruchome, jak i poruszające się. Pojawiały się na całym świecie, a nawet w przestrzeni kosmicznej. Również astronauci donosili NASA 0

obserwowaniu dziwnych obiektów, a autor specjalizujący się w tematyce dotyczącej UFO, Sean Morton, współautor książki The Millennium Factor, twierdzi, że zdjęcia będące w posiadaniu NASA tak zwanej ciemnej strony Księżyca zostały z nie znanych bliżej przyczyn utajnione.

Pogląd, że UFO ukazywały się jedynie zbieraczom kukurydzy oraz mieszkańcom przyczep kempingowych, łatwo można podważyć.

Opublikowane książki dotyczące UFO udowadniają, że siły powietrzne wielu krajów niemal regularnie natrafiały na nie zidentyfikowane „błyski".

23 października 1953 roku myśliwiec przechwytujący F-89 ścigał

UFO nad Jeziorem Górnym. Dwa jasne punkty na ekranie radaru wydawały się połączyć w jeden, który następnie zniknął. Zarówno odrzutowiec, jak

jego pilot, porucznik Felix Moncla, zaginęli bez śladu.

Wydarzenie w Roswell (które to miejsce jest dla ufologów szczególnie istotne) wciąż pozostaje najważ-

niejszym nie wyjaśnionym zjawiskiem, ponieważ zostało okryte całkowitą tajemnicą. O wydarzeniu tym nic nie wspominają akta Project Blue Book, odnotowujące wszystkie doniesienia o obiektach UFO, które przeszły przez biuro sił powietrznych. Ogólnie biorąc, Raport Warrena na temat fenomenu UFO - zasłona mająca pozory dochodzenia wyjaśniającego - czyli Błękitna Księga, nadaje Roswell dodatkowej rangi właśnie przez jego pominięcie.

Niektórzy mogą uważać ten wypadek za wręcz niemożliwy, argumentując, że obiekt latający przystosowany do odbywania międzygwiezdnych misji nie miał prawa w tak prosty sposób się rozbić. W tym momencie warto wspomnieć o domniemanym komitecie Majestic 12 (MJ-12), w którego istnienie wierzy wielu ufologów.

To ciało, mające się składać z wybitnych fachowców wojskowych, wywiadu i członków akademii naukowych, najprawdopodobniej zostało powołane do ukrycia najważniejszego wydarzenia w historii ludzkości - kontaktu z istotami pozaziemskimi. Nawet jeśli były one martwe.

Podobno według jednego z dokumentów MJ-12 przedstawionego do wglądu jedynie Dwightowi Eisenhowerowi, kiedy ów był jeszcze tylko prezydentem-ele-ktem, trzy kilometry od miejsca wypadku odkryto cztery „pozaziemskie istoty biologiczne", inaczej EBS.

Niektóre źródła podają, że dwie z nich były jeszcze żywe, a jedna podjęła nawet walkę. Obecnie ich zamrożone mumie mają być przechowywane najprawdopodobniej w Los Alamos, w stanie Nowy Meksyk.

Jedyny, ale i podstawowy szkopuł dotyczący dokumentu Majestic 12 -

jedynego istotnego świadectwa o tym, że grono uczonych MJ-12

rzeczywiście się spotkało - wynika z faktu, że mogła to być tylko sprytna mistyfikacja. Do tej pory bowiem żadna z wiarygodnych osób nie poświadczyła, że spotkanie takie kiedykolwiek się odbyło.

W oficjalnej prasie istnieje tylko jedna wzmianka o MJ-12; w analizie z listopada 1980 roku sił powietrz-101

nych na temat filmu z UFO, która dokładnie poświadcza, że rząd jest

„wciąż zainteresowany" zjawiskami UFO, które obserwuje „z podwójnej zasłony".

Dokument ten, podobnie jak oryginalny akt MJ-12, w pewnym sensie wydaje się zbyt oczywisty, by mógł być prawdziwy - stanowiąc namacalny dowód, którego brakuje w każdej teorii spiskowej.

Przypominałoby to sytuację, w której badacz, przekopujący dokumenty CIA dotyczące zabójstwa prezydenta Kennedy'ego, natyka się na notatkę mówiącą: „Zabójstwo prezydenta zaplanowane na 22.11.63 r. w Dallas. Po konsultacji z FBI szef zaleca otwarcie ognia z trzech punktów". Coś, co wprawiłoby nas zapewne w osłupienie.

Bez względu na to, czy istnienie MJ-12 jest prawdą, czy jedynie legendą, samo przypuszczenie, że taki komitet mógłby istnieć, zrodziło całą serię spekulacji, zwłaszcza dotyczących jego dalszego funkcjonowania i osłaniania tajemnicą przypadków związanych z UFO, dotyczących domniemanego uprowadzenia przez „obcych", czy też rozbicia się nie zidentyfikowanych obiektów.

W odróżnieniu od wątpliwości dotyczących istnienia MJ-12, obrady zespołu Robertsona były bez wątpienia faktem. To powołane w styczniu 1953 roku przez Centralną Agencję Wywiadowczą ciało złożone z wybitnych naukowców opracowało raport, który aż do roku 1975 pozostawał częściowo utajniony.

Spotkanie pod przewodnictwem dr. H. P. Robertsona, odbyło się w największej tajemnicy w siedzibie Pentagonu i trwało pięć dni.

Zajmowano się przypadkami UFO, które wydawały się najbardziej wiarygodne — niemniej podważono wszystkie.

Zaprzeczenie istnienia UFO, jak to zrobił zespół Robertsona, nie może służyć jako przyczynek do doszukiwania się jakiegoś kamuflażu, chociaż zalecił, by rząd podjął starania zmierzające do wyciszenia raportów donoszących o UFO, a nawet propagowanie kampanii przeciwstawiającej się wierze w UFO.

„Edukacja ta powinna być realizowana przez środki masowego przekazu jak telewizja, filmy i artykuły popularnonaukowe" - głosi zalecenie. W dalszej części sugerowane jest posłużenie się specjalistami od psychologii tłumu. Wysunięto także postulat, by zainteresować studio Walta Disneya produkcją filmów rysunkowych przenoszących UFO w krainę baśni.

Następnie raport zespołu Robertsona sugeruje, by poddać inwigilacji środowiska entuzjastów UFO, z powodu „niebezpieczeństwa użycia tych grup do celów wywrotowych".

Żadna z tez wyrażonych przez konspiracyjną w swym charakterze grupę Robertsona nie stwarzała sugestii, by rząd miał cokolwiek do ukrycia, na przykład zamrożone mumie istot pozaziemskich. Z drugiej strony, nieprzyjemne wrażenie rodzi sposób, w jaki instytucje reagują na zjawiska, które same oceniają, słowami raportu, za „zagrożenie dla prawidłowego funkcjonowania organów porządkowych i ciał

politycznych".

ŹRÓDŁA

George C. Andrews. Extra-Terrestial Friends and Foes. Lilbrun, GA: IllumiNet Press, 1993.

Timothy Good. Above Top Secret: The Worldwide UFO Cover-up.

Nowy Jork: Quill William Morrow, 1988.

Timothy Good. Aliem Contact: Top Secret UFO Files Revealed.

Nowy Jork: William Morrow, 1993.

Capt. Devin D. Randle. The UFO Casebook. Nowy Jork: Warner Books, 1989.

11. Skandal Apollo

Dwudziestego lipca 1969 roku Neil Armstrong postawił lewą stopę na powierzchni Księżyca, stając się pierwszym człowiekiem, który odbył

spacer po Srebrnym

103

Globie. Niestety, cała waga tego przełomowego momentu w historii może być zmącona jednym niewinnym faktem: jeżeli wierzyć Billowi Kaysingowi, dociekliwemu autorowi, Armstrong dokonał tego przełomowego kroku w historii ludzkości nie 380 tysięcy kilometrów nad Ziemią, na jałowym Morzu Spokoju, ale zaledwie 150 kilometrów na północ od pełnego życia Las Vegas, na okrytym największą tajemnicą wielkim planie filmowym. Wedle Kaysinga świat został

perfidnie oszukany wierząc, że Armstrong i Edwin E. Aldrin, Jr podskakiwali na prawdziwej powierzchni księżycowej, kiedy w rzeczywistości tych dwóch „aktorów" odgrywało scenę w ponurej produkcji rządowej, kwalifikującej się do miana mistyfikacji wszech czasów.

Zapewne powiecie Państwo, że ta myśl to czyste szaleństwo. Niestety, nie dla licznych sceptyków, oglądających z niedowierzaniem człowieka spacerującego po Księżycu. Również nie dla Kaysinga, który opublikował swoją teorię na ten temat w rozprawie We Never Went to the Moon (Nigdy nie dotarliśmy na Księżyc). Ten publicysta zajmujący się niegdyś problematyką techniczną dla Rockwell International (kompanii, która brała udział w finansowaniu „misji księżycowej") wcale nie twierdzi, że swoje przekonanie opiera na znajomości konkretnych oszustw ze strony NASA. Jego przekonanie wypływa jedynie z przesłanek opartych na wiedzy ogólnej, analizie

„dowodów" fotograficznych i wciąż prześladującej go myśli, że

„agendy rządowe są specjalistami w manipulowaniu opinią publiczną".

Chociaż Kaysing na poparcie swej tezy nie zebrał poważnych dowodów, to braki te kompensuje ogromnym entuzjazmem, z jakim lansuje swoje przekonanie. „Amerykański szwindel za 30 miliardów dolarów!" - woła, odgrywając dalej swoją rolę w czasie kolejnych, w jego odczuciu symulowanych lądowań na Księżycu, głosząc tezy o

„dobrze spreparowanych fałszywych fo-

104

tografiach" sztucznych skał księżycowych i „zaprogramowanych astronautach".

Przede wszystkim Kaysing wyraża zdziwienie, dlaczego NASA i sami astronauci unikają jak ognia pewnych pytań:

•

Na fotografiach księżycowego nieba nie widać żadnych gwiazd, a sami astronauci „unikają wyjaśnienia tego problemu". Nasz autor pisze, że przy braku atmosfery, stanowiącej zawsze pewną zasłonę, gwiezdny pejzaż powinien być „najwspanialszym, jaki może podziwiać człowiek". Sugeruje jednocześnie, że dekoratorzy pracujący na zlecenie NASA zapewne zdawali sobie sprawę, że nie będą w stanie oszukać wprawnego oka zawodowych astronomów, tworząc sztuczne gwiazdozbiory.

•

Jeżeli powierzchnia Księżyca była wystarczająco zapylona, by odcisnąć ślady butów astronautów, to dlaczego silnik rakietowy lądownika księżycowego nie utworzył wyraźnego krateru? Dlaczego też na wspornikach lądownika nie ma śladów pyłu księżycowego?

•

Jeżeli po pierwszej misji Apolla stwierdzono steryl-ność Księżyca, dlaczego uczestników kolejnych misji księżycowych poddawano tak długiej kwarantannie? Kaysing zakłada, że musieli oni spędzić nieco czasu w izolacji, by po pierwsze: pozbyć się poczucia winy; po drugie: przestudiować i przyswoić dane dotyczące Księżyca; po trzecie: nauczyć się odpowiedzi na trudne pytania.

•

Dlaczego tak wielu astronautów zostało następnie dyrektorami wielkich korporacji?

Kaysing udziela odpowiedzi na większość z przytoczonych tu pytań, w tym na najbardziej oczywiste z nich - dlaczego NASA zadała sobie tyle trudu, by dokonać fałszywych ujęć z lądowania Apolla? Wydaje się, że agencja kosmiczna rozpoczęła prace nad realizacją tego wyszukanego fortelu, kiedy po latach przykręcania śruby w nakładach na badania technologiczne oraz w wyni-105

ku biurokratycznych przeszkód zorientowano się, że do końca lat sześćdziesiątych naszego wieku nie będzie możliwe wysłanie człowieka na Księżyc.

W celu uniknięcia kłopotów na międzynarodową skalę, twierdzi Kaysing, NASA i tajny aparat Agencji Wywiadu Wojskowego opracowały otoczony największą tajemnicą plan, który Kaysing nazywa Apollo Simula-tion Project (ASP) - Projekt Symulacji Apollo.

Za tajną bazę do swoich działań zespół ASP wybrał miejsce w stanie Newada w pobliżu terenów używanych przez Komisję Energii Atomowej do przeprowadzania testów nuklearnych - co miało ogromny walor odstraszający dla przypadkowych ciekawskich.

Oczywistą zaletą położenia tajnej bazy ASP miało być jej oddalenie zaledwie o godzinę jazdy samochodem od „otwartych dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu, ogólnie dostępnych ponad trzydziestu kasyn gry". Według Kaysinga, który przedstawia całą sprawę z punktu widzenia wszechwiedzącego narratora, ASP w naturalny sposób nawiązało kontakt z mafią z Las Vegas, która kierowana pobudkami „patriotycznymi", zapewniła programowi kosmicznemu udział swoich „ekspertów", zwłaszcza pracujących, używając przenośni, w departamencie „śmiertelnego lądowania".

W położonej na pustyni reducie, ASP wykopało podziemną grotę, wyposażając ją w „kompleksową scenografię księżycową". (Niektóre szeptane wersje umiejscawiają to tajne miejsce w stanie Arizona lub

w Nowym Meksyku.) Zdaniem Kaysinga sam Stanley Kubrick brał

udział w tym spisku, używając swego filmu 2001: Odyseja kosmiczna do dopracowania w studiach Hollywood efektów specjalnych potrzebnych następnie NASA do przeprowadzenia mistyfikacji przed naiwnymi widzami.

Wedle Kaysinga plan działania ASP przebiegał następująco:

• Bezzałogowa rakieta Saturn V wystartowała z przylądka na Florydzie — na oczach licznie zgromadzonej 106

publiczności, w ten sposób nadając misji Apollo posmak autentyczności. Jednakże będąc już poza zasięgiem wzroku rakieta-widmo spadła w rejonie Morza Arktycz-nego.

•

„Astronauci" zostali następnie przewiezieni samolotem do kompleksu ASP w Newadzie, gdzie mogli się cieszyć „każdym przejawem skrajnego luksusu, w tym kilkoma najzgrabniejszymi tancerkami z Las Vegas, które później zostały «usunięte» dla zachowania tajemnicy". Armstrong i jego towarzysz zamiast zdobywać ostrogi, jakbyśmy to nazwali, członków „klubu księżycowego", swobodnie „przechadzali się i zabawiali przy stołach do gry", korzystając z usług „otwartego non stop bufetu w hotelu Dunes".

•

Kiedy kurtyna wreszcie podnosi się, zespół od efektów specjalnych, kamerzyści telewizyjni i „reżyser ASP od spacerów księżycowych" tworzą niemal perfekcyjne widowisko, podczas gdy Armstrong recytuje swój słynny tekst „jeden mały krok..." Każdy szczegół tego udźwiękowionego przedstawienia wideo jest szczegółowo dopracowany, łącznie z rozmowami „gwiezdnymi", dowcipami i sprawiającymi wrażenie naturalnych wypowiedziami astronautów. Do tego czasu NASA w specjalnych piecach najnowszej generacji przygotowywała sztuczne „księżycowe skały", rzekomo namacalne dowody podróży.

•

Dla odegrania domniemanego, triumfalnego powrotu na Ziemię astronauci zostają przewiezieni z ich siedziby pod Las Vegas do tajnej bazy wojskowej położonej na południe od Hawajów (Kaysing uprzejmie podaje, że chodzi tu o archipelag Tauramoto). Tam zostają umieszczeni w środku kapsuły lądującej, która następnie zostaje spuszczona z transportowca C5-A nad wzburzonymi wodami oceanu.

Pogląd Kaysinga ma swoich męczenników, i to cały szereg. Należy do nich między innymi Tom Baron, technik zajmujący się kosmonautyką, składający zażalenie przed Kongresem na temat niebezpieczeństw, jakie

mogą przynieść cięcia finansowe w programie Apollo - który zginął w wypadku kolejowym „zaledwie cztery dni po swych zeznaniach".

Dotyczy to również trzech astronautów - w tym Gusa Grissoma -

który zginął podczas startu rakiety w 1967 roku, kiedy w wyniku

„nieszczęśliwego wypadku" cała kapsuła wraz z załogą spłonęła.

Grissom publicznie narzekał na problemy pojawiające się z zagwarantowaniem odpowiedniego bezpieczeństwa przez program Apollo, co skłoniło Kaysinga do wysunięcia wniosku, że zapewne DI A zaaranżowała „wypadek", by uciszyć gadułę i zrobić odpowiednie wrażenie na innych mówiących zbyt dużo.

Podobnie jak w wielu teoriach spiskowych i w tym wypadku miało dojść do prania mózgów. Kaysing sugeruje, że astronauci mogli zostać poddani najwymyślniejszym technikom kontroli pracy mózgu, co zapewniło ich posłuszne uczestnictwo w całej mistyfikacji. Autor sugeruje, że fakt ten mógł wyjaśniać późniejszą ich skłonność do samotności oraz, w pewnych przypadkach, „poważne problemy psychiczne".

„Co tak naprawdę próbują oni ukryć?" - zastanawia się Kaysing. „Neil Armstrong nie chce rozmawiać ze mną przez telefon" - żali się nasz autor. Buzz Aldrin ostentacyjnie odmówił wzięcia udziału w talk show razem z niesfornym krytykiem programu Apollo. Jednakże mimo pozornej ich niedostępności, kosmiczni dżokeje w rzeczywistości mogą być szczególnie zainteresowani poczynaniami kalifornijskiego badacza: Kaysing zaznacza, że agenci Armstronga bacznie przyglądają się postępującym próbom odsłonięcia kulis skandalu Apollo.

Niestety, tajemnice NASA pozostają równie nieosiągalne, jak wiele zakamarków Las Vegas. Jeżeli nie nastąpią nieprzewidziane zdarzenia, dla Kaysinga jedyna droga prowadząca do odkrycia drzemiącej zagadki to zapewne szantaż wobec byłych astronautów.

Niczym Dawid rzucający drobnymi kamieniami w okrytego zbroją Goliata, nasz nieustraszony badacz wystąpił ze 108

śmiałym wyzwaniem: „Zgłaszam gotowość podjęcia debaty z każdym, a nawet ze wszystkimi astronautami naraz, o każdej godzinie w transmitowanym na żywo programie telewizji, lub też osobiście w dowolnie wybranym miejscu".

Jak dotąd „kosmonauci" uchylali się jednak od zrobienia tego

„jednego małego kroku".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA:

Bill Kaysing. We Never Went to the Moon: America's Thirty Billion Dollar Swindle! Soąuel, CA: Holy Terra Books, 1991.

12. Spodkowa wojna błyskawiczna

Chociaż naziści przegrali II wojnę światową, to jednak nie można im odmówić olbrzymiego postępu myśli technicznej i technologii. Można tu z pewną przekorą powiedzieć, że szaleni naukowcy Trzeciej Rzeszy, nie mający sobie równych w złowróżbnych wynalazkach, byli skłonni podjąć się wykonania zadań dotyczących praktycznie wszystkiego - jeśli tylko ów projekt był etycznie podejrzany lub też szalony pod względem ambicjonalnym, i to na wagnerowską skalę.

Nic więc dziwnego, że jeżeli dochodzi do dyskusji o latających spodkach, wielu spiskologów uważa nazistów za co najmniej zamieszanych w sprawę.

Do spekulacji prowadzących w tym kierunku skłania przynajmniej jeden poważny powód. Otóż pracujący w czasie wojny dla Hitlera dr Strangeloves z pewnością zajmował się projektowaniem kształtów dla przyszłych latających spodków. Choć kwestia, czy prace te zakończyły się sukcesem, jest już sprawą dyskusyjną. Niemniej jednak pod koniec 1944 roku agencja informacyjna Reutera donosiła o posiadaniu przez Niemców „taj-109

nej" broni do obrony powietrznej, która przypominała „szklane bombki choinkowe". Miały one być zawieszone nad niemieckim terytorium pojedynczo lub w grupach. Te twory o srebrzystych powierzchniach wydawały się ponadto „przezroczyste".

Alianccy piloci donosili o częstych spotkaniach z tak zwanymi myśliwcami Foo (od francuskiego słowa feu oznaczającego ogień), które spotykano nie tylko na terenie Europy, ale także w Turcji i Japonii. Wedle raportów pilotów te tajemnicze obiekty miały niepokojący zwyczaj podążania za eskadrami samolotów, niekiedy prześcigając najszybsze konwencjonalne maszyny. Alianckie służby wywiadowcze czyniły starania, by dotrzeć do informacji na temat przypuszczalnej nowej tajnej broni niemieckiej, którą uważano za odmianę „latającego na dużych wysokościach, poruszającego się ze znaczną prędkością balonu". Po wojnie skrupulatnie przeszukano niemieckie dokumenty, ale nie natrafiono na żaden ślad prowadzący w tym kierunku, dlatego też ostatecznie wykluczono możliwość budowania przez Niemców latających spodków, ognistych kul czy też manewrowalnych balonów. W związku z tym przynajmniej chwilowo zapomniano o dziwnym, nie wyjaśnionym zjawisku.

Dopiero teoretycy ufologii, zajmujący się problematyką skoncentrowaną wokół nazistów, roztoczyli rozległą (choć wysoce spekulatywną) panoramę powojennej historii niemieckich osiągnięć w wiedzy o latających spodkach. Jeżeli potraktujemy poważnie te wywody, to myśliwce Foo musiały być zaledwie egzemplarzami próbnymi w marszu niemieckiej saucerologii (dyscypliny zajmującej się latającymi spodkami - od angielskiego saucer, czyli spodek). W

obszernym dziele, zajmującym się podbojem świata przez spokrewnione z nazistami istoty, w których żyłach płynęła błękitna krew, zatytułowanym Casebook on Alternative 3, zwolennik teorii spiskowej Jim Keith relacjonuje odkrycia niejakiego Renato Yesco.

Według

opinii Vesco, autora książki pod tytułem Incercept - But Don't Shoot (Przechwycony - nie strzelać), myśliwce Foo miały być poprzednikami tak zwanych Kugelblitz, czyli myśliwców o kształcie ognistych kul. Keith stwierdza, że masywne Kugelblitz odpowiadały swym wyglądem popularnym wyobrażeniom o latających spodkach.

Chociaż wydaje się mało prawdopodobne, by te gigantyczne obiekty latające wyszły poza stadium projektowe, jeśli w ogóle prace konstruktorów dotarły do tego etapu, Keith relacjonuje różne doniesienia z początku 1945 roku

starcie spodków z aerodromów w stolicy Czech, Pradze, 1

znajdującym się jeszcze w rękach Niemców Wrocławiu.

W dalszym ciągu swej opowieści Keith zaświadcza o istnieniu tajnego dokumentu wojskowego, zapewne ujawnionego przez informatora, który opisuje raczej jednostronną walkę pomiędzy alianckimi samolotami a tajemniczym pojazdem: „Dziwna latająca maszyna półkolista, czy też o zarysie kolistym, zaatakowała ich z niesłychaną szybkością, niszcząc je w ciągu zaledwie kilku sekund bez użycia jakiejkolwiek widocznej broni". Jedyny problem z podobnymi dziwnymi i anonimowymi dokumentami jest taki, że wydają się one apokryficzne.

Jeśli damy wiarę doniesieniom o maszynach posiadających tak niezwykłe możliwości, zdziwi nas niezmiernie, że potężne Kugelblitz nie były w stanie odwrócić biegu wojny i uchronić Trzeciej Rzeszy przed upadkiem. Pozostaje jedynie nurtujące pytanie, czy nazistowska saucerologia załamała się i umarła razem z Fiih-rerem, czy jedynie znalazła sobie nowego protektora, tak jak wielu niemieckich specjalistów do spraw technologii rakietowej i międzynarodowego wywiadu? Istnieje podejrzenie, że bardziej prawdopodobna jest ta druga wersja. Według notatki CIA z 1955 roku wyszperanej przez poszukiwacza UFO Timothy Cooda, John Frost, inżynier zajmujący się lotami kosmicznymi, zaprojektował pojazd latający w kształcie dysku dla amerykańskich sił zbrojnych, jak mówi pogłoska,

otrzymał oryginalny zamysł tej latającej machiny od grupy niemieckich uczonych wkrótce po zakończeniu II wojny światowej.

Według Jima Keitha, niemiecki uczony Rudolph Schriever utrzymywał, że „różne doniesienia o UFO od czasu zakończenia wojny pokazują, iż projekty Kugelblitz zostały rozwinięte i wprowadzone do produkcji".

Keith wyjawia również, że niemiecki uczony Miethe, zajmujący się spodkami, po wojnie przeniósł się do Stanów Zjednoczonych i pracował wspólnie z Johnem Frostem nad eksperymentalnym spodkiem, słynnym latającym dyskiem Avro. Wyprodukowany przez A.V. Roe Ltd. of Canada, z połączonych funduszy Armii Stanów Zjednoczonych i Sił Powietrznych w latach pięćdziesiątych, Avro VZ-9 był operacyjnym latającym spodkiem napędzanym silnikiem odrzutowym z całą serią dysz pozwalających na sterowanie pojazdem w każdym kierunku - z wyjątkiem, na nieszczęście, kierunku wznoszącego. Pentagon tradycyjnie już przechwalał się tym nowym osiągnięciem, niemniej jednak film nakręcony podczas lotów próbnych ukazuje dysk Avro wahający się niezdarnie zaledwie kilkadziesiąt centymetrów nad płytą lotniska. W 1954 roku kanadyjskie Ministerstwo Obrony (jako jeden z udziałowców w tym przedsięwzięciu) zaniechało kontynuowania prac nad tym projektem, stwierdzając, że nie ma on praktycznego zastosowania.

Czy oznaczało to, że ambitny amerykański program budowy latającego spodka poniósł fiasko? Nie potwierdzają tego spostrzeżenia jednego ze świadków, który podawał, iż w latach sześćdziesiątych oglądał dyski zbliżone do prototypu Avro w hangarach baz wojskowych w Kalifornii i Ohio. Jeżeli mielibyśmy zawierzyć zeznaniom „naocznego świadka", model późniejszy mógł osiągać ponaddźwiękowe prędkości i wzbijać się na wysoki pułap.

W 1950 roku magazyn „U.S. News and World Report" przyłączył się do modnego wówczas nurtu doty-

czącego UFO, zjednując sobie czytelników zaskakującym artykułem: Latające Spodki - prawdziwa historia: Stany Zjednoczone wybudowały pierwszy z nich w roku 1942. Określając nowy statek powietrzny „rewolucyjną" hybrydą helikoptera i samolotu odrzutowego, „U.S. News" ze znajomością rzeczy informowało swych czytelników, że „statki powietrzne" i „Marsjanie" nie mają nic wspólnego z tajemniczymi zjawami. Każdy, kto natknął się na UFO, w rzeczywistości był świadkiem tajnych lotów próbnych jednostek sił

zbrojnych.

Jeżeli „U.S. News" aspirowało do głosu myślącego trzeźwo autorytetu podczas szaleństwa związanego z UFO w latach pięćdziesiątych, to z drugiej strony, jak twierdzą niektórzy teoretycy, sam rząd mógł

popierać fantastyczne teorie o gwiezdnym rodowodzie UFO.

Utrzymują oni, że przez dziesięciolecia rząd dyskretnie zachęcał do spekulacji na temat pozaziemskiego pochodzenia UFO, oraz zielonych ludków, jako przykrywki do prowadzonych badań nad jak najbardziej ziemską technologią budowy spodków.

Inni ufolodzy preferują zgoła odmienny pogląd. Sugerują oni, że rząd, daleki od zamiarów nęcenia opinii publicznej mitami dotyczącymi istot pozaziemskich, świadomie drukował artykuły podobne do tego z

„U.S. News", by odwrócić uwagę od prawdziwego źródła techniki spodków: rzeczywistych istot pozaziemskich.

„IdeaPs UFO Magazine" podawał prawdziwą relację, cytując podpułkownika George'a Edwardsa (będącego w stanie spoczynku), pracującego ponoć nad realizacją projektu Avro VZ-9: „Chociaż nie stwierdziliśmy tego naocznie, wiedzieliśmy, że siły powietrzne w największym sekrecie testowały prawdziwy obcy obiekt latający. VZ-9 miało być jedynie przykrywką, którą Pentagon mógł się posłużyć, w razie gdyby kiedykolwiek ludzie donosili o obserwowaniu latającego spodka".

Niektórzy twierdzą, że rząd amerykański wszedł w posiadanie kilku obcych spodków, co zostało zapoczą-

tkowane domniemanym twardym lądowaniem na pustyni w okolicach Roswell, w stanie Nowy Meksyk. Według tych teoretyków do końca lat osiemdziesiątych „pozaziemskie istoty biologiczne" (EBE) nieopatrznie pozostawiły (lub też ofiarowały) aż dziewięć spodków, które obecnie znajdują się pod pieczą rządu amerykańskiego. W

dalszym ciągu, konkludują zwolennicy tego twierdzenia, pomimo starań najlepszych amerykańskich uczonych, dążących do odtworzenia technologii stosowanych przy budowie pozaziemskich pojazdów, nie osiągnięto zadowalającego rezultatu. (Niektórzy fantazjujący poszukiwacze sensacji twierdzą jednak, że już w latach pięćdziesiątych rząd posiadł sekrety budowy tych spodków i zastosował nie znaną dotąd futurystyczną technologię do wysłania amerykańskich kosmonautów na Księżyc.)

Obecnie przeznaczone do testowania UFO mają znajdować się w tajnej bazie wojskowej na pustyni, na północ od Las Vegas, nazywanej Dreamland, Area 51 lub też S-4. W ciągu dnia nad bazą rozpościerają

swe skrzydła samoloty Stealth, natomiast w nocy zaczynają ponoć unosić się w powietrze pulsujące spodki, wykonując przedziwne ewolucje, gdy piloci ziemscy próbują swych sił u boku jak najbardziej prawdziwych pozaziemskich „spodkonautów".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Flying Saucers - The Real Story: U.S. Built First One in 1942. „U.S.

News & World Report", 7 kwietnia 1950.

Timothy Good. A hen Contact: Top Secret UFO Files Revealed. Jim New Keith. Casebook on Alternative 3: UFOs, Secret Societies and World Control. Lolburn, GA: IllumiNet Press, 1994. Vladimir Terziski. Secret Research on Antigravity and Space Flight Organized by the German Secret Societies During World War II. Steam-shovel Press, no. 9 (koniec 1993).

Jacques and Janinę Vallee. Challenge to Science: The UFO: Enigma.

Nowy Jork: Ballantine, 1975

13. Co spotkało Boginię Seksu

Główna kwestia, która pojawia się przy rozpatrywaniu historii śmierci Marilyn Monroe, wcale nie dotyczy tego, czy została ona zamordowana, i ewentualnie przez kogo, ale w jaki sposób ludzie, którzy kierowali Stanami Zjednoczonymi w 1962 roku, w ogóle znajdowali czas na wypełnianie obowiązków. Byli przecież tak zajęci romansowaniem z Marilyn Monroe.

Trzeba tu bowiem wyznać, że bracia Kennedy, John i Robert, a więc prezydent i prokurator generalny, albo spędzali z nią długie godziny w łóżku, albo toczyli jeszcze dłuższe rozmowy telefoniczne na tematy intymne. Również „Momo" Giancana - ojciec chicagowskiej mafii, który ponoć, zdaniem wielu osób, naprawdę rządził krajem - był także zainteresowany symbolem seksu, przy okazji instalując podsłuch w jej domu - podobnie jak inny szef podziemia, a zarazem wróg Kennedych, Jimmy Hoffa. Giancana widział w Marilyn Monroe środek pozwalający zdobyć władzę nad klanem Kenne-dych. On zresztą też był z nią w łóżku. Kiedyś „Momo" wyznał ponoć innemu gangsterowi, że „ma haka" na Kennedy ch, ponieważ jeden z nich był

ostatnim mężczyzną, który odbył intymne spotkanie z Marilyn przed jej śmiercią.

Nieprzypadkowo więc J. Edgar Hoover spędzał długie godziny przesłuchując nagrania pochodzące z ukry-117

tych w jej mieszkaniu mikrofonów — a także innych domów i hoteli, w których się zatrzymywała.

Zdaniem prywatnego detektywa z Hollywood Freda Otasha, który nagrał i przechował taśmy z podsłuchanymi rozmowami Marilyn, są to „zapewne najbardziej fascynujące nagrania podsłuchu, jakie wykonano - może jedynie z wyjątkiem afery Watergate".

No cóż, na taśmach dotyczących Watergate nie ma nic prócz przeklinania starych prawników, zaciągania się papierosowym dymem i gderania o polityce. Taśmy Marilyn - natomiast - to długie godziny podsłuchu największej gwiazdy filmowej w historii Ameryki, zabawiającej się nieprzyzwoicie z najwspanialszym

amerykańskim prezydentem. Są tam podobno także i inne intrygujące epizody. Milo Speriglio, który przez trzydzieści lat zajmował się sprawą śmierci Marilyn, twierdził, że nagrana została również sama chwila zabójstwa Marilyn.

Wśród badaczy, pisarzy i agentów, którzy coś o tych nagraniach wiedzą, a nawet twierdzą, że przesłuchiwali część z nich, lub też zajmowali się sprawą śmierci Marilyn - panują najprzeróżniejsze opinie o tym, w jaki sposób 4 kwietnia 1962 roku do dawnej Normy Jean Baker, znanej jako Marilyn Monroe, wówczas mającej trzydzieści sześć lat, przyszło jej przeznaczenie. I z czyich rąk. W

większości hipotez powtarza się przypuszczenie, że byli w to zamieszani bracia Kennedy oraz Giancana, razem ze wspomagającym całą operację Hoo-verem.

Jako tych, którzy wydali polecenie dokonania zabójstwa, Speriglio wymienia samego Johna Kennedy'ego, jego ojca, będącego absolutnym zerem moralnym Josepha (który w tym czasie w wyniku przebytego udaru miał ograniczone możliwości fizyczne i psychiczne co, jak widać, nie utrudniało mu podejmowania iście diabelskich planów). Marilyn stawała się zbyt nieznośna. Jej ciągłe telefony do Białego Domu i Departamentu Spra-118

wiedliwości stały się tajemnicą poliszynela w kręgach rządowych Waszyngtonu. Poza tym istniało poważne zagrożenie, że Marilyn wystąpi na konferencji prasowej, gdzie zechce publicznie przyznać się do swej zażyłości z braćmi Kennedy. Taką możliwość Marilyn poważnie rozważała. Ta bliska zażyłość nie tylko zagrażała pozycji dynastii Kennedych, ale także wręcz bezpieczeństwu narodowemu.

Należy tu bowiem dodać, że chcąc w jakiś przedziwny sposób zaimponować swej kochance, Robert zdradził jej pewne tajne informacje, dotyczące połączonej akcji mafii i CIA, mającej na celu zlikwidowanie Castro. Tak głosi przynajmniej jedna z plotek.

Przypomnijmy, że według oficjalnej wersji Marilyn popełniła samobójstwo, zażywając nadmierną dawkę środków nasennych.

Nawet jednak Anthony Summers, autor książki God-dess: the Secret Lives of Marilyn Monroe (w wersji polskiej zatytułowanej Bogini: tajemnice życia i śmierci Marilyn Monroe), który skłania się ku wersji, że Marilyn nieumyślnie popełniła samobójstwo, i w swych spekulacjach wersję o popełnieniu morderstwa uważa jedynie za

„możliwą", wydaje się ponadto podzielać przekonanie, że owej feralnej nocy Robert Kennedy był jednak w bungalowie Marilyn. Być może, powodowany wyrzutami sumienia, prokurator generalny odwiedził ją tej nocy w „misji łaski", jak spekuluje Summers.

Marilyn była ponoć tego dnia niezmiernie zdenerwowana, próbując dodzwonić się niemal do wszystkich znajomych, zdesperowana w obliczu zerwania znajomości z braćmi Kennedy. Oni natomiast, jak zwykle stawiający swą karierę na pierwszym planie, jedynie wykorzystali ją, by następnie porzucić. Jak to wynika z większości wersji tej historii, Robert zainicjował znajomość z Marilyn głównie po to, by chronić swego brata, prezydenta. John widział w Marilyn jedynie kolejną kochankę, ona natomiast widziała w nim kandydata na męża. Łudziła się, że zostanie Pierwszą Damą, a kiedy John zaczął

objawiać znużenie tym związkiem, chciała go mimo wszystko zatrzymać. W tym właśnie momencie na scenę wkroczył Robert, który popełnił tragiczny błąd, zakochując się w niej.

Niektórzy biografowie Marilyn pisali, że w 1962 roku była podobno w ciąży, choć nie wiadomo, czy było to dziecko Johna, czy Roberta.

Według dokonanej przez Summersa rekonstrukcji wydarzeń Robert Kennedy mógł owej tragicznej nocy przyjechać do Marilyn, gdy ona była już pod wpływem śmiertelnej dawki leków, choć jeszcze żyła.

Wezwał więc osobiście lub za pośrednictwem innej osoby karetkę, która zabrała Marilyn do szpitala. Niestety, zanim ją tam dowieziono, zmarła. Kiedy młodszy z braci Kennedy ch zorientował się, że Monroe nie żyje, powziął błyskawiczną decyzję, aby całą sprawę zatuszować. Niezależnie od tego, w jaki sposób zmarła, dla przyszłego pretendenta do fotela prezydenckiego nie byłoby wskazane, by ujrzano go w szpitalu obok wózka z ciałem Marilyn, będącej dla całej Ameryki symbolem seksu.

Zdaniem Summersa karetka zawróciła do bungalowu Marilyn. Ciało gwiazdy, będącej przedmiotem pożądania milionów mężczyzn, złożono w łóżku, pokój uprzątnięto, a następnie zatelefonowano do powiernika Marilyn, psychiatry Roberta Greensona. To właśnie Green-son oficjalnie znalazł zmarłą Marilyn Monroe. Do tego czasu Robert był już prawdopodobnie daleko poza granicami Los Angeles, choć i to nie jest całkiem pewne. Oficer policji, niejaki Lynn Franklin, twierdzi, że nieco po północy, kilka godzin po śmierci Marilyn, zatrzymał samochód kierowany przez Petera Lawforda, na którego tylnym siedzeniu znajdował się właśnie Kennedy.

W odróżnieniu od innych autorów zajmujących się tą sprawą, Summers przyznaje, że przedstawiony przez niego scenariusz może być w pewnych szczegółach nieprawdziwy, ale jest to maksymalnie wierna rekonstrukcja, oparta na ówcześnie dostępnych informacjach.

Stwierdza również, że najprawdopodobniej „nie doszło tej nocy do popełnienia zbrodniczego czynu". W oczach Summersa śmierć Marilyn Monroe była jednak pułapką na Roberta Kennedy'ego: przebywał w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie, z niewłaściwą, i to martwą, kobietą. Mimo to Robert wyszedł z tej opresji cało, w przeciwieństwie do swego młodszego brata, Teda, który nieco później w podobnych okolicznościach dał się złapać.

W uaktualnionym wydaniu swojej książki Summers przeprowadza wywiad z pewnym człowiekiem, który twierdzi, że przesłuchiwał

taśmy z ostatniej nocy Marilyn. Taśmy te wydają się przeredagowane.

Zarejestrowane są na nich głosy Roberta Kennedy'ego, Petera Lawforda i Marilyn Monroe: dwoje eks-kochanków krzyczy na siebie, podczas gdy Lawford próbuje ich uspokajać. W pewnym momencie, wedle informatora Summersa, dają się słyszeć odgłosy walki. Bobby mógł wtedy pchnąć Marilyn na łóżko.

Według Summersa po zapoznaniu się z taśmami można odnieść wrażenie, że Marilyn była już martwa, gdy Robert po raz drugi tego wieczora opuszczał jej dom. Później słychać jeszcze dzwonek telefonu. Ktoś w domu Marilyn podniósł słuchawkę, ale nic nie powiedział. Gdy znaleziono ciało Marilyn, trzymała w dłoni słuchawkę. Zdaniem Summersa, najprawdopodobniej słuchawkę tę włożono w rękę Marilyn

później, co miało stworzyć pozory, że Marilyn wciąż jeszcze żyła, chociaż w tym momencie była już zbyt słaba, by cokolwiek odpowiedzieć.

Teoretycy spiskowi oraz ci, którzy badali ciało od strony medycznej, zastanawiali się, dlaczego w żołądku Marilyn nie znaleziono żadnych śladów tabletek. W jej apartamencie nie było też szklanki z wodą, którą zapewne musiałaby wypić, by przełknąć śmiertelną dawkę środków nasennych. Specjaliści medycyny sądowej nie znaleźli też śladów po zastrzyku, mogącym wprowadzić do organizmu gwiazdy 121

inne środki. Summers jako pierwszy publicznie sformułował teorię co do trucizny, która nie pozostawiła żadnych widocznych śladów.

Bardziej szczegółowych badań jednak nie przeprowadzono.

Peter Lawford, zdeprawowany aktor, należący do rodziny [był mężem siostry J.F.K. - przyp. tłum.] Kenne-dych, który organizował schadzki Johna na Zachodnim Wybrzeżu, wiedział coś zapewne na temat śmierci Marilyn, ale swój sekret zabrał do grobu, zapiwszy się na śmierć. Kiedy jedna z jego poprzednich żon zapytała, czy wie, w jaki sposób zmarła Marilyn, uczynił jedynie dwuznaczny gest, mówiąc:

„Marilyn wzięła swoją ostatnią wielką lewatywę".

Summers pisze, że gwiazda „narzekała na chroniczną obstrukcję, a dolegliwość tę łagodziła lewatywami. Używanie ich było w owym okresie bardzo modne, zwłaszcza wśród ludzi show businessu, jako doskonały środek na szybkie pozbycie się nadwagi". Marilyn od lat stosowała lewatywę.

Teoria o lewatywie doodbytniczej jest obecnie bardzo popularna. W

książce Double Cross (Podwójny krzyż), napisanej przez będącego już w podeszłym wieku chrześniaka Sama Giancany, zwanego również Samem Gianca-ną, i jego brata, Chucka, można przeczytać, że mordercy Marilyn używając podsłuchu Giancany zakradli się w okolice jej domu, w oczekiwaniu na najwłaściwszy moment na przeprowadzenie akcji. Słyszeli Roberta Kennedy'ego i innego mężczyznę krzyczącego na Marilyn. W końcu Robert miał nakazać Marilyn, by się uspokoiła, i wyszedł z domu. Mordercy wślizgnęli się wówczas do środka i nieprzytomnej już po zażyciu środków nasennych Marilyn zaaplikowali trujący czopek.

W swej najnowszej książce dotyczącej Monroe, wydanej już w czasie pisania tego tekstu i zatytułowanej Crypt 33 (Krypta nr 33), od miejsca, w którym przechowywano ciało Monroe w kostnicy w Los Angeles, Speriglio opisuje, jak to pewien ciemny typ, gwiazda 122

podziemia Johnny Roselli - towarzysz Giancany, bardziej znany dzięki swemu zaangażowaniu we wspólną akcję mafii i CIA mającą na celu usunięcie Castro, a według niektórych źródeł, również Roberta Kennedyego - pojawił się w domu Marilyn, by wstępnie oszołomić ją (znali się wcześniej, ponieważ Roselli kręcił się wśród ludzi związanych z show businessem). W tym czasie dwaj wspólnicy dostali się do wewnątrz tylnym wejściem. Jeden z nich zakneblował

Marilyn przepaską nasączoną chloroformem, a drugi zaaplikował jej śmiertelną lewatywę. Z powierzchownego dość tekstu Crypt 33 nie wynika jasno, czy Speriglio opiera swój scenariusz na

dowodach zaczerpniętych z taśm dotyczących Marilyn, chociaż odnosi się wrażenie, że tak właśnie było.

Speriglio sugeruje również, że Joseph i John Kennedy zachęcali Giancanę do zamordowania Marilyn, i że gangster, któremu zależało na kontaktach z Kennedymi, ochoczo na to przystał. Speriglio dokonuje rewizji swej teorii wyłożonej w książce The Marilyn Conspiracy (Spisek przeciwko Marilyn) mówiącej, że Giancana i Hoffa, mający na pieńku z Robertem Kennedym, i wiedzący dzięki podsłuchowi i nagranym rozmowom o jego romansie z Monroe, chcieli doprowadzić do skandalu. Zabicie królowej seksu w jej własnym domu było częścią tego spisku. Tym razem jednak zadziałały wpływy Kennedy'ego i ani Robertowi, ani Johnowi cała afera nie wyrządziła krzywdy. Kłopoty przyszły dopiero później.

Wtedy posłużono się jednak już zupełnie innymi metodami.

Śmierć Monroe nadal pozostaje tajemnicą. Co do tego wszyscy piszący o śmierci Marilyn są zgodni. Niezależnie, czy została zamordowana, czy popełniła samobójstwo, czy też zmarła w wyniku przypadkowego przedawkowania środka uspokajającego (hipoteza, za którą opowiada się Summers), nie ulega wątpliwości, że bracia Kennedy byli związani ze zmarłą gwiazdą w stopniu, który stawał się dla nich zbyt niebezpieczny. Być może

z tego właśnie powodu w 1985 roku stacja telewizyjna ABC nie nadała programu z cyklu 220/20, który potwierdzał informacje zawarte w książce Summersa Goddess. Półgodzinny program informował o kilku innych związkach pozamałżeriskich Johna Kennedy'ego, w tym z kobietą z kręgów mafijnych Judith Campbell Exner, a także uchodzącą za nazistowskiego szpiega Ingą Arvad.

Władze sieci ABC nie odważyły się jednak nadać tego programu bez poddania go cenzurze. Został on więc okrojony do 13 minut, ale szef ABC News, Roone Arledge, bliski przyjaciel żony Roberta Kennedy'ego, Ethel, zdjął go ostatecznie z anteny. Zaprzeczał

równocześnie, że na tę decyzję wpłynęła w jakimkolwiek stopniu jego przyjaźń z rodziną Kennedych, krytykując zarazem własnych reporterów, którzy przygotowali tak „marny" program. Jednakże według Hugh Downsa, jednego z najbardziej znanych pracowników tej sieci, ów „marny reportaż" był „staranniej udokumentowany aniżeli wszystko, co stacja zrobiła podczas afery Watergate".

Jeden z biografów twierdzi, że w kilkanaście lat po śmierci Marilyn Monroe telewizyjna aktorka Veronica Hamel, znana później z serialu Posterunek przy Hill Street, zakupiła dom, w którym mieszkała i zmarła Marilyn. Podczas prac renowacyjnych odkryto pęk starych kabli wystających z sufitu. Aktorka wynajęła specjalistę, by zniszczył

kable, które przekazywały głosy pełnego udręki życia Marilyn i jej tajemniczej śmierci.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Peter Harry Brown and Patte B. Barham. Marilyn: The Last Take.

Nowy Jork: Signet Books, 1993.

Adela Gregory, Milo Speriglio. Crypt 33, the Saga of Marilyn Monroe: The Finał Word. Nowy Jork: Birch Lane Press, 1993.

Milo Speriglio. The Marilyn Conspiracy. Nowy Jork: Pocket Books, 1986.

Anthony Summers. Goddess: The Secret Lives of Marilyn Monroe.

Nowy Jork: Onyx Books, 1986. Pol. wyd.: Bogini, tajemnice życia i śmierci Marilyn Monroe, Iskry 1995

14.Tajemnica śmierci Jima Morrisona

Oficjalna wersja głosi, że legendarny Jim Morrison, gwiazda muzyki rockandrollowej, został pochowany na paryskim cmentarzu Pere-Lachaise. Fakt ten jednak nie powstrzymał fali doniesień o rzekomym

„pojawianiu się" wokalisty Doorsów już po jego śmierci w 1971 roku.

Jest to oczywiście skutek bogatej mitologii otaczającej często gwiazdy rocka - tak samo jak powtarzające się rewelacje o pojawianiu się ducha zmarłego Presleya.

Okoliczności śmierci Jima Morrisona wciąż pozostają niezmiernie tajemnicze i zagmatwane. Nie dziwi wobec tego fakt, że zrodziły się liczne pogłoski o tym, jakoby Król Jaszczur wciąż żył. W rzeczy samej, oficjalna wersja śmierci Morrisona pod pewnymi względami jest zapewne mniej wiarygodna niż surrealistyczne mity.

Według oficjalnej wersji Morrison zmarł około godziny 5 nad ranem 3

lipca 1971 roku na atak serca. Trzeba przyznać, że jest to raczej mało prawdopodobna przypadłość u dwudziestosiedmioletniego mężczyzny (chociaż możliwa dla gwiazdy rocka, przedwcześnie postarzałej w wyniku trwających niemal dekadę szaleńczych ciągów narkotykowo-alkoholowych). Pamela Courson, długoletnia towarzyszka życia Morrisona utrzymywała, że pewnego wieczoru w jej paryskim mieszkaniu Jim chciał wziąć kąpiel. Wkrótce potem Pamela poszła spać i dopiero następnego ranka znalazła w wannie ciało Morrisona.

Niemal natychmiast po śmierci Jima zaczęły pojawiać się najprzeróżniejsze plotki. Spowodowały je między innymi rozpaczliwe poczynania Pameli Courson. Początkowo oświadczyła ona dziennikarzom, że Morrison „wcale nie umarł, lecz jest jedynie wyczerpany i odpoczywa w szpitalu". Mimo to po Paryżu rozeszła się wieść, że Morrison zmarł w wyniku przedawkowania heroiny w jednym z klubów podziemia Rock 'n' Roli Circus. Inna plotka głosiła, że Morrison przedawkował

kokainę, narkotyk, który często zażywał. Potem przewieziono podobno Morrisona do mieszkania Courson, gdzie w łazience próbowano go ocucić. Oczywiście, nie odnaleziono żadnych świadków tego zdarzenia.

Jeszcze kilka dni po śmierci Morrisona Pamela Courson utrzymywała, że Jim żyje. W rzeczywistości paryski lekarz wystawił już akt zgonu, w rubryce „nazwisko i imię" wpisując: „James Morrison, poeta".

Trumna została pospiesznie zaplombowana, zanim powiadomiono o wszystkim ambasadę amerykańską

oraz rodzinę zmarłego. Nie dokonano też sekcji zwłok. Dopiero w sześć dni później, po cichym pogrzebie na cmentarzu Pere-Lachaise, menedżer Doorsów, Bill Sidons, zwołał konferencję prasową, by poinformować, że „Młody Lew" zmarł na atak serca spowodowany skrzepem krwi oraz zapewne infekcją w płucach.

Wiarygodność podanej wersji wypadków podważył wkrótce „Los Angeles Times" w artykule zatytułowanym: „DLACZEGO

WIADOMOŚCI O ŚMIERCI MORRISONA ODWLEKAJĄ SIĘ?"

Tymczasem mnożyły się pogłoski o próbach zatajenia pewnych faktów. Przecież jedynie Pamela Courson, kilku francuskich lekarzy oraz nieznani oficerowie policji widzieli ciało Morrisona. Nawet Bill Sidons (który niezwłocznie przyleciał do Paryża, po tym, jak Pamela Courson w prowadzonej z nim rozmowie telefonicznej najpierw zaprzeczyła pogłoskom o śmierci Morrisona, a następnie wybuchnęła szlochem) nie pomyślał o otworzeniu trumny po przybyciu do mieszkania.

W oficjalnym scenariuszu występują również inne, mało prawdopodobne szczegóły, które z biegiem czasu stały się przyczynkiem do daleko idących spekulacji: jak to się stało, że Amerykanin, gwiazdor rocka, znalazł swą ostatnią przystań na Pere-Lachaise, historycznym cmentarzu francuskim, gdzie spoczywają zwłoki osobistości tej miary co Balzac, Chopin, Moliere i Oscar Wilde? Z nieznanych przyczyn przez wiele miesięcy na 126

grobie Morrisona nie postawiono nawet żadnej tablicy, tak więc przez dłuższy czas pozostawał on nie oznaczony. Kiedy później perkusista Doorsów, John Densmore, odwiedził cmentarz, stwierdził ze zdziwieniem, że „grób jest za krótki!"

Jedna z teorii spiskowych o charakterze politycznym głosi, że Morrison został zamordowany w wyniku intrygi opracowanej przez reakcjonistów z FBI. W akcji zakrojonej na szeroką skalę, mającej na celu ukrócenie działań Nowej Lewicy i całego ruchu hippisowskiego, podwładni J. Edgara Hoovera mieli usunąć nie tylko Morrisona, którego popularność, antyautorytarne poglądy i niezwykły wpływ wśród elity amerykańskiej młodzieży były zagrożeniem dla amerykańskiej stabilizacji, ale także Janis Joplin i Jimiego Hendrixa, którzy według oficjalnych raportów zmarli wcześniej w wyniku przedawkowania narkotyków. Na udramatyzowanej kanwie tej teorii powstał niskonakładowy film Down on Us, wyświetlany później pod zmienionym tytułem Be-yond the Doors.

Na podstawie znanych dzisiaj faktów zupełnie realna wydaje się hipoteza, w której wskazuje się na rząd amerykański, jako autora spisków wymierzonych w Nową Lewicę, oraz na FBI, dążące m.in. do zdyskredytowania Martina Luthera Kinga Jr. Po niesławnym aresztowaniu Morrisona w Miami (za obnażenie się na scenie) FBI wszczęło śledztwo dotyczące jego przeszłości. Trzeba jednak przyznać, że prócz całkowitego braku dowodów, teoria ta i tak nie jest zbyt spójna, ponieważ skądinąd wiadomo, iż Morrison odmawiał

udziału w jakichkolwiek akcjach o charakterze politycznym. Dlaczego więc tym razem miał być zamieszany w rozgrywki polityczne?

Z kolei teorie okultystyczne o śmierci Morrisona wypływają z jego powszechnie znanych zainteresowań sztuką ezoteryczną. Inna niezwykła teoria proponuje jeszcze bardziej fantastyczną wersję, mówiącą, że Mor-127

rison padł ofiarą pewnej uwodzicielskiej damy z Nowego Jorku, która uśmierciła go używając nieokreślonych transatlantyckich czarów.

Jeszcze inni wysuwają sugestie, zgodnie z którymi duch Jima miał

opuścić jego cielesną powłokę (co, jak utrzymywała Courson, czynił

już wielokrotnie podczas zapadania w trans), ale tym razem nie powrócił z owej „podróży".

Najpopularniejsza teoria głosi jednak, że Morrison, artysta-męczennik, podobnie jak bohater musicalu Jesus Christ Superstar, w jakiś sposób oszukał śmierć, na poły metafizycznie, na poły dosłownie. Daje to jego zagorzałym wielbicielom powody do wiary, że Jim Morrison kiedyś zmartwychwstanie!

James Riordan i Jerry Prochnicky w biografii Morrisona Break on Through pisali, że jego „niezwykły tryb życia narzucał wręcz taką interpretację". Ciągłe znikanie Morrisona już wcześniej rodziło pogłoski o jego śmierci, a zamieszanie powstałe wokół jego zapewne autentycznego rozstania się ze światem było jedynie powodem do dalszych spekulacji. Artysta często mówił o zrzuceniu brzemienia

„gwiazdorstwa" przez spreparowanie okoliczności pozorujących własną śmierć albo zniknięcie gdzieś w sercu Afryki, lub w innym, równie tajemniczym miejscu. Swym przyjaciołom mówił, że po

„ucieczce do Afryki" będzie się z nimi kontaktował używając pseudonimu „Mr. Mojo Risin" (sławny anagram powstały na bazie słów Jim Morrison w piosence „L.A. Woman"). Morrisona fascynowały poza tym rozmaite teorie spiskowe, jak na przykład głosząca, że Uczniowie wykradli ciało Chrystusa z grobu.

Nic dziwnego, że niemal natychmiast po jego „śmierci" zaczęły się szerzyć pogłoski o tym, że widziano gwiazdę rocka najpierw w Paryżu, a następnie w Los Angeles, gdzie podobno Morrison w czarnym skórzanym stroju pojawiał się w nocnych klubach dla gejów.

Z kolei pracownik Bank of America w San Francisco twierdził, że obsługiwał kogoś, kto przedstawiał się jako 128

Jim Morrison i przypominał swym wyglądem gwiazdora. Urzędnik ten, indagowany później przez dziennikarzy przyznał jednak, że nie ma pewności, czy był to solista Doorsów.

W 1974 roku takie i inne pogłoski nasiliły się znacznie w związku z wydaniem przez wytwórnię Capitol Re-cords albumu płytowego Phantom's Divine Comedy. Utwory zamieszczone na tym albumie grali muzycy określeni jako perkusista - X, basista - Y, a grający na instrumentach klawiszowych - Z. Głos wokalisty był natomiast łudząco podobny do głosu Jima Morrisona. Ostatnie doniesienia mówią jednak, że ów głos „a la Morrison" należał do punkowego wokalisty Iggy Popa.

Według innej, popularnej wówczas opowieści, zamieszczonej w książce Break on Through, „Jim pojawił się nocą w studiu pewnej radiostacji na Środkowym Zachodzie i udzielił wywiadu, w którym wyjaśnił wszystkie związane z jego osobą tajemnice". Oczywiście, zaraz po programie tajemnicza postać ponownie zniknęła. Nie pozostały też żadne nagrania owego wywiadu.

Inne pogłoski sugerują, że Morrison mieszka incognito w Luizjanie.

Miał też ponoć napisać i opublikować w 1975 roku książkę pod tytułem The Bank of America of

Louisiana, pod auspicjami Zeppelin Publishing Company. Książka jakoby jest oparta na faktach, a nazwiska występujących w niej postaci zostały zmienione, ponieważ autor - podpisany jako Jim Morrison - obawia się, iż „musiałby pojawić się w sądzie". Jej ostatnie zdanie jest szczególnie niejasne, chociaż nie zaskakujące, jak na nieśmiertelnego przedstawiciela rocka z lat sześćdziesiątych przystało: „B of A & Company, USA... gdzie głupie dowcipy stają się poważnym biznesem".

Wszystkie te pogłoski spowodowały, że grupa fanów Jima Morrisona, zdobywszy dane dotyczące jego uzębienia, zapragnęła dokonać ekshumacji zwłok - jednak bez sukcesu. Do wywołania pełnej tajemniczości i podgrzania atmosfery przyczynił się też jeden z członków

Doorsów, Ray Manzarek, grający na instrumentach klawiszowych, który stwierdził, że „gdyby jakiś facet był zdolny do odegrania własnej śmierci, dostarczając fałszywe świadectwo zgonu lub przekupując jakiegoś francuskiego lekarza, wsypując siedemdziesiąt kilogramów piasku do trumny i ulatniając się do jakiegoś ustronnego miejsca na naszej planecie, na przykład gdzieś do Afryki, to mógłby to być Jim Morrison".

Spekulacje stają się więc coraz bardziej karkołomne i, co oczywiste, coraz bardziej niewiarygodne.

Oto na przykład tylko na podstawie faktu, że ojciec Jima Morrisona, Steven Morrison, jako admirał w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych „miał wgląd do tajnych akt wywiadu i kontrwywiadu", nieuchronnie zaczęły kiełkować teorie o roli jakiegoś szpiega zamieszanego w śmierć Jima. Jak informuje zajmujący się spiskami Thomas Lyttle, jedno ze skandynawskich czasopism opublikowało artykuł ujawniający „wysiłki wywiadu francuskiego zmierzające do zabójstwa Jima Morrisona w Paryżu".

W swym eseju na temat Morrisona, zatytułowanym Secret and Suppressed (Tajne i przemilczane), Lyttle podejmuje wątek szpiegowski, łączy go z rozmaitymi teoriami mistycznymi, a także wprowadza na scenę postać sobowtóra Morrisona.

Thomas Lyttle wysuwa przede wszystkim wniosek, że zwykłe finansowe interesy wpłynęły na duchową transmigrację Morrisona, tak jak sprzedaż płyt wpływała na jego ziemski artyzm. Niestety, Lyttle snuje swoje wywody w sposób mocno zagmatwany. Twierdzi on mianowicie, że Morrison praktykował mistycyzm voo doo, według którego dusza czy też aura zmarłego człowieka potrzebuje kilku miesięcy, by ostatecznie rozpłynąć się w niebycie. Jak mówi tradycja, kapłani voo doo znani byli z przechwytywania wędrujących ku gwiazdom dusz, umieszczając ich aurę w glinianym dzbanie zwanym canari. Lyttle zastanawia się wobec tego, czy 130

aura Morrisona „nie została przypadkiem przechwycona w Paryżu w dzień jego śmierci".

Według Lyttle'a to Zeppelin Publishing Company, ten sam zespół

ludzi, o którym wspomniano wcześniej w związku z książką Bank of America, przechwycił canari z elementarną aurą Morrisona. Lyttle uważa zresztą, choć tego nie udowadnia, że to sam Jim Morrison założył organizację Zeppelin, chcąc zapewne przez to zasugerować, że osobiście wyraził zgodę na sprzedanie własnej duszy. A co z

„kapłanem"? Według Lyttle'a był nim tajemniczy właściciel „Bank of America Company", który

„dysponuje ważnym paszportem i kartą identyfikacyjną na nazwisko Jamesa Douglasa Morrisona i uważa się dzisiaj za nie-całkiem-zmarłą gwiazdę rocka!"

Wszystko to ma oznaczać, że dusza Morrisona nr 1 egzystuje w ciele tajemniczego Morrisona nr 2, którego Lyttle określa skrótem JM2.

Ów JM2 widocznie zajmował się nie tylko seksem, narkotykami i posępną poezją. Według Lyttle'a JM2 twierdzi, że pracuje jako agent wywiadu dla licznych amerykańskich i międzynarodowych organizacji, w tym CIA, NSA, Interpolu, wywiadu szwedzkiego i innych. Lyttle informuje, że widział dokumenty, zapewne dostarczone przez JM2, odnotowujące pracę JM2 dla CIA i podejrzane finansowe operacje z Bank of America na zlecenie agencji wywiadowczych, w tym eksperymenty prowadzące do destabilizacji zagranicznych walut.

Lyttle zastrzega, że nie może poświadczyć wiarygodności tych dokumentów, choć zapewnia, że wyglądały one na autentyczne.

Spisek z JM2 jest ponoć doskonale opracowany. Jak twierdzi Thomas Lyttle, JM2 publicznie oświadczył, iż jest „wielu" sobowtórów Morrisona, wykonujących żmudne prace w ramach tajnych operacji szpiegowskich, w tym w socjologicznych eksperymentach CIA. Co więcej, wszyscy Jamesowie Douglasowie Morrisono-wie „znają się i spotykają od czasu do czasu, dla konsolidacji swych poczynań".

Jakby było mało wersji o niezwykłym pochodzeniu JM2, w 1991 roku w biografii Break on Through Rior-dana i Prochnicky'ego pojawiły się bardziej ziemskie próby wyjaśnienia tajemnic związanych ze śmiercią Jima Morrisona. Chociaż Pamela Courson w 1974 roku swoje tajemnice zabrała do grobu po zażyciu nadmiernej dawki heroiny, autorzy Riordan i Prochnicky próbowali niektóre z nich rozwiązać, przeprowadzając wywiady z jej bliskimi przyjaciółmi, którym się zwierzała.

Jak wynika z zebranych w ten sposób informacji, pogrążony w depresji Morrison odnalazł w paryskim mieszkaniu Pameli Courson skrytkę z heroiną i zażył nadmierną dawkę narkotyku. Następnego ranka Pamela Courson odnalazła jego ciało i przy pomocy bliskiego przyjaciela zrobiła wszystko, by uniknąć takiego zamieszania i kłopotów z prasą, jakie towarzyszyły śmierci Jimiego Hendrixa i Janis Joplin, a także zarzutów o posiadanie narkotyków. W jakiś sposób Pameli Courson i jej przyjaciołom udało się nakłonić francuskiego doktora do wydania świadectwa mówiącego, że zgon nastąpił w wyniku ataku serca, co wykluczało konieczność dokonania sekcji zwłok. Szybko załatwiono zgodę na złożenie zwłok Morrisona na cmentarzu Pere-Lachaise, zanim jeszcze cały świat dowiedział się o wszystkim. Zapewne żadna z tych osób nie zdawała sobie wtedy sprawy, że w ten sposób przyczynia się do mitologiza-cji postaci Jima Morrisona i legend o jego zmartwychwstaniu.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Jerry Hopkins, Danny Sugerman. Nikt nie wyjdzie stąd żywy, Warszawa, Czytelnik 1995.

Thomas Lyttle. Rumors, Myths and Urban Legends Surrounding the Death of Jim Morrison. W Secret and Suppressed, wydane przez Jim Keith. Portland, OR: Feral House, 1993.

James Riordan, Jerry Prochnicky. Break on Through: The Life and Death of Jim Morrison. Nowy Jork:

William Morrow and Company 1991.

132

15. Człowiek, który wiedział za dużo

Tuż po godzinie 12.30 w dniu 10 sierpnia 1991 roku pokojówka w hotelu Sheraton Inn w Martinsburgu, w Wirginii Zachodniej natknęła się na przerażający widok. W wannie apartamentu 517 leżało ciało nagiego martwego mężczyzny, a jego białe kolana wystawały z zabarwionej krwią wody. Krew była wszędzie: na ścianie, nad wanną i na łazienkowej posadzce.

Tym martwym mężczyzną okazał się Danny Casola-ro, zaledwie dwudziestoczteroletni dziennikarz i niespełniony pisarz z Fairfax, w stanie Wirginia. Na przegubach rąk w dwunastu miejscach widniały głębokie nacięcia. Dokonująca pierwszych oględzin pomoc medyczna znalazła pod ciałem brzytwę, puszkę po piwie, papierową tackę i dwie plastikowe torebki na śmieci. Obok znajdowała się niedbale skreślona notatka, która między innymi mówiła: „Proszę, przebaczcie mi tę najgorszą z możliwych rzeczy, którą mogłem zrobić".

Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak zwykłe samobójstwo. Skłoniło to zapewne okręgowego koronera do zrezygnowania z sekcji i przekazania ciała właścicielowi lokalnego zakładu pogrzebowego.

Ten jeszcze tego samego wieczora zabalsamował zwłoki, zanim o wszystkim powiadomiono krewnych. Trzeba tu zaznaczyć, że krok ten był zapewne nie tylko zbyt pospieszny, ale także nielegalny.

Jeżeli rodzina Casolaro zostałaby niezwłocznie powiadomiona, sprawa nabrałaby z pewnością innego biegu. Kiedy po dwóch dniach od zaistnienia faktu zawiadomiono brata denata, lekarza Anthony Casolaro, momentalnie przypomniał on sobie o ostrzeżeniu Danny'ego, jakie przekazał mu poprzedniego tygodnia: „Otrzymuję liczne telefony z pogróżkami. Jeżeli cokolwiek mi się przytrafi, nie wierzcie, że był to przypadek". Na dodatek w dniu poprzedzającym oraz w samym dniu śmierci

133

ktoś wykonał serię telefonów z pogróżkami do domu Casolaro.

Według zeznań gospodyni, która przyjmowała owe telefony, groźby te wcale nie były subtelne. Jedna z nich brzmiała: „ty sk... jesteś martwy".

Danny Casolaro, pełen zapału, choć może nie całkiem jeszcze opierzony dziennikarz, wyznawał rodzinie i przyjaciołom, że jest bliski ujawnienia zagmatwanej intrygi, którą nazywał „Octopus"

[czyli „ośmiornica"] - zakrojonego na szeroką skalę spisku. Casolaro uważał, że międzynarodowa zmowa siedmiu lub ośmiu ludzi obejmowała jak macki ośmiornicy serię skandali; domniemany układ z 1980 roku między ekipą prowadzącą kampanię wyborczą bloku Reagan-Bush a Irariczyka-mi, w sprawie przetrzymania amerykańskich zakładników; aferę Inslaw, która obracała się wokół

zarzutów stawianych reaganowskiemu Departamentowi Sprawiedliwości o kradzież oprogramowania z pewnej prywatnej firmy; Iran-Contras, i skandalu z Bankiem BCCI, który, jak uważał

Casolaro, służył jako ramię finansujące wiele spisków w łonie organizacji zajmujących się narodowym

bezpieczeństwem.

W swoich notatkach, czynionych z myślą o przyszłej książce, Casolaro pisał w typowym dla niego, pełnym entuzjazmu stylu: „sieć złodziei i bandytów, którzy wędrują po świecie ze swoją bronią, często posługując się morderstwami, by wykorzystywać narkotykowe i pochodzące z innych nielegalnych źródeł pieniądze dla zachowania sekretów swego światka".

Dla rodziny i przyjaciół Casolara jego ostatnia podróż do Martinsburga wydaje się wyjątkowo znacząca, ponieważ uprzednio chwalił się on przed niemal każdym, że właśnie tam planuje spotkanie z niezwykle cennym informatorem, mającym dostarczyć mu ostatecznych dowodów pozwalających wyjaśnić zagadkę „Octopus".

Oskarżona przez krajowe media o opieszałość policja Martinsburga rzeczywiście nieco późno podjęła dochodzenie, przeprowadzając między innymi pełną sek-134

cję zwłok. Łańcuch zarzutów wobec policji został przerwany, a lokalne i stanowe władze na podstawie zebranych dowodów przychylały się do początkowych ustaleń stwierdzających, że przyczyną śmierci Caso-lara było jednak samobójstwo. Według miejscowych specjalistów nie odnaleziono śladów walki, a same rany wydawały się być spowodowane przez denata. Istniał przecież jeszcze bezpośredni dowód o popełnieniu samobójstwa - list pożegnalny spisany przez samego Casolaro.

Mimo to krytycy podnoszą kwestię, że lokalna policja przeoczyła lub też nie doceniła kilku świadectw, które sugerują inne, bardziej ponure scenariusze:

•

Jeszcze przed przyjazdem do hotelu wezwanych służb specjalnych, Barbara Bittinger, asystentka hotelowego gospodarza w Sheratonie, widziała pod zlewem dwa zakrwawione ręczniki. Jak później wyznała przeprowadzającemu prywatne dochodzenie dziennikarzowi Johnowi Connolly'emu: „Wyglądało to tak, jakby ktoś rzucił te ręczniki na podłogę - a z pewnością nie zrobiły tego sprzątaczki - i próbował nogami wytrzeć krew, która jednak nie chciała w nie wsiąkać, a tylko rozmazała się po podłodze". Policja jedynie powierzchownie przepytała Bittinger. Mimo to jej zeznanie o ręcznikach zostało potwierdzone przez hotelowego sprzątacza, który później zajmował się remontem pokoju i wyrzucił wspomniane ręczniki.

•

Według lekarza z George Washington University, który dokonywał autopsji, głębokie rany na przegubach Casolaro nie miały charakteru zwyczajowych „śladów wahania się" przyszłego samobójcy, sprawdzającego na początku swą wytrzymałość na ból. W

przypadku Caso-lara brak owych śladów był tym bardziej podejrzany, że, jak zeznała rodzina i przyjaciele, przejawiał on dużą wrażliwość na ból. Poza tym specjalny agent FBI Thomas Gates, któremu Casolaro przedstawił swe teorie spiskowe, zeznał przed komisją Kongresu, że policja

135

w Martinsburgu opisała jego rany jako „rozdarcia zadane ostrym narzędziem", co brzmiało nieco bardziej

dramatycznie niż oficjalna wersja „nacięć nie wskazujących na walkę".

•

Lokalna policja nie znalazła brakujących notatek Casolaro, które w teczce miał wieźć do Martinsburga. Zarówno notatki, jak i owa teczka zniknęły bez śladu.

•

Kelnerka z sali koktajlowej Sheratona zeznała, że Casolaro wszedł do baru z mężczyzną, którego opisała, „że wyglądem przypominał Araba lub Irariczyka". Policji nigdy nie udało się odnaleźć tego mężczyzny.

•

Zarówno rodzinie Casolaro, jak i jego przyjaciołom trudno było sobie wyobrazić, ażeby mógł on własnoręcznie targnąć się na życie.

Opisywano go jako człowieka otwartego, pełnego optymizmu, tryskającego życiem, przez co wydawał się mało wiarygodnym kandydatem na samobójcę.

Nie ulega wątpliwości, że Danny Casolaro często w trakcie prowadzenia swego dochodzenia przebywał w towarzystwie dziwnych, a zapewne też i niebezpiecznych osobników. Podobnie jak wielu badaczy spisków, którzy nadgryźli gnijące już jabłko, Casolaro znalazł się w światku oszustów i intryg obiecujących dotarcie do najskrytszych zdarzeń z historii Ameryki. Niestety, szpiedzy, bandyci i im podobni często mieszają fakty z najszczerszą fantazją - dla realizacji swoich ukrytych celów.

Osobą, która wprowadziła Casolaro w świat spisków, był nieco dziwaczny geniusz, Michael Riconosciuto. Określany z jednej strony jako „szalony naukowiec", a z drugiej „patologiczny kłamca", który w wyszukany sposób łączył fakty z najczystszą fantazją, Riconosciuto twierdził, że w ostatniej dekadzie brał udział w niemal wszystkich skandalach dotyczących narodowego bezpieczeństwa.

W swoich notatkach, a także w rozmowach, Casolaro nazywał tego szaleńca „Niebezpiecznym Człowiekiem".

Riconosciuto pojawił się w świecie Casolaro wiosną 1990 roku.

Nastąpiło to za pośrednictwem ich wspólnego znajomego, Billa Hamiltona, zamieszanego w głośny skandal Inslaw.

Riconosciuto dostarczał informacji Hamiltonowi, właścicielowi Inslaw Inc., o domniemanej kradzieży będącego własnością Hamiltona programu komputerowego przez urzędników reaganowskiej administracji Departamentu Sprawiedliwości.

Hamilton wygrał już wstępne bitwy w podjazdowej wojnie ze zwolennikami prokuratora generalnego Edwina Meese'a III. Należy tu powiedzieć, że program Hamiltona PROMIS, kość niezgody, otwierał

ogromne możliwości. Przeznaczony był do integracji danych komputerowych dotyczących spraw

sądowych na terenie całego kraju, umożliwiając przedstawicielom rządu wgląd w prowadzone sprawy sądowe, dane obrońców, przestępców, prokuratorów, policjantów, sędziów i dosłownie niemal każdego, kto pojawiał się na ekranie radaru rejestrującego cały wymiar sprawiedliwości.

Hamilton i jego szacowny prawnik, dawny amerykański prokurator generalny Elliot Richardson, oskarżyli zespół Meese'a o pogwałcenie zawartego w kontrakcie porozumienia co do używania jedynie uproszczonej wersji PROMIS oraz „włamanie się" i ulepszenie początkowej edycji tego programu. Dwóch federalnych sędziów zgodziło się z Hamiltonem, że prowadzący Departament Sprawiedliwości Meese „przejął, zmienił i ukradł" PROMIS

Hamiltona, uciekając się do „podstępu, defraudacji i oszustwa".

Po pojawieniu się osoby Riconosciuto na scenie, afera Inslaw stała się jeszcze bardziej zagmatwana, przenosząc się w odległe punkty na naszym globie, jak pełna niespodzianek powieść szpiegowska.

Casolaro znalazł się w kuszącym świecie intrygi.

Riconosciuto oświadczył Hamiltonowi i Casolaro, że zmodyfikował

oprogramowanie PROMIS, aby sprzedać

137je następnie do innych krajów. Człowiekiem, który kupował

skradziony program komputerowy, był według Riconosciuto przyjaciel Eda Meese'a, dr Earl Brian. Co więcej, Riconosciuto twierdził, że dochody ze skradzionego towaru były nagrodą dla Briana za pomoc w pośrednictwie przy transakcji October Surprise (Październikowa niespodzianka) związanej z kampanią prezydencką Reagana i Busha w 1980 roku. Jak powiedział „Niebezpieczny Człowiek", to on razem z Brianem przekazał Irariczykom kwotę 40

milionów dolarów okupu w czasie domniemanego spotkania w Paryżu, w październiku 1980 roku, George'a Busha, przyszłego dyrektora CIA Billa Caseya i przedstawicieli Iranu. Oczywiście Brian wparł się jakichkolwiek związków z Riconosciuto, aferą Inslaw czy October Surprise.

Riconosciuto można by uznać za kompletnego szaleńca, gdyby nie pewne fakty, które zaczęły się potwierdzać. Hamilton odkrył, że kanadyjscy Mounties używają skradzionej wersji oprogramowania PROMIS. Świadkowie potwierdzają, że widzieli Riconosciuto razem z Brianem w rezerwacie Indian Cabazon w Indio, w stanie Kalifornia, gdzie, jak twierdził Riconosciuto, dokonał modyfikacji PROMIS i pracował nad bronią najnowszej generacji dla nikaraguańskich contras. Inne źródła potwierdzają, że Riconosciuto i Brian rzeczywiście byli zaangażowani w joint venture pomiędzy Indianami Cabazon i korporacją Wackenhut, prywatną firmą ochroniarską cieszącą się względami CIA, która zlecała jej wykonanie brudnej roboty. Współpraca z plemieniem Cabazon, którego teren posiadał na wpół niezależny status, miała na celu obejście restrykcji dotyczących produkcji i sprzedaży broni. Według raportu prokuratora okręgowego Riverside County, lokalni policjanci wynajęci do pilnowania porządku w rezerwacie odnosili się do Briana jako „osoby powiązanej z CIA".

A co z makiawelicznym celem modyfikacji oprogramowania wykonanej przez Riconosciuto? Chodziło

o przekształcenie PROMIS w narzędzie międzynarodowej inwigilacji.

Casolaro twierdził, że Riconosciuto podrzucał „coraz to nowe sensacje". Twierdził np., że sabotował powiązany z CIA bank pożyczkowy Nugan Hand Bank; że wynalazł „mieszankę wybuchową" dla contras; że pomagał w opracowaniu superdziała wyprodukowanego na zlecenie Iraku przez Geralda Bulla, zamordowanego później w Brukseli. Wszystkie te sensacyjne wieści Casolaro sumiennie zapisywał w swoich materiałach do książki.

Według zachowanych notatek Casolara Riconosciuto wprowadził

również dziennikarza w generalną tematykę ufologii spiskowej, twierdząc, iż posiada informacje o tajnych kontaktach rządu z istotami pozaziemskimi na pustyni w Newadzie.

Podobnie jak wielu innych „wszystkowiedzących", tak i Riconosciuto najpierw obiecywał, a później nigdy nie dostarczył dowodów potwierdzających jego najbardziej wyszukane twierdzenia; między innymi taśmy z nagraniem udowadniającym, że utrzymuje znajomość z dyrektorem CIA za kadencji Reagana, Billem Caseyem.

Trzeba jednak przyznać, że Riconosciuto skierował Casolara w stronę kilku naprawdę niebezpiecznych typów.

Krótko przed swoją śmiercią, Casolaro robił plany odwiedzenia utartych szlaków Riconosciuto, rezerwatu Cabazon - niezbyt gościnnych terenów dla wietrzących sensacje dziennikarzy. Świadczy o tym chociażby wydarzenie z początku lat osiemdziesiątych, kiedy to zorganizowana przez członków plemienia próba usunięcia ze stanowiska białego administratora Johna Philipa Ni-cholsa została nagle powstrzymana przez pozbycie się malkontentów strzałem w tył

głowy. Uprzedni ochroniarz Nicholsa twierdził, że przed pospieszną emigracją do Ameryki Południowej jego boss wynajął morderców, a on miał im przekazać pieniądze.

Nichols, przemierzający świat „pracownik społeczny", chętnie przechwalał się swoją współpracą z CIA

w akcjach mających na celu zabójstwo Fidela Castro i obalenie chilijskiego prezydenta Salvadora Allende (który, jak wiemy, został

zamordowany). W połowie lat osiemdziesiątych Nichols został

skazany za zlecenie zabójstwa pięciu ludzi. Otrzymał jednak wyjątkowo łagodny wyrok i po kilkunastu miesiącach powrócił do rezerwatu.

Casolaro utrzymywał również kontakty z człowiekiem, którego powinien ochrzcić mianem „Szczególnie Niebezpieczny Człowiek".

Pozornie Robert Booth Nichols (nie posiadający rodzinnych związków z Johnem Philipem Nicholsem) pracował w joint venture Cabazon-Wacken-hut. Wkrótce stał się dla Casolara najważniejszym źródłem informacji o świecie spisków. Początkowo Casolaro pozostawał pod urokiem tego uprzejmego na pozór człowieka, którego opisywał jako „Clark Gable bez uszu". Później jednak Casolaro odnosił się do niego

jako do „bandyty o powierzchowności gentlemana".

Ta nagła zmiana stosunku do nowego znajomego nastąpiła wtedy, gdy Casolaro dowiedział się, że FBI zidentyfikowało Roberta Bootha Nicholsa jako osobę zajmującą się przemytem narkotyków i praniem brudnych pieniędzy, powiązaną z rodziną przestępczą Gam-bino i japońską mafią (za co Nichols - bez sukcesu - oskarżył rząd amerykański o zniesławienie). Trzy dni przed śmiercią Casolaro oświadczył specjalnemu agentowi FBI, iż Nichols ostrzegł go, „że jeżeli nadal będzie kontynuował swoje dochodzenie, wkrótce zginie".

Casolaro nie był jednak pewien, czy oznaczało to realną groźbę, czy jedynie było wyrazem troski.

John Connolly, dziennikarz zajmujący się nie wyjaśnionymi sprawami, sugerował, że jeżeli zabójstwo Casolara nie zostało zaaranżowane przez „Octopus", to zapewne przyczynił się do tego jakiś ważny szczegół, który wyszedł na jaw podczas prowadzonego przez niego śledztwa. W dobrze udokumentowanym artykule, który ukazał się w magazynie „SPY", Connolly pisał, że Casolaro dowiedział się od byłego prokuratora w Depar-140

tamencie Sprawiedliwości, że Nichols oferował niegdyś swoje usługi jako informator w szeregach mafii - jako zwykła wtyczka. Wiedza o tym, spekuluje Connolly, mogła wystawić Casolara na ogromne niebezpieczeństwo.

Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że Nichols ma dobre alibi. Dzień przed śmiercią Casolara, Nichols powiedział Billowi Hamiltonowi, że jeszcze tego samego wieczoru wyjeżdża do Europy.

Dzień później, kiedy telefonował do brata Casolara, by złożyć mu kondolencje, Nichols wspomniał, że właśnie powrócił z Londynu.

Inni dziennikarze snuli przypuszczenia będące pewną alternatywą zabójstwa, sugerując na przykład, że w Ca-solarze narastało poczucie niemożności opublikowania całości faktów związanych z intrygą

„Octopus". Na snucie tych spekulacji pozwoliły wyniki sekcji zwłok, które ujawniły śladowe ilości środka antydepresyjnego. Sekcja wykazała również, że Casolaro miał wczesne symptomy sklerozy.

Teoretycy zajmujący się samobójstwami wysnuli sugestię, że mógł on pragnąć rozstać się z życiem, zanim choroba dałaby o sobie znać z pełną siłą. Oczywiście są to jedynie daleko idące przypuszczenia.

Podobnie jak zachowane notatki Casolaro rzucają mgliste światło na jego śmierć, równie niejasne są kształty spisku, który jakoby dziennikarz miał lada moment odsłonić. Wiadomo, że planował

przeprowadzenie wywiadu ze „zbiegiem" CIA, agentem Edwinem Wilsonem, przebywającym wówczas w federalnym więzieniu pod zarzutami dostarczania materiałów wybuchowych libijskiemu przywódcy Muammarowi Kadafiemu. Razem z innymi weteranami CIA, Wilson figuruje w teorii Christie Institute, głoszącej o „tajnym zespole" składającym się ze szpiegów rzekomo odpowiedzialnych za serię skandali dotyczących bezpieczeństwa narodowego, począwszy od zamachu na prezydenta Kennedyego, przez przemyt narkotyków w południowo--wschodniej Azji, do Iran-Contras i jeszcze dalej. Cho-141

ciaż teoria Christie została wręcz wyśmiana (a powiązaną z nią cywilną sprawę sąd oddalił), Wilson z

pewnością maczał palce w licznych tajnych operacjach.

Chociaż sformułowanie jednolitej teorii o domniemanym spisku

„Octopus" może być zbyt ryzykowne, Casolaro z pewnością zapędził

się na bardzo grząski i niebezpieczny teren. Potwierdziła to komisja Kongresu zajmująca się aferą Inslaw, orzekając, że należy kontynuować dochodzenie w sprawie śmierci Casolara.

Na początku 1994 roku, już za kadencji Clintona, Departament Sprawiedliwości zdecydował się otworzyć śledztwo o zasięgu ogólnokrajowym dotyczące sprawy Casolara. Jego „telefoniczny"

przyjaciel, specjalny agent FBI Gates, zeznał przed wspomnianą wyżej komisją: „Istnieje realny powód do snucia w tej sprawie podejrzeń".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Danny Casolaro. Belhold, a Pale Horse: A True Crime Narrative. W

Secret and Suppressed. Portland, OR: Feral House, 1993. John Connolly, Erie Reguły. Badlands. „SPY", kwiecień 1992. John Connolly. Dead Right. „SPY", styczeń 1993. John Connolly. Inside the Shadow CIA. „SPY", sierpień 1992. David Corn. The Dark World of Danny Casolaro. «The Nation», 28 październik 1991.

Richard L. Fricker. The Inslaw Octopus. Wired, 1.1. (1993).

James Ridgeway, Doug Vaughan. The Last Days of Danny Casolaro.

«Village Voice», 15 października 1991.

The Inslaw Affair: Investigative Report by the Committee on the Judicia-ry. Washington: U.S. Government Printing Office, 1992.

16. Orgonowy rozpraszacz chmur

Podobnie jak słynne urządzenie do rozpraszania chmur i wywoływania deszczu - dziwaczna konstrukcja z metalowych rurek -

tak też i sama postać jego kon-

142

struktora, Wilhelma Reicha, wywoływała skrajne reakcje. Dla swoich zagorzałych zwolenników był on geniu-szem-męczennikiem, człowiekiem, którego rewolucyjne odkrycia naukowe spowodowały, że jego wrogowie

-

amerykański rząd, establishment lekarski i komuniści

-

doprowadzili do jego śmierci.

Prześladowcy Reicha określali go wieloma przezwiskami, z których żadne nie było zbyt pochlebne. Mówiono o nim jako o szalonym naukowcu, medycznym szarlatanie, ekscentrycznym seksuologu, paranoicznym schi-zofreniku, a także zwariowanym teoretyku spiskowym. Z pewnością był on w swoim czasie pionierem psychoanalizy, a także uczniem Freuda, chciałoby się rzec geniuszem, chociaż gdzieś na swojej drodze jakby nieco zbłądził.

Prawda może być wieloznaczna. Nie ma natomiast najmniejszej wątpliwości, że Wilhelm Reich, który zmarł w więzieniu w 1957

roku, był heretykiem naszych czasów. Jego głośne, o szerokim zasięgu teorie o zahamowaniach orgiastycznych, chorobach nowotworowych, nuklearnej radiacji, możliwości modyfikacji pogody, kosmicznej energii „orgonowej" oraz UFO (chcąc wymienić tylko niektóre z nich) były radykalnym odejściem od ortodoksji jego czasów - a może wszystkich czasów, jeśli chcielibyśmy być bardziej dokładni.

Nawet jeżeli Reich przesadzał, gdy twierdził, że jest ofiarą otwartego spisku zawiązanego przez przedstawicieli rządu i „czerwonych faszystów" - jak nazywał swoich prześladowców w późniejszych latach - nie ma także najmniejszej wątpliwości, że był trapiony przez dalece subtelniejszą formę „spisku". Jako uparty, niepohamowany obrazoburca, Reich skazany był stawić czoło całemu światu naukowemu i ustalonemu porządkowi politycznemu. Jego przeciwnicy okazywali powszechne lekceważenie jego poglądów, które postrzegali jako zwariowaną pseudonaukę. Spychali dziwaka na margines środowiska przez jego odtrącenie, wyśmiewali, 143

posługiwali się insynuacją, a także, w końcowym okresie, podejmowali akcje na drodze prawnej.

Wiedząc, jak wielki zasięg miała otaczająca jego pracę aura nienawiści, łatwo można sobie wyobrazić,

dlaczego Reich stopniowo przekształcał się w „teoretyka spiskowego" i dlaczego tak wielu zwolenników Reicha nadal uważa, że został on rozmyślnie zamordowany.

Ale wybiegliśmy chyba za daleko w przyszłość.

Wszystko rozpoczęło się w Wiedniu za czasów Zygmunta Freuda, gdzie młody Willy Reich rozpoczynał dominującą w całym jego późniejszym życiu pogoń za czymś, co stało się jego Świętym Graalem (i ostatecznie jego zgubą): „napełniającą życiem" energią seksualnej potencji. Jako wschodząca gwiazda psychoanalizy, Reich przerobił wczesną teorię Freuda dotyczącą libido w coś, co nazwał

teorią „orgiastycznej potencji". Podczas gdy Freud stawiał hipotezę, że podświadome zahamowania seksualne mogą prowadzić do powstania nerwic, Reich doprowadził teorię do logicznego ekstremum, przyjmując, że wszystkie nerwice spowodowane są blokowaniem orgiastycznej energii. Innymi słowy, jeżeli ograniczenia te dotyczyły pewnej kobiety, implikacje sięgały także jej partnera.

Nie trzeba chyba mówić, że idee Reicha o seksualnym leczeniu nie roztopiły lodowatej Austrii lat dwudziestych naszego wieku. Poglądy Reicha okazały się po prostu zbyt radykalne dla zachowawczych wiedeńczyków, a także zbyt hermetyczne nawet dla psychoanalityków. Przylgnęło do niego określenie „ulubieniec Freuda". Ale Reich okazał się w swoich poczynaniach nieco nadaktywny. Dla tej samej przyczyny Reich zalecał udanie się z nim do łóżka niektórym swoim pacjentkom, innym zaś przepisywał

„tylko" masturbację - z pewnością nie to miał na myśli Freud, kiedy

„zinstytucjonalizował łóżko". Ale dopiero decyzja Freuda, by całkowicie odstąpić od teorii libido (częściowo w odpowiedzi na poczynania swego młodszego, szalonego

kolegi, który rozwinął freudowską metaforę seksualną, doprowadzając ją do dosłownej skrajności), ostatecznie ochłodziła stosunki Reicha ze środowiskiem psychoanalityków.

W połowie lat trzydziestych, po równie dramatycznej karierze w szeregach Partii Komunistycznej w Berlinie (uwielbiano jego krytykę hitlerowskiej „seks-polityki", ale edukacja seksualna dla der jugend, w wieku od ośmiu do dwunastu lat spotkała się z gwałtownym sprzeciwem), Reich wyruszył następnie do Skandynawii, będącej wówczas, jak mówił, poza zasięgiem „seksualnie zapóźnionych marksistów i jeden krok przed sadomaso-chistycznymi nazistami". W

Norwegii Reich dokonał pierwszego ze swoich niezliczonych

„naukowych odkryć", ogłaszając swoją teorię o orgiastycznej energii i jej przejawach, czyli „bionach".

Reich stwierdził, że psująca się materia - nawet wy-sterylizowana -

rozpada się na mikroskopijne niebieskie „pęcherzyki", które są w pewnym sensie „żywe". Cząsteczki te nazwał „bionami", wierząc, że tworzą one coś pośredniego między ożywioną i nieożywioną materią.

Niektóre biony emitowały rodzaj radioaktywnej energii, która powodowała, że gdy umieścił je na swojej dłoni, skóra w tym miejscu czerwieniała.

Reich głosił, że ten rodzaj radiacji, który emitowały biony, jest energią „dającą życie" i nazwał ją „orgono-wą", ponieważ, jak mówił, jest ona tym samym, co energia seksualna pojawiająca się przy orgazmie. Według słów Reicha udało mu się odkryć ogniwo łączące psychologię z biologią, poprzez znalezienie energii, która odnosi się zarówno do ludzkiego umysłu, jak i ciała.

Oczywiście świat naukowy miał zupełnie odmienną opinię: Reich był

jedynie fantazjującym dyletantem, „którego kapelusz był nieco za ciasny". Mimo że Reich nigdy nie twierdził, iż „stworzył" życie (jak mówił, odkrył jedynie jego źródło), przylgnęła do niego etykietka dr.

Frankensteina, do czego przyczyniły się bez 145

wątpienia jego wydumane eksperymenty przeprowadzane w Austrii z mierzeniem bioelektrycznej energii orgazmu całujących się par.

Jak zauważali sceptyczni biolodzy, pulsujące pęcherzyki bionów Reicha były jedynie pewną odmianą występujących normalnie w przyrodzie mikrobów lub też wadliwie zinterpretowanym jakimś innym ziemskim zjawiskiem. Niemniej kolejne próby tego eksperymentu wykonane przez Reicha, zawsze przynosiły te same rezultaty. Również wielu współczesnych badaczy twierdzi, że powtarzając ten eksperyment otrzymują w jego wyniku tajemnicze, trudne do zinterpretowania twory Reicha.

Niemniej to wcale nie znaczenie tego odkrycia, ale prowokujące zachowanie Reicha wzbudziło zainteresowanie norweskiej prasy popularnej. Kim jest ten przybyły z zagranicy psychiatra, oglądający swych pacjentów w bieli-źnie, zalecający im wzajemne obmacywanie się, przeprowadzający bioelektryczne eksperymenty uspokajające, a teraz jeszcze powodujący pulsowanie pęcherzyków? W

prowincjonalnym Oslo wybuchł skandal, co doprowadziło Reicha, ku zadowoleniu jego profesjonalnych i politycznych wrogów, do spakowania walizek i udania się ku zdawałoby się obdarzonej

„sprzyjającym klimatem" Ameryce.

Reich rozpoczął swoje prace badawcze w Nowym Jorku oraz w Orgononie, jak nazwał od energii orgono-wej swój letni dom w Rangeley, w stanie Maine. (Reich lubował się w wyszukiwaniu technicznych neologizmów, które miały dodawać naukowego charakteru jego nieakceptowalnym teoriom. Dyscyplina zajmująca się energią orgonową - orgonomia. Rad wzbogacony skoncentrowanym orgonem - orur.)

W 1940 roku Reich sformułował swoją teorię o or-gonowej energii, ogłaszając, że siła życiowa kosmosu nie tylko przepływa przez seksualnie zdrowe osobniki i pomiędzy pulsującymi bionami, ale występuje praktycznie „wszędzie". (Jednakże u osobników ze stłumionymi zachowaniami seksualnymi przepływ energii miał ulegać 146

zatrzymaniu, tworząc emocjonalne i psychiczne napięcia czy też efekt

„zamykania się".) Reich utrzymywał, iż zaobserwował niebieskawe orgony przeskakujące z małym trzaskiem pomiędzy gwiazdami na nocnym nieboskłonie, a także w zacienionym pokoju.

Uważał także, iż udało mu się wytworzyć pole or-gonowe, emitowane przez biony w specjalnie zbudowanym pudle, wyłożonym wewnątrz metalową blachą, a z zewnątrz zabezpieczonym drewnem i

innymi materiałami organicznymi. Reich wierzył, że metal odbija owo promieniowanie. Ten niecodzienny wynalazek nazwał „akumulatorem energii orgonowej". Wywołało to później oburzenie Biura do Spraw Żywności i Leków (FDA), Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy i środowiska psychiatrycznego.

Akumulator miał wzmacniać radiację bionów, a spoglądając przez iluminator urządzenia, Reich dostrzegł zadziwiające efekty: niebieskawe opary i migoczące żółte linie i punkty. Co ciekawsze, nawet jeżeli w pudle nie było bionów, obserwował podobny efekt, chociaż w nieco mniejszym stopniu. Wyjaśniał to tym, że występujący powszechnie w atmosferze orgon przenika do środka pudła i tam się akumuluje.

Eksperymentując ze swoim akumulatorem orgonu Reich osiągnął

pewne interesujące rezultaty. Po włożeniu ręki do pustego akumulatora odczuwał wyraźne uczucie szczypania. Kiedy z kolei mierzył temperaturę wewnątrz skrzyni, zauważył, że jest ona o pół

stopnia wyższa od temperatury panującej w pomieszczeniu - co miało być widocznym znakiem gromadzenia się w środku energii.

By dodać znaczenia swemu niecodziennemu odkryciu, Reich, nie tracąc czasu, doprowadził do „spotkania mózgów", jak to określił, z samym Albertem Einsteinem. Spędził pięć godzin ze sławnym fizykiem w domu w Princeton, wyjaśniając swoje teorie i namawiając Einsteina do obejrzenia energii orgonowej przez specjalną tubę umieszczoną w zaciemnionym pokoju.

Możemy jedynie przypuszczać, co w tych chwilach myślał sobie Einstein, który jednakowoż grzecznie przysłuchiwał się wszystkim wywodom. W końcu Reich zademonstrował swój akumulator, przeprowadzając eksperyment z temperaturą. Einstein jednak wysnuł

konkluzję, że zjawisko różnicy temperatur wynika zapewne z prądów konwekcyjnych powodujących ochładzanie pomieszczenia.

Biograf Einsteina, Ronald Clark, opisał Reicha jako humoreskowego człowieka i zagubionego psychoanalityka. „Ta pełna ekscentryzmu, roztargniona postać wyglądała, jakby zeszła w kierunku szarlatanerii i szaleństwa".

Jednakże biograf Reicha, Myron Sharaf, donosi, że od lat pięćdziesiątych odbyło się ponad dwadzieścia „pozytywnych eksperymentów" z temperaturą, a niektóre z nich z zastosowaniem dokładnej kontroli prowadzącej do wyeliminowania „efektu konwencji".

Odtrącenie ze strony Einsteina wcale nie zniechęciło nieugiętego Reicha do dalszych niecodziennych odkryć. „Nie gramy tu o orzeszki"

- zwykł mawiać swym donośnym głosem.

W późniejszym czasie Reich rozpoczął badania nad rakiem. Odkrył

inny rodzaj mikroskopijnych bionów, które rozwijały się w rozkładającej się materii: czarne pręcikowate organizmy, które mogły unieruchamiać niebieskawe, podobne do ameby biony. Te nowe organizmy nazwał zarazkiem T. Kiedy zaszczepił zarazkiem T myszy, gryzonie wkrótce umierały, wiele z nich na

raka. Reich odkrył też, że na krwi chorych na raka pacjentów może wyhodować wiele zarazków T, natomiast na krwi zdrowych osób - znacznie mniej. Czy biony mogły być kluczem do zrozumienia istoty raka?

Reich odkrył, że zarażone rakiem myszy, „leczone" w akumulatorze orgonowym, żyły przeciętnie siedem tygodni dłużej aniżeli gryzonie pozbawione takiej terapii. Nic dziwnego, że wkrótce Reich i jego współpracownicy zaczęli budować akumulatory o rozmiarach budki 148

telefonicznej - zarówno dla siebie, jak i dla chorych na raka pacjentów.

Z piętnastu pacjentów z zaawansowaną chorobą nowotworową, których Reich wziął pod swoją opiekę w latach czterdziestych, sześciu żyło od pięciu do dwunastu miesięcy dłużej, niż powszechnie się spodziewano, chociaż mimo to umierali. Sześciu innych żyło nadal, gdy dwa lata później Reich opublikował swoje odkrycia. Reich utrzymywał, że terapia orgonowa zmniejsza ból i rozmiar guzów.

Nigdy natomiast nie twierdził, jak to mu później mylnie przypisywali członkowie FDA, że akumulatory mogą leczyć raka. W

rzeczywistości Reich uważał, że sam akumulator nie może leczyć leżącej znacznie głębiej przyczyny raka: jeszcze raz przytaczanego stłumionego libido. (Nacisk kładziony przez Reicha na ogólne zdrowie pacjenta i związek pomiędzy jego psychicznym i fizycznym samopoczuciem był w owym czasie jeszcze mało popularny w środowiskach lekarskich.)

Później pojawił się zasilany orgonem silnik, który przysporzył

Reichowi licznych prześmiewców mogących na tymże znaleźć pożywkę do kpin. Perpetuum mobile - wiecznie pracująca maszyna - z pewnością brzmi to jak typowy amerykański szwindel. W rzeczy samej, wedle Sharafa, studenta i przyjaciela Reicha, silnik pracował

na kombinacji energii orgonowej, skoncentrowanej w dołączonym akumulatorze, i elektryczności, ale „w ilości niewystarczającej do obracania koła bez udziału akumulatora".

Kiedy student, który zbudował ów silnik, znikł z Or-gononu - razem z całym urządzeniem - ogarnięty szałem Reich zaczął podejrzewać, że jego inżynierski geniusz zostanie wykorzystany przez Komisję Energii Atomowej, komunistów czy też innych złoczyńców. Reich nigdy nie opublikował szczegółów o tym urządzeniu, dając powody do dalszych spekulacji na temat jego autentyczności.

149

Jak stwierdzał jego biograf, Reich „zawsze był zdolny do obłędnych wynalazków, choć tendencja ta nasiliła się znacznie w czasie ostatnich lat". Nie możemy jednak zapominać, że w czasie rodzącej się ery atomowej i okresie zimnej wojny, paranoja właśnie na terenie Ameryki zbierała rekordowe pokłosie.

W 1950 roku, kiedy wojna koreańska przyniosła groźbę globalnej katastrofy nuklearnej, Reich łudził się nadzieją, że jego orgonowy akumulator może pomóc w leczeniu choroby popromiennej. W ten sposób doszło do rozpoczęcia dramatycznego eksperymentu Oranur, który dla wielu zwolenników Reicha oznaczał przełom - zarówno w nauce jak i w teorii spiskowej.

Eksperyment rozpoczął się dość dramatycznie, kiedy Reich umieścił

wewnątrz serii połączonych akumulatorów miligram radu. Niemal natychmiast liczniki Geigera oszalały, wskazując pomiar wykraczający poza skalę. Pracownicy laboratoryjni dostali zawrotów głowy i nudności. Atmosferę opisywano jako „ciężką" i „napiętą". Ale gdy eksperyment przeniesiono z pomieszczenia zamkniętego na otwarte powietrze, licznik Geigera zarejestrował normalne wskazania.

Mimo to radiacja w pomieszczeniu nie dała się rozproszyć. Reich, pomimo zaczerwienionej skóry, następnego dnia dalej kontynuował

eksperyment. Gdy z powrotem włożył rad do akumulatora, dostrzeżono wydostającą się przez okna pomieszczenia niebieską chmurę. Ludzie znajdujący się w odległości co najmniej trzydziestu metrów od budynku żalili się na trwające tygodniami objawy chorobowe. Nieco później, kiedy dorosła córka Reicha włożyła głowę do wnętrza pustego akumulatora, zapadła w rodzaj paraśpiączki, odzyskując przytomność dopiero po kilku godzinach.

Tak więc czym był efekt Oranur (czy jakby to ujął Reich „orgon antynuklearny")? Reich stwierdził, że promieniowanie przemieniło atmosferyczną energię or-gonową w złośliwą siłę, tak jak zdrowe biony mogą

przemieniać się w zarazki T. Reich nazwał negatywnie wzmocnioną energię śmiertelnym promieniowaniem or-gonowym, inaczej DOR.

Wiarę Reicha w to, że orgon „oszalał", podtrzymał artykuł

opublikowany 3 lutego 1951 roku na łamach „New York Timesa" -

trzy tygodnie po eksperymencie. „Times" donosił, że w promieniu od 500 do 1000 kilometrów od... Rangeley, w Mai-ne, stwierdzono niespotykanie wysoki stopień promieniowania radioaktywnego.

Spiskowy badacz Jim Martin uważa, że kolejne kłopoty Reicha z prawem były powiązane z jego przypadkowym odkryciem efektu Oranur. „Wilhelm Reich został uwięziony - pisze Martin - ponieważ już w latach pięćdziesiątych natrafił na przejmujące fakty dotyczące promieniowania radioaktywnego, co mogło stanowić poważne zagrożenie dla nowo rozwijającego się przemysłu jądrowego". Jaki miałby być ten sekret odkryty przez Reicha? Że nie ma możliwości ochrony przez biologicznymi efektami promieniowania radioaktywnego - pyta Martin.

W czasie eksperymentu Oranur Reich miał już problemy z przedstawicielami FDA, zwłaszcza po dwóch negatywnych artykułach o Reichu, które ukazały się w „Harper's" i „New Republic". Zostały one napisane przez dziennikarza Wilfreda Brandy'ego, który prywatnie nazywał teorie Reicha dotyczące choroby nowotworowej

„wariactwem". Artykuły te dawały przebiegłe porównania pomiędzy seksuologiem Reichem i wiejską sceną seksu. Brandy kreślił również subtelne paralele pomiędzy Reichem i, ciągle alarmującym Amerykanów zjawiskiem, kultem proroka. Stanowisko Brandy'ego brzmiało niezwykle jasno: „jeżeli wzrastający kult Reicha nie zostanie ograniczony, może zostać poddany sankcjom państwowym". Jednak największą ujmę przynosiło Reichowi fałszywie przez Brandy'ego wywołane wrażenie, jakoby Reich

twierdził, że jego akumulatory mogą dostarczyć pacjentom „orgiastycznej potencji" i leczyć raka.

151

Kolejny raz Reichowi potrzebne było wsparcie dobrego agenta prasowego. Inni dziennikarze podchwycili myśl Brandy'ego i nagłośnili jej przekłamania, m.in. w „Collier", gdzie pisano: „jak podawał dr Reich, jego akumulator może leczyć wszystkie przypadłości zdrowotne, od zwykłego przeziębienia do raka".

Magazyn „True" nazwał to urządzenie „cudownym pudłem seksu", co czyniło z akumulatora Reicha coś zbliżonego do „orgasmatronu" z filmu Woody Allena Sleeper (Śpioch). Konkluzja była jasna: Reich był niebezpiecznym szaleńcem. Być może nawet należało go izolować. Zaczęły krążyć nieprawdziwe dane, że Orgonon był ostoją seksu czy też „obozem nudystów", który „kusił" dzieci z pobliskiego letniska. Jak rozgłaszano, pomiędzy „orgiami" pacjentki poddawano jeszcze „masturbacji".

Reich, dawny komunista przemieniony w republikanina, był

przekonany, że za atakiem skierowanym przez magazyn „New Republic" stali jego starzy wrogowie, stalinowcy (czerwoni faszyści).

Istotnie, główny redaktor pisma, Henry A. Wallace, rzeczywiście związany był z amerykańskimi komunistami, poprzez udział w wyścigu o urząd prezydenta w 1948 roku z ramienia Partii Postępowej.

Nie ulega wątpliwości, że negatywna kampania prasowa pozwoliła stworzyć całą ofensywę przeciwko Reichowi, która została zapoczątkowana przez Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy i większość środowiska psychiatrów. Reichowi grożono sądem, ponieważ FDA rozpoczęło (bezskuteczne zresztą) poszukiwania właściciela legendarnego już akumulatora - jako że Reich zaczął

rozprowadzać swoje „urządzenia" (jak to zawsze FDA je określała) wśród zapalonych odbiorców na całym Wschodnim Wybrzeżu.

Wstrząśnięty, choć nie wytrącony z równowagi Reich kontynuował

swe badania nad Śmiertelnym Promieniowaniem Orgonowym (DOR), w którym widział globalne zagrożenie w erze testów nuklearnych. Po eksperymen-152

cie Oranur zauważył czarne, przypominające smog chmury wiszące złowrogo nad horyzontem. Przekonany, że były to opary DOR, Reich wynalazł swój rozpraszacz chmur, który działał jak piorunochron, ściągając DOR z nieba. Używał tej maszyny - o futurystycznym kształcie, wziętym jakby prosto z planu filmowego Mad Max - do wywoływania deszczu. W każdym razie wśród miejscowych farmerów zasiał przekonanie, że potrafi wpływać na pogodę. Za zakończone sukcesem „odwrócenie suszy" dostawał od nich nawet odpowiednie wynagrodzenie. W późniejszym czasie Reich pojawił się ze swoim urządzeniem na pustyni w Arizonie. Gnany był

przekonaniem, że DOR powoduje pustynnienie terenu. Wyruszył

więc, by sprawdzić, czy uda mu się spowodować odwrócenie tego zjawiska.

W tym czasie FDA przystąpiła do ataku. W 1954 roku, na życzenie tej organizacji, prokurator stanowy w

Maine wniósł sprawę przeciwko Reichowi. Oskarżenie sugerowało, że Reich jest szarlatanem, poza tym bez żenady przekręcano zeznania wielu użytkowników akumulatora. Reich uporczywie odmawiał pojawienia się w sądzie, być może nie w pełni rozumiejąc amerykański system prawny, a być może zaczynając uginać się pod coraz większym naciskiem opinii publicznej. FDA wygrała swoją sprawę, której wyrok był

nieproporcjonalnie wysoki do przewinienia: Reich został zobligowany do zniszczenia nie tylko swoich akumulatorów, ale także literatury

„promującej" zarówno akumulatory, jak i jego teorie o energii orgonowej. Obejmowało to większą część jego spuścizny pisarskiej, a trzeba przyznać, że Reich był płodnym autorem.

Poirytowany Reich szybko wysłał telegram do oskarżających go władz, grożąc potopem ze swego rozprasza-cza chmur: „Pogrążymy w potopie cały Wschód, tak jak wy osuszyliście cały Południowy Zachód. Nie zadzierajcie z osobami prowadzącymi poważne badania nauko-153

we". Jak pisał biograf Sharaf: „Śnieg w Rangeley i deszcze wzdłuż wybrzeża Nowej Anglii wystąpiły po mających wpłynąć na pogodę zabiegach Reicha; prognoza pogody wcale ich nie przewidywała".

Przejęty Reich pospiesznie wysłał telegram do J. Edgara Hoovera, triumfalnie donosząc o swoim osiągnięciu.

Do tej pory Reich był przekonany, że prezydent Eisenhower potajemnie sprawował nad nim pieczę, w podzięce za skonstruowanie przez Reicha „powietrznego działa" do zwalczania UFO.

Kiedykolwiek odrzutowce sił zbrojnych przemykały nad głowami, brał je za rodzaj prezydenckiego pozdrowienia.

Reich przedsięwziął samotną walkę. W swej książce Contact with Space (Kontakt z kosmosem) spekuluje, że piloci UFO - CORE men (Cosmic ORgone Energy) - mieli zapewne niezbyt szlachetne plany dotyczące naszej planety. „Nie ma ucieczki przed faktem, że znajdujemy się w stanie wojny z nie znaną człowiekowi siłą" - pisał.

UFO powodują pustynnienie ziemi, a substancje powstałe przy spalaniu ich paliwa rozpylają w atmosferze szkodliwy DOR. Mimo to Reich powiązał swoją teorię z ideą „emocjonalnej plagi": ludzka

„emocjonalna pustynia" pobudzała istoty latające w UFO w ich wysiłkach do zasypania naszej planety DOR.

Wracając na ziemię - FDA i państwo „czerwonych faszystów" pod rządami Moskwy [sic!] wszczęło postępowanie sądowe, gdy jeden ze znajomych Reicha przewiózł akumulatory orgonowe przez granice stanu. Tym razem Reich sam pojawił się w sądzie, próbując przedstawić domniemany przez niego spisek, ale sędzia prawidłowo wskazał, że tym razem sprawa dotyczy zupełnie czego innego. Mimo to Reich wzbudził zainteresowanie sędziów, gdy wykazał, że główny oskarżyciel był jego uprzednim przyjacielem w Orgonon, co wzbudziło pewne podejrzenia, od konfliktu interesów do próby wpędzenia w zasadzkę.

W tym momencie było już jednak po wszystkim. 7 maja 1956 roku Reich został skazany na dwa lata

więzienia, szczególnie surowy wyrok jak dla schorowanego, pięćdziesięciodziewięcioletniego człowieka. Jeszcze tego samego roku agenci FDA nadzorowali zniszczenie pięćdziesięciu trzech akumulatorów i spalenie ponad sześciu ton książek oraz innych publikacji, w tym klasyki Reicha, The Sexual Revolution i The Mass Psy-chology of Fascism, mimo że zostały napisane na długo przed zbudowaniem pierwszego akumulatora. Mimo złowieszczej atmosfery - palenia ksiąg - której Reich posmakował już poprzednio w Trzeciej Rzeszy - popularna prasa nie zwróciła na to wydarzenie najmniejszej uwagi.

Reich zmarł na serce w więzieniu 3 listopada 1957 roku, zaledwie dwa miesiące przed terminem wyjścia na wolność.

Pewne szczegóły dotyczące śmierci Reicha wydają się mocno podejrzane dla jego zwolenników. Nigdy nie odnaleziono rękopisu, który, jak oświadczał, ciągle pisał. Reich wspominał też swej żonie, że kiedy prosił o aspirynę, dostawał jakieś purpurowe tabletki; kiedy z kolei wysłała ona list, prosząc w nim o wgląd w dane z więziennego szpitala, strażnik napisał na marginesie jedynie notkę odmowną. Na dodatek, jak podaje w swojej książce Jim Martin, Ewa, córka Reicha, obecnie podejrzewa, że coś niepokojącego dzieje się wokół jej osoby.

Nie trzeba nadmiernie spekulować, by wyjaśnić smutny koniec Reicha. Radykalne idee doktora, jego wspaniałe, choć nie do końca udokumentowane naukowo odkrycia, a także jego gigantyczna wola zawsze powodowały, że owa „emocjonalna plaga" skierowała się przeciwko niemu. Wciąż pozostaje nie wyjaśniony, niczym chmura DOR, wkład Reicha w dziedziny psychologii i terapii socjologii, wychowywania dzieci, a być może także biologii i fizyki.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Jim Martin. W ho Killed Wilhelm Reich? W Apocalypse Culture (wydanie poszerzone i uaktualnione), wydane przez Adam Parfrey.

Los Angeles: Feral House, 1990.

Jim Martin. Quigley, Clinton, Straighty, and Reich. Steamshovel Press, no. 8 (lato 1993).

Myron Sharaf. Fury on Earth: a Biography of Wilhelm Reich. Nowy Jork: St. Martin's Press, 1983.

Colin Wilson. The Quest for Wilhelm Reich. Garden City, N.J.

Anchor Press/Doubleday, 1981.

Podziękowania dla Jima Martina z „Flatland" za opracowanie materiałów dotyczących tego rozdziału.

17. Oszustwa wyborcze

Żaden akt polityczny nie wymaga tak wielkiego zaufania obywatela jak głosowanie. Dla szarego człowieka jedyna szansa aktywnego uczestnictwa w demokracji pojawia się w chwili, gdy wrzuca do urny swój głos. A co dzieje się dalej z tym głosem? Jak to jest, kiedy zostanie już naciśnięta dźwignia, przedziurkowana karta komputerowa, czy też znak X umieszczony w odpowiednim okienku?

Ken i Jim Collierowie zauważają, że w noc po narodowych wyborach w Stanach Zjednoczonych głosy wyborców zostają przeliczone przez jedną centralną, znajdującą się w rękach prywatnych korporację. Jej właścicielami są te same media, które składają raport o wynikach wyborów. W 1964 roku News Election Service - (NES) Wyborczy Serwis Informacyjny został przejęty przez ABC, CBS, NBC, Associated Press oraz United Press International. Stało się tak albo dlatego, by obliczanie głosów odbywało się pod kontrolą odpowiedzialnych organizacji prasowych, ogłaszających skrupulatnie przeliczone i terminowo opublikowane wyniki głosowania, albo też by dzierżąc materiał wyborczy w jednym ręku umożliwić dokonywanie manipulacji wynikami.

Collierowie podzielają ten drugi punkt widzenia, co nie jest aż takie dziwne, ponieważ jako autorzy książki Yotescam (Skandal głosowań) stali się adwokatami teo-159

rii, że wszystkie ogólnonarodowe wybory w Stanach Zjednoczonych, zarówno prezydenckie, jak i do Kongresu, zostały sfałszowane.

Jak twierdzą panowie Collier, NES zapewnia idealny wręcz mechanizm dla dokonywania machlojek - zwłaszcza w epoce powszechnej komputeryzacji. Małe oszustwa za pomocą jednego, centralnego i znajdującego się w prywatnych rękach, zliczającego głosy komputera - o ileż łatwiejsze jest teraz dokonywanie zmian, w porównaniu z transportowaniem urn z głosami gdzieś na pustkowia zachodniego Teksasu, by tam je zniszczyć.

Collierowie wysuwają następującą hipotezę: najbardziej znaczące korporacje w świecie mediów dyskretnie używają bezpośredniego dostępu do NES, by z wyprzedzeniem ustalić wyniki głosowania.

Dzięki temu mogą nie tylko podawać niezwykle zbliżone do końcowych wyniki przewidywań, ale także bezpośrednio wybierać wręcz osobę prezydenta i członków Kongresu. Nic dziwnego, że wybrani tą drogą politycy stają się z kolei rzecznikami interesów owych korporacji.

Prawdziwe wyniki głosowania są weryfikowane przez lokalnych urzędników - jedynych publicznych przedstawicieli uczestniczących przy obliczaniu głosów. Proces ten ciągnie się jednak miesiącami. Do tego czasu wszyscy tracą zainteresowanie wyborami, a media zazwyczaj i tak nie ogłaszają lokalnych oficjalnych rezultatów, a jeżeli to robią, jest przecież wystarczająco dużo czasu, by manipulować również i tymi danymi.

Największe kompanie na rynku mediów utworzyły NES w czasie, gdy zdano sobie sprawę, iż poprzednia praktyka indywidualnego zbierania wyników głosowania prowadziła niekiedy do kłopotliwych rozbieżności w poszczególnych raportach. Dzisiaj jednakże właściwe rezultaty nie mają znaczenia. Raporty mediów o wyborach pochodzą niemal wyłącznie z agencji, które w wybranych losowo punktach pytają odchodzących od urn, na kogo oddały głos.

Takie zbieranie wstępnych szacunków zostało szeroko (i 160

słusznie) skrytykowane za przeniesienie procesu wyborczego z rąk głosujących, oddając go w ręce statystyków. Przynajmniej jednak reprezentuje to mały krok w kierunku decentralizacji obliczania wyników głosowania.

W 1990 roku ta sytuacja uległa jednak radykalnej zmianie. Jak donosił

26 lutego 1990 roku „New York Times": „Trzy większe sieci telewizyjne uzgodniły, że ogłoszenie wyników nastąpi tego samego dnia, co każdej organizacji ma zapewnić dostęp do tak ważnej informacji w tym samym czasie".

Ta połączona grupa sieci telewizyjnych działa od wyborów do Kongresu w 1990 roku. Otworzyła się zatem kolejna możliwość nadużyć.

Oszustwa wyborcze w Stanach Zjednoczonych są tak stare jak amerykańska demokracja. Collierowie opierają swe przekonanie o ich istnieniu wybiegając w swych spekulacjach poza nieskończoną liczbę dobrze udokumentowanych lokalnych machlojek. Zauważają, że technologia komputerowa jedynie ułatwiła dokonywanie zmian końcowych wyników. Najpopularniejszy program do obliczania głosów, EL-80, jak odkryli to niezależni eksperci, umożliwiał zmianę nazwisk kandydatów, nie wpisywał niektórych głosów i nie drukował

błędnych raportów. Program EL-80 nie został wyposażony w niezbędne zabezpieczenia. Napisany w COBOL-u, języku programowania popularnym na początku lat osiemdziesiątych wśród studentów college'ów, pozwalał na łatwe „włamanie się" do programu.

Podsumowując przytoczone fakty, zdaniem Collie-rów, centralizacja procesu ogłaszania wyników wyborów, zawodność głosowania przy użyciu najnowszej techniki i władza korporacji, wszystko to składa się na jeden smutny wniosek: „Jest to przepis na ukrytą kradzież Ameryki".

GŁÓWNE ŹRÓDŁA

James M. Collier. Votescam: The Stealing of America. Nowy Jork: Yictoria House, 1993.

18. Matka wszystkich afer „gate"

Watergate, matka wszystkich skandali noszących w swej nazwie

„gate", z pewnością należy do najsłynniejszych amerykańskich spisków. Większość ludzi przynajmniej pobieżnie zna zarysy skandalu: „trzeciorzędne włamanie"; wysiłki Richarda Nixona zmierzające do ukrycia tego przestępstwa i wielu innych; osiem-nastominutowa przerwa w taśmach z nagraniami z Białego Domu; manipulacje Nixona, CIA i FBI dążących od zatuszowania sprawy oraz oświadczenie bliskiego poddania się i rezygnacji Nixona: „Nie jestem kłamcą".

Zatrzymajmy się tu jednak na chwilę i spróbujmy sobie uświadomić, jak niewiele właściwie wiemy o tym gigantycznym spisku, który spowodował tak ogromne zamieszanie. Już na początku pojawiają się podstawowe pytania: kto zlecił dokonanie włamania do siedziby władz Komitetu Krajowego

Demokratów w kompleksie Watergate i czym była powodowana ta decyzja? Które telefony były na podsłuchu? A gdy już rozpoczęło się tuszowanie całej sprawy, kto dokładnie to robił i na czyje zlecenie?

Tę otwierającą się lukę wykorzystują ci, którzy pragną ukazać Watergate w innym świetle. Niektórzy, uzbrojeni po zęby w kontrteorie, próbują zrehabilitować zaszarganą reputację Richarda Nixona. Inni odsłaniają nieodparte ponoć dowody, rzucające cień wątpliwości na powszechnie znaną wersję wydarzeń.

Spróbujmy wrócić do samych początków afery Watergate, czyli wczesnego poranka 17 czerwca 1972 roku. Przybyli na wezwanie służb ochronnych kompleksu Watergate ubrani po cywilnemu policjanci natrafili na pięciu zamaskowanych włamywaczy, ukrywających się za meblami w biurze wyborczym demokratów. Jak się wkrótce okazało byli nimi przeszkoleni przez CIA kubańscy uchodźcy oraz były pracownik CIA James

McCord. Znaleziono przy nich aparaty fotograficzne, urządzenia podsłuchowe oraz narzędzia do otwierania zamków. Całą operacją kierował z pokoju w pobliskim hotelu „były" pracownik CIA E.

Howard Hunt i związany z Białym Domem G. Gordon Liddy. To właśnie Hunt dokonał rekrutacji uchodźców kubańskich, związanych z nim od czasu działań w Zatoce Świń. Trzeba wiedzieć, że Hunt, Liddy i McCord byli wykonawcami zlecanych przez Nixona „zadań specjalnych". Tradycyjna wersja wypadków podaje, że włamywacze albo próbowali umieścić elektroniczne urządzenie podsłuchowe w telefonie należącym do liberalnych demokratów, albo też chcieli wymienić zepsute urządzenie, zainstalowane podczas wcześniejszego włamania.

Teoria ta nie do końca jednak wyjaśniała wszystkie wątpliwości i -

mimo swej popularności, wciąż pozostała jedynie „teorią". Już od początku dochodzenia włamywacze podawali sprzeczne wersje dotyczące celu włamania. Liddy sugerował, że miały nim być pewne dokumenty będące w posiadaniu przewodniczącego biura wyborczego demokratów, Larry 0'Briena, obciążające Nixona, natomiast Hunt i dwaj Kubańczycy twierdzili, że wykonywali jedynie zadanie wywiadu dotyczące innych pomieszczeń w biurze. Jeżeli wersja ta miałaby być prawdą, to czy istniały realne powody do ponoszenia aż tak wielkiego ryzyka? Przedstawiciel Nixona ds. kontaktów z Kongresem zaznaczył:

„Należy wykorzystywać szanse, jeżeli się tylko takowe nadarzają, ale ta akcja była całkowitą klapą".

Nic dziwnego, że pewien „nie nazwany konspirator" sam szczerze wyznał: „Ta cała sprawa była tak beznadziejna i sfuszerowana, że wyglądała niemal jak ukar-towana". Oświadczenie to zawarł w swoich wspomnieniach sam Richard Nixon, w charakterystyczny sposób wywracając całą historię do góry nogami, by ukazać siebie jako jej ofiarę. Kim więc byli właściwi winowajcy? Oczywiście jego rozlicznymi wrogami. Tuż przed

ustąpieniem ze stanowiska Nixon ujawnił pewne fakty, świadczące o tym, że „demokraci posiadali wstępne informacje o tej próbie włamania i że organizacja Howarda Hughesa mogła być w to

wciągnięta..."

Prowadzi to do popularnej wśród zatwardziałych lojalistów Nixona hipotezy o zasadzce zastawionej przez demokratów. Teoria ta ma faktyczne oparcie w siedmiu tomach zeznań zebranych w trakcie senackiego dochodzenia w sprawie Watergate. Ujawniło ono, że w kwietniu 1972 roku prywatny detektyw A. J. Woolstein--Smith powiadomił zastępcę Larry'ego 0'Briena i dziennikarza Jacka Andersona o akcji szpiegowskiej wymierzonej w DNC. Woolstein-Smith opisał rozpoczętą akcję z pewnymi szczegółami, począwszy od jej celu - biura w kompleksie Watergate - do kubańskich uczestników zespołu.

Posiadający tę informację stronnicy Nixona wysuwają zagmatwaną teorię, która ma odsunąć winę prezydenta za powstały skandal.

Według niej demokraci wiedząc o tym, że republikańscy włamywacze zamierzają dostać się do budynku Watergate, zastawili na nich pułapkę.

Jeszcze inną wersję teorii z zasadzką wysuwają przedstawiciele tak różnych orientacji politycznych jak H. R. Haldeman (szef sztabu Nixona) i lewicowy krytyk Carl Oglesby. Sugerują oni, że Carl Shoffler, oficer policji, który dokonał aresztowań w Watergate, już wcześniej został powiadomiony o planowanym włamaniu - albo przez demokratów, albo też przez jednego z włamywaczy.

Jakie były dowody świadczące „przeciwko" Shoffle-rowi? Po pierwsze, mimo zakończenia swojej zmiany, wziął on ośmiogodzinny dyżur do późna w nocy - i to w dniu swoich urodzin. Gdy z kolei nadeszło wezwanie od strażnika, Shoffler ze swoimi ludźmi znajdował się w pobliżu Watergate, jakby tylko na to czekając. Co więcej, znajomy Shofflera, Edmund Chung, zeznał, że podczas wspólnego obiadu tuż po incydencie miał wrażenie, że Shoffler posiadał wcześniejsze informacje

próbie włamania. Shoffler odrzucił ten zarzut, twierdząc przy okazji, że Chung ofiarowywał mu „pożyczkę w wysokości 50 tysięcy dolarów", jeżeli tylko Shoffler „przyznałby się" do posiadania wcześniejszych informacji o włamaniu. Shoffler wysunął również pod adresem Senatu sugestię, że Chung mógł być agentem CIA. Ten zarzut nigdy nie został udowodniony, co więcej, wyglądał na mało prawdopodobny. Shoffler utrzymywał też, że jego decyzja o wzięciu nadgodzin wynikała „z czysto osobistych pobudek". Tak kończy się w ślepym zaułku teoria o policyjnej zasadzce.

Inne teorie biorące pod uwagę zastawienie pułapki podsuwają też różnych winnych, w tym wszędobylskich agentów Howarda Hughesa, Jacka Andersona i CIA. Gary Allen zatytułował jeden z rozdziałów w swej książce o Rockefellerach: „Czy Nixon został wciągnięty w aferę Watergate?" Allen zaznacza, że wstąpienie na urząd prezydencki Geralda Forda również stało się powodem przysłowiowej gorączki multimiliardera Nelsona Rockefellera, odsuniętego tym samym od wpływu na prezydenckie decyzje.

Wiele lat po przetoczeniu się całej afery przez łamy prasy ukazały się nowe teorie oparte na wielu dodatkowych świadectwach. Warto zwrócić uwagę zwłaszcza na dwie książki. Secret Agenda (Tajny cel) Jima Houga-na i Silent Coup (Cichy przewrót) Lena Colodny'ego 1

Roberta Gettlina. Autorzy próbują zasugerować teorię, że afera Watergate wcale nie musiała zrodzić się i dotyczyć bezpośrednio najwyższych kręgów władzy.

Z lektury książki Silent Coup wynika, że kluczem do tajemnicy Watergate był prezydencki doradca John Dean. Jest to nowa, kontrowersyjna rola Deana. Do historii przeszedł on jako marginalna postać, która nagle zaczęła wskazywać domniemanych sprawców skandalu: byłego prokuratora generalnego Johna Mitchella, szefa sztabu H. R. Haldemanna, głównego doradcę ds. polityki wewnętrznej Johna Erlichmana i oczywiście Nixona.

Jaki mial być więc cel Deana? Nic tak nudnego, jak nagrywanie rozmów telefonicznych czy przeczesywanie akt w celu odkrycia politycznych brudów. Według Silent Coup i Secret Agenda powodem zaistnienia afery Watergate był seks! W swojej książce Secret Agenda Hougan sugeruje bowiem, że prawdziwym celem włamania było uzyskanie dostępu do tajnych akt z nazwiskami, telefonami i zapewne kuszącymi zdjęciami prostytutek. W tym miejscu wypada zapewne dodać, że w czasie włamań do kompleksu Watergate, w znajdującym się w pobliżu eleganckim budynku Columbia Plaża działał krąg dobrze opłacanych dziewcząt do towarzystwa.

Zdaniem Phillipa Bailleya, młodego prawnika-sutene-ra powiązanego z kręgami prostytutek, pracownik w siedzibie DNC aranżował

schadzki kobiet lekkich obyczajów z bossami Partii Demokratycznej.

W biurach DNC znajdowały się zapewne materiały ze zdjęciami panienek, służące do celów reklamowych.

Być może aresztowanie Bailleya pod zarzutem strę-czycielstwa było powodem fatalnego w skutkach drugiego włamania do Watergate.

Colodny i Gettlin odkryli, że John Dean wykazywał specjalne zainteresowanie nagłośnionym aresztem Bailleya. W spontanicznym i wydaje się „nieautoryzowanym" ruchu prezydencki doradca wezwał

prokuratora federalnego zajmującego się sprawą Bailleya do swojego biura na osobistą rozmowę. Wtedy też Dean miał uzyskać wgląd w ważny dla niego dowód: katalog Bailleya z adresami.

Zdaniem Colodny'ego i Gettlina, którzy budują swoją teorię na założeniach podanych w książce Hougana, ówczesna narzeczona Deana, Maureen Biner, była przyjaciółką kobiety opiekującej się panienkami do towarzystwa. Co więcej, Colodny i Gettlin potwierdzali, że imię, numer telefonu i przezwisko „Clout" (czyli szmata) Maureen pojawiło się w skonfiskowanych notatkach Bailleya z adresami. Niewielkie czarne książeczki Bail-166

leya zawierały także dane dziewcząt należących do towarzystwa z Columbia Plaża.

Jaką hipotezę wysuwa więc Silent Coup? Poza plecami węszącej prasy i agentów FBI, przejawiającymi coraz większe zainteresowanie wskazanym kręgiem cali girls, Dean miał również swój własny, nieco kłopotliwy dla niego związek z panienkami. Ostatecznie to on miał

wynająć włamywaczy do budynku Watergate. (Silent Coup milczy jednak, czy w DNC znajdowało się

dossier „Clout".) Zatem według Colodny'ego i Gettlina prawdziwym motywem włamania do Watergate był powód znacznie mniej spiskowy (a bardziej erotyczny) niż autoryzowany przez prezydenta szantaż czy polityczne działanie kontrwywiadu. Dean pragnął po prostu wiedzieć, co zawierają tajne dane DNC na temat pań do towarzystwa.

Silent Coup sugeruje, że Dean zorganizował zasłonę dymną zaraz po aresztowaniach - nie po to wcale, by bronić Nixona, ale by chronić swoją własną przeszłość, wystawioną na światło dzienne. Według tej teorii Nixon rzeczywiście stał się jedynie ofiarą podstępu, chociaż z pewnością był odpowiedzialny za wiele innych poważnych przestępstw i przewinień. Tym razem został jedynie wyprowadzony z równowagi wiadomościami o „trzeciorzędnym włamaniu" (dlatego też Nixon odruchowo próbował wszystko zatuszować, nawet jeżeli nie wiedział dokładnie, o co chodzi). Należy jednak zaznaczyć, że cel Deana (lub Nixona, jeżeli preferujemy tradycyjną wersję o impulsach idących z góry) zapewne nie był jedyną przyczyną tej pełnej niejasności akcji w budynku Watergate.

Zajmujący się nie wyjaśnionymi sprawami Jim Hou-gan oświadczył w dwudziestolecie włamania: „Jeżeli ktoś próbuje zrozumieć Watergate jako jednolitą operację prowadzoną przez zespół szpiegów kierowanych jednym, nadrzędnym celem, z pewnością nic nie zrozumie".

Secret Agenda wyjawia dalsze, fascynujące fakty, które sugerują, że włamywacze sami mogli kierować się różnymi motywami. Hougan wyróżnia zwłaszcza Jamesa McCorda, byłego oficera CIA, który podczas kampanii prezydenckiej Nixona zajmował się sprawami bezpieczeństwa i przyłączył się do zespołu Liddy'ego jako przedstawiciel Białego Domu. McCord podczas dwóch włamań zachowywał się bowiem w sposób dwuznaczny, a być może nawet

„nieproduktywny".

Wcześniejsza próba penetracji budynku Watergate upadła, kiedy McCord poinformował towarzyszących mu włamywaczy, że system alarmowy uniemożliwia wejście do środka - co było tym dziwniejsze, że jak odkrył później Hougan, ów domniemany alarm w ogóle tam nie istniał. Co więcej, McCord był tak niezdecydowany w kluczowych momentach włamania i wykonywał zadania tak ślamazarnie, że musiał być najbardziej niekompetentnym oficerem CIA od czasu tego faceta marzącego o spisku, w wyniku którego Fidelowi Castro wypadną wszystkie włosy. Chyba że McCord miał w tym wszystkim swój własny cel.

Czy więc McCord próbował sabotować całą operację? Hougan sugeruje, że McCord przekazywał po cichu plany przeprowadzanej pod auspicjami Białego Domu operacji swemu pierwszemu pracodawcy, CIA. Zdaniem Hougana, McCord zapewne osłaniał

wcześniejszą operację CIA, którą węszący urzędnicy z Białego Domu pragnęli ujawnić. Inna hipoteza wysunięta przez Hougana mówi o tym, że być może krąg pań do towarzystwa stanowił pole tajnej operacji CIA. W przeprowadzaniu nielegalnych eksperymentów Agencji nad kontrolą pracy mózgu i narkotykami często uciekano się przecież do pomocy prostytutek. Istniała też taka możliwość, że CIA szpiegowała klientelę prostytutek - czyli aparat partyjny demokratów -

w celu seksualnego szantażu.

Doprowadza nas to, nieco okrężną drogą, do postaci informatora.

Jeżeli nie był nim ani McCord, ani Dean,

to kto mógł pełnić rolę tajemniczego źródła z kręgów rządowych, które dostarczało dziennikarzowi „Washington Post" Bobowi Woodwardowi nieprzerwany strumień informacji na temat Watergate?

Do miana owego informatora w tej teorii kandyduje wiele osób. Jedną z pierwszych jest Robert Bennett - człowiek Howarda Hughesa do kontaktów z prasą i szef E. Howarda Hunta w biurze prasowym w Waszyngtonie, które normalnie zapewniało osłonę akcji agentów CIA (Bennett jest wciąż senatorem ze stanu Utah). Sam Bennett przechwalał się ponoć Houganowi, że to on był kluczowym źródłem informacji dla Wood-warda i, jak mówił, „ów okazywał mu odpowiednią wdzięczność".

Do grona informatorów ze wspomnianej listy zaliczano też: Marka Felta, ówczesnego zastępcę dyrektora FBI; Kena Clawsona, byłego reportera „Washington Post", który w późniejszym czasie został

doradcą w Białym Domu (główny kandydat autora Rona Rosenbauma); Davida Gergena (swego czasu wybrańca Johna Deana, a obecnie doradcy Billa Clintona) i admirała Bobby Ray Inmana, weterana wywiadu i wszechstronnie uzdolnionego spiskowca (według książki Hougana). „Nominowanym" przez Silent Coup do roli informatora jest jednak najpopularniejszy ze wszystkich kandydatów: generał Alexander Haig. To Hougan pierwszy odsłonił mało znane powiązania Boba Woodwarda z Pentagonem, a także z Alem Haigiem. Przed rozpoczęciem kariery dziennikarskiej, jak ujawnił

Hougan, Woodward był oficerem marynarki wojennej jako wojskowy sprawozdawca przy przewodniczącym Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, admirale Thomasie H. Moorerze. Moorer i inne wojskowe źródła przyznają, że Woodward regularnie spotykał się z doradcą Henry'ego Kissingera, Alem Haigiem, w podziemiach Białego Domu.

Woodward przyznał Houganowi, że swego czasu pełnił funkcję sprawozdawcy wojskowego, chociaż utrzy-169

mywał, że nie spotykał się z Haigiem. Jednakże kilka lat później, gdy Colodny i Gettlin powołali się na opis Hougana, Woodward zaprzeczył, by kiedykolwiek był wojskowym sprawozdawcą. Zdaniem Colodny'ego i Gettlina, Woodward próbował zataić swoją karierę w marynarce, by ukryć związki z informatorem, czyli Alem Haigiem.

Według Silent Coup, Haig miał w tym swój ukryty cel. (Jeszcze raz nieszczęsny Nixon ukazuje się jako ofiara perfidii swego podwładnego.) Colodny i Gettlin twierdzą, że Haig dostarczał

Woodwardowi wygodnych dla niego informacji (niekoniecznie prawdziwych), by utrzymać uwagę prasy na osobie Nixona, ukazując go w roli prowodyra całej operacji.

Co było tego powodem? Według Silent Coup skandal Watergate zagrażał ujawnieniem tajemnicy samego Hai-ga. Colodny i Gettlin piszą, że we wczesnym okresie administracji Nixona, jeszcze przez włamaniami do Watergate, Haig był zamieszany w działania siatki szpiegowskiej Pentagonu, która wykradła tajne dokumenty dotyczące polityki zagranicznej doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego,

Henry'ego Kissingera. Akcja ta była inspirowana przez zwolenników twardego kursu w Pentagonie (w tym admirała Moorera), którzy uważali, że nixonowska polityka w kwestiach Wietnamu i komunistycznych Chin jest zbyt łagodna. Według Silent Coup Haig był członkiem tej frakcji wojskowych.

Zdaniem Colodny'ego i Gettlina, Haigowi udało się zatrzeć ślady własnego udziału w tej aferze do momentu, gdy afera Watergate zaczęła ujawniać inne przestępstwa i występki w kołach administracji Nixona. To wtedy, twierdzą Colodny i Gettlin, nowy szef sztabu prezydenta rozpoczął manipulowanie informacjami dotyczącymi Watergate, pragnąc powstrzymać węszących dziennikarzy przed uzyskaniem prawdziwych danych o kręgu szpiegów Pentagonu. W

konsekwencji Haig uczynił z Nixona bardziej winnego, niż był nim w rze-170

czywistości — być może świadomie zmuszając prezydenta, będącego zwolennikiem polityki pokojowego współistnienia, do ustąpienia z urzędu. Stąd wywodzi się też tytuł książki Silent Coup, czyli „Cichy przewrót".

Watergate jest spiskiem zakrojonym na tak szeroką skalę, że wciąż odsłaniane są nowe fakty. W rzeczy samej ten skandal i zabójstwo Johna Kennedy'ego stanowią dwa centralne punkty we współczesnej amerykańskiej teorii spiskowej. Próbowano nawet snuć powiązania pomiędzy strzałami w Dallas i aferą Watergate. Otworzyło to oczy wielu obiecującym badaczom spisków, dostrzegającym możliwość istnienia sieci korupcji oplątującej powierzchnię amerykańskiej polityki. To przecież wychowanek CIA, włamywacz do Watergate, Frank Sturgis, odgrywał podejrzaną rolę dezinfor-matora zaraz po zabójstwie Kennedy'ego, próbując całą winę skierować na Fidela Castro. Z kolei Hunt i uchodźcy kubańscy stanowili przecież trzon uczestników operacji CIA skierowanych przeciwko Castro na początku lat sześćdziesiątych. Po zmianie polityki Johna Kennedy'ego na bardziej pokojową stali się oni grupą wrogo nastawioną do prezydenta. Zdaniem niektórych teoretyków spiskowych Hunt i Sturgis są z kolei dziwnie podobni do dwóch elegancko ubranych osobników, aresztowanych w Dealey Plaża wkrótce po zabójstwie Kennedyego, i później zwolnionych.

Sam Nixon, który tak wiele zyskał przez śmierć swego rywala, przypadkowo znajdował się w Dallas w dniu zabójstwa jako prawnik pracujący dla Pepsi. Znacznie później, gdy zaczął brnąć w niebezpiecznych prądach Watergate, Nixon skierował dziwne, wręcz szalone ostrzeżenia do dyrektora CIA Richarda Helmsa, że jeżeli Agencja nie opuści zasłony milczenia, Watergate może ukazać „całą sprawę Zatoki Świń". To spowodowało, że H. R. Haldeman w swej książce The Ends of Power (Koniec władzy) napisał: „Wydaje się, że wszystkie uwagi Nixona dotyczące Zatoki Świń w rzeczywisto-171

ści odnosiły się do zabójstwa Kennedy'ego... Podobnie jak w przypadku Watergate, CIA starała się zatrzeć każdy ślad wskazujący na związek Agencji z zabójstwem Kennedy'ego".

Wokół niejasnego, choć jakże znamiennego komentarza Haldemana, dotyczącego Watergate, powstało wiele najprzeróżniejszych spekulacji. Czy „Zatoka Świń" była zakodowaną frazą, przez którą Nixon odnosił się do roli CIA w zabójstwie Kennedy'ego, i czy pragnął on w ten sposób zaszantażować Helmsa, by ten przyłączył się do współpracy? Czy może Nixon pragnął nawiązać do nie ujawnionych wówczas jeszcze intryg mających na celu zabicie Castro

- przy użyciu Kubańczyków przeszkolonych przez CIA we wczesnych latach sześćdziesiątych, którzy później pojawili się jako włamywacze w budynku Watergate?

Helms, „Człowiek, który zna sekrety", wciąż milczy. Natomiast Nixon, publicznie zrehabilitowany w chwili swojej śmierci, zabrał

swe tajemnice do grobu, skąd jego przeciwnicy nie zdołają już wydobyć całej prawdy.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Len Colodny, Robert Gettlin. Silent Coup: The Removal of a President. Nowy Jork: St. Martin's Press, 1991.

J. R. Haldeman. The Ends of Power. Nowy Jork: Times Books, 1978.

Jim Hougan. Secret Agenda: Watergate, Deep Throat and the CIA.

Nowy Jork: Random House, 1984.

Ron Rosenbaum. Travels with Dr. Death and Other Unusual Investigations. Nowy Jork: Penguin Books, 1991.

19. Libido pod nadzorem

Patrząc na amerykańską scenę polityczną można odnieść wrażenie, że władza jest najlepszym afrodyzjakiem. Zarówno u młodych, jak i u starszych panów działalność

polityczna wydaje się rodzić z jednej strony zarozumialstwo, a z drugiej pobudzać wzmożone wydzielanie hormonów.

Nic też dziwnego, że w pulsującej życiem amerykańskiej stolicy wyszukana sztuka seksualnego szantażu ma swoją bogatą tradycję.

Główną postacią w kołach waszyngtońskich specjalizującą się w tej dziedzinie był, cieszący się ponurą sławą, J. Edgar Hoover. Dzięki swym sławnym teczkom z aktami dotyczącymi intymnego życia polityków, a zwłaszcza ich „małych grzeszków" na tym polu, Hoo-ver niemal przez pół wieku zdołał utrzymać w szachu amerykańską stolicę (i ośmiu kolejnych prezydentów).

Nic też dziwnego, że najbardziej pracowity okres nastąpił dla Hoovera w czasie, gdy do Białego Domu i jego sypialni sprowadził się John F.

Kennedy. Jak głoszą pewne źródła, gdy rozeszły się pogłoski, że Kennedy zamierza przeprowadzić „porządki" wokół siebie, szef FBI otworzył obszerne akta dotyczące prezydenta, w ten sposób ochraniając swój fotel. Trzeba bowiem przyznać, że - z obsesją wykraczającą daleko poza granice normalności - Hoover umieszczał

podsłuch w miejscach schadzek Kennedy'ego, a także nagrywał

rozmowy telefoniczne jego przyjaciółek, w tym dziewczyny związanej z mafią Judith Campbell Exner i supergwiazdy filmowej Marilyn Monroe - której sypialnia była odwiedzana przez obydwu braci Kennedych.

Hoover miał również wgląd w taśmy nagrane w buduarze podczas lotu samolotem czarterowym wynajętym przez J.F.K. i aktorkę Angie Dickinson. Jak głosi dziennikarz Anthony Summers, Hoover zaaranżował też przeciek informacji do brukowej prasy o starym romansie Kennedy'ego z sekretarką Senatu oraz o domniemanym uprzednim małżeństwie Kennedy'ego, co spowodowało, że postawiony w dwuznacznej sytuacji Kennedy zmuszony został do dostarczenia „Newsweekowi" dowodów na odparcie tych zarzutów.

Podobną taktykę zastosował Hoover w swej wendetcie przeciwko Martinowi Lutherowi Kingowi, Jr., głośnemu przywódcy walczącemu o pełne prawa obywatelskie dla Murzynów. Umieścił urządzenia podsłuchowe w miejscu schadzek przywódcy z jego kochankami, a także rozsiewał plotki, jakoby posiadał wykonane z ukrycia fotografie Kinga w jednym pokoju ze znanym homoseksualistą. Kopie tych zdjęć przedostały się do prasy, ale media w zasadzie nie podchwyciły tego zdawałoby się gorącego tematu.

Hoover miał nawet akta obciążające Richarda Nixona, chociaż wiarygodność ich była wątpliwa. Jak donosi An-thony Summers w biografii Hoovera Official and Con-fidential (Oficjalne i poufne), kiedy Nixon był jeszcze wiceprezydentem, spotkał się w Hongkongu z młodą przewodniczką, Marianną Liu. Sądząc, że Liu była szpiegiem komunistycznych Chin, CIA i wywiad brytyjski skierowały specjalne aparaty fotograficzne na podczerwień na okno Richarda Nixona.

Jednak zarówno Liu, jak i Nixon zdecydowanie odrzucali pogłoski, że doszło między nimi do jakiegokolwiek zbliżenia. Natomiast Hoover ponoć z radością odebrał materiały z tego spotkania. Nie omieszkał

też przedstawić ich Nixonowi, jeszcze przed objęciem przez niego urzędu prezydenckiego.

Hoover nigdy nie pozwalał, by poważne „dowody" ukazały się bez adekwatnego komentarza. Przedstawił np. swego czasu raport stwierdzający, że zamieszani później w aferę Watergate H. R.

Haldeman, John Erlich-man i Dwight Chapin byli homoseksualistami.

Tak miał zaświadczać informator Hoovera, nie zidentyfikowany barman, który jakoby zeznał, że wszyscy trzej doskonale bawili się na przyjęciu dla homoseksualistów w hotelu Watergate w 1969 roku.

Oczywiście nie było to prawdą, a jak Erlichman powiedział

Summersowi: „Wydaje mi się, że Hoover zrobił to, by pokazać pazury albo by przysłużyć się Nixonowi - a zapewne jedno i drugie".

Jak na ironię losu, homoseksualizm Hoovera byl tajemnicą poliszynela, gdyż - jak wiadomo - w Waszyngtonie wszystkie drzwi mają uszy. Szef mafii, Meyer Lansky, lubił się przechwalać, mówiąc o Hooverze, że „trzyma tego drania na muszce", posiadając zapewne jego fotografie w niedwuznacznej pozycji z jego towarzyszem życia, Clyde'em Tolsonem. Zdaniem Summer-sa pod koniec lat czterdziestych istniały również niedwuznaczne zdjęcia Hoovera z innymi osobami.

Nie wiadomo, czy z powodu szantażu, czy też z innych względów władza mafii nad Hooverem był ogromna: teoretycznie bez zarzutu, dyrektor FBI odmawiał nawet publicznego przyznania faktu istnienia amerykańskiej mafii.

Hoover odszedł z tego świata ponad dwadzieścia lat temu, zabierając ze sobą do grobu obszerne „osobiste i poufne" akta dotyczące spraw intymnych. Zniknęły one w nie wyjaśnionych okolicznościach, dając powód do snucia licznych teorii spiskowych. Pojawiają się hipotezy mówiące, że zniszczyli je lojalni względem Hoovera pracownicy lub że przechwyciła je CIA.

Czy można jednak powiedzieć, że wraz z odejściem Hoovera posługiwanie się szantażem na tle seksualnym w wielkiej polityce odeszło w historyczny niebyt?

No cóż, ten rodzaj szantażu wydaje się zajmować znacznie trwalszą pozycję, aniżeli można by przypuszczać. Wielu badaczy zajmujących się sprawami Waszyngtonu podziela przekonanie, że kontrolowane przez mafię prostytutki, agentki wywiadu, a nawet waszyngtońscy lobbyści wciąż ponawiają próby kompromitacji członków Kongresu i administracji za pomocą skandali seksualnych.

Badacz zajmujący się spiskami, Peter Dale Scott, nazywa to „wciąż trwającymi, wysoce zorganizowanymi i posiadającymi ochronę operacjami". Scott, uprzednio kanadyjski dyplomata i profesor języka angielskiego na Uniwersytecie Berkeley w Kalifornii, posuwa się nawet tak daleko, że sugeruje, iż waszyngtoński

syndykat seksu, wykorzystywany przez szpiegów wywiadu i mafię,

„przynajmniej od czasu rozpoczęcia zimnej wojny był powodem większości skandali w Waszyngtonie".

Czyżby więc za każdym większym skandalem politycznym stała jakaś prostytutka? Scott wcale nie jest osamotniony w swym myśleniu. Jego zdaniem „pewien emerytowany detektyw, który kiedyś odegrał

niewielką, acz istotną rolę w aferze Watergate, uważa, że mafijni alfonsi i ważniejsi lobbyści posłużyli się doskonale opłacanymi prostytutkami, by wywrzeć nacisk na ważniejszych urzędników państwowych". Ta uwaga z pewnością odnosi się do Carla Shofflera, oficera policji, który nakrył włamywaczy w kompleksie Watergate. W

czasie dochodzenia w 1982 roku mającego ustalić posługiwanie się

„narkotykową i seksualną aktywnością w celu podporządkowania sobie kongresmanów", Shoffler doradzał śledczym ze strony Kongresu, by przyjrzeli się bliżej kołom męskiej prostytucji, która obsługiwała Kapitol. Ten doświadczony policyjny detektyw wierzył, że kręgi seksu mogą być powiązane z CIA. Zdaniem Petera Dale Scotta niektórzy badacze Waszyngtonu podejrzewają również, że kręgi męskiego seksu były powiązane z szefem waszyngtońskiego podziemia „the Posum" Nestline.

Niestety, dochodzenie prowadzone przez Kongres zatrzymało się, zanim poczyniono jakiekolwiek ustalenia. Podsumowując nie do końca zbadaną hipotezę libi-do-gate, jeden z prowadzących dochodzenie z ramienia Kongresu wyznał autorce Susan Trent: „Jeżeli lobbysta pragnie posłużyć się dziwkami, by wpłynąć na procesy legislacyjne, istnieje wiele możliwości, które mógłby wykorzystać.

Jest wiele pań w mieście, które trudnią się zawieraniem konkretnych kontaktów. Logiczne, że wywierania nacisku na polityków poprzez męskie prostytutki lub nieletnich musiałoby odbywać się na podobnych zasadach... Jeżeli rozpoczniemy identyfikację niektórych 176

manipulujących usługami seksualnymi, możliwe, że odnajdziemy wśród nich informatorów wywiadu, członków zorganizowanej przestępczości i lobbystów". Innymi słowy, należy iść za ciosem.

Dawny oficer CIA, Frank Terpil, nie miał wyrzutów sumienia identyfikując jedną z takich osób, swego uprzedniego pracodawcę.

Terpil wyjawił tropiącemu spiski autorowi Jimowi Houganowi, że CIA często dopuszczała się w Waszyngtonie aktów szantażu na tle seksualnym w czasach afery Watergate. Terpil wskazał swego uprzedniego współpracownika, Eda Wilsona, jako uczestnika jednej z takich operacji CIA.

„Historycznie - wyjaśniał Terpil - jednym z zadań agencji Wilsona było podkopywanie pozycji członków obydwu izb, tj. Izby Reprezentantów i Senatu, z wykorzystaniem wszystkich dostępnych środków... Niektórzy ludzie łatwo mogli zostać zniewoleni przez groźbę ujawnienia ich seksualnych fantazji. Obrazy

tych intymnych chwil nieustannie rejestrowały specjalne kamery".

Oczywiście musimy przyznać, że Terpil nie dostarczył żadnych dowodów na poparcie swych tez, a trzeba wiedzieć, że oficerowie CIA - chociaż nie wszyscy, kiedyś skazani in absentia za działalność terrorystyczną - nie grzeszą szczerością. Z drugiej strony seksualny szantaż był niewątpliwie ulubioną metodą „werbowania ' na swoją stronę" zagranicznych agentów. Niemniej uwzględniając wszystkie nielegalne poczynania Agencji na swoim terenie w ciągu ostatnich czterech dekad relacja Terpila ma cechy wiarygodności.

Wydaje się też interesujące, że Robert Keith Gray, lobbysta, którego nazwisko pojawiło się podczas dochodzenia w 1982 roku związanego z kręgiem gejów, również zaglądał do George Town Club - będącego polem działania Terpila. Gray, który dryfował w stronę kół

szpiegowskich, był pierwszym właścicielem klubu, a także jednym z dyrektorów firmy Terpila, Consultants International, głośnego przyczółku działań CIA.

177

Teorię, w której wspomina się o zamieszanym w politykę kręgu prostytutek, po raz pierwszy zaproponował dziennikarz Jim Hougan w swojej fascynującej książce Secret Agenda.

Właścicielka interesu umieszczonego w ekskluzywnym Columbia Plaża, naprzeciwko kompleksu biur Watergate, Heidi Rikan, oddawała swoje dziewczęta do dyspozycji demokratom urzędującym w sąsiedztwie. Hougan sugeruje, że krąg prostytutek Rikan mógł być

„częścią operacji prowadzonej przez CIA".

Ujmując sprawę w skrócie, hipoteza Hougana przedstawia się następująco: dziewczęta z Columbia Plaża obsługiwały bardzo interesującą politycznie klientelę: demokratycznych kochasiów, którzy dokonywali zamówień przez telefon znajdujący się w biurach władz komitetu wyborczego demokratów w budynku Watergate.

Odkrywszy ten szczęśliwy dla siebie zbieg okoliczności, ludzie Nixona zdecydowali się wziąć na cel demokratycznych cudzołożników. Tym samym nieopatrznie stworzyli duże prawdopodobieństwo ujawnienia innej organizacji, prowadzącej już wcześniej podsłuch tej linii telefonicznej: a mianowicie CIA. Zatem

„wtyczki" CIA w Białym Domu (zapewne konspiratorzy James McCord i E. Howard Hunt) zostały zmuszone do sabotowania włamania do Watergate, aby osłaniać nielegalne źródło informacji CIA przed nadgorliwymi włamywaczami Nixona.

Czyżby więc nielegalne szpiegostwo seksualne CIA nieopatrznie doprowadziło do upadku Richarda Nixona?

Czy pomysł wykorzystania seksu w celach infiltracyjnych może sięgać bardziej odległych czasów aniżeli afera Watergate? Peter Dale Scott próbuje podjąć się odpowiedzi na to ryzykowne twierdzenie.

Sądzi, że jest to całkiem prawdopodobne. Zatrudniając sztab ludzi zajmujących się teoriami spiskowymi - sporządził tablicę, na której zaznaczono podejrzane nazwiska, intere-178

sujące go wydarzenia i daty. Wnioski z analizy tego grafiku okazały się zaskakujące.

Partnerzy i uprzedni mężowie zarówno Rikan, jak i jej przyjaciółki z pokoju, Maureen Biner (która wyszła za mąż za główną postać w skandalu Watergate Johna Deana), byli związani z Quorum, klubem we wczesnych latach sześćdziesiątych prowadzonym przez Bobby'ego Bakera, uprzedniego doradcę Lyndona Johnsona. Scott podejrzewa, że wszystkie drogi prowadzą do klubu Bakera z jednego powodu: Quorum funkcjonowało podobnie jak najeżone przedstawicielami mafii i wywiadu „seksualne pułapki" z lat siedemdziesiątych.

To właśnie Bobby Baker przedstawił prezydentowi Kennedy'emu seksbombę ze wschodnich Niemiec, El-len Rometsch, którą ten, zgodnie ze swoim zwyczajem, szybko zaciągnął do łóżka. Scott spekuluje, że J. Edgar Hoover spowodował przeciek o tym do prasy.

Rewelacje te omal nie doprowadziły do skandalu o zasięgu światowym. A to dlatego, że dojrzała Walkiria Kennedy'ego, jak się okazało, sypiała również z pewnym dyplomatą radzieckim - zbieg okoliczności, który wydobyty na światło dzienne mógł mocno zaszkodzić Kennedy'emu w szczytowym okresie zimnej wojny.

Groźba „wybuchu tej bomby" z międzynarodowymi implikacjami zmusiła z kolei Roberta Kennedy'ego do bardzo rozważnego < zachowania.

Scott zaznacza, że flirt J.F.K.-Rometsch odbywał się równolegle z aferą z 1962 roku, która spowodowała dymisję brytyjskiego ministra wojny Johna Profumo. Profumo publicznie przyznał się do romansowania z Christine Keeler, prostytutką z wyższych sfer, pracującą dla stręczyciela Stephena Warda. Ten skandal okazał się zabójczy dla Profumo, ponieważ Keeler jednocześnie obsługiwała radzieckiego dyplomatę. Późniejsze doniesienia pokazały, że brytyjski wywiad MI5 „od jakiegoś czasu wykorzystywał ten krąg panienek, by doprowadzić do kompromitacji radzieckiego agenta".

Scott zastanawia się, czy MI5 zamierzało również skompromitować Profumo? Czy z kolei kochliwy J.F.K. wpadł w podobną pułapkę?

Jeszcze bardziej interesujące w tej sprawie jest to, że istnieje bezpośredni związek pomiędzy przewinieniami J.F.K. i manipulowaną przez MI5 aferą Profumo. Latem 1963 roku z

„nieszczelnych" akt Hoovera ponownie pojawiły się przecieki, co zaowocowało doniesieniami prasy o tym, że wysoki rangą amerykański urzędnik państwowy sypiał z dwiema członkiniami brytyjskiego kręgu seksu Ward-Keeler, tego samego, który obalił

Profumo. Tym wyższym urzędnikiem amerykańskim był oczywiście niezwykle żywotny J.F.K. Scott zaznacza, że „MI5, jako brytyjski kontrwywiad, utrzymywał bezpośrednie związki zarówno z Hooverem w FBI, jak i z CIA. Czy możliwe jest, że Brytyjczycy pomagali Hooverowi w przygotowaniach do ataku na Kennedyego?

Bobby Baker, „katalizator" w aferze J.F.K.-Ro-metsch, wyznał

później, że jest w posiadaniu listów od kobiety z Niemiec Wschodnich, które mogą okazać się

kompromitujące dla Kennedych, co według Scotta „u-macnia wrażenie o przeprowadzonej skomplikowanej operacji szantażu" w tej pełnej zmysłowych afer amerykańskiej stolicy. A być może dowodzi to tylko, że w Waszyngtonie nikt nie może czuć się bezpiecznie.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Jim Hougan. Secret Agenda: Watergate, Deep Throat and the CIA.

Nowy Jork: Random House, 1984.

Peter Dale Scott. Deep Politics and the Death of JFK. Berkeley, CA: University of California Press, 1993.

Anthony Summers. Official and Confidential: The Secret Life of J. Edgar Hoover. Nowy Jork: Pocket Books, 1994.

Susan B. Trento. The Power House: Robert Keith Gray and the Selling

of Access and Infuence in Washington. Nowy Jork: St. Martin's Press, 1992.

20. Październikowa Niespodzianka

Jedną z teorii spiskowych, która rzuciła najgłębszy cień na Waszyngton, była tak zwana Październikowa Niespodzianka (October Surprise). Pełne kontrowersji spekulacje mówiące, że w czasie kampanii prezydenckiej w 1980 roku blok Reagan-Bush zawarł

zdradzieckie porozumienie z Iranem, przesuwające datę uwolnienia amerykańskich zakładników, wskazują nie tylko na polityczną partię i dwóch prezydentów, ale także zdają się potwierdzać najgorsze podejrzenia o pełnych cynizmu manipulacjach politycznych, podających w wątpliwość wiarygodność amerykańskiej demokracji.

Oficjalna wersja Waszyngtonu na ten temat głosi, że tak naprawdę Październikowa Niespodzianka miała być jedynie wymysłem dziennikarzy. Pod koniec urzędowania administracji Busha dwa prowadzone przez Kongres śledztwa odrzuciły zarzuty o spisku, przyjmując założenie, że cała opowieść była zwykłą kaczką dziennikarską.

Czy jednak tak było naprawdę? Podobnie jak w przypadku śledztwa w sprawie zabójstwa prezydenta Kennedyego, dochodzenie dotyczące Październikowej Niespodzianki wzbudziło również wiele pytań.

Po pierwsze powód do spisku.

W samo południe 20 stycznia 1980 roku w swej inauguracyjnej mowie prezydent Ronald Reagan, spoglądając w obiektyw kamery, obiecuje Amerykanom „e-pokę narodowego odrodzenia". Jakby za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki, już w dwadzieścia minut później pięćdziesięciu dwóch amerykańskich zakładników zostaje nagle uwolnionych z ponad rocznej, pełnej upokorzeń irańskiej niewoli. Gdy Reagan tryumfował, a zawstydzony Carter wycofywał

się cichaczem do rodzinnej Wirginii, nieliczni tylko komentatorzy zwrócili uwagę na ten dziwny zbieg okoliczności.

181

Dwa miesiące wcześniej Reagan przebąkiwał jednakże o „tajnym planie" dotyczącym zakładników. „Moje pomysły wymagają subtelnej dyplomacji - oświadczał - gdzie nie można zdradzać zbyt wcześnie wszystkich sekretów". Czy był to jedynie wybieg na rzecz kampanii, czy też przyznanie się do zaangażowania w jakąś akcję?

Stos przeróżnych faktów, pogłosek i co dziwniejsze objawów dezinformacji szybko narastał. Jednak dopiero w 1988 roku, w czasie wyścigu ówczesnego wiceprezydenta George'a Busha do prezydenckiego fotela, teoria o spisku Październikowej Niespodzianki ujrzała światło dzienne. Jej rzecznicy oskarżali duet Reagan-Bush o snucie spisku mającego wpłynąć na wyniki wyborów prezydenckich w 1980 roku przez zawarcie paktu z ajatollahem Chomeinim, by przetrzymać amerykańskich zakładników aż do czasu listopadowych wyborów. Sabotując oficjalne wysiłki amerykańskiej dyplomacji, mające na celu jak najszybsze uwolnienie obywateli amerykańskich z Iranu, republikanie chcieli zapobiec organizowanej przez administrację Cartera akcji uwalniającej zakładników, która mogła spowodować wzrost popularności przywódcy demokratów.

Pewne fakty wydają się niezwykle sugestywne: śledztwo Kongresu z 1981 roku dotyczące kradzieży przez ekipę Reagana dokumentów z Białego Domu w przededniu telewizyjnej debaty dwóch pretendentów do prezydentury ujawniło, że republikanie stworzyli sieć szpiegowską, która zbierała tajne informacje o kampanii Cartera i wysiłkach prezydenta zmierzających do uwolnienia zakładników.

Dowodzący kampanią Reagana William Casey, który później zostanie mianowany szefem CIA, otrzymał su-pertajne raporty dotyczące największych tajemnic administracji Cartera. Casey, rasowy szpieg, z dużym stażem, już w czasie II wojny światowej służył w OSS, organizacji wywiadowczej będącej poprzedniczką CIA.

182

Pozostał zagorzałym zwolennikiem wywiadu nawet po oficjalnym zerwaniu z centralą wywiadowczą: jako prawnik z Wall Street oferował usługi doradcze w sprawach podatkowych kompaniom powiązanym z CIA.

Czy machinacje Caseya sięgały poza wywiad związany z kampanią wyborczą? Czy przeprowadzał on tajne negocjacje z Irańczykami przetrzymującymi zakładników i czy ewentualnie zawarł on pakt o przetrzymaniu przedstawicieli amerykańskiej placówki dyplomatycznej w Teheranie? Krótko mówiąc: czy rzeczywiście republikanie byli autorami Październikowej Niespodzianki?

Na tym grząskim terenie świadectwa wydają się jeszcze bardziej zagmatwane. W 1988 roku uprzedni prezydent Iranu Abolhasan Bani-Sadr twierdził, że posiada informacje z drugiej ręki o zawarciu takiego paktu. Przebywając już na uchodźstwie we Francji Bani-Sadr utrzymywał, że jego źródła w Iranie donosiły mu, iż w połowie października 1980 roku George Bush przybył na spotkanie do Paryża, by podpisać układ.

Wkrótce cały szereg pośredników w handlu bronią, skazańców, zauszników i wypróbowanych szpiegów

zaczął pojawiać się na rozrastającej się szybko liście świadków akcji Październikowa Niespodzianka. Niektórzy twierdzili, że około 18 października widzieli Busha ściskającego dłonie irańskich dygnitarzy w paryskim hotelu lub też spacerującego po płycie francuskiego lotniska.

Większość „świadków" donosiła o pojawieniu się na paryskim spotkaniu również Caseya. Lista uczestników zaczęła się szybko powiększać. Sprawiało to wrażenie, że niemal każdy zainteresowany (z kierującym sprawą przedstawicielem CIA) był wtedy w Paryżu.

Większość twierdziła, że francuski i izraelski wywiad również brały udział w tym tajnym układzie.

Według dwóch innych źródeł Casey uczestniczył również w serii spotkań z wysłannikiem Chomeiniego w Hiszpanii. Zdaniem irańskiego handlarza bronią Jamshida Hashemi, to on razem ze swym bratem

Cyrusem doprowadził do spotkań Caseya z przedstawicielem irańskim Mehdim Karrubim w madryckim hotelu Ritz, w czasie dwóch rund rozmów w lipcu i sierpniu 1980 roku. Jak relacjonował Hashemi, Casey zaproponował następujący układ: jeżeli Iran przetrzymałby zakładników aż do chwili elekcji, przyszła administracja Reagana (która jeszcze musiała przejść przez formalności prowadzących do jej wybrania) odblokowałaby fundusze i depozyty irańskie, które zostały zamrożone po obaleniu szacha Iranu przez Chomeiniego i zajęciu amerykańskiej ambasady. Stronnicy Reagana mieli także uwolnić sprzęt wojskowy wartości 150 milionów dolarów, który już uprzednio został zakupiony przez Irańczyków, a wówczas w obliczu coraz intensywniejszych walk z Irakiem tak bardzo potrzebny. Na drugie spotkanie madryckie Karrubi przybył, by ogłosić, że Chomeini aprobuje ten układ.

Zdaniem Jamshida Hashemiego republikanie przekazali Irańczykom łapówkę jeszcze przez wyborami - dzięki współpracy Izraela, który dostarczył niezbędny sprzęt wojskowy. Jeżeli tak miał wyglądać scenariusz Październikowej Niespodzianki, to wydaje się, że tajne układy - broń za zakładników - ujawnione później podczas skandalu Iran-Contras, mogły być cofnięte w czasie aż do 1980 roku.

Casey zmarł w 1987 roku na raka mózgu, nie udzielając odpowiedzi w tej sprawie, natomiast Bush i jego stronnicy wyparli się stawianych zarzutów.

Cały kłopot w tym, że bardziej konkretnymi źródłami informacji są w większości handlarze bronią twierdzący o swoim uczestnictwie w układzie. Niektórzy z nich wydają się mieszać wiarygodne fakty z czystą fantazją. Głównym przedstawicielem tej wszechwiedzącej kategorii informatorów był Ari Ben-Menashe, były oficer izraelskiego wywiadu, który twierdził, że widział Busha na paryskich spotkaniach.

Ben-Menashe utrzymywał również, że posiadał także informacje o wcześniejszych

spotkaniach madryckich. Jako przedstawiciel wojskowego wywiadu w Iranie w 1979 i 1980 roku Ben-Menashe pełnił rolę pośrednika w układach pomiędzy Reaganem a Irańczykami. Donosił również, że w 1980 roku Izrael dokonał wysyłki lekkiej artylerii i innego wojskowego sprzętu do Iranu, wbrew embargu prezydenta Cartera na dostawy broni, by przypieczętować układ Październikowa Niespodzianka.

Dziennikarze przyłapali jednak Ben-Menashe na ubarwianiu swej opowieści, a przedstawiciele izraelscy

twierdzili, że nie był on wcale osobą, za którą się podawał. W tym jednak względzie izraelscy bossowie wywiadu okazali się jeszcze mniej wiarygodni od samego Ben-Menashe. Z początku zaprzeczali, jakoby kiedykolwiek dla nich pracował. Później jednak, gdy Ben-Menashe okazał listy referencyjne od dowództwa izraelskiego wywiadu, zmienili swoją wersję, twierdząc, że był on jedynie nic nie znaczącym tłumaczem.

Mimo to inni przedstawiciele izraelscy przyznawali, że Ben-Menashe miał dostęp do najwyższych przedstawicieli wywiadu wojskowego; jeden z nich nazwał go nawet „naszym Ollie Northern". Ben-Menashe z pewnością posiadał dostęp do tajnych informacji.

Jeżeli o Ben-Menashe można jedynie powiedzieć, że jego wywody były mocno naciągane, to kilku innych autorów, w tym 'Richard Brenneke, okazało się przykładnymi oszustami. Oskarżyciele z Departamentu Sprawiedliwości nie zdołali wprawdzie przekonać sądu, że Brenneke, samozwańczy pośrednik w handlu z bronią z Portland, kłamał, gdy oświadczał przed sądem, że widział Busha i jego uprzedniego doradcę Donalda Bregga podczas paryskich tajnych rozmów. Brenneke później zabrnął jednak, utrzymując w absurdalny sposób, że brał także udział w spotkaniach madryckich. Opowiadania Brenneke'a zagmatwały się - w sposób raczej podejrzany - gdy wynajął on dziennikarkę, która miała mu pomóc w opisaniu wspomnień z podróży

związanych z Październikową Niespodzianką. Kiedy kobieta wynajęta przez Brenneke'a - Peggy Robohom - natknęła się na oczywiste nielogiczności w jego wywodach, ten poprosił ją, by sprawdziła opowieść z obszernymi aktami, zawierającymi między innymi osobiste kalendarze odnotowujące spotkania, rachunki i inne dokumenty z 1980 roku. Wtedy też sprawy przybrały dla Brenneke'a zgoła nieprzewidziany obrót. Robohm odnalazła bowiem w tych materiałach niezbite dowody na to, że Brenneke nie wyjeżdżał do Europy i krajów ościennych pod koniec 1980 roku, ale spędzał czas nad Pacyfikiem.

W mgnieniu oka jego umowa na napisanie książki rozpadła się, przyszła sława prysła, a wiarygodność się załamała. Jakże naiwny to człowiek, który w epoce powszechnego niszczenia dokumentów, robił

coś wręcz przeciwnego, ujawniając akta, które zadawały kłam jego słowom. Interesujący był też kontekst czasowy tego wydarzenia.

Brenneke podważył swoją wiarygodność w chwili, gdy narastał nacisk ze strony Kongresu na rozpoczęcie dochodzenia w sprawie Październikowej Niespodzianki.

Czy bomba zegarowa Brenneke'a z dezinformacją czekała na odpowiedni moment, by eksplodować wśród zarzutów stawianych w sprawie afery?

Wkrótce po wejściu na scenę Brenneke'a, w aferze pojawiła się nowa postać, określająca siebie jako „Razi-ne". Mówiąc udawanym południowym slangiem Razine podawał się za emerytowanego oficera CIA, który czytał raport w siedzibie szpiegowskiej w Langley, w stanie Wirginia, wskazujący na udział Busha w spotkaniach paryskich.

Razine twierdził, że uczestniczył w nich również Brenneke. Wkrótce jednak Razine został zdemaskowany jako dawny wykładowca literatury, Oswald Le-Winter, skazany niegdyś za przemyt narkotyków.

LeWinter przyciśnięty do muru przez dziennikarzy oświadczył: „Ktoś poprosił mnie, by rozpętać kampanię

dezinformacji". Jak przyznał, pracodawcy związani z amerykańskim wywiadem zapłacili mu 100 tysięcy dolarów, by „przez zdyskredytowanie całej historii media straciły zainteresowanie tematem".

Brenneke i LeWinter, jak udowodniono, prowadzili ze sobą rozmowy telefoniczne, podczas ich krótkotrwałej sławy w środkach masowego przekazu.

LeWinter podważył później swe wyznania nowym twierdzeniem, że tak naprawdę został on wysłany do Paryża w październiku 1980 roku, by pomóc zatrzeć ślady świadczące o tajnym układzie. Następnie, zeznając pod przysięgą przed specjalnym zespołem ds.

Październikowej Niespodzianki w Izbie Reprezentantów ponownie zmienił zdanie, tym razem deklarując, że wszystkie swoje uprzednie zeznania sfabrykował, jako rodzaj rewanżu amerykańskim władzom za jego aresztowanie spowodowane posiadaniem narkotyków.

LeWinter powiedział specjalnemu zespołowi Izby, że wymyślił

pseudonim Razine, gdy jeden z badaczy spisków zadzwonił do niego właśnie po skończeniu spożywania miski ryżu (ang. rice).

Jakkolwiek kłamstwa LeWintera miały wręcz patologiczny charakter, wyznał on jedną charakterystyczną rzecz; mianowicie oświadczył

dziennikarzom z programu Frontline, że „opowieść o Październikowej Niespodziance nie ujawniła swego prawdziwego oblicza przed wyborami [w 1988 roku], a według mojej wiedzy, do tej pory to się nie stało. Być może nigdy zresztą to nie nastąpi".

Zajmujący się tą sprawą przedstawiciele mediów i Kongresu skierowali uwagę głównie na fałszywe źródła Brenneke'a i LeWintera, wsypując je do jednego worka. Ukuli oni równie nieprawdopodobnie brzmiącą spiskową teorię, w której międzynarodowy kartel handlarzy bronią zorganizował całą „operetkę", zmieniając po drodze tylko szczegóły i upiększając opowiadania. Co było tego przyczyną?

Według tych dziennikarzy motywem miała być pewnego rodzaju wendetta handlarzy bronią skiero-187

wana przeciwko Reaganowi i Bushowi za operację, która sparaliżowała działalność „handlarzy śmiercią". Nieważne jak na to spojrzymy, Październikowa Niespodzianka zatacza w świecie spisków coraz szersze kręgi.

Podczas gdy zajmujący się tą sprawą przedstawiciele Senatu stwierdzili, że najprawdopodobniej nie doszło do żadnego tajnego układu pomiędzy obozem Reagana a Irańczykami, to utrzymywali, że Casey „robił brudną robotę", przeprowadzając nieformalne, tajne i potencjalnie niebezpieczne wysiłki na rzecz kampanii Reagana, zbierając tajne dane o negocjacjach Cartera z Irańczykami na temat uwolnienia zakładników. Natomiast specjalny zespół Kongresu jednoznacznie odrzucił obydwie wspomniane możliwości.

Niektóre z kluczowych ustaleń zespołu Kongresu - zdominowanego przez republikańskich śledczych nieprzychylnych zarzutom stawianym Październikowej Niespodziance - były albo mało konkretne, albo też jednostronnie interpretowane.

Stuprocentowo pewne alibi Caseya, jak przypuszczano, oczyszczające go z zarzutów uczestnictwa w madryckich spotkaniach, obecnie pełne jest dziur. Wszyscy są zgodni, że Casey przebywał w Londynie przez kilka dni po dacie domniemanych rozmów w Madrycie. Niemniej dwa dni poprzedzające negocjacje w Londynie dawały mu wystarczająco dużo czasu, by uczestniczyć w tajnym spotkaniu w Madrycie.

Wówczas pojawił się na scenie dawny urzędnik z czasów kampanii Reagana utrzymujący, że Casey nie mógł odwiedzić Madrytu przed wyjazdem do Londynu, ponieważ w podanym w wątpliwość okresie był jego gościem w Bohemian Grove, ustroniu w północnej Kalifornii.

Inni również wspominali o obecności Caseya w tym miejscu, chociaż nie umieli podać dokładnej daty. Aprobując to alibi, zespół

zignorował, a przynajmniej nie docenił wagi rachunków i treści dziennika innego bywalca Bohemian Grove, oraz własnego kalendarza z zajęciami Caseya

i innych źródeł, które mogły wykazać w poważniejszy i bardziej przekonujący sposób, że w ten feralny weekend Casey przebywał w Kalifornii.

Istniały też inne skazy na dochodzeniu ze strony Kongresu, w tym ukrycie powodów zupełnie niesłusznego odsunięcia Richarda Brenneke'a i Oswalda LeWintera. Oprócz byłego prezydenta Bani-Sadra, jeszcze dwóch, wysokich rangą irańskich przedstawicieli rządowych twierdziło, że słyszało o kontaktach między republikanami i Irańczykami w 1980 roku. Jednym był minister spraw zagranicznych Iranu Sadegh Ghotbza-deh, który w sierpniu 1980 roku oświadczył

francuskim dziennikarzom, że republikanie próbowali „zablokować rozwiązanie" kryzysu związanego z zakładnikami. Drugim zaś, były minister obrony Ahmad Madani, który utrzymywał, że Cyrus Hashem poinformował go w 1980 roku o wysiłkach Caseya w celu nawiązania tajnych negocjacji z Iranem.

Zapewne do najbardziej wiarygodnych źródeł należeli też: Claude Angeli, redaktor naczelny francuskiego dziennika „Canard Enchine", i David Andelman, uprzedni reporter „New York Timesa" i CBC News.

Angeli oświadczył zespołowi specjalnemu, że przedstawiciele francuskiego wywiadu, którzy odmówili ujawnienia się, utrzymywali, iż ich organizacja zapewniała „osłonę" spotkaniom obozu Reagana z Irańczykami 18 i 19 października 1980 roku. Andelman, który „jako murzyn" pisał autobiografię Alexandra de Marenches, byłego szefa francuskiego wywiadu, zeznał, że „de Marenches przyznał się do zorganizowania w Paryżu pod koniec października 1980 roku spotkania Caseya z kilkoma Irańczykami". W czasie gdy Andelman podał sensacyjną wiadomość, zespół Kongresu przesłuchał już Marenchesa, który zaprzeczył, jakoby wiedział coś o takich spotkaniach. Nie mogąc dotrzeć ponownie do Marenchesa, by zadać mu kolejne pytania po oświadczeniu Andelmana, zespół operacyjny zdecydował się przyjąć

pierwszą wersję wydarzeń przedstawioną przez weterana francuskich służb specjalnych.

Z pewnością dochodzenie przeprowadzane przez Kongres odrzuciło liczne pogłoski i fałszywe ślady. Postawiło jednak zbyt wiele kluczowych kwestii w zawieszeniu, jak chociażby te przedstawione powyżej.

Istnieje jeszcze dwuznaczna wypowiedź pochodząca od głównej postaci utożsamianej z Październikową Niespodzianką. W 1991 roku podczas gry w golfa z Geo-rge'em Bushem w Palm Springs, Ronald Reagan oświadczył reporterom, że w 1980 roku miał on „próbować przeprowadzenie pewnych spraw w inny sposób" - co zapewne dotyczyło uwolnienia zakładników. Odmówił ujawnienia tego, co miał dokładnie na myśli, ponieważ jak oświadczył „niektóre sprawy są wciąż utajnione". Utajnione? W jaki sposób kandydat na prezydenta mógł coś utajniać? Później, w liście odpowiadającym na pytania ze strony Kongresu, Reagan częściowo przypomniał sobie pewne fakty. Na polu golfowym miał ponoć na myśli publiczne poparcie „spraw", które prowadził wówczas prezydent Carter.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Joint Report of the Task Force to Investigate Certain Allegations Concer-ning the Holding of American Hostages by Iran in 1980.

Waszyngton: U.S. House of Representatives, 3 stycznia 1993.

„The October Surprise" Allegations and Circumstances Surrounding the Release of the Hostages Held in Iran: Report of the Special Counsel. Waszyngton: U.S. Senate, 19 listopada 1992.

Robert Parry. Trick of Treason: The October Surprise Mystery. Nowy Jork: Sheridan Sąuare Press, 1993.

Gary Slick. October Surprise: America's Hostages in Iran and the Election of Ronald Reagan. Nowy Jork: Times Books, 1991.

Frank Snepp. October Surprise. „Yillage Yoice", 25 lutego 1992.

21. Królewski rozpruwacz

Teoria spiskowa dotycząca Kuby Rozpruwacza, zagadkowego mordercy w XIX-wiecznym Londynie, stała się tematem sensacyjnego filmu o Sherlocku Holmesie Mur der By Decree (Morderstwo w majestacie prawa). Genezę swą czerpie jednak z książki zatytułowanej Jack the Ripper: The Finał Solution (Kuba Rozpruwacz, ostateczne rozwiązanie) autorstwa brytyjskiego dziennikarza Stephena Knighta.

Wysnuł on tezę, że za morderstwa w londyńskiej dzielnicy Whitechapel odpowiedzialna jest grupa wolnomularzy, mająca swych przedstawicieli nawet w brytyjskim rządzie. Knight, wykazujący głębsze zainteresowanie masonami, napisał też inne, bardziej ogólne opracowanie zatytułowane The Brotherhood (Braterstwo) i pracował

nad dalszym ciągiem, gdy, w nie wyjaśniony sposób, nagle zmarł.

W ogniu zarzutów Knighta nawet monarchia nie została oszczędzona, a wszystko miało odbyć się ponoć w następujący sposób.

Wśród atmosfery politycznych wstrząsów i wrogości nizin społecznych wobec arystokracji w ogóle, a rodziny królewskiej w szczególności - z siedmioma próbami zamachów na życie królowej Wiktorii - jeden nieco dziwaczny, acz wysoko postawiony członek rodziny królewskiej dopuścił się wyjątkowego mezaliansu. Ożenił się mianowicie ze zwykłą dziewczyną z ludu. I to w sek-193

recie. By uczynić rzecz całą jeszcze drażliwszą, dziewczyna wcześniej zaszła z nim w ciążę. Co więcej, brzemienna panna młoda okazała się katoliczką.

Wyrodnym arystokratą był Eddy, kochliwy, biseksual-ny książę Clarence, ówcześnie drugi w kolejności kandydat do tronu. Biorąc pod uwagę fakt, że jego ojciec, książę Walii, a zarazem pierwszy kandydat do objęcia władzy królewskiej, nieustannie zamieszany był

w różnorakie skandale towarzyskie, do tego stopnia, że jego wstąpienie na tron wydawało się niemożliwe, krok Eddy'ego stanowił

poważne zagrożenie dla samej monarchii. Jeśli wieści o niefortunnym małżeństwie rozniosłyby się po całym Londynie, z pewnością stałyby się podstawą ataków ze strony radykalnych republikanów.

Lord Robert Salisbury, ówczesny premier Anglii i jeden z najwyżej stojących w hierarchii wolnomularzy w kraju, postanowił, że w żadnym wypadku nie może do tego dopuścić.

Inicjatywa Salisbury'ego nie wynikała jedynie z pobudek patriotycznych, chociaż z pewnością wykazywał on przywiązanie do monarchii, a podyktowana była także względami osobistymi. Swoją pozycję zawdzięczał bowiem masonerii. A w Brytanii masoneria była nierozerwalnie związana z Koroną, do tego stopnia, że najbardziej czcigodnym Wielkim Mistrzem Anglii był nie kto inny, jak książę Walii. W rzeczy samej wolnomula-rze byli „pozostającą w cieniu władzą", przed którą ostrzegał poprzedni premier, Benjamin Disraeli.

Wol-nomularze i Korona nie mogli wręcz bez siebie istnieć.

Salisbury powierzył wykonanie zadania jednemu z najbardziej zaufanych masońskich braci, lekarzowi, specjaliście w sprawach aborcji, sir Williamowi Gullowi.

W tym miejscu w scenariuszu Knighta pojawia się Walter Sickert, brytyjski malarz impresjonista, indywidualista, który krążył po mieście wśród nieszczęśników z East Endu.

194

Sickert również, jak sam utrzymywał, zaprzyjaźnił się z księciem Clarence. Potencjalny dziedzic tronu podawał się za fikcyjnego brata Sickerta, co umożliwiało mu częste wizyty w zakazanej strefie miasta, gdzie prowadził podwójne życie.

Według relacji Sickerta, podczas tych wypadów Eddy zakochał się, spłodził córkę oraz potajemnie ożenił się ze sklepikarką Annie Elizabeth Crook. Oczywiście królewscy krewni Eddy'ego nawet nie chcieli o tym słyszeć. Umiejętnie ukrócili schadzki młodego księcia, a za dobrą radą lekarza Gulla wysłali jego nieodpowiednią małżonkę na wygnanie. Zdaniem Knighta bardziej prawdopodobne wydaje się, że skierowano ją do „przytułku", czyli czegoś w rodzaju domu, ale bardziej swobodnego, jeżeli chodzi o odnotowywanie przychodzących i wychodzących gości.

Istniało dwóch świadków owego niecodziennego małżeństwa: Sickert oraz dziewczyna o imieniu Marie Kelly, która pracowała w sklepie wspólnie z Annie. Gdy tylko rodowa starszyzna zniszczyła związek Eddy'ego, Kelly uciekła przerażona do swego domu w Irlandii, by dzięki zasłonie milczenia zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Po kilku latach Marie Kelly powróciła na londyński East End, zapewne zmuszona sytuacją życiową. Jej jedynym źródłem dochodów pozostawało dobro ukryte pod jej pumpami, dlatego też Marie szybko znalazła się w niezbyt stosownym otoczeniu.

Kilka jej towarzyszek po fachu, którym zwierzyła się z nieodległej historii - gnanych wizją dodatkowych korzyści majątkowych -

obmyśliło nie najlepiej wykonany plan szantażu, ściągając na siebie tylko nieszczęścia.

Mimo wszystko nie możemy zapominać o wysokiej stawce, o jaką grali wolnomularze. Jeden z konspiratolo-gów stwierdził na podstawie dowodów Knighta: „nie zdawały sobie one sprawy, że ich plan stoi na drodze do dominacji nad światem!!!"

Salisbury, czując, że środki bezpieczeństwa przedsięwzięte przez masonów nie zapewniły spodziewanego spokoju, ponownie zlecił

Gullowi dalsze działania. Tym razem lekarz sięgnął po bardziej drastyczne środki. W swoim powozie, kierowanym przez Johna Netleya, który uprzednio podrzucał Eddy'ego na East End w szczęśliwych czasach dawnej epoki, krwawy doktor dokonał całej serii zabójstw. Trzeci wspólnik, zidentyfikowany przez Sickerta jako policjant sir Robert Anderson (inna gruba ryba w środowisku masonów) „pomagał" ofiarom wsiadać do „śmiertelnej bryczki".

Tak przedstawiały się sprawy w relacji malarza Waltera Sickerta, którego syn Joseph przekazał swą wiedzę Knightowi. Joseph podał się za potomka księcia - jako że jego matką była córka Annie Crook, Alice, która w wieku dojrzałym stała się kochanką leciwego już Waltera Sickerta.

Jeśli chodzi o dokładne szczegóły morderstw oraz próby ich tuszowania, Knight wykonał godną podziwu pracę śledząc i weryfikując, a co najmniej potwierdzając scenariusz podany przez Sickerta. Może to oznaczać, że morderstwa Kuby Rozpruwacza były niczym więcej jak zwykłą, rutynową wręcz czynnością rządu zmierzającą do pozbycia się niewygodnych świadków, co do złudzenia przypominało sytuację towarzyszącą zabójstwu Johna Kennedy'ego. Tyle że w wypadku Kuby Rozpruwacza mordy odbywały się zgodnie z wyszukaną masońską symboliką i zwyczajami.

By odeprzeć ewentualne zarzuty, że większość zwykłych masonów nie wie, jakie są zamiary ich braci stojących u szczytu władzy, Knight robi długi wywód, wyszczególniając, w jaki sposób doktryna masońska i bogata oprawa inicjacyjna pozwalają, a nawet zachęcają ich do wykonywania aktów najwyższego zła.

Napisy na ścianach oskarżające „Juwes" o morderstwa - niezbyt dokładnie usunięte przez policyjnego komisarza (oczywiście masona) sir Charlesa Warrena,

z obawy przed wybuchem zamieszek antyżydowskich

— odnosiły się w rzeczywistości nie do Żydów (ang. Juws), ale jak mówi Knight do trzech Juwes (3 x J)

-

rzezimieszków nazywających się Jubela, Jubelo i Ju-belum -

którzy zamordowali architekta Hirama Abiffa, pierwszego męczennika masońskiego mitu. W podobny sposób mordercy rozprawili się z czwartą ofiarą, Ca-therine Eddowes, pozostawiając wyraźne ślady na jej ramieniu przypominające groteskowe rany na ciele Hirama. Ciało Eddowes zostało zakopane na Mitrę Sąuare (placu Infuły), który Knight nazywa „najbardziej masońskim miejscem w całym Londynie". Na Mitrę Sąuare mieściło się kilka lokali, w których spotykali się masoni, między innymi Mitrę Tavern, gdzie gromadzili się niegdyś kompani Gulla.

Guli w jakiś sposób pomylił Eddowes z Kelly, i dlatego mord dokonany na niej przeprowadzono z pełnym masońskim symbolizmem. Gdy zorientowano się, że ofiarą zabójstwa padła niewinna dziewczyna, mordercy odczekali trzydzieści dziewięć dni -

jak zaznacza Knight, dziewiątka jest ulubioną liczbą masońską, czyli trzynaście pomnożone przez trzy - by dokonać zamachu na Kelly.

Liczne rany na ciele Marie Kelly w widoczny sposób odpowiadają tajemniczym masońskim wskazówkom, w jaki sposób okaleczać ludzi. Już samo istnienie takich instrukcji wskazuje krwawy rytuał

masońskich porachunków. Ale co najważniejsze, same morderstwa, szok, jaki wywołały, i panika podczas dziesięciotygodniowej działalności Kuby Rozpruwacza (nieważne, czy był on jeden, czy było ich trzech) okazały się skutecznym sposobem umocnienia masońskiej supremacji, zagrożonej wówczas przez niepokoje dołów społecznych.

Jak donosi Knight, zasady wyższej formy organizacji masonerii w rzeczywistości wymagają aktów terroru, by stawić czoło zagrożeniu, na jakie wystawiona jest wspólnota. W opowiadaniu Sickerta sam lord Salisbury, mi-197

mo że był nieco zaniepokojony morderstwami, w końcu okazał

publiczne zadowolenie z masońskiej dominacji.

Mimo że Knight podziela pogląd, iż niejaki Anderson, fanatyczny mason, brał udział w zacieraniu śladów złożonej postaci Kuby Rozpruwacza, to jednak dostrzega pewne niekonsekwencje, które wykluczają Andersona z brania bezpośredniego udziału w zabójstwach. Tym „trzecim człowiekiem" może być jedynie, wedle konkluzji Knighta, Walter Sickert.

Dokładna wiedza Sickerta o zabójstwach Rozpruwacza mogła pochodzić wyłącznie z bezpośredniego w nich udziału. Motywem skłaniającym Sickerta do tego mogło być jedynie pragnienie ocalenia życia, a także ochrona maleńkiej dziewczynki, która była dzieckiem Eddy'ego, a wiele lat później miała wydać na świat własnego syna Sickerta. Jak rozumuje Knight, masoni zapewne zniewolili go swymi groźbami.

Inne, nie pochodzące od Knighta teorie o Rozpruwaczu widzą zabójcę w chorym na syfilis samym księciu Eddym, którego choroba mogła doprowadzić do takiego stanu psychicznego. Jedna z wersji umieszcza też na scenie morderstwa Sickerta, ale w roli opiekuna Eddy'ego, który pozostaje pod pewnego rodzaju psychiczną kontrolą ze strony masonów. W ten sposób wina Sickerta jest podwójna: bierze udział

nie tylko w zabójstwie, ale także w degradacji swego przyjaciela.

Dręczące sumienie skłoniło Sickerta do przekazania całej historii synowi (tylko że w roli przez siebie odegranej umieścił Andersona), a także do stworzenia wątku, który matał w to masonerię, a w szczególności Gulla. Ze wszystkich wątków zostały wyeliminowane lub usunięte w cień postacie masonów wyznaczonych do przeprowadzenia śledztwa w sprawie tej serii morderstw.

Sfrustrowany Sickert zaczął nawiązywać do tamtych wydarzeń w swoich późniejszych pracach. Często mawiał, że niektóre jego obrazy inspirowane są

morderstwami Rozpruwacza lub wspomnieniami dawnej przyjaciółki

- Marie Kelly.

„To był dziwny człowiek" - opowiada syn Sickerta, Joseph, w zakończeniu książki Knighta. „Zdarzało mu się bez wyraźnego powodu wybuchać szlochem, gdy przypominały mu się wydarzenia z dawnych czasów".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Stephen Knight. Jack the Ripper: The Finał Solution. Londyn: Granada Publishing, 1977.

Donald Rumbelow. The Complete Jack the Ripper. Boston: New York Graphic Society, 1975

22. Morderstwo przy Cielo Drive

W dzisiejszych czasach, gdy doniesienia o krwawych mordach i masakrach są na porządku dziennym, czasach nieustannej rzeki przemocy płynącej z ekranów, znaczenie masakry dokonanej przez

„Rodzinę" Charlesa Man-sona trudno ujrzeć we właściwym świetle.

Wśród makabrycznych relacji lat dziewięćdziesiątych zbrodnia ta nie wydaje się niczym szczególnym; pięć osób zamordowanych jednej nocy, dwie następnej. Zadźgani nożami i zastrzeleni. Napisy wykonane krwią na ścianach. Być może też wypicie łyka krwi dla dodania całej masakrze większej dramaturgii.

Gorącą nocą 9 sierpnia 1969 roku grupa Mansona wdarła się do domu przy Cielo Drive w Benedict Canyon, będącego częścią Beverly Hills. Dom ten wynajmował reżyser filmowy Roman Polański wraz z piękną, będącą wówczas w ciąży żoną, aktorką Sharon Tate.

Napastnicy zamordowali wszystkie pięć osób obecne wówczas w willi (sam Polański przebywał w tym czasie poza granicami Stanów Zjednoczonych).

Wydarzenia te zelektryzowały całą Amerykę. Następnej nocy gang Mansona w podobny sposób zadźgał potentata w branży supermarketów Leno LaBianca i jego żonę. Od tej pory mieszkańców tych rejonów ciągle prześladują obawy o własne życie. Nawet w czasie najpiękniejszej letniej nocy wyczuwa się tam coś niepokojącego. Nieprzerwanie pracują systemy alarmowe, antywłamaniowe, kamery i ochroniarze.

Vincent Bugliosi, prokurator kierujący sprawą morderstw gangu Mansona, skazując jego członów na dożywocie, podaje motyw działania grupy w napisanej przez siebie książce Helter Skelter. Ten zwrot, nabazgrany na ścianach krwią ofiar, był nie tylko tytułem jednej z piosenek Beatlesów, ale także hasłem, którym Manson określał wojnę na tle rasowym. Miał on nadzieję, że mord zostanie przypisany murzyńskim gangom, w ten sposób wywołując apokaliptyczny konflikt pomiędzy białą i kolorową ludnością.

W superrasistowskich przewidywaniach Mansona mający przewagę fizyczną, choć intelektualne niżej stojący przedstawiciele czarnej rasy mieliby wygrać ową wojnę, ale wtedy okazałoby się, że są niezdolni do zarządzania krajem. Wtedy Manson ze swoją grupą mieli opuścić kryjówkę na pustyni i przejąć władzę.

Manson przyznawał się do brania pod uwagę tego scenariusza rodem z komiksów. Ale nawet on sam kiedyś wyjawił, że Helter Skelter nie był prawdziwym motywem prowadzącym do masakry. Bugliosi stwierdzał, iż trzymał się scenariusza Helter Skelter, ponieważ policji w Los Angeles nie udało się znaleźć żadnego innego tropu. Tezę tę można jednak łatwo podważyć prostym pytaniem: jeżeli Manson pragnął zapoczątkować wojnę na tle rasowym, to dlaczego zaprzestał

swojej działalności już po dwóch krwawych dniach?

Jak przyznała jedna z członkiń gangu, Manson kierował się w swych poczynaniach osobistymi względami. W rzeczy samej, we wszystkich innych morderstwach,

w które był zamieszany, widać było namacalne motywy łączące go ze światem handlarzy narkotyków albo z próbami zamknięcia ust potencjalnym kapusiom.

Bugliosi wysłał Mansona i jego wyznawców do więzienia, przypisując im motyw Helter Skelter, choć podejrzewał, że za tą banalną historyjką kryje się coś głębszego. W epilogu do swojego bestsellera zaznacza, że Manson wydaje się posiadać pewne koneksje z Pro-cess Church of the Finał Judgment (Postępowy Kościół Sądu Ostatecznego), satanicznym kultem, którego przywódca Robert Moore (vel DeGrimston) głosił poglądy zbliżone do poglądów Mansona.

Gdy Bugliosi zapytał Mansona, czy kiedykolwiek słyszał o Robercie Moorze, ten odparł: „Spoglądasz właśnie na niego. Moore i ja to jedno i to samo".

Być może w trosce o swój wizerunek Process Church wysłał dwóch przedstawicieli z Cambridge, w stanie Massachusetts, by odwiedzili Bugliosiego w jego biurze w Los Angeles. Odbyli oni miłą pogawędkę z prokuratorem. Bugliosi odnalazł jednak później ich nazwiska na liście osób odwiedzających Mansona tego dnia w więzieniu. Chociaż Bugliosi nigdy nie ustalił, o czym rozmawiali z Mansonem, to gdy później próbował dowiedzieć się od mordercy czegokolwiek o Process Church, Manson za każdym razem nabierał

wody w usta.

Dochodzenie Bugliosiego ograniczało się do samej sprawy sądowej, natomiast dziennikarz Ed Sanders i reporter Maury Terry prześledzili drzewo „Rodziny" znacznie szerzej. Sanders napisał The Family (Rodzina), najbardziej wyczerpujący materiał na temat Mansona.

Dekadę później Terry opublikował The Ultimate Evil (Krańcowe zło), w którym wiązał Mansona (chociaż jedynie pośrednio) z morderstwami w Nowym Jorku, których sprawcą miał być Son of Sam (Syn Sama).

Obydwaj reporterzy podzielają opinię, że za masakrą w willi Polańskiego stały mroczne transakcje związane z obrotem narkotykami. Zapewne te same motywy do-201

prowadziły do morderstwa państwa LaBianca. Dziennikarze wyrażają zgodną opinię, że Manson podporządkował swój zabójczy kult jakiejś wyższej organizacji. Właściwym celem mordu w willi Polańskiego był najprawdopodobniej Wojtek Frykowski, playboy zajmujący się handlem narkotykami, który wymknął się swym szefom spod kontroli.

Frykowski ze swoją narzeczoną Abigail Folger (z imperium kawowego Folgerów) i fryzjerem hollywoodzkich gwiazd, Jayem Sebringiem, zostali zamordowani razem z Tate.

Istnieją poszlaki wskazujące, że Rosemary LaBianca również była zamieszana w handel LSD. Natomiast jej mąż miał znaczne długi wynikające z niepohamowanej pasji hazardu.

„Czy nie sądzisz, że ci ludzie zasłużyli na śmierć? - rzekł pewnego razu Manson do prowadzącego przesłuchanie. - Oni byli zaangażowani w pornografię z udziałem dzieci".

Mocne filmy pornograficzne przynosiły wielkie pieniądze, i choć nie wiemy z całą pewnością, czy w ich

produkcji uczestniczyła grupa zgromadzona wokół Tate, to trzeba przyznać, że mogła być do tego skłonna. Jednakże takich filmów nigdy nie znaleziono.

Niektóre źródła idą jeszcze dalej, sugerując, że dom przy Cielo Drive mógł być studiem, w którym kręcono filmy pornograficzne. Terry Melcher, który wcześniej mieszkał w tym domu, był jedną z osób utrzymujących kontakty z Mansonem poprzez świat muzyki. Syn Doris Day pisał w swej autobiografii, że wiedział, iż co najmniej jedna orgia została sfilmowana w tym starym domu. Wśród obsady miała znajdować się Sharon Tate. Podobno w scenach kręconych przy Cielo Drive pojawiały się również inne znajome twarze ze świata Hollywoodu, uczestniczące w scenach ze zniewoleniem czy zadawaniem bólu.

Filmy ukazujące rzeczywiste akty seksualne, często okraszone krwią, wydawały się popularną rozrywką (i

oczywiście źródłem niebagatelnych dochodów) dla pewnych grup odszczepiericów. Jeden z informatorów San-dersa twierdzi, że widział

materiał filmowy ukazujący członków „Rodziny" tańczących na plaży wokół pozbawionego głowy ciała ofiary. Mówiło się również o oglądaniu roznegliżowanych kobiet z klanu Mansona pijących krew i zabijających rytualnie zwierzęta.

Maury Terry wierzy, że jedno z morderstw organizacji Son of Sam zostało uwiecznione na taśmie magnetowidowej, a operator został

również zamordowany, gdy kult Sama odkrył nagrany materiał. Terry wierzy, że inną osobą odpowiedzialną za robienie tego typu ujęć był

osobnik zajmujący się okultyzmem, zwany Mansonem II, zidentyfikowany później jako morderca William Mentzer. W późnych latach sześćdziesiątych obracał się w środowiskach związanych z prostytucją, narkotykami i pornografią; i podobnie jak Manson znał

Abigail Folger.

Policja w Los Angeles z pewnością nie była jedyną instytucją przeprowadzającą dochodzenie w sprawie morderstwa w willi Polańskiego. Wydaje się, że niemal każda oficjalna agenda związana z działalnością wywiadowczą, począwszy od FBI, przejawiała zainteresowanie tym okrutnym mordem. Według Terry'ego także wywiad izraelski.

Wobec tego zainteresowania, Sanders zastanawia się - co rzeczywiście kryło się za kulisami zbrodni i procesu Mansona.

Wszelkie przypuszczenia są oczywiście czystą spekulacją, a przy braku ostatecznych wyników śledztwa, w odniesieniu do sprawy Mansona zostają wysuwane inne intrygujące spekulacje. Uprzedni prokurator okręgowy kalifornijskiej Inyo Coutry, Frank Fowles, nie tylko badał powiązania Mansona z Process Church of Finał Judgment (Manson prawdopodobnie zetknął się z tym kultem w San Francisco, a według pewnych źródeł przyłączył się nawet do niego), ale także z mor-203

dercą określanym jako Zodiac z Bay Area. Ten niebezpieczny przestępca, mimo przypisywanej mu sporej

liczby zabójstw, nigdy nie został ujęty. On lub oni wysyłali pełne okultystycznych znaków obelżywe listy do placówek policji.

Ktokolwiek jednak rozkazał Mansonowi dokonanie zbiorowego mordu, może wziąć winę za jego tragiczny przebieg.

Ed Sanders pisał w podsumowaniu swoich wywodów: „Rodzina Mansona wydawała się nienawidzić i zwalczać najbardziej twórczych przedstawicieli generacji. Uderzać w ich otwartość i samodzielność, ich muzykę i ukochanie dzikich, żywych barw, miłość do przyrody i naturalnego piękna Ameryki, poszukiwanie wyższych wartości oraz potrzebę ochrony środowiska. Czy możliwe jest, że mała grupa fanatyków skupiona wokół Mansona przyczyniła się znacząco do zakończenia tak ponuro dekady, która jakże wspaniale i obiecująco się zapowiadała?"

Richard Nixon i J. Edgar Hoover razem wzięci, z CIA na dodatek, nie mogliby zapewne lepiej wykonać tej roboty.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Vincent Bugliosi. Helter Skelter. Nowy Jork: Bantam Books, 1973.

Michael Newton. Raising Heli: An Encyclopedia of Devil Worship and Satanic Crime. Nowy Jork: Avon Books, 1993. Ed Sanders. The Family. Nowy Jork: Signet Books, 1989. Nicholas Schreck, ed. The Manson File. Nowy Jork: Amok Press, 1987. Maury Terry. The Ultimate Evil. Garden City, Nowy Jork: Dolphin Books, 1987.

23. Oświeceni

Jeżeli chodzi o stowarzyszenie Illuminati, linia rozgraniczająca historię i spekulacje jest wyjątkowo niejasna.

Bawarskie Illuminati, najbardziej znana ze wszystkich organizacji noszących tę nazwę, było jedną z wielu zorganizowanych reprezentacji oświeconego (iluminowanego) ducha, które pojawiły się w Europie w XVIII wieku i swój nadrzędny cel widziały w oswobodzeniu ludzkości z odwiecznej dominacji systemu feudalnego i monarchii. Illuminati były zarówno tworem swego czasu, jak też jego twórcami.

Z drugiej strony...

Założyciel towarzystwa, Adam Weishaupt, porywczy, płodny profesor prawa na Uniwersytecie Ingolstadt, w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat w 1774 roku przyłączył się do wolnomularzy i wkrótce rozpoczął prace nad nakreśleniem utopijnych wydawałoby się planów, by przekształcić świat, w którym żył, w uniwersalne państwo oparte na prawach natury, z niewzruszonymi zasadami. Weishaupt posiadał

wystarczająco dużo realizmu, by zdawać sobie sprawę, że aby zrealizować swój ambitny cel, będzie musiał zgromadzić wokół siebie grono oddanych mu sympatyków. Obdarzony poszukującym umysłem, który odrzucał wszystkie nakazowe systemy wiary, młody Weishaupt interesował się

najprzeróżniejszymi praktykami okultystycznymi, a zwłaszcza tajemniczymi kultami starożytnych Greków. Po pewnym czasie był w stanie założyć tajne stowarzyszenie z własną strukturą. Rekrutując pięciu członków z prestiżowej loży masońskiej, nad którą przejął

kontrolę, 1 maja 1776 roku Weishaupt zainaugurował działalność pierwszego swojego zakonu, znanego dziś pod nazwą bawarskiego Illuminati.

Weishaupt wkrótce związał się z Adolfem Francisem, bardziej znanym jako baron Knigge, który w 1780 roku zajmował wysoką pozycję w europejskich kręgach masońskich. Baron od lat próbował

zjednoczyć wszystkie europejskie loże w jedną gigantyczną organizację. Dzięki talentom organizacyjnym Kniggego, szeregi Illuminati powiększyły się do trzech tysięcy (każdy kandydat wybierany był ze śmietanki masońskiej), co stało się bez wątpienia bezkrwawym przewrotem w europejskich wyższych warstwach masonerii.

Na kontynencie wolnomularstwo tradycyjnie stanowiło schronienie dla radykalnych intelektualistów, polityków i tych, którzy pragnęli się z nimi zbratać. Illuminati wybierała najbardziej oddanych i wpływowych spośród nich i dokonywała selekcji kandydatów poddając serii obrzędów inicjacyjnych, bardziej wymagających i tajemniczych niż wolnomularskie. Owa praktyka miała na celu zapewnienie lojalności Weishauptowi i innym zwierzchnikom zakonu.

Z czasem Illuminati stała się tajną organizacją o rewolucyjnym charakterze, której wpływy daleko wykraczały poza liczbę członków.

Jednakże podobnie jak w wielu innych organizacjach tego typu, utrzymanie swojej działalności w całkowitej tajemnicy okazało się niemożliwe. Po ujawnieniu przez kilku członków tajnych informacji w połowie lat osiemdziesiątych XVIII wieku, Illuminati została na mocy specjalnego dekretu uznana za organizację bezprawną. W ten sposób bawarski ruch miał zakończyć swoją działalność. Podobno Weishaupt wraz kilkoma innymi

przywódcami ruchu zbiegł do sąsiednich landów, lub też jeszcze dalej.

W tym miejscu wydają się znikać wszystkie ślady po Adamie Weishauptcie. Robert Anton Wilson, znany ze swych fantastycznych pomysłów, sugerował, iż Weishaupt mógł udać się do Ameryki, gdzie pragnął wywrzeć wpływ na amerykańską prezydenturę, doprowadzając do wyboru na to stanowisko człowieka związanego z masonerią. Niemal natychmiast powstały plotki, jakoby rozproszone elity Weishaupta wciąż pracowały nad wprowadzeniem w życie swoich planów. Wedle oświadczenia Proofs of a Conspiracy ('Dowody konspiracji), opublikowanego czternaście lat po rozwiązaniu de iure Illuminati, ruch ten przekształcił się w Związek Niemiecki, który odegrał pewną, być może nawet wiodącą rolę w przebiegu francuskiej rewolucji, której hasło „wolność, równość, braterstwo" równie dobrze mogło pochodzić od masonów.

W pełnej najprzeróżniejszych dywagacji książce na ten temat, The Illuminoids (Iluminaidzi), Neil Wilgus twierdzi, że George Washington, kimkolwiek był, czytał Proofs i uważał, iż zawarte tam myśli zasługują na szersze zbadanie. Dodawał jednocześnie, iż amerykańskie loże masońskie nie są objęte szykanami, jak ich europejskie odpowiedniczki. Thomas Jefferson, kolejny mason, również zapoznał się z pismami

Weishaupta. Żywił względem nich podziw, mówiąc, że rozumie ukochanie radykalnych Niemców do tajności poczynań, z uwagi na panujący wówczas w Europie despotyzm. Według słów autora Deklaracji Niepodległości: Gdyby Weishaupt przebywał w Ameryce, „nie musiałby uciekać się do żadnych tajnych działań, by propagować swoje wolnomyślicielskie poglądy".

Illuminati Weishaupta stała się inspiracją różnych domysłów o podobnych spiskach. W jednej z ich wersji Franklin Delano Roosevelt pojawia się jako członek Illuminati. Tak czy owak, to właśnie za kadencji Roo-209

sevelta masońskie oko w piramidzie po raz pierwszy pojawiło się na amerykańskich banknotach.

Można też postawić pytanie, czy cała ta historia z Illuminati nie została sfabrykowana. Czy może Adam Weishaupt w ogóle nie istniał? Już jego imię nosi przecież znamiona mistyfikacji - Adam to jak wiadomo pierwszy człowiek, natomiast Weishaupt po niemiecku znaczy tyle co „mądra głowa". Jednym słowem odpowiednie nazwisko dla domniemanego inspiratora światowej rewolucji.

Podczas gdy generalnie wydaje się jednak, że taka osoba chodziła po ziemi (choć zapewne nie prowadziła tak spektakularnego życia, jakie się jej często przypisuje), Weishaupt stał się z czasem postacią mityczną, podobnie jak wiele innych historycznych postaci, takich jak John Kennedy, Hitler czy Casanova.

Wilgus wybiera najwłaściwsze, jak się zdaje, podejście, kreśląc historię nie samego Illuminati, ale illuminoi-dów, neologizm znaczący mniej więcej - zbliżony do Illuminati. W całych dziejach historii rodzaju ludzkiego „oświecenie" czy też iluminacja stanowiła jedną z największych obsesji ludzkości. Bawarskie Illuminati, mimo że poświęcono mu najwięcej uwagi, było raczej mało liczącym się przykładem odwiecznej tradycji, która swymi korzeniami sięga prehistorii, gdy pewien szaman żyjący w jaskini zadziwiał swych współplemieńców rozpalając ogień za pomocą krzesiwa i patyków.

Ów czarownik, w sposób również dosłowny, dostrzegał światło.

Dążenie do osiągnięcia iluminacji może okazać się równie dobrze zgubne, jak i dobroczynne. Władza zawsze miała swoją ciemną stronę. Spoglądając na to pod nieco innym kątem, możemy dostrzec illuminoidów jako członków ludzkości niezadowolonych z naszego codziennego życia, spoglądających w górę z nadzieją odkrycia lepszego życia.

Dawne tajne sekty, stanowiące inspirację dla Weishaupta, mogły być pierwszymi placówkami zorganizo-210

wanej iluminacji. Żydowski kabalizm, chrześcijański gnostycyzm, islamski sufizm podążały później tym śladem, podobnie jak wiele kultów i tajnych stowarzyszeń, począwszy od siejących strach hasziszijja (asasynów, czyli zabójców) i templariuszy, do mniejszych grup okultystycznych, z których pewne (w Hiszpanii i Francji) również dzisiaj nazywają się „Illuminati".

Organizacja Weishaupta dobrze pasuje do tego obrazu.

Od czasu rzekomego odejścia bawarskich Illuminati ogień ich przesłania nadal jasno płonie.

Ślady iluminacji dostrzegamy przede wszystkim w samej egzystencji elity społecznej i ekonomicznej,

która uważa, że posiada specjalną wiedzę niezbędną do sprawowania władzy, a tym bardziej do ustanawiania instytucji establishmentu: Rady Stosunków Międzynarodowych, Komisji Trójstronnej - ze złowieszczym trójkątem logo, Grupy Bilderbergu. Są one prywatnymi ciałami składającymi się z czołowych przedstawicieli świata biznesu, polityki i nauki, które, choć ich członkowie zaprzeczają temu, mają w rzeczywistości znaczący wpływ na kształtowanie polityki ogólnoświatowej. Rada Stosunków Międzynarodowych (CFR) powstała jako amerykańska odnoga brytyjskiego Okrągłego Stołu Cecila Rhodesa. Do grona jej członków należała większość amerykańskich prezydentów i sekretarzy stanu ostatnich sześciu dekad. Henry Kissinger jako młody akademik został wciągnięty do CFR, która z kolei opublikowała jego znamienną książkę Nuclear Weapons and Foreign Policy (Broń nuklearna i polityka zagraniczna).

Na stronach tej właśnie książki rozpatrywał możliwość wygrania wojny nuklearnej.

Już od czasu swego powstania w 1947 roku CIA została w pewien sposób powiązana z CFR. Agencja do dnia dzisiejszego dostarcza nie publikowane szerzej raporty na spotkania CFR. Komisja Trójstronna, założona przez multimiliardera Davida Rockefellera, jest agendą CFR, z udziałem przedstawicieli Japonii. Człon-211

kowie obydwu tych grup przenikają się wzajemnie. Jim-my Carter, gdy został prezydentem, był członkiem Komisji Trójstronnej, co dla teoretyków spiskowych stało się faktem niepokojącym.

Mająca swą siedzibę w Holandii Grupa Bilderbergu pozostaje nieco bardziej w cieniu, choć jej działaniu przyświeca podobna idea, a w jej szeregach zasiadają politycy o podobnej orientacji, tyle że mówiący z europejskim akcentem.

Celem tych elitarnych grup, według „antyilluminis-tów", jest konsolidacja władzy przez utworzenie pewnej formy światowego rządu. Miałoby to nastąpić przez wprowadzenie Nowego Światowego Ładu. Dziwnym zrządzeniem losu sala zgromadzeń w budynku Narodów Zjednoczonych udekorowana jest jednym okiem w konturze piramidy. Czy ma to symbolizować światło (iluminację), które spłynie na pozostającą wciąż w ciemności ludzkość? Sam George Bush entuzjastycznie odnosił się do idei Nowego Światowego Ładu.

Fotografia Busha na szpitalnym łóżku, w otoczeniu dzieci ze znaczkami w kształcie piramidy w klapie, sugeruje z kolei, jaki symbol jest byłemu prezydentowi najbliższy. Dla teoretyków spiskowych zdjęcie to z pewnością stanowi podstawę do daleko idących spekulacji.

Illuminati są wszędzie, w tej czy innej formie. Należy ich tylko umieć rozpoznać. Geniusz konspiracyjnych poszukiwań, James Shelby Downard, dostrzega ślady masońskiej działalności także w wypadku zabójstwa Johna Kennedy'ego.

GŁÓWNE ŹRÓDŁA

John Robinson. Proofs of a Conspiracy. Boston: Western Islands Press, 1967. Neil Wilgus, The llluminoids, Secret Societies and Political Paranoia. Santa Fe, NM: Sun Books, 1978.

24. Brylantowe akta

W 1975 roku dziennikarka Stephanie Caruana, współpracująca wówczas z magazynem „Playgirl", opublikowała The Skeleton Key to the Gemstone File (Zarys Brylantowych Akt). Jest to broszurowy rejestr oryginalnego pliku listów, w całości zapewne grubego na tysiąc stron. Oryginalne listy składające się na Gemstone File zostały napisane przez tajemniczego i dawno już zmarłego osobnika zwanego Bruce'em Robertsem, który był... No cóż, nikt właściwie nie wie dokładnie, kim tak naprawdę był ten człowiek.

Rejestr Caruany powielano na kserokopiarkach tysiące razy. Dokładna liczba, podobnie jak większość informacji zawartych w Gemstone File, nie jest możliwa do zweryfikowania.

Natomiast jego zawartość to klasyczna konspiracyjna teoria: fakty zmieszane z przypuszczeniami, poprzeplatane błędami i wyrażone z całą stanowczością. Mimo to „dokument" jest na tyle frapujący, choć czasami nieco zagmatwany, że aż kusi do zaakceptowania przedstawionych tam tez, a nawet do rozpoczęcia głębszych badań.

Zacznijmy wszystko od początku.

Jest rok 1932.

Centralną figurą tej historii jest Arystoteles Onassis. Magnat stoczniowy, który ożenił się z wdową po prezydencie Kennedym. W

Gemstone File ukazany jest jako „grecki handlarz narkotyków... który zarobił pierwszy milion dolarów sprzedając «turecki tytoń» (opium) w Argentynie". Zawiera też z Meyerem Lanskym, Eu-gene'em Meyerem i Josephem Kennedym układ na nielegalne dostawy alkoholu do Bostonu. Jak podaje Gemstone, „wchodziła w to także umowa z Franklinem i Elliotem Rooseveltami na dostarczenie heroiny".

Dalej następuje opis czterdziestu trzech lat tajnych porozumień i spisków, kończący się na kwietniu 1975

roku, w którym to czasie, jak podaje Caruana w typowej dla siebie frazeologii, „Ford, Kissinger i Rockefeller rozpłaszczyli się niczym ropuchy na ciele Ameryki".

Zapewne owa data zazębia się z okresem, gdy Ro-berts, poczęstowany podejrzanym posiłkiem, zakończył spisywanie swych wielce oryginalnych listów i odszedł bezpowrotnie na tamten świat.

W tekście tym znajdujemy czasem frapujące, zagadkowe fragmenty, dziwaczne, acz intrygujące przypuszczenia. Cały wątek Gemstone dotyczy ciemnych powiązań pomiędzy amerykańskim rządem i mafią

— co bez wątpienia stanowi interesującą hipotezę. W tym miejscu mała dygresja. Ukazana tam mafia ma więcej wspólnego z przeciwnikiem Jamesa Bonda - SPECTRE, niż z sycylijską tajną organizacją rodem z Ojca chrzestnego.

W roli „koronowanej głowy mafii" występuje sam Onassis. Wypada tu dodać, że badacz spisków, John Judge snuł spekulacje, jakoby łan Fleming (autor Jamesa Bonda) oparł wizerunek postaci złowieszczego Ernsta Stavro Blofelda właśnie na życiorysie Onassisa, który mógłby kpić sobie z Gemstone, gdyby Bruce Roberts w swym opowiadaniu nie wyjawił wprost, że Onassis jako złowieszczy geniusz jest potężnym władcą, dla którego prezydenci, gangsterzy i papieże są jedynie marionetkami.

Po niezwykle ważnym układzie z Kennedym i wspomnianymi wcześniej osobami, zgodnie z tym, co podaje Gemstone, w karierze Onassisa nastąpiły dalsze znaczące sukcesy. W 1957 roku nakazał

porwanie, a następnie podanie śmiertelnej dawki narkotyków Howardowi Hu-ghesowi. Ten ruch pozwalał Onassisowi na przejęcie kontroli nad rozległym finansowym dominium, przyłączając go do własnego, skądinąd niemałego już majątku.

Następnie w 1963 roku Onassis przejął ostatecznie władzę. John F.

Kennedy, znajdujący się uprzednio pod kontrolą Onassisa, ze względu na zobowiązania jego ojca Josepha względem „Wielkiego O", nierozważnie wysta-214

wił na śmiertelne ryzyko swoją prezydenturę, wycofując się z zamiarów dokonania inwazji na Kubę, zapoczątkowanej akcją w Zatoce Świń. Miało to być przedsięwzięcie mafii (tj. Onassisa) zmierzające do odzyskania tryskającego stamtąd nieprzerwanego strumienia gotówki. Z racji tego, że John Kennedy wycofał się z tej operacji, Onassis nakazał uderzenie w prezydenta w mafijnym stylu.

Gemstone głosi, że Onassis postępował zgodnie ze starymi mafijnymi zasadami: jeżeli ktoś nie chciał zawrzeć z nim układu, zabijał go, odbierał mu broń i jego dziewczynę: w tym przypadku Jackie i Pentagon.

Poniżej przytoczymy inne z bardziej prowokacyjnych „rewelacji"

Gemstone File:

•

Onassis momentalnie zapewnił sobie kontrolę nad Lyndonem Johnsonem, przekazując mu wiadomość, gdy ten wracał samolotem Air Force One z Dallas do Białego Domu: „Nie było żadnego spisku.

Oswald był jedynym szalonym zabójcą, rozumiesz, Lyndon? W

przeciwnym razie Air Force One może przydarzyć się niefortunny wypadek podczas pierwszego lotu do Waszyngtonu".

•

J. Edgar Hoover posiadał Gemstone File i groził, że użyje ich, by ujawnić, co naprawdę wydarzyło się w Dallas, ale został wcześniej otruty. Ktoś wsypał truciznę do jego ciasta z jabłkiem. Niby nic nie znaczący, a jakże bogaty w symbolikę przypadek.

•

Katherine Graham, publicystka z „Washington Post", a zarazem córka przyjaciółki Onassisa, Eugene Meyer, pełniła dla Boba Woodwarda i Carla Bernsteina (afera Watergate) rolę tajnego informatora.

•

Okryta złą sławą seria morderstw Zebra w San Francisco - co wyglądało na pojedyncze zabójstwa białych dokonane przez czarnych ekstremistów - w rzeczywistości została przeprowadzona przez mafię Onassisa dla pozbycia się potencjalnie groźnego świadka. Następnie, by odwrócić uwagę od prawdziwego motywu mor-215

derstwa, dokonano następnych napadów, dając władzom powód do przelania podejrzeń na „czarnych terrorystów".

•

Richard Nixon, figurant Hughesa, który przeszedł na stronę Onassisa, gdy ten rozprawił się z Howardem Hughesem, został

zmuszony do ustąpienia z urzędu prezydenckiego po pierwszych oświadczeniach Robert-sa. Szefowie mafii obawiali się, że Nixon może ujawnić parę niewygodnych faktów z życia Onassisa.

Osiemnaście minut „przypadkowo" wykasowanych taśm z przesłuchania Watergate zawierały tyrady Nixona o „tym dupku Robertsie".

•

Nixon zawarł układ z Geraldem Fordem, który przyzwalał

Nixonowi w celu zatuszowania afery Water-gat ej Gemstone (co właściwie było tym samym, w tym małym światku) na zamordowanie każdego, kogo uważał za niebezpiecznego".

•

W sprawy te uwikłano również papieża.

Kim więc był Bruce Roberts i dlaczego opowiadał wszystkie te przerażające rzeczy o cieszącym się dobrą opinią Onassisie? Wygląda na to, że był geniuszem, który wymyślił proces wytwarzania sztucznych diamentów. Próbował sprzedać ten wynalazek przedsiębiorstwu Howarda Hughesa, ale okazało się, że ten międzynarodowy syndykat jedynie go ograbił. Rozzłoszczony Roberts zaczął grzebać - i odkrył, że „Hughes" nie był wcale Hughesem, ale w rzeczywistości złowieszczym Onassisem. Tak przynajmniej głosi w swej opowieści Caruana.

Jedynie dwie osoby utrzymywały, że kontaktowały się z pozostającym w cieniu Robertsem, a były to Caruana i wszędobylska dziennikarka radiowa, Mae Brussell. Brussell wyznała w programie radiowym w 1978 roku, że Roberts odszukał ją i przekazał jej akta po przeczytaniu jej artykułu „Dlaczego Martha Mitchell została porwana?" w

„Realist". Natomiast Caruana spotkała Robertsa dzięki Brussell.

Wiemy, że Brussell od kilku lat już nie żyje, za to Caruana wciąż wymierza kolejne ciosy. W wywiadzie dla Jima Keitha, wydawcy pracy poświęconej tym zagadnieniom (wymienionej poniżej), Caruana opisuje Ro-bertsa jako uosobienie Jamesa Bonda.

Jego listy, jak widać, są szeroko dyskutowane i, co wydaje się podejrzane, nikt nie powstrzymał Brussell i Caruany od zajrzenia w nie. W związku z tym teza, jakoby Bruce Roberts żył kiedykolwiek, opiera się właściwie wyłącznie na oświadczeniach Brussell i Caruany.

Żadna z tych postaci nie stara się dać do zrozumienia, że Gemstone jest tylko podstępem i że Roberts jest jedynie wymyślonym przyjacielem Stephanie Caruany. Jeżeli Caruana pragnęłaby spłatać figla, to wygląda to nieco dziwnie - organizować oszustwo w ten sposób, by wykluczyć jakikolwiek znaczący wpływ polityczny czy osobiste korzyści. A Brussell, jako osoba znana z mieszania się w podobne sprawy, byłaby jedynie mistrzynią mistyfikacji. W końcu jeżeli Roberts, czy ktokolwiek podający się za niego, był mistrzem dezinformacji, to musiał się specjalizować w dezinformacjach oczerniających.

W razie gdyby to wszystko było jedynie mistyfikacją, wciąż kuszące wydaje się odrzucenie Gemstone File jako tyrad wyjątkowo oddanego sprawie szaleńca. Ale zapewne będzie sympatyczniejsze, a nawet dokładniejsze, by nazywać Gemstone File historią z dozą fantazji, spuścizną człowieka, który w pewnym stopniu stał się ofiarą historii.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Stephanie Caruana. The Skeleton Key to the Gemstone File. Kilka odbitek ksero w posiadaniu autorów.

Jim Keith, The Gemstone File. Atlanta: IlumiNet Press, 1992.

25. Pucz w Białym Domu

Niewielu obywateli Stanów Zjednoczonych zdaje sobie sprawę, że w czasie Wielkiego Kryzysu grupa wielkich bankierów i przemysłowców ukuła spisek, mający na celu obalenie amerykańskiego rządu i wprowadzenie dyktatury faszystowskiej. Był

to, słowami współczesnego komentatora Johna L. Spivaka, „jeden z najbardziej fantastycznych spisków w amerykańskiej historii".

Oświadczenie Spivaka w 1967 roku w książce A Man in His Time (Człowiek w swoich czasach) z pewnością dobitnie stwierdza jedną charakterystyczną rzecz dotyczącą tego faktu sprzed sześćdziesięciu lat: „To, co stało za spiskiem, okryte było tajemnicą nie ujawnioną do dnia dzisiejszego. Nawet po wielu latach ci, którzy wciąż żyją i wiedzą o faktach z tamtych czasów, trzymają język za zębami. W ten sposób ów spisek nie znalazł nawet miejsca w oficjalnej historii Stanów Zjednoczonych".

Chociaż komisja Kongresu potwierdziła stawiane zarzuty, to jednak fakty umiejętnie zatuszowano. Nic dziwnego. W spisku uczestniczyli bowiem tak znani finansiści amerykańscy jak Morgan i Du Pont, prawicowcy stojący w mocnej opozycji zarówno do realizowanego przez Franklina Delano Roosevelta Nowego Ładu, jak i do jego sympatyzowania z organizacjami pracowniczymi.

Być może Amerykanie wiedzieliby wszystko o owym spisku, a nawet czcili go w dzień rocznicy, gdyby nie pełna patriotyzmu postawa generała Smedleya Darling-tona Butlera. Latem 1933 roku organizatorzy spisku zwrócili się do Butlera, pozostającego w stanie spoczynku byłego dowódcy amerykańskich marines, a zarazem powszechnie znanego bohatera wojennego, sentymentalnie nazywanego „walczącym Kwakrem". Zaproponowano mu przekształcenie weteranów Amerykańskiego Legionu w 500-tysięczną armię, która miała dokonać zamachu stanu.

Można powiedzieć z przekorą, że na nieszczęście dla sympatyków faszyzmu, stosunek Butlera do spiskowców również okazał się zaskakujący. Zapewne wyznaczyli go do wykonania tego zadania ze względu na ogromną popularność generała w szeregach wyższych rangą wojskowych, ale nie brali pod uwagę faktu, że to pracowitość uczyniła go wybrańcem tłumów. Mówiąc w skrócie, konspiratorzy nie mogli chyba wybrać kandydata równie nieodpowiedniego do przeprowadzenia faszystowskiego przewrotu. Butler chytrze jednak zachował pozory, jakoby akceptował pomysł, pozorując zainteresowanie planami akcji, by w stosownym momencie ukazać spiskowców w świetle dziennym i przedstawić przed Kongresem schemat planowanych działań. Jak zeznał przed komisją Izby Reprezentantów, która badała nazistowską i komunistyczną działalność w Stanach Zjednoczonych, w pierwszej fazie skontaktował się z nim Ge-rald G. MacGuire, sprzedawca obligacji i były dowódca Amerykańskiego Legionu w Connecticut. Według opisu Spivaka, „MacGuire był krępym mężczyzną, o trzech podbródkach, o głowie ukształtowanej na wzór pocisku, w której miał

srebrną płytkę w wyniku rany odniesionej na polu bitwy".

Zdaniem generała, MacGuire opisywał mu coś, „co było równoznaczne ze spiskiem prowadzącym do przyjęcia władzy, nawet przy użyciu siły, jeżeli zaszłaby taka

potrzeba". Butler wspominał dalej, że MacGuire wyjaśniał, iż podróżował po Europie, by badać rolę odgrywaną przez grupy weteranów, które podtrzymywały faszystowskie Włochy Mussoliniego, nazistowskie Niemcy Hitlera i rząd francuski.

MacGuire określał francuski Croix de Feu jako „organizację superżołnierzy" o znacznych politycznych wpływach. Jak głosił

człowiek ze srebrną płytką pod czaszką - „naszą myślą tu w Ameryce jest założenie organizacji tego typu, ponieważ polityczny porządek musi ulec modyfikacji".

Według relacji Butlera, MacGuire tak przedstawił szczegóły spisku:

„Czy nie odnosi pan wrażenia, że prezydent jest przepracowany?

Możemy ustanowić stanowisko asystenta prezydenta; kogoś, kto przejąłby większość obowiązków".

MacGuire nazwał funkcję tego człowieka „sekretarzem najważniejszych spraw" (Secretary of General Affairs).

„Amerykanie to przełkną. Mamy w naszych rękach prasę.

Rozpoczniemy kampanię głoszącą o kłopotach zdrowotnych prezydenta. Wszyscy by to przyznali, przyglądając mu się, a naiwny amerykański naród złapie się na to w mgnieniu oka..." - przekonywał

MacGuire.

Chociaż MacGuire pod przysięgą zaprzeczył zeznaniom Butlera, jego zamiary potwierdziło zeznanie Paula Comly Frencha, reportera

„Philadelphia Record". Butler zwrócił się swego czasu do Frencha o przyjrzenie się spiskowi MacGuire'a, by wyjaśnić, „o co w tym wszystkim chodzi".

Po spotkaniu z Butlerem podekscytowany MacGuire wyraził zgodę na spotkanie z Frenchem. French zeznał, że MacGuire powiedział mu:

„Potrzebujemy w tym kraju faszystowskiego rządu, by ocalić naród od komunistów, którzy pragną wszystko, co wybudowaliśmy w Ameryce, jedynie zniszczyć i zburzyć. Jedynymi obywatelami, którzy mają odpowiednio dużo patriotyzmu, by to uczynić, są żołnierze, a Smedley Butler jest ideal-223

nym wręcz wodzem. W ciągu nocy może zorganizować milionową armię".

French stwierdził, że w dalszym ciągu swego wywodu MacGuire zapalił się znacząco, mówiąc: „Możemy uczynić to razem z Rooseveltem, a następnie zrobić z nim to, co Mussolini zrobił z królem Włoch. Jeżeli Roosevelt nie stawiałby przeszkód, zostałby na stanowisku, a jeżeli nie, pozbylibyśmy się go".

Według Frencha, MacGuire rzucił kilka nazwisk, pragnąc zasugerować, że amerykańskie dowództwo brało udział w spisku.

By zrobić odpowiednie wrażenie na Butlerze, MacGuire okazał

książeczkę bankową wyszczególniającą depozyty na sumę ponad 100

tysięcy dolarów, przeznaczonych na pokrycie niezbędnych kosztów.

Później wyjął plik jedenastu banknotów tysiącdolarowych i chwalił

się „przyjaciółmi", którzy byliby zdolni wysupłać znacznie więcej gotówki, jeżeli zaszłaby taka potrzeba.

Jednym z owych przyjaciół okazał się Robert Ster-ling Clark, wpływowy bankier i broker na Wall Street. Gdy Butler zażądał, by MacGuire przedstawił mu swoich zwierzchników, ten dokonał

prezentacji. Według zeznań Butlera, Clark mówił o przeznaczeniu na wydatki połowy ze swej 60-milionowej fortuny jedynie po to, by ocalić drugą połowę. Co więcej, Clark świadomie wyrażał się w złowieszczy sposób o źle kierowanym amerykańskim rządzie:

„Zdajesz sobie sprawę, że prezydent jest słaby. Przejdzie na naszą stronę. Wywodzi się z naszej klasy społecznej i w niej pozostanie. W

końcu na pewno się przełamie. Ale musimy być przygotowani na podtrzymanie go, jeżeli zajdzie taka

potrzeba".

Ku wielkiemu zdziwieniu Komisja McCormack-Dick-stein (poprzedniczka okrytej niesławą Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej) nigdy nie zaprzątała sobie głowy przesłuchaniem Clarka. Członkowie Komisji - którzy wykazali znacznie więcej zainteresowa-224

nia kilkoma komunistami niż amerykańskimi faszystami wywodzącymi się z wyższych kręgów - nie zadawali sobie trudu przesłuchania kilku podejrzanych wymienionych przez Butlera i Frencha. W rzeczywistości komisja zataiła wiele nazwisk, nawet jeżeli artykuły gazetowe Frencha spowodowały pewne zamieszanie przez wymienienie wysoko postawionych konspiratorów (w szczytowym okresie Wielkiego Kryzysu).

W jakiś przedziwny sposób dochodzenie ze strony Kongresu zakończyło się fiaskiem. Komisja McCormack-Dickstein opublikowała obszerne fragmenty zeznań Butlera, oświadczając, że nie opierały się one na żadnych „dowodach" poza „pogłoskami", które łączyły prominentnych Amerykanów z faszystowskim spiskiem.

Czyżby Komisja ugięła się w obawie przed starciem z ogarniętymi żądzą władzy milionerami? Może też wysoko postawieni demokraci -

zapewne w Białym Domu, jak sugerują niektóre raporty - spuścili zasłonę milczenia na dochodzenie, by zapobiec kryzysowi politycznemu lub też by ochraniać zamieszanych w tę aferę członków swojej partii?

Wszystko to wydaje się całkiem prawdopodobne, ponieważ oficjalny raport Komisji McCormack-Dickstein okazał się całkowicie sprzeczny ze streszczeniem prac Komisji dostarczonym Izbie.

Dokument ten przepadłby zapewne bezpowrotnie, gdyby Spivakowi w jakiś tajemny sposób nie udało się zachować jednej kopii. W

odróżnieniu od wybielania przed opinią publiczną, prywatnie Komisja przyznała rację Butlerowi, wykazując kłamstwo MacGuire'a. Raport konkludował:

„W ciągu ostatnich kilku tygodni działalności Komisji zostały przedstawione dowody na to, że pewne osoby przedsięwzięły działania w celu ustanowienia w kraju organizacji faszystowskiej....

Nie ulega wątpliwości, że próby te stały się przedmiotem dyskusji i planowania oraz że mogły być wpro-225

wadzone w życie w stosownym dla finansowych sponsorów czasie..."

MacGuire wyparł się wszystkich zarzutów Butlera pod przysięgą, mimo to Komisja zdołała zweryfikować wszystkie stosowne oświadczenia złożone przez generała Butlera, z wyjątkiem stwierdzenia sugerującego bezpośrednie utworzenie organizacji. To jednakże zostało potwierdzone w korespondencji MacGuire'a z jego zwierzchnikiem Robertem Sterlingiem Clarkiem z Nowego Jorku, gdy MacGuire przebywał za granicą, studiując różne formy organizacji weteranów o faszystowskim charakterze.

Niestety, jak to często się zdarza, gdy prawda ujrzy wreszcie światło dzienne, nie budzi już większego zainteresowania - lub, co gorsza, postrzegana jest jako coś zupełnie niestosownego, stając w opozycji do

opublikowanego uprzednio odrzucenia zarzutów przez Komisję.

Artykuł Spivaka ukazał się w małej, lewicującej publikacji i przeszedł

bez większego echa. Przecież magazyn „Time" - czego można się było spodziewać po tygodniku podzielającym zdanie prawicowych przemysłowców - już wcześniej odrzucił stawiane zarzuty jako czysty żart.

„Wojujący Kwakier" w programach radiowych o krajowym zasięgu denuncjował pominięcia Komisji w zasadniczych punktach jego zeznań, choć nie miało to większego znaczenia - zasłona milczenia została już rzucona.

Do ostatecznego fiaska spisku przyczyniła się w równym stopniu postawa Butlera, co wybujała ambicja jego autorów. Nie mając drugiego Mussoliniego, a posługując się jedynie grubszą gotówką, by kupić kogoś odpowiedniego, amerykańskie elity faszystowskie wyznaczyły człowieka z płytką w czaszce, by odszukał drugiego Duce. Oczywiście rewolucja nie powiodła się, gdy w akcie wielce nierozważnym zdecydowano się kupić dyktatora w osobie zagorzałego demokraty.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Jules Archer. The Plot to Seize The White House. Nowy Jork: Haw-thorn Books, 1973.

George Seldes. Even the Gods Can't Change History. Secaucus, NJ: Lyle Stuart, Inc., 1976.

John L. Spivak. A Mati in His Time. Nowy Jork: Horizon Press, 1967.

26. Fluorowa konspiracja

Zagadnienia fluoryzacji wody od dawna stanowiły ważny punkt obrad lokalnych rad miejskich. Problem ten stał się także przyczyną nie kończących się sporów dwóch przeciwstawnych opcji. Pod koniec lat trzydziestych XX wieku, powodowani, jak utrzymywano, interesem zdrowia publicznego różni naukowcy, lekarze i biurokraci rozpoczęli kampanię na rzecz sztucznego wzbogacania wody pitnej we fluorki, minerały znane z tego, że powstrzymują rozwój próchnicy zębów.

Jednak projekt ten spotkał się z ostrym sprzeciwem obywateli. Przez następne czterdzieści lat powstało spore lobby głoszące, że propozycja fluoryzacji wody pitnej jest nie tylko niepotrzebna i potencjalnie szkodliwa, ale że był to podstępny, uknuty przez komunistów spisek o światowym zasięgu. Spisek ów miał na celu przynajmniej zantagonizowanie amerykańskiego społeczeństwa.

Gdzieś pod powierzchnią pojawia się skrywany podtekst psychoseksualny. W jakiś pokrętny sposób dążenia mające na celu poprawę stanu uzębienia całego społeczeństwa zostały zinterpretowane jako próba zamienienia odważnych obywateli w naród mięczaków.

Jak zwykle jednak, nawet jeżeli sprawa przybiera tak niespodziewany obrót, istnieje druga strona medalu. Uprawnienia rządowych organizacji do chemicznej modyfikacji wody pitnej z pewnością są dyskusyjne. Ale

czy naprawdę to wszystko ma być jedynie częścią wielkiego spisku?

Phoebe Courtney w traktacie z 1971 roku How Dan-gerous Is Fluoridation? (Jak bardzo szkodliwa jest fluo-ryzacja?) pisze -

„Każdy, kto popiera i promuje fluory-zację może być uznany za radykała!"

No cóż, logika nie była mocną stroną przeciwników fluoryzacji.

W tytule jednego z rozdziałów swej książki Courtney pyta: „Czy woda pitna może być użyta w złej intencji?" Jak twierdzi dalej autorka, „spiskujący liberałowie oraz lekarze z zimną krwią wykorzystują systemy zaopatrzenia w wodę pitną do akcji

«obowiązkowej kontroli uro-dzeń» i rozsiewania «środków uspokajających)).

W dalszej części autorka podaje inne argumenty wysuwane przeciw fluoryzacji wody:

•

Zanieczyszczenia fluorkami powodują masowe śnię-cie ryb.

•

Opinia publiczna zapewne o tym nie wie, ale fluorki powodują niszczenie rur kanalizacji wodnej w równym stopniu co ludzi...

Samochodowe chłodnice są zżerane przez fluorkową korozję.

•

Wszyscy chemicy wiedzą, że fluorki są jednymi z najbardziej elektroujemnych związków znanych człowiekowi.

•

Twierdzenia, że fluoryzacja o 65 procent zmniejsza próchnicę zębów nie są prawdziwe.

•

W artykule z marca 1968 roku w „American Opi-nion"

[magazynie John Birch Society] David O. Wood-bury pisze o fluorku sodu, że w dużych stężeniach stanowi truciznę dla szczurów i ryb, a także jest doskonałym pestycydem.

Podobnie jak w przypadku innych teorii o kruchych podstawach, istnieją dwie strony tego opowiadania. Courtney stara się skierować podejrzenia o konspirację na jeszcze bardziej złowrogiego winowajcę.

„Producentom słodyczy fluoryzacja spadła prosto z nieba" - pisze Courtney. „Matki, które są przekona-

ne, że fluoryzacja uodporni zęby dzieci na próchnicę, nie obawiają się już teraz podawania im słodyczy w takich ilościach, w jakich one tego zapragną. A to przecież było głównym zamiarem producentów słodyczy, którzy walnie przyczynili się do wprowadzenia fluoryzacji".

GŁÓWNE ŹRÓDŁA

Phoebe Courtney. How Dangerous Is Fluoridation? Nowy Orlean: Free Men Speak, Inc., 1971.

27. Konopiane szaleństwo

Spróbujmy sobie wyobrazić, że istnieje roślina, która mogłaby wyżywić i ubrać świat, zakończyć wycinanie lasów, zastąpić spaliny dymiące z naszych samochodów i dostarczyć terapii na dziesiątki niedomagań zdrowotnych.

Komu to przeszkadzało, że George Washington i Thomas Jefferson uprawiali ją, i to z przyzwoleniem prawa? No cóż, trzeba tu wyjaśnić, że połączone siły żądnych zysku przemysłowców, krzykliwych demagogów i zazdrosnych dziennikarzy doprowadziły do wyplenienia tego „diabelskiego chwastu" i usunięcia informacji o jego dotychczasowym znaczeniu z annałów historii.

Jak brzmi nazwa tego botanicznego męczennika? Politycy, którzy pisali Deklarację Niepodległości Stanów Zjednoczonych na papierze wytworzonym z tej właśnie rośliny, nazywali ją konopie. Znana jest ona również pod wieloma innymi nazwami: indyjskie konopie, gan-dzia, trawka, haszysz czy marihuana.

W książce zatytułowanej The Emperor Wears No Clo-thes (Cesarz nie nosi ubrania) Jack Herer ukazuje złośliwy spisek mający na celu wyeliminowanie tego „śmiercionośnego chwastu", choć pełniącego ongiś

rolę głów-229

nego, odnawialnego surowca naturalnego na świecie, jedynie dla korzyści małego kręgu majętnych i wpływowych korporacji. Herer założył grupę zwącą się HEMP (Help End Marijuana Prohibition -

Pomoc w Zakończeniu Prohibicji Marihuany). W jego oczach, sześćdziesięcioletnia wojna z konopiami jest współczesną formą inkwizycji, dziwacznym nawrotem mrocznych wieków, a także

„spiskiem przeciwko ludzkości".

Cała historia rozpoczęła się w 1937 roku wraz z wprowadzeniem nowych technologii pozwalających na masową produkcję tworzyw sztucznych. Konopie stały na przeszkodzie temu szybko rozwijającemu się przemysłowi, jako najbardziej cenione i najwszechstronniejsze włókno. Zdaniem Herera, diabelskie sprzysiężenie przeciwników konopi doprowadziło jednak do głośnego zakazu uprawy „jednej z bardziej rozpowszechnionych roślin na Ziemi".

Na początku autor przedstawia powtórkę z historii, niezbędną w tym przypadku, ponieważ losy konopi zostały w znaczący sposób zamazane przez półwieczny okres represji. Przed wynalezieniem krosna do tkania bawełny na początku XIX wieku produkty wytworzone z włókien konopnych można było spotkać zarówno w Ameryce, jak i na całym świecie. Słowo canvas pochodzi od holenderskiej wymowy greckiego terminu kannabis. Od V wieku p.n.e. aż po wiek XIX żagle i olinowanie statków wykonane było właśnie z konopnych włókien. Przez tysiące lat włókna konopi powszechnie wykorzystywano do wytwarzania ubrań, namiotów, dywanów, lin, pościeli i flag. Herer przypomina, że podczas wojny secesyjnej George Washington wraz ze swymi oddziałami zamarzłby zapewne na śmierć w dolinie Forge, gdyby nie koce z konopi. Wozy pionierów, przemierzające amerykańskie prerie, były pokryte płótnem konopnym, a Biblie osadników zapewne wydrukowane zostały na papierze z tej rośliny. Przez tysiące lat olej z nasion konopnych stanowił paliwo do lamp, służył

230

także jako olej jadalny. Z kolei w XIX wieku opatentowano liczne lekarstwa, wykorzystując specyficzne właściwości tej rośliny.

Pod koniec lat trzydziestych XX wieku magazyn „Popular Mechanics", a także inne czasopisma ogłosiły opracowanie technologii, która obiecywała „uzyskanie z konopi najmocniejszego naturalnego włókna". Znaleźli się jednak tacy, którzy zechcieli pogrzebać bujną historię konopi pod górą oszczerstw, widząc w

„marihuanie" zabójczy chwast, którym zaciągali się zdradliwi Meksykanie i zuchwali Murzyni.

Według relacji Herera pierwszym, najbardziej wpływowym człowiekiem uczestniczącym w tej antykonop-nej kampanii był

William Randolph Hearst. Ten magnat prasowy użył całego potencjału swojej sieci gazet do przeprowadzenia krucjaty wymierzonej przeciwko marihuanie.

Drugą, a zarazem najgłośniejszą postacią w spisku dążącym do wykorzenienia konopi okazał się skorumpowany moralista Harry J.

Anslinger. Opisany w książce Alberta Goldmana Grass Roots (Korzenie trawy) jako osobnik skłonny do

głoszenia dawno już wytartych sloganów, Anslinger pełnił rolę wiodącej postaci w tej dziwacznej wojnie. Jego czysta propaganda, z której można się dzisiaj jedynie pośmiać, popularyzowała naciągane mity o haszyszu: MARIHUANA - MORDERCA MŁODZIEŻY lub też W CIĄGU 30

DNI MARIHUANA ZE ZWYKŁYCH CHŁOPAKÓW CZYNI

ZBRODNIARZY: HASZYSZ POWODUJE ŻĄDZĘ KRWI.

Dla Anslingera mordercy z siekierami, siejący postrach rewolwerowcy i motocykliści o zapędach samobójczych byli

„zdeprawowanymi kreaturami i ofiarami haszyszowego szaleństwa".

W jednym z opublikowanych oświadczeń Anslinger ostrzegał: „Jeżeli straszny potwór, jakim był Frankenstein, stanąłby twarzą w twarz z potworem - marihuaną, padłby martwy ze

231

strachu". Podobnie jak wielu moralizatorskich policjantów, Anslinger był również czystej wody hipokrytą. W późniejszych czasach przyznał

się do nielegalnego dostarczania morfiny prowadzącemu kampanię antykomunistyczną, uzależnionemu od narkotyków senatorowi Josephowi McCarthy'emu. Natomiast podczas II wojny światowej Anslinger pomagał OSS, poprzedniczce CIA, w zakończonych niepowodzeniem eksperymentach z pochodnymi haszyszu, które, jak mniemano, miały pełnić rolę środka skłaniającego do wyznania prawdy przez złapanych szpiegów.

W roli trzeciego spiskowca w teorii Herera występowała potężna korporacja Du Pont. Wszyscy trzej „bojowcy" mieli swoje powody, by wytępić bezbronny krzew.

Chociaż większość historyków widziała w ataku Ans-lingera i Hearsta na konopie wynik epoki prohibicji, rodzaj paranoi skierowanej przeciwko pełzającej niemo-ralności, to Herer umieszcza w swej teorii również czynnik ekonomiczny.

Wydaje się, że przedsiębiorstwo Hearsta zajmujące się produkcją papieru, ze swym rosnącym areałem upraw leśnych, poczuło się zagrożone nowym procesem technologicznym, opracowanym przez amerykański Departament Rolnictwa, który przekształcał zdrewniałe łodygi konopi w wysokogatunkowy papier, tekturę i sklejkę. Proces ten pozwalał także na ograniczenie toksycznych odpadów, a według danych rządowych jeden akr konopi mógł zaoszczędzić cztery akry cennego lasu. Herer konkluduje: „Dla Hearsta i innych producentów papieru, wykorzystujących technologię opierającą się na przetwórstwie pulpy drzewnej, konopie stanowiły ogromne zagrożenie".

W przypadku motywów Du Ponta, zdaniem Herera, naturalne włókna konopne stawały na drodze szalonym marzeniom przedsiębiorstwa ubrania całego świata w stroje z poliestru.

232

W trakcie kampanii, która miała na celu zduszenie rynku konopi, Anslinger i gazety Hearsta nierzadko uciekały się do chwytów poniżej pasa. Ludzi zażywających marihuanę opisywano jako „ciemnoskórych

odszczepieńców" z nabrzmiałymi ustami, których sataniczna muzyka i demoniczny haszysz prowadzą białe kobiety „do poszukiwania seksualnych przygód z Murzynami". Ostrzegano Kongres, że najczęściej haszysz zażywają „Murzyni i Meksykanie" oraz, najgorsi ze wszystkich, „ludzie świata rozrywki". Artykuły Hearsta opisywały palących haszysz Meksykanów jako lunatycznych dziwaków.

Zdaniem Herera, Hearst świadomie wprowadził w trakcie kampanii prasowej do publicznej świadomości slangowe określenie marihuana, by ludzie uświadomili sobie, że ten diabelski tytoń i roślina włóknista o historycznym znaczeniu to jedno i to samo.

Wkrótce doszło do ostatecznych rozstrzygnięć. Szefowie zarządzanego przez Anslingera Departamentu Skarbu odbyli spotkanie za zamkniętymi drzwiami, w wyniku którego ustanowiono przepisy nakładające ogromny, jak na owe czasy, podatek w wysokości 1100 dolarów na nie zarejestrowanych sprzedawców konopi. (Anslinger, jak zaznacza Herer, zawdzięczał stanowisko swemu „przyszywanemu wujkowi" Andrew Mellonowi, właścicielowi szóstego co do wielkości banku w kraju, który skądinąd był także...

bankierem Du Ponta). Dzięki odpowiednim wpływom w Kongresie szybko przedłożono i zatwierdzono prawodawstwo ograniczające uprawy konopi, mimo sprzeciwów ze strony plantatorów konopi i Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy. W ten sposób doszło do utworzenia Marihuana Tax Act z 1937 roku, ustawy o opodatkowaniu upraw konopi, która w efektywny sposób spowodowała, że uprawa tej rośliny w Stanach została praktycznie zakazana.

Oczywiście, wkrótce Du Pont zaprezentował „sztuczne włókna", które w niedługim czasie opanowały rynek zdominowany do tej pory przez włókna pochodzenia

naturalnego. W kolejnych latach Du Pont opatentował włókno nylonowe, a także nowy, emitujący wyjątkowo dużą ilość szkodliwych substancji proces przetwarzający pulpę drzewną.

Ażeby uwiarygodnić swoją kampanię Lammot Du Pont rozwodził się w magazynie „Popular Mechanics" „o ochronie naturalnych surowców dzięki rozwojowi syntetycznych produktów, które uzupełniają lub też całkowicie zastępują produkty wytworzone z surowców naturalnych".

Być może nie wszystkie przytoczone „fakty" są całkowicie zgodne z rzeczywistością. Książka The Emperor Wears No Clothes podaje jednak, że w wyniku rządowego zakazu uprawy konopi, Du Pont wciąż jest „największym producentem włókien sztucznych, podczas gdy żaden amerykański obywatel nie może legalnie uprawiać nawet akra włóknistych konopi od pięćdziesięciu lat". Taka już jest cena postępu: odrzucenie wszechstronnego, czystego odnawialnego źródła otworzyło drogę do panowania dynastii Du Pont, zwiększonej emisji trujących odpadów, wyrębu lasów i oczywiście... nowych modnych strojów.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Albert Goldman. Grass Roots: Marijuana in America Today. Nowy Jork: Warner Books, 1979.

Jack Herer. The Emperor Wears No Clothes: Hemp and the Marihuana Conspiracy. Van Nuys, CA: Hemp Publishing, 1992.

28. Nowy Światowy Ład

Podczas szczytowego okresu wojny w Zatoce Perskiej prezydent George Bush posłużył się starą frazą, która niemal natychmiast przykuła uwagę tropicieli spisków.

234

„Mam nadzieję, że historia odnotuje, iż kryzys w Zatoce był tyglem, z którego wyłoni się Nowy Światowy Ład" - głosił Bush zaraz po największym swoim triumfie, czyli zwycięstwie wojsk sprzymierzonych pod amerykańskim dowództwem nad Irakiem.

Nowy Światowy Ład. Fraza ta wydobyła się z prezydenckich ust przynajmniej jeszcze w kilku innych okolicznościach, zanim amerykańskie bomby pozwoliły stać się prezydentowi krótkotrwałym bohaterem wojennym.

Oczywiście prawdziwe znaczenie tego zwrotu - używanego całe dekady przez zastępy bankierów i przemysłowców - jest doskonale znane ultraprawicowym naśladowcom John Birch Society. Mówiąc w skrócie, Nowy Światowy Ład był zakamuflowanym terminem określającym „ogólnoświatowy rząd", megalomański komunistyczny spisek dążący do zniewolenia całej planety. Słowami Gary Allena, płodnego autora z Birch Society: „Komunizm jest znamieniem większego spisku, mającego na celu objęcie kontroli nad światem przez ogarniętych żądzą władzy grupę potentatów finansowych".

George Bush, jak najbardziej członek establishmentu, z całą pewnością był przedstawicielem tych ukrytych ka-pitalistyczno-komunistycznych sił - podobnie jak zresztą każdy sprzedajny prezydent od F. Delano Roosevelta.

Żeby nie odrzucać całkiem powyższych opinii jako bredni szaleńców należy zaznaczyć, że Nowy Światowy Ład jest teorią spiskową o wielorakim znaczeniu. Lewicowcy również czuli się zaniepokojeni słowami Busha, chociaż oni wydawali się postrzegać prezydenta z wyższych sfer bardziej jako przedstawiciela kapitalizmu o szaleńczym obliczu niż skradających się komunistów.

Nieważne, czy patrzymy na to z pozycji prawicowych, czy lewicowych, podejrzenia dotyczące prób wprowadzenia Nowego Światowego Ładu mają pełne uzasadnienie. Stronnicy Nowego Światowego Ładu są, tak naprawdę, zastępami wpływowych przemysłowców, bankierów, naukowców i polityków, którzy przez trzy

235

ćwiartki wieku stanowili szarą eminencję rządów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Idąc nieco dalej można snuć przypuszczenia, że zapewne są oni zarządcami całego zachodniego świata. Różnie możemy ich nazywać, choć tak naprawdę jest to „establishment".

Przez organizacje o szerokich wpływach i zasięgu, jak Rada Stosunków Międzynarodowych i Komisja Trójstronna, te elity już dzisiaj formują przyszłą politykę i obsadzają ważniejsze stanowiska w państwie swoimi ludźmi.

Jeżeli taka sieć jest czymś nieco mniej groźnym niż czerwony diabeł, ukazywany w wielu prawicowych teoriach spiskowych, to z pewnością i tak stanowi rodzaj wielkiej intrygi, która pozwala elitom

prywatnego sektora, jeśli nie sprawować władzę nad światem, to przynajmniej kształtować go wedle własnych zasad.

Bliżej tym tematem zajęła się profesor historii z Uniwersytetu Georgetown, Carroll Quigley, naukowiec

0

ustalonej renomie. W obszernej pracy na temat najnowszej historii zatytułowanej Tragedy and Hope (Tragedia i nadzieja) Quigley pisała, „Istnieje i istniała już od pokolenia siatka anglofilów o międzynarodowym zasięgu, która w działalności komunistów widzi swój prywatny cel".

Quigley przyznawała, że „miała bliskie kontakty" z „półtajną organizacją" międzynarodowych manipulatorów - autentycznie podziwiając ich osiągnięcia - a także umożliwiono jej wgląd w ich

„pisma i tajne akta".

Według Quigley, celem sieci jest „utworzenie światowego systemu finansowej kontroli, pozostającego w prywatnych rękach, mogącego dominować nad politycznym systemem w każdym kraju i gospodarką światową w całości" - w ten sposób zapewniając pokój, dobrobyt 1

oczywiście odpowiednie dochody.

Sieć ta zrodziła się z tajnych organizacji politycznych, zapoczątkowanych przez barona diamentów, fanatycznego Cecila Rhodesa (stąd Rodezja oraz stypendia Rhodesa) i zastępów imperialistów, zdeterminowanych

236

zachować nad Brytyjskim Imperium wiecznie świecące słońce. W

1908 roku Rhodes umiera, ale jego przesłanie i rozległe bogactwo przetrwały, by stać się siłą inspirującą powstanie potajemnych grup Okrągłego Stołu.

We wczesnych latach naszego wieku arystokratyczni członkowie Okrągłego Stołu - którzy ustanowili oddziały w Afryce Południowej, Australii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie - pragnęli

„ucywilizować" miejscowych, poddanych brytyjskiej dominacji.

Jeżeli udałoby się wpoić im liberalne wartości rodem z Oxfordu, w tym zapewne uwielbienie krykieta, wtedy nawet „najbardziej wsteczne" rasy mogłyby poczuć się zadowolonymi, a nawet w pewnym sensie „autonomicznymi" obywatelami imperium. Idei tej towarzyszyło marzenie o zjednoczeniu wszystkich anglojęzycznych krajów (w tym Stanów Zjednoczonych) w konfederację krajów atlantyckich, ze stolicą w Waszyngtonie. Te dalekosiężne plany zakończyły się fiaskiem porównywalnym może jedynie z klęską, jakiej doświadczyli członkowie Okrągłego Stołu, pragnący przypodobać się Hitlerowi.

W Stanach Zjednoczonych grupy Rhodesa i bankowe imperium J.P.

Morgana w 1921 roku ustanowiły Radę Stosunków Międzynarodowych (CFR) jako przybudówkę Okrągłego Stołu.

Według Quigley, CFR i inne agendy Okrągłego Stołu stały się strukturami władzy pomiędzy Londynem i Nowym Jorkiem, które wywarły ogromny wpływ na życie uniwersyteckie, prasę i politykę zagraniczną w obydwu krajach. To ten sławny „wschodni establishment", który wciąż utrzymuje panowanie nad rządem Stanów Zjednoczonych, uniwersytetami, Wall Street i większymi amerykańskimi mediami, w tym „New York Timesem" i „Washington Post".

Amerykańska odnoga sieci działa pod patronatem potentatów finansowych - reprezentujących między innymi interesy Morgana i Carnegie - i oczywiście wszędobylskich przedstawicieli klanu Rockefellerów.

237

Ach ci Rockefellerowie! Władcy podziemnej finans-jery! Ojcowie chrzestni komunistyczno-kapitalistycznej międzynarodówki! Tak przynajmniej postrzega ich wielu prawicowych badaczy spisków. Dla zwolenników Birch Society cztery siły „R": - Rhodes, Rothschil-dowie, Rockefellerowie i Reds (Czerwoni) - są demonami, które stoją za suchymi faktami przytoczonymi przez profesor Quigley.

Radykalne prawicowe teorie zostały zapewne najlepiej zaprezentowane w odezwie Gary Allena z 1971 roku None Dare Cali It Conspiracy (Nikt nie ośmiela się nazwać tego spiskiem). Łącząc w sobie ruchy: antykomunistyczny i konserwatywny, Allen twierdzi, że kabała uknuta przez trzy ośrodki Rockefeller-CFR-establish-ment -

nazywana „Insiders" (Wtajemniczeni) - przez dekady pragnęła

„upadku Stanów Zjednoczonych" i powołania „potężnego ogólnoświatowego mocarstwa o charakterze socjalistycznym".

Allen wcale nie sugerował, że superkapitaliści, do jakich z pewnością zaliczali się Rockefellerowie, wcale nie byli marksistami. Posługiwali się oni raczej socjalizmem jako „narzędziem walki... czy też rodzajem pretekstu do ustanowienia swej dyktatury". Zdaniem Allena, Rockefellerowie, należący do klanu brytyjskich Rothschildów, oraz ich przeróżni agenci sfinansowali rewolucję bolszewicką, a David Rockefeller miał być z kolei „pracodawcą" radzieckiego premiera -

Chrusz-czowa, którego później wyrzucił ze stanowiska! W jaki sposób „Ministerstwo Spraw Zagranicznych" Rockefellera trzymało w szachu Moskwę? Allen przypuszcza, że Insiders mogliby „posłużyć się dokonującą morderstw, międzynarodową, zbrodniczą organizacją, wzorowaną na komunistycznej SMIERSZ, opisaną w zeznaniach przed komisjami Kongresu, a także przez lana Fleminga w książkach o Jamesie Bondzie.

Wizja Allena ma niezwykle dramatyczny wydźwięk. Jak relacjonuje dalej nasz autor, w zakończonych suk-238

cesem działaniach, mających na celu przejęcie kontroli nad amerykańską gospodarką i sceną polityczną, Insiders ustanowili bank centralny (System Rezerwy Federalnej) zarządzany przez międzynarodowe grono bankierów; następnie „usidlili" obywateli, wprowadzając podatek dochodowy, w ten sposób wypełniając dwa kluczowe cele Manifestu Komunistycznego Karola Marksa. W

kolejnym ruchu, Insiders „posługując się naukowymi metodami doprowadzili" do krachu na nowojorskiej giełdzie w 1929 roku. Swoje zwycięstwo ukoronowali wznieceniem I i II wojny światowej (tę późniejszą

poprzez poparcie udzielone Hitlerowi) oraz konfliktu wietnamskiego, za każdym razem czerpiąc korzyści finansowe z zaopatrywania w broń obydwu walczących stron. Na koniec założyli nikczemną Organizację Narodów Zjednoczonych (komunistycznych) jako podstawę służącą ustanowieniu Nowego Światowego Ładu.

Pozostawiając Rockefellerów w spokoju, zwolennicy Birch Society przywołują do życia starą teorię prawicową, głoszącą, że prawdziwymi siłami stojącymi za tronem Insiders - zarówno komunistami, jak i „kartelem kapitalistycznym" - byli Illuminati, tajna loża masońska, która z pewnością istniała, tyle że w osiemnastowiecznej Bawarii.

Cała ta konspiracyjna fabuła tkana przez sympatyków Birch Society jest może mocno naciągana, ale nawet stateczna profesor Quigley przyznaje, że jest w tym „źdźbło prawdy". Według Quigley, z tej jednej przyczyny tak zwani Insiders „nie mają awersji do kooperacji z komunistami". W końcu wielki biznes kieruje się zawsze swoimi zasadami. W jaki sposób można otrzymać dostęp do nieruszonych jeszcze naturalnych bogactw mineralnych, nie będąc w dobrosąsiedzkich stosunkach? Podobnie, zdominowany przez CFR, amerykański Departament Stanu rzeczywiście okazał się bardzo pomocny Narodom Zjednoczonym. Członkowie

Okrągłego Stołu pomogli natomiast wprowadzić system podatkowy i System Rezerwy Federalnej.

Rodzina Rockefellerów od samego początku funkcjonowania sieci odgrywała w niej wiodącą rolę. David Rockefeller, przewodniczący CFR, założył na początku lat siedemdziesiątych naszego wieku Komisję Trójstronną (w której zasiedli ci sami euroamerykańscy

„internacjonaliści" obok przedstawicieli biznesu japońskiego). Inna grupa Rockefeller-Insiders zrodziła się, gdy odchodzący w niebyt Okrągły Stół przekazał pałeczkę CFR (lub też przeszedł do podziemia, jak twierdzą liczni tropiciele spisków). W ten sposób powstała Grupa Bilderbergu, nazwana od lokalizacji jej pierwszego corocznego spotkania, hotelu Bilderberg w Oosterbeek, w Holandii.

W supertajnej odnodze CFR, czyli Grupie Bilderbergu, znaleźli się tacy ludzie jak Rockefellerowie oraz liczni amerykańscy politycy razem z Henrym Kissinge-rem, George'em Ballem, Deanem Ruskiem i Deanem Achesonem. Wśród przedstawicieli Europy pojawiają się członkowie rodzin królewskich, w tym przewodniczący pierwszego spotkania w Bilderbergu, holenderski książę Bernhard.

Jak widzimy, zastępy CFR-Trójstr.- Bilderbergu pełne są postaci amerykańskiego świata polityki, chętnych, by wkroczyć do grona władczego establishmentu. Nawet Richard Nixon, którego wrogość do wschodnich elit była powszechnie znana, przyłączył się do CFR i następnie powierzył w swoim rządzie odpowiedzialne stanowisko protegowanemu Rockefellera, Henry'emu Kis-singerowi. Do Insiders należeli też inni amerykańscy prezydenci, tacy jak Gerald Ford (CFR, Bilderberg), Jimmy Carter (CFR, Trójstr.), George Bush (CFR -

dyrektor zarządu, Trójstr.), a nawet Bill Clinton (CFR, Trójstr. i Bilderberg).

Za czasów Cartera 284 członków CFR/Trójstr. pełniło funkcje w administracji rządowej. Wśród nich znajdował

się wiceprezydent Walter Mondale, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Zbigniew Brzeziński (dyrektor Komisji Trójstronnej), sekretarz stanu Cyrus Vance i dyrektor CIA Stansfield Turner. Pod koniec drugiej kadencji Reagana liczba ich wzrosła do 313. Wśród nich byli sekretarze stanu Allan Haig i George Shultz (dziesiąty w kolejności wychowanek CFR, który pełnił tę funkcję) oraz dyrektor CIA William Casey. Za Busha, „konspiracyjnego prezydenta", liczba podskoczyła do 382, a członkami byli m.in. doradca ds.

bezpieczeństwa narodowego Brent Scowcroft i prokurator generalny Richard Thorn-burgh.

Za czasów administracji Clintona niewiele się zmieniło, jeżeli chodzi o powiązania członków rządu z CFR. Sekretarz stanu Warren Christopher oraz jego pięciu podsekretarzy, a także wielu ich podwładnych należało do CFR, podobnie jak doradca Clintona ds.

bezpieczeństwa narodowego i dyrektor CIA, a także jego osobisty doradca David Gergen.

Gergen jest tylko jednym z całej konstelacji gwiazd mediów, które należą do CFR. Na liście tej znajduje się też Walter Lippman (dyrektor CFR w latach trzydziestych), propagandzista CIA oraz publicysta z magazynu „Life" D. C. Jackson (który uczestniczył w przygotowaniach do założycielskiego spotkania Grupy Bilderbergu), Leslie Gelb z „New York Timesa" (obecny prezydent CFR) oraz Dan Rather, Tom Brokaw i Jim Lehrer z MacNeiłjLehrer NewsHour.

Mimo że powiązania CFR/Trójstron. sięgają w głąb establishmentu, członkowie tych organizacji zapewne wzdrygaliby się na sugestię, że wywierają zbyt duży wpływ na amerykańską „demokrację" i sprawy światowe. David Rockefeller oburzył się kiedyś na to, nazwa-jąc poglądy te „głupimi atakami na fałszywe cele". Zapewne z nadmierną skromnością zapewniał sceptyków, ze jego Komisja Trójstronna jest zaledwie „grupą zatroskanych obywateli zainteresowanych szerzeniem

większego zrozumienia i współpracy pomiędzy sojusznikami z innych krajów".

Cóż, zapewne wszystkie grupy zatroskanych obywateli nie są traktowane równorzędnie. Ujął to dosadnie dziennikarz Bill Moyers w dokumencie telewizyjnym w 1980 roku: „David Rockefeller jest najbardziej podejrzanym przedstawicielem klas rządzących we współczesnym świecie wielonarodowej społeczności ludzi, którzy kształtują światową gospodarkę i zarządzają przepływem kapitału.

Taka jest już funkcja Rockefellera, dla której się narodził i której wiernie służy. To, co niektórzy krytycy widzą jako zakrojony na szeroką skalę międzynarodowy spisek, on postrzega jako okoliczności życiowe i zaledwie kolejny dzień pracy".

Jeżeli Nowy Światowy Ład nie jest planem utworzenia „światowego superrządu" z koszmarów Bircha, to może po prostu oznaczać dążenie do ukształtowania świata w bardziej „uporządkowany" i odpowiedni sposób dla międzynarodowych transakcji wielkiego biznesu.

Implikacje tego stanu rzeczy są równie złowieszcze, ponieważ Komisja Trójstronna, mimo że nie zamierza przenieść władzy z Waszyngtonu do siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych, to jednak

wyraża się jasno, że demokracja często hamuje realizację ich niezwykle ważnych celów. Potomkowie Okrągłego Stołu nie tylko występują o „ograniczenie demokracji" w krajach Trzeciego Świata, ale także otwarcie żalą się na nadmiar wolności szarych obywateli w samych Stanach.

W 1975 roku Komisja Trójstronna w swoim raporcie wykazała, że Stany Zjednoczone ogarnięte są „przerostem demokracji", i „jeżeli będzie to niezbędne, należy ograniczyć zasięg demokracji", by poprawić zdolność „zarządzania". Współzałożyciel Komisji Trójstronnej, Zbigniew Brzeziński, rekomenduje podjęcie studiów nad

„kontrolą rozwoju człowieka i jego zachowań", by określić „nowe sposoby społecznej kontroli", zwłaszcza w „społeczeństwach rozwiniętych".

242

Wynika z tego jasny wniosek, że w epoce Nowego Światowego Ładu obywatele poszczególnych krajów mają być poddani na nowo procesom cywilizacyjnym.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Gary Allen. None Dare Cali It Conspiracy, Rossmoor CA: Concord Press, 1971.

John F. McManus. The Insider: Architects of the New World Order.

Appleton, Wisconsin: John Birch Society, 1992.

Carroll Quigley. Tragedy and Hope: A History of the World in Our Time. Nowy Jork: MacMillan Company, 1966.

Holly Skalar, Trilateralism: The Trilateral Commission and Elitę Plan-ning. Boston: South End Press, 1980.

Neal Wilgus. The Illuminois: Secret Societies and Political Paranoia.

Santa Fe, NM: Sun Publishing Company, 1978.

29. To oznacza wojnę

Wieczorem 26 grudnia 1941 roku Franklin Delano Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych, otrzymał wiadomość przechwyconą przez amerykańską marynarkę wojenną. Wysłana z Tokio do japońskiej ambasady w Waszyngtonie wiadomość została zakodowana w najbardziej wyszukanym japońskim „purpurowym kodzie". Na nic się on jednak nie zdał. Amerykanie złamali ten kod dużo wcześniej.

Niezwłoczne przekazanie tej informacji prezydentowi wydawało się nieodzowne, ponieważ ujawniała ona, że Japonia pod naciskiem zachodnich sankcji ekonomicznych zrywa stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Roosevelt przeczytał trzynastoczęściową transmisję i orzekł: „To oznacza wojnę".

Następnie uczynił bardzo dziwną rzecz jak na prezydenta w tej sytuacji.

Po prostu nie zrobił nic.

Tajna deklaracja japońska o przystąpieniu do wojny nigdy nie dotarła do ludzi, którzy jej najbardziej potrzebowali - admirała Husbanda E.

Kimmela, dowódcy amerykańskiej Floty Pacyfiku w Pearl Harbor na Hawajach, oraz generała dowodzącego tamtejszą jednostką Waltera Shorta. W kręgach wojskowych nie było tajemnicą, że jeżeli Japończycy zaatakują, pierwszym ich celem będzie właśnie Pearl Harbor.

247

O świcie następnego poranka japońskie bombowce zaatakowały Pearl Harbor, co okazało się całkowitym zaskoczeniem dla stacjonujących tam Amerykanów. Przynajmniej dla Kimmela i Shorta oraz 4575

amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli.

Atak ten zapewne nie był takim zaskoczeniem dla generałów George'a C. Marshalla i Leonarda T. Gerowa oraz admirałów Harolda R. Starka i Richmonda Kelly Turnera. Tworzyli oni naczelne dowództwo w Waszyngtonie i byli jedynymi wojskowymi posiadającymi prawo przekazywania tak ważnych meldunków wywiadowczych do swoich podwładnych w terenie. Odczytana informacja dotarła do Kimmela i Shorta dopiero późnym porankiem, gdy atak japoński dawno już się rozpoczął.

Marshall i Stark, naczelni dowódcy amerykańskiej armii i floty, zeznali później, że wiadomość ta nie została przekazana Kimmelowi i Shortowi, ponieważ dowódcy wojsk stacjonujących na Hawajach otrzymywali tak wiele przechwyconych japońskich meldunków, że ten mógłby tylko spowodować jeszcze większe zamieszanie.

Wewnętrzne dochodzenie wojskowe w 1944 roku stwierdziło, że Stark i Marshall zaniedbali swoje obowiązki, nie informując na czas hawajskich dowódców. Ale wojsko zataiło te ustalenia. Do opinii publicznej podano ustalenia Komisji Robertsa, działającej pod przewodnictwem Owena Robertsa z Sądu Najwyższego, która zebrała się jedenaście dni po ataku. Podobnie jak w wielu sprawach dotyczących innych zagadnień komisja śledcza - wydaje się - ustaliła winnych jeszcze przed rozpoczęciem dochodzenia, i tak je prowadziła, by podejrzani okazali się winni. Kimmela i Shorta uczyniono kozłami ofiarnymi; zostali oni publicznie obwinieni, zmuszeni do ustąpienia ze stanowisk, odmówiono im także otwartych dla publiczności przesłuchań, których się domagali. Jeden z członków Komisji Robertsa, admirał William Standley, określił zachowanie przewodniczącego „śliskim i pokrętnym".

248

W sumie w sprawie Pearl Harbor przeprowadzono osiem dochodzeń wyjaśniających. Najbardziej znane było dochodzenie połączonych sił

Izby Reprezentantów i Senatu, które właściwie powtórzyło ustalenia Komisji Robertsa. Podczas tych przesłuchań Marshall i Stark zeznali, rzecz trudna do wyobrażenia, że nie mogli sobie przypomnieć, gdzie znajdowali się owej nocy, tuż przed rozpoczęciem wojny. Niemniej bliski przyjaciel Franka Knoxa, sekretarza marynarki, wyjawił

później, że Knox, Stark i Marshall spędzili większą część tej nocy w Białym Domu, z Rooseveltem, oczekując na bombardowanie Pearl Harbor, które miałoby stanowić dla Stanów Zjednoczonych pretekst do przystąpienia do II wojny światowej. Nastąpiło zakrojone na szeroką skalę tuszowanie sprawy. Kilka

dni po Pearl Harbor, jak donosił historyk John Toland, Marshall oznajmił swoim oficerom:

„Panowie, to pójdzie z nami do grobu". Generał Short niegdyś uważał

Marshalla za przyjaciela, do czasu gdy dowiedział się, że szef sztabu był uczestnikiem całej tej ukartowanej gry. Short pewnego razu wyznał, że żal mu jest jego dawnego przyjaciela, ponieważ Marshall był jedynym generałem, który nie umiał napisać autobiografii.

Istniało wiele ostrzeżeń o planowanym ataku Japończyków, utajnionych przed dowódcami stacjonującymi w Pearl Harbor.

Zapewne najbardziej spektakularnym był kod zaszyfrowany pod prognozą pogody - wcześniejsza zapowiedź, w formie fałszywej prognozy pogody nadanej na falach krótkich, brzmiącej higashi no kaze ame, oznaczającej „wschodni wiatr, deszcz". Amerykanie wiedzieli już, że pod tym komunikatem krył się meldunek o przystąpieniu Japonii do wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Jak zareagowało amerykańskie dowództwo wojskowe? Zaprzeczeniem, że takowy komunikat nadano, oraz próbą zniszczenia wszelkich śladów, że został on przechwycony! Prawda o tym jednak się zachowała.

Zupełnie niezależnie wywiad australijski, trzy dni przed atakiem wykrył japońską flotę lotniskowców zmierzającą ku Hawajom.

Ostrzeżenie to przekazano do Waszyngtonu, gdzie zostało odrzucone przez Roosevelta jako politycznie motywowany szum wywołany przez republikanów.

Z kolei podwójny angielski agent, Dusko Popov, który przekazywał

informacje z Niemiec, również wcześniej dowiedział się o planach Japończyków i usilnie starał się ostrzec Waszyngton, ale daremnie.

Byli też i inni.

Dlaczego Roosevelt i dowództwo armii amerykańskiej poświęciło Flotę Pacyfiku Stanów Zjednoczonych, nie wspominając już o tysiącach żołnierzy - tworząc sytuację, która jak najbardziej mogłaby zostać nazwana zdradą? Amerykańskie dowództwo już na długo przed Pearl Harbor zdawało sobie sprawę, że przystąpienie do wojny przeciwko państwom Osi jest nieuniknione. Jednakże amerykańska opinia publiczna nie podzielała tego zdania. Dopiero atak na amerykańskie terytorium mógł zmienić raptownie nastawienie narodu do tej kwestii.

„To był problem prezydenta - pisał admirał Robert A. Theobald, który dowodził niszczycielami w Pearl Harbor - i rozwiązanie to opierało się na prostej zasadzie, że gdy dwóm stronom przychodzi walczyć ze sobą, któraś z nich musi być pierwsza".

„Wąska grupka ludzi, wielbiona i mająca jak najlepszą reputację wśród milionów obywateli - pisał Toland - zdecydowała, że w tym wypadku należy uczynić ten niehonorowy krok dla dobra narodu i sprowokować wojnę, której Japonia próbowała uniknąć".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Robert A. Theobald. The Finał Secret of Pearl Harbor. Old Greenwich, CT: Devin-Adair, 1954.

John Toland. Infamy: Pearl Harbor and Its Aftermath. Nowy Jork: Doubleday, 1982.

30. Straceni chłopcy

Flaga przyjęta przez amerykański ruch PO W/MI A przedstawia prowokujący obraz: samotny żołnierz więdnie za drutami kolczastymi, a uzbrojony strażnik tkwi na wieży wartowniczej w tle. Ten ponury wizerunek, ukazany na czarnym tle, przetacza się przez ośrodki weteranów wojny wietnamskiej stanowiąc coś na wzór wiary - a być może symbol utraconej wiary.

Dzieje się tak, ponieważ flaga ta niesie inne przesłanie, mówiące o tym, iż amerykańscy jeńcy wojenni zostali opuszczeni w Wietnamie,

„zdradzeni" przez własny rząd, który z nie wyjaśnionych bliżej przyczyn zataja świadectwa, że żywi jeńcy wojenni (POW) pozostają na terytorium wroga. Na fladze tej brakuje może jedynie gdaczącego amerykańskiego biurokraty.

W ostatnich latach szeptana pogłoska o „zaginionych chłopcach" w Wietnamie zyskała szeroką akceptację wśród amerykańskiego społeczeństwa. Niemniej sceptycy uważają „mit MI A" za przykład masowej patologii, fantazji w stylu Rambo, objaw „wietnamskiego syndromu". Czy tak jest naprawdę?

Trzeba przyznać, że jak dotąd w ostatnich latach z dżungli wietnamskiej, laotańskiej czy kambodżańskiej nie wydostał się żaden żyjący jeniec (POW), by roztoczyć wizję pełnego udręki bytowania w zapomnieniu. „Świadectwa", które od czasu do czasu pojawiają się w prasie, zazwyczaj od razu odrzucane są przez rządowych „ekspertów".

Fotografia trzech podstarzałych MIA? Niezbyt udane fałszerstwo.

Radziecki namacalny dokument dotyczący siedmiuset amerykańskich jeńców nigdy nie uwolnionych przez Hanoi? Zapewne lista

„sprzymierzonych" POW pochodzenia azjatyckiego, ale nie Amerykanów czystej krwi.

Ale demaskatorzy wydają się ignorować pojawienie się dziwacznych, trudnych do wyjaśnienia szczegółów,

zdarzeń i raportów, które w rzeczywistości tworzą interesujący przyczynek do spekulacji.

Kiss the Boys Goodbye (Pocałujcie chłopców na pożegnanie), książka producentki programu 60 Minutes Moniki Jensen-Stevenson, napisana do spółki z mężem, autorem szpiegowskich prac Williamem Stevensonem, przytacza bardziej przekonujące argumenty do teorii

„opuszczonych chłopców". Autorka pisała: „Setki uchodźców donosiło o widzeniu Amerykanów we wszystkich częściach komunistycznej południowej Azji w latach zaraz po zakończeniu wojny" na długo

po tym, gdy amerykański rząd oświadczył, że wszyscy amerykańscy jeńcy wojenni zostali wypuszczeni na wolność.

Jak głoszą raporty, amerykańscy żołnierze i oficerowie wywiadu podczas tajnych misji w Indochinach nieustannie donosili o widzeniu amerykańskich więźniów w Wietnamie i Laosie jeszcze w latach osiemdziesiątych. Uprzedni szef Wojskowej Agencji Wywiadowczej (DIA) generał Eugene Tighe, publicznie oświadczył, iż tajne akta DIA dają świadectwo o tym, „że znajdują się tam wciąż żyjący Amerykanie".

Główny raport nadszedł od szeregowca marynarki Stanów Zjednoczonych Bobby'ego Garwooda, który został schwytany przez Wietnamczyków w 1965 roku. Po czternastu latach - w czasie gdy mało kto wierzył, że w Indochinach pozostają jacyś jeńcy wojenni -

wietnamski rząd wypuścił Garwooda na wolność. Mimo że Garwood twierdził, że w Wietnamie pozostali inni żyjący jeńcy, dowództwo wojskowe pospiesznie uznało go za zdrajcę, w efektywny sposób dyskredytując jego opowieść. (Po latach rząd spokojnie przyznał, że nazywanie Garwooda zdrajcą było błędem, ale w owym czasie twierdzenie o żyjących Amerykanach w niewoli nie stanowiło już informacji na czasie.)

Jak wielu jeńców pozostało w dżungli? Jerry Mooney, analityk National Security Agency (Agencji Bezpieczeństwa Narodowego), który badał sprawę amerykańskich

jeńców na terenie Indochin aż do 1976 roku (trzy lata po oświadczeniu prezydenta Nixona, że wszyscy jeńcy zostali znalezieni), utrzymywał, że natrafił na ślady ponad trzystu.

Douglas Applegate, kongresman z Ohio, ogłosił w 1984 roku, że otrzymał „bardzo niepokojące" dokumenty CIA, które

„wyszczególniały" setki żywych amerykańskich jeńców pozostających w Laosie. DIA interweniowało i słowa Applegate'a usunięto z danych Kongresu, choć nie ma pewności co do prawdziwej przyczyny usunięcia oświadczenia kongresmana z dokumentów.

Gdy rodziny POW/MIA rozpoczęły starania o wydanie odtajnionych akt, wojsko ponownie je utajniło. Oficjalna wersja nadal brzmiała, że

„nie istnieją żadne dowody świadczące o jakimkolwiek żyjącym Amerykaninie w Indochinach".

Jednakże prywatnie administracja reaganowska wyraźnie sugerowała co innego. Richard Childress, wyznaczony przez reaganowską Radę Bezpieczeństwa Narodowego do kontaktowania się z rodzinami zaginionych, ostrzegł Jensen-Stevenson, że jej opowiadanie „może narazić na niebezpieczeństwo życie więźniów wciąż tam przebywających". Czyżby? Jeżeli nie było tam żadnych więźniów, to kogo Jensen-Stevenson miałaby wystawiać na niebezpieczeństwo?

Sam prezent Reagan przeciwstawił się oficjalnej wersji, przyznając w liście do żony jednego z zaginionych jeńców, że jego administracja zaplanowała misję mającą na celu uwolnienie więźniów w 1981 roku.

W 1986 roku „Wall Street Journal" dodał kilka dalszych szczegółów.

Misja mająca uwolnić jeńców zrodziła się po tym, gdy Hanoi zaoferowało sprzedaż pięćdziesięciu siedmiu żywych amerykańskich jeńców Stanom Zjednoczonym za cenę 4 milionów dolarów. Podobno urzędnicy Reagana odrzucili ofertę, nie chcąc płacić okupu za jeńców

- co jeżeli okazałoby się prawdą,

byłoby godną pożałowania ironią losu w obliczu późniejszych układów dotyczących operacji Iran-Contras. Zdaniem dziennikarza z

„Wall Street Journal" Richarda Allena, reaganowski zręczny doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, zaproponował alternatywę: misję w stylu Rambo, która na terenie Laosu miałaby uwolnić pozostających tam amerykańskich jeńców. Z pewnych nie znanych bliżej powodów, przedsięwzięcie to nie powiodło się jednak.

Zdaniem grupki weteranów, która spotkała się z Allenem po pojawieniu się tej informacji, reaganowski doradca oświadczył:

„Wiem, że się tam znajdują, i mocno wierzę, że żyjący jeńcy wciąż są przetrzymywani gdzieś na terenie Indochin". Ale w czasie gdy przeprowadzano tę „akcję" - jak to wyjaśniał Allen rozwścieczonym weteranom - „jeńcy zostali gdzieś przeniesieni".

Liczni komandosi oraz byli agenci służb specjalnych głosili jednakże nieco inną wersję tej historii. Owszem, doszło do rekonesansowej i ostatecznej operacji mającej na celu uwolnienie jeńców w 1981 roku, ale w ostatniej chwili została ona albo odwołana, albo też sabotowana.

Na scenę wkracza pułkownik James Gritz, żywy Rambo, który stanowił pierwowzór dla kreacji Sylvestra Stallone - bohatera wojennego przedzierającego się przez zaporę komunistów. Supertajna grupa w Pentagonie, znana jako Intelligence Support Activity (ISA), sponsorowała laotańską misję Gritza, która miała być częścią większego rajdu sił Delta. Zanim jednak komandosi z Delty oderwali się od ziemi, Pentagon wycofał się z tej operacji. W ten sposób przerwano również misję Gritza.

Dowództwo Zielonych Beretów miało plan B - operację zwaną Velvet Glove (aksamitna rękawiczka). Niemniej, jak to Gritz ze swoim specjalnym oddziałem później relacjonowali, po przybyciu do Laosu odkryli, że ich tajna akcja została w oczywisty sposób ujawniona 254

przez Głos Ameryki. W czasie gdy Gritz przedzierał się z powrotem do cywilizowanego świata, międzynarodowa prasa ochrzciła go już mianem „szalonego odstęp-cy". Tak też się na pierwszy rzut oka wydawało, choć prawda była nieco inna. ISA wciąż utrzymywała, że poparcie dla Gritza zostało usankcjonowane przez szefów sztabów Pentagonu; w każdym razie Velvet Glove nie było „chuligańskim wybrykiem".

Otrzymawszy tak różnorodne sygnały od urzędników państwowych, teoretycy spiskowi mieli całkowite prawo wysuwać najprzeróżniejsze przypuszczenia. Musiało się przecież coś za tym kryć, gdy członkowie rządu prywatnie potwierdzali istnienie żywych jeńców w Indochinach, a publicznie czynili wszystko, by

dyskredytować każdego, kto próbował tego dowieść. Miało się wrażenie, że każdy wyższy rangą przedstawiciel wojska, kompetentny pracownik rządowy, czy zwykły żołnierz lub szukający prawdy reporter, gdy przekraczał oficjalny punkt widzenia na temat POW, natychmiast stawał się persona non grata lub, więcej, obrzucano go inwektywami w stylu: łatwowierny, dziwak, szaleniec, paranoik czy nawet człowiek pozbawiony patriotyzmu.

Generał Tighe, uprzedni szef DIA, pod którego przewodnictwem wewnętrzna komisja Pentagonu ustaliła, że amerykańscy jeńcy przetrzymywani są w tajnych obozach rozrzuconych na terenie Indochin, został publicznie skrytykowany przez dowództwo Pentagonu, a ponadto zarzucono mu chorobę psychiczną.

Dziennikarze, którzy nieustępliwie drążyli tę historię, otrzymywali telefony z pogróżkami i byli w dziwny sposób niepokojeni. Jensen-Stevensen skradziono teczkę i notatnik na lotnisku; reporter BBC

został powiadomiony przez oficerów DIA, że ktoś pragnął przesłać mu ostrzeżenie; dziennikarka z Montany, badająca podejrzane okoliczności śmierci weterana wywiadu zamieszanego w misję odnalezienia POW, otrzymała telefon ostrzegający ją: „To nie twój interes zajmowanie się tą

sprawą. Ostrzeżenie to przyjmij, jak sobie chcesz. Czy chcesz, żebym przyszedł i wyperswadował ci to?"

Reakcja w stosunku do każdego, kto uważał, że istnieją żywi jeńcy, okazywała się tak jadowita i gwałtowna, że w naturalny sposób prowokowała tylko do snucia podejrzeń.

W końcu na scenie pojawia się najsławniejszy z poszukiwaczy POW, teksaski miliarder i superpatriota H. Ross Perot. Poszukiwał on POW

jeszcze za kadencji Nixona. W 1973 roku sfinansował wyprawę w dżungle Laosu i Wietnamu, która nie przyniosła rezultatu, mimo pomocy udzielonej przez wyśmienitych „kowbojów" Johna Wayne'a i Clinta Eastwooda. Według „New Re-public" Perot próbował jeszcze w 1983 roku, tym razem powierzając zadanie Bo Gritzowi, i ponownie poniósł fiasko. (Inne doniesienia utrzymują, że w misji Perot-Gritz uczestniczyła również ISA, co nie powinno wydawać się aż tak dziwne, zważywszy na fakt, że Perot ochoczo odnosił się do planów Oliyera Northa we wczesnych latach osiemdziesiątych, jakkolwiek Perot temu zaprzecza.

Zapewne w uznaniu otwartego portfela, Ross otrzymał wgląd w akta Rady Doradców Wywiadu Zagranicznego. Miał do nich dostęp jako

„specjalny badacz" i twierdził później, że rząd prowadził bieżącą ewidencję żyjących POW.

W pewnym względzie, z nie znanych bliżej powodów przedstawiciele reaganowskiej władzy okazali powściągliwość w sprawie współpracy z nieznośnym Perotem. Narodowa Rada Bezpieczeństwa odrzuciła jego ofertę „stu milionów dolarów, by wykupić jeńców z rąk Hanoi"; również Biały Dom oddalił jego propozycję zawarcia układu z Hanoi.

Mimo to Perot wybrał się do Hanoi i targował się z wietnamskimi aparatczykami. „Powiedzieli mi coś, co sięgało samego sedna sprawy"

- wyjawił Perot przepytującej go Jensen-Stevenson. „Świadczyło to, że ci ludzie tam są". Niemniej, gdy

później do 256

Wietnamu udała się oficjalna amerykańska delegacja z zadaniem kontynuowania wstępnych ustaleń Perota, w których uczestniczył

Richard Childress, skierowała rozmowy bardziej w kierunku pozostałości po poległych żołnierzach - szczątków i mundurów - niż sprawy żywych jeńców. W ten sposób wysiłek Perota został

zaprzepaszczony.

Ostateczną barierą dla Perota okazał się ówczesny wiceprezydent George Bush. Z pewnych względów Perot miał dziwne wrażenie, że ten dawny dyrektor CIA ochoczo powinien wesprzeć akcję prowadzącą do ocalenia starych chłopaków. Ale jeżeli wierzyć Perotowi, Bush okazał się nieprzejednany i nie dał się przekonać nieodpartej zdawałoby się argumentacji Perota.

Z pewnością rozczarowanie Perota osobą Busha w sprawie POW dało powód do stanięcia miliardera do walki o urząd prezydencki w 1992

roku, co miało być rodzajem osobistej wendety skierowanej przeciwko Bushowi, a także uderzeniem w innych konspiratorów.

To wszystko rozegrało się podobno w następujący sposób: Perot udał

się do budzącego zaufanie Busha, by wyjaśnić prawdziwą przyczynę blokowania poszukiwań POW. Jak to wspominał, zwrócił się do wiceprezydenta „No dobrze, George, poszukuję jeńców, ale nieustannie odkrywam, że rząd zamieszany jest w przerzucanie narkotyków po całym świecie i nielegalny handel bronią... Nie mogę dostać się do jeńców z powodu korupcji wśród tajnych agentów".

Jak utrzymywał Perot, to okazało się punktem zwrotnym. Został on

„poinstruowany, by zaniechać swych starań" jako oficjalny przedstawiciel prezydenta. Jednakże, według „New Republic", tym, co rzeczywiście zraziło Perota do Busha, było zignorowanie przez wiceprezydenta zarzutów stawianych przez Perota Richardowi Armitage, który miał powstrzymywać całe poszukiwania POW, a w owym czasie był asystentem sekretarza obrony ds. POW. Perot podobno uważał, że

257

Armitage był uwikłany w działalność siatki składającej się z weteranów wywiadu, którzy zajmowali się handlem narkotykami i bronią, pozostawiając sprawę POW na boku, podobnie jak też i inne zagadnienia.

Zatem sprawa POW była w istocie wyciszana czy zręcznie podsycana?

Czy niekonsekwencja członów amerykańskiego rządu miała na celu odsunięcie ciekawskich od sprawy jeńców, by nie wpadli przypadkiem na trop brudnych interesów? Czy może wręcz przeciwnie. Zainteresowanie miało pozostać, ale przesunięte poza pole działania czynników oficjalnych - gdzieś w sferę aktywności organizacji prywatnych? Jeśli taka spekulacja ma sens, trzeba jej początek umieścić w czasie urzędowania Nixona.

„Wynegocjowaliśmy uwolnienie jeńców" - utrzymywał Roger Shields, przedstawiciel Pentagonu

odpowiedzialny za sprawy dotyczące PO W/MI A w latach 1971-1976. Shields nie chciał

zagłębiać się w szczegóły, ale powiedział Jensen-Stevenson, by zapytała się Hen-ry'ego Kissingera, nixonowskiego sekretarza stanu, dlaczego z takim pośpiechem starano się usunąć z układów pokojowych z Wietnamem w 1973 roku nazwiska amerykańskich żołnierzy i pilotów z oficjalnego rejestru POW/MIA. Kissinger utrzymywał, że żaden żyjący Amerykanin nie został pozostawiony w Wietnamie.

Poszczególne liczby jednak nie chcą się zsumować. Odpowiedź na tę zagadkę, jak wierzy Perot i inni, leży nie w Wietnamie, lecz w sąsiednim Laosie, gdzie CIA i amerykańskie wojsko toczyło niemal od trzech dekad tajną wojnę przeciwko komunistom. Chociaż przedstawiciele Wietnamu Północnego uwolnili 591 Amerykanów na początku 1973 roku, to w dalszym ciągu jeńcy pozostający w Laosie nie byli objęci negocjacjami prowadzonymi przez Kissingera. Księgi Pentagonu wyszczególniają 317 żołnierzy zaginionych w Laosie, którzy nigdy nie zostali wpisani na listę poległych czy też żywych.

„Nie możemy posłużyć się wszystkimi informacjami, które posiadamy, dotyczącymi żołnierzy zaginionych w Laosie, ponieważ cała ta wojna była tajna" - twierdził Nick Rove, pułkownik armii i weteran specjalnych operacji wywiadu.

Tajne wojny CIA w Laosie i Kambodży były faktem. Gritz oraz inni dobrze poinformowani wojskowi opisują te tajne działania zbrojne, które, jak twierdzą, zostały okupione znacznym kosztem.

•

Nielegalne tajne wojny w Indochinach trwały po oficjalnym zakończeniu konfliktu wietnamskiego - i ciągnęły się aż do późnych lat osiemdziesiątych. Wielu żołnierzy w Laosie zaginęło w ramach tajnych misji, mających miejsce po zawieszeniu broni w 1973 roku z Wietnamem. A więc ci żołnierze regularnej armii stali się „częścią"

tajemnicy wojskowej.

•

CIA wspomagała finansowanie tajnej wojny w południowo-wschodniej Azji środkami ze sprzedaży broni i narkotyków, co później doprowadziło do pojawienia się laotańskich bossów sprawujących kontrolę nad polami maku w rejonie Złotego Trójkąta, największego źródła dostaw heroiny do Stanów Zjednoczonych.

(Zaangażowanie CIA w handel narkotykami w południowo-wschodniej Azji zostało dobrze udokumentowane na przestrzeni lat.) Zdaniem Eda Wilsona, agenta CIA, skazanego za sprzedaż materiałów wybuchowych i broni do Libii, ci, którzy węszyli wokół kwestii MIA, z pewnością powinni odkryć wielce zadziwiające rzeczy: pośrednictwo w handlu heroiną, zakładanie przez CIA banków poza granicami Stanów Zjednoczonych, by finansować „prywatne" tajne operacje, w stylu Iran-Con-tras, zaopatrywanie w broń antykomunistycznej partyzantki itd.

•

Oficjalna działalność rządowa POW/MIA - której placówki i pracownicy przebywali w południowo--wschodniej Azji - mogła służyć jako przykrywka do kontynuowania tajnych działań zbrojnych i przemytu

narkotyków, z którego dochody umożliwiały finansowanie innych armii. To może wyjaśniać, dlaczego kilka planów uwolnienia jeńców w początkach lat osiemdziesiątych zostało zaniechanych.

Zarzuty o tajnych działaniach wojennych popierał rząd tajlandzki, który utrzymywał, że Tajlandia stanowiła bazę dla tajnych szkoleń partyzantów.

Na początku 1993 roku specjalna komisja ds. POW/MIA pod przewodnictwem senatora Johna Kerry rozpoczęła długotrwałe dochodzenie w sprawie losu zaginionych Amerykanów. Jej nie zakończony żadnym konkretnym stwierdzeniem ostateczny werdykt -

że nie znaleziono dowodów istnienia żyjących jeńców, choć nie można ostatecznie tego wykluczyć - został uznany za gwóźdź do trumny dla teoretyków spiskowych.

Senacka komisja dostarczyła dowodów popierających przynajmniej po części to, co „konspiratolodzy" od dawna twierdzili: że administracja reaganowska w walce o „powstrzymanie" rozwoju światowego komunizmu posłużyła się POW/MIA jedynie jako pretekstem do finansowania prowadzonej z ukrycia partyzanckiej wojny w Laosie. Niektórzy przedstawiciele Senatu podejrzewają, że prywatne grupy składające się z rodzin zaginionych żołnierzy -

popierane oczywiście przez Childressa i innych przedstawicieli administracji reaga-nowskiej - zbierały prywatne fundusze na prowadzenie nielegalnej wojny w Laosie pod pozorem organizowania misji rekonesansowych w poszukiwaniu zaginionych żołnierzy.

Perot i jego naśladowcy może nie mieli całkowicie racji w swoich podejrzeniach, ale przynajmniej znajdowali się na właściwej ścieżce.

W tym miejscu aż prosi się o przytoczenie alternatywnej teorii spiskowej, popieranej przez lewicowców, którzy nie chcą bawić się w sentymentalne, bliskie sercu idee, takie jak patriotyzm, męstwo i zaginiony żołnierz. Według nich: nigdy nie było żadnego żyjącego POW. Był to jedynie wymysł

administracji Reagana i Busha, którzy wprowadzili mit „straconych chłopców" dla własnych celów, jako cyniczną mistyfikację mogącą ułatwić zebranie funduszy na kolejną tajną wojnę w dżungli.

Jeżelibyśmy akceptowali tę teorię, to źródła utrzymujące, że posiadają wiedzę o żyjących POW można podzielić na dwie kategorie: zwykłych oszustów siejących dezinformację oraz kierujących się dobrymi intencjami naiwnych. Z pewnością nie można tu zapominać o pewnych źródłach, które utrzymują, że dotarły do żyjących POW.

Jednym z nich jest Scott Barnes, podający się za agenta CIA, który twierdził, że uczestniczył w misji, z pomyślnym rezultatem. Barnes utrzymuje, że razem ze swym partnerem odnaleźli amerykańskich POW w Laosie - i otrzymali rozkaz „zlikwidowania towaru", jednak odmówili jego wykonania. Partner Barnesa miał być zabity w wyniku tej niesubordynacji, natomiast on szczęśliwie ocalał, by opowiedzieć całą historię.

Jako wszechwiedzący człowiek, przedstawiający liczne teorie spiskowe, Barnes został okrzyknięty szarlatanem i promującym siebie sztukmistrzem oszustwa. Ale jego wyznania zostały podchwycone przez wielu poszukiwaczy POW, w tym również Perota, co miało pomóc temu miliarderowi w walce o prezydenturę. Jednakże po samoniszczącym występie Perota w programie 60 Minutes wyborcy wydawali się podzielać pogląd, że nie jest on jednak najlepszym kandydatem, któremu można powierzyć atomowy guzik. Zachwianie wiarygodności Perota z pewnością było dobrą wiadomością dla Busha, co uczyniło z Barnesa niezwykle interesującą postać. Daje to dużo do myślenia, kto tak naprawdę odniósł korzyści z trudnych do uwierzenia opowieści Barnesa o POW.

Trudno jednakże utrzymywać, że wszystkie doniesienia dotyczące POW były najzwyklejszym szwindlem, jak to starają się utrzymywać lewicowcy i centryści. Gdy

współautor Kiss the Boys Goodbye William Stevenson zwrócił się do przedstawicieli Wietnamu z pytaniem o jeńców, wydawali się oni otwarci podjąć negocjacje. „Mieliśmy tysiące Amerykanów po układzie z 1973 roku" - twierdził były szef tajnej wietnamskiej policji.

„Do 1985 roku wiedziałem o paru grupach Amerykanów w kilku miejscach".

Cytując Truong Chinha, w pewnym czasie szarą eminencję za plecami Ho Szi Mina: „Niewykluczone, że pewnego dnia wprawimy amerykański rząd w zakłopotanie, wysyłając ich z powrotem".

Mówi się, że odkrycie starzejących się amerykańskich żołnierzy w Wietnamie mogłoby dostarczyć jedynie kłopotów obydwu krajom, zwłaszcza teraz, gdy dążą one do wzajemnej normalizacji stosunków.

Jak to uprzedni szef tajnej policji wietnamskiej wyjawił

Stevensonowi: „Nikomu nie wyszłoby na dobre, ani nam, ani Amerykanom, gdybyśmy teraz wypuścili jeńców. Lepiej uznać ich za martwych".

Nawet jeżeli teoria o opuszczonych w dżungli żołnierzach była prawdziwa, upłynęło już ponad dwadzieścia lat, odkąd Stany Zjednoczone oficjalnie wycofały się z wojny wietnamskiej. Nawet jeżeli rząd kłamał dziesięć lat temu, gdy twierdził, że nie ma żyjących amerykańskich POW w południowo-wschodniej Azji, gdy głosi tę samą rzecz dzisiaj, może to być prawdą.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Sidney Blumenthal. Perotnoia: The Strange Journey of Ross Perot.

New Republic, 15 czerwca 1992.

Monika Jensen-Stevenson i William Stevenson. Kiss the Boys Goodbye: How the United States Betrayed Its Own POWs in Vietnam. Nowy Jork, Dutton, 1990.

Adam Parfrey. Bo Gritz Inetrrogated. Flatland, nr 10, 1993. Evidence Hint at Reagan Bid to Aid Laos Rebels, „San Jose Mercury News", 24

stycznia 1993.

31. Imperium Zła kontratakuje

Gdy zimna wojna Reagana wkroczyła w najbardziej gorący okres, pewien sowiecki pilot dokonał bombardowania o daleko idących skutkach. Odpalił mianowicie pocisk, który wysłał koreański samolot z 269 pasażerami na pokładzie na dno Morza Japońskiego.

W chwili ataku samolot znajdował się 265 mil od wyznaczonego kursu i przelatywał nie tylko nad radzieckim terytorium, ale także nad zamkniętą, tajną strefą najeżoną sprzętem wojskowym. Zdarzyło się to 1 września 1983 roku.

W tym czasie funkcję premiera w Związku Radzieckim pełnił Jurij Andropow, były szef KGB. W ciągu kilku godzin od tragedii prezydent amerykański Reagan, sekretarz stanu George Shultz i ambasador amerykański przy Organizacji Narodów Zjednoczonych pani Jeanne Kirkpatrick wydali publiczne oświadczenia, prezentując swoją wersję wypadków: Sowieci z zimną krwią zestrzelili cywilny samolot, i to bez najmniejszej próby ostrzeżenia załogi. Dla Amerykanów dotkniętych komunofo-bią, potrzebujących w tym momencie dodatkowego poparcia swoich poglądów - wedle których

„czerwoni" jawią się jako potwory z lekceważeniem podchodzące do ludzkiego życia - z pewnością było to zdarzenie bardzo a propos ich stanowiska.

Jak to jednak często bywa, gdy rząd fabrykuje niemal natychmiast niepodważalną wersję wydarzeń, pojawia się także odmienne spojrzenie. Według tej drugiej teorii KAL 007 miał być narzędziem w reaganowskiej zimnej wojnie: cywilny samolot wysłany z prowokacyjną misją wojskową - rozmyślnie umieszczony w niebezpiecznym miejscu i którego nieuchronne zniszczenie potwierdzić miało w opinii światowej agresywne nastawienie sowieckiego rządu.

Jednym słowem miała być to prowokacja.

Nie byłby to wcale precedens. Seymour Hersh, jeden z najbardziej wiarygodnych reporterów zajmujących się sprawami wywiadu i wojskowości, wyszczególnia długą listę amerykańskich wypadów w radziecką przestrzeń powietrzną, mających na celu sprawdzenie reakcji sowieckich systemów obronnych. Zdaniem zarówno Hers-ha, jak i rzecznika spisków R. W. Johnsona (absolwenta politologii uniwersytetu w Oxfordzie) wdarcie się koreańskiego samolotu pasażerskiego w sowiecką przestrzeń powietrzną z nie wyjaśnionych przyczyn wcale nie było czymś wyjątkowym. Inny samolot został

zestrzelony pięć lat wcześniej.

Istniał jeden znaczący motyw dla KAL, by uczestniczyć w tej niebezpiecznej grze. Koreańskie linie lotnicze, których finanse zależały w ogromnym stopniu od Stanów Zjednoczonych, amerykańskich połączeń lotniczych oraz praw do lądowania, zawsze poddawały się woli wuja Sama. Według oświadczenia adwokata Mar-vina Belliego, reprezentującego rodziny niektórych ofiar tego wypadku, pilot samolotu powiedział tuż przed wyruszeniem w ten rejs: „Nigdy więcej. To jest mój ostatni lot. To jest zbyt niebezpieczne".

Dziwnie brzmiąca uwaga w ustach doświadczonego pilota, który regularnie latał na trasie z Alaski do Seulu (koreańskie linie do dzisiejszego dnia latają na tej trasie, chociaż lot nie ma już numeru 007).

Nie ulega wątpliwości, że amerykański rząd spiskował, by cała ta historia ukazała Sowietów w jak najgorszym świetle. Nawet jeżeli KAL 007 przypadkiem zboczył z kursu, nic nie powinno usprawiedliwiać zestrzelenia samolotu pasażerskiego (chociaż Amerykanie mieli nieco kłopotów pięć lat wcześniej, gdy ich okręt wojenny zestrzelił irańskiego airbusa, ale to już inny spisek).

Natomiast gdyby Stany Zjednoczone umyślnie spowodowały lot KAL

007 nad terytorium ZSRR, wtedy działania sowieckie wydają się bardziej przykładem skrajnej niekompetencji aniżeli okazaniem prawdziwego

oblicza zła. W takim wypadku Stany Zjednoczone same musiałyby ponieść winę za nagłą śmierć pasażerów.

Jedyna, jak się wydaje niepodważalna informacja 0

tym locie i losie KAL 007 głosi, że został on zestrzelony przez sowiecki myśliwiec - chociaż niektórzy teoretycy spiskowi utrzymują, że to Stany Zjednoczone same umyślnie go zbombardowały (Robert Cutler podaje taką argumentację w opublikowanej przez siebie książce Explo-007). Kilkanaście lat po tym zdarzeniu najważniejsze pytanie dotyczące tragicznie przerwanego lotu nadal pozostaje nie wyjaśnione: z jakich przyczyn samolot wkroczył na obszar najbardziej niebezpieczny

najbardziej zmilitaryzowany na świecie?

Czy był to czysty przypadek, jak twierdzi Hersh, a także Murray Sayle w artykule opublikowanym kilka lat później w „New Yorker"? Czy też samolot ten, jak wierzy Johnson, odbywał pewien rodzaj złowrogiej, tajnej i ostatecznie tragicznej misji?

Według Johnsona, KAL-007 wysłano na rozkaz rea-ganowskiej CIA, by uruchomić sowieckie systemy obronne. To miałoby umożliwić licznym amerykańskim, natowskim i japońskim urządzeniom detekcyjnym, na posterunkach monitorujących Daleki Wschód, wgląd w machinę wojenną Armii Czerwonej w akcji. Ale nie tylko urządzeniom naziemnym. W chwili zestrzelenia samolotu, nad Morzem Japońskim krążył amerykański satelita szpiegowski, oraz - co dziwniejsze - prom kosmiczny Challenger, który podczas lotu KAL-007 czterokrotnie przelatywał nad Morzem Japońskim.

Z nieznanej przyczyny, w ostatniej chwili przed startem, ładunek Challengera, 3,5-tonowy satelita, został wymieniony na „innego satelitę" o tej samej masie. Johnson nie dowiedział się, o co dokładnie chodziło, ale sugeruje, że ten nowy satelita mógł zawierać wojskowe urządzenia szpiegowskie.

Zachowanie CIA po pierwszych informacjach o zestrzeleniu samolotu było co najmniej dziwne. Wiedząc

już o tym, że samolot zniknął w otchłani oceanu, Agencja przekazała krewnym zaginionych pasażerów historyjkę o tym, że samolot wylądował szczęśliwie na półwyspie Sachalin.

Najbardziej przekonujący kontrapunkt do tej prowokującej teorii (Johnson był tylko jednym z najważniejszych i najbardziej wiarygodnych zwolenników tej teorii; jej popularność była szeroka, wspomagana przez propagandę sowiecką) pojawił się po zakończeniu zimnej wojny, gdy dawne agencje wojskowe i wywiadowcze ZSRR

uchyliły swych tajnych akt.

Wtedy to, próbując podsumować tę teorię spiskową, Murray Sayle zaprezentował swój punkt widzenia w artykule opublikowanym 13

grudnia 1993 roku w magazynie „New Yorker", gdzie na okładce pojawia się tytuł: Sprawa z czasów zimnej wojny zamknięta. W

odróżnieniu od Johnsona i Hersha napisał go mając dostęp do sowieckich informacji.

Według relacji Sayle'a, Sowieci odnaleźli czarną skrzynkę zestrzelonego samolotu (która była, jak relacjonuje Sayle, jasnopomarańczowa). Sowieci zawsze zaprzeczali, jakoby znajdowała się ona w ich rękach, ale wraz z zapoczątkowaniem przez Jelcyna nowej ery stosunków międzynarodowych nagrania te ujrzały światło dzienne.

Oczywiście nikt nie jest w stanie udowodnić ich autentyczności ani odrzucić podejrzeń, czy nie jest to jedynie trik Jelcyna, w każdym razie Sayle nie badał autentyczności tych taśm, twierdząc: „Tylko głosy mogą być prawdziwym świadectwem".

Sayle donosi, że na taśmach nagrane są głosy zaspanej załogi rozmawiającej o posiłku śniadaniowym oraz zaletach i wadach wymiany pieniędzy na lotnisku. Nic z rzeczy przeniesionych z powieści Fredericka Forsytha.

Jako że reporter „New Yorkera" nie posiada odpowiednich kwalifikacji, by interpretować zapisane na taśmie rozmowy, dlatego też Sayle opiera się zasadniczo na ustaleniach francuskiego zespołu dochodzeniowego pra-266

cującego pod auspicjami Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego.

Wedle ustaleń tego zespołu całe zdarzenie przybrało tak tragiczny obrót, ponieważ kapitan samolotu nie włączył wewnętrznego systemu nawigacji (INS), pozwalając swemu Boeingowi 747 „zdać się na płatający często figle" magnetyczny kompas, który miał kierować lotem.

Błąd ten zdarza się nawet doświadczonym pilotom. Ale niezwykle rzadko, mimo nieco mylnego oświadczenia Sayle'a, że „w ponad stu błędach nawigacyjnych w wykorzystaniem INS pomiędzy wrześniem 1978 i majem 1983", przyczyną prawie dwunastu procent było zawierzenie kompasowi, a nie samemu systemowi INS w sterowaniu trasą lotu.

Innymi słowy, w ciągu pięciu lat, w czasie których miały miejsce setki tysięcy lotów pasażerskich, błąd, popełniony przez załogę KAL 007, wydarzył się około dwunastu razy.

W książce Shootdown (Zestrzelenie) Johnson porusza zagadnienie

„ospałości" załogi, zanim jeszcze udostępniono nagrania z czarnej skrzynki. Twierdzi on, że zanim samolot znalazł się o 300 mil poza wyznaczonym kursem, załoga powinna zauważyć kilka migających lampek.

Piloci musieli naprawdę zachowywać się dziwnie, zważywszy na fakt, że przelatywali nad rejonem wyjątkowo gęsto najeżonym urządzeniami monitorującymi. Co dziwniejsze, powinni zauważyć na radarze kreślącym mapę terenów, nad którymi się znajdowali, że samolot leciał nad lądem, a nie nad morzem, jak zakładał

harmonogram lotu.

Zdaniem Johnsona samolot wykonał nagły zwrot, gdy zbliżały się sowieckie myśliwce, zapewne spowodowany przypadkowo, w momencie gdy załoga próbowała przeprogramować swój komputer.

Jeżeli zdawaliby sobie sprawę, że znajdują się w niebezpieczeństwie, załoga zapewne powiadomiłaby o tym naziemną stację kontroli lotu.

Nie uczyniła tego jednak.

Nawet wtedy gdy samolot został trafiony i wpadł w korkociąg, zwalając się w wody oceanu.

Pilot nie wydał żadnego okrzyku przerażenia, nawet nie jęknął.

Johnson przytacza również zastanawiający ślad: zagmatwane nagranie zostało odczytane jako głos pierwszego oficera rozmawiającego z Tokio w ostatnich sekundach egzystencji KAL 007.

Zawartość taśmy jest ledwie zrozumiała i wciąż niejasna. Niektórzy analitycy sądzą, że słyszą na nich głos oficera zwracającego się nie do kontrolera lotów, ale do „dyrektora", tak jakby do „dyrektora misji".

Jedynie wojskowy lub zwiadowczy lot wymaga „dyrektora". Głos na taśmie mówi również o bogies, co w wojskowym żargonie odnosi się do samolotu przeciwnika.

Najdziwniejsze są zapewne ostatnie słowa na taśmie, według analityków nagrane trzydzieści osiem sekund po trafieniu pociskiem rakietowym, wypowiedziane albo przez pierwszego oficera, albo, jak sugeruje Johnson, przez kogoś w pobliżu, obserwującego konfrontację, wypowiedziane z absolutnym spokojem.

„Będzie krwawa łaźnia - relacjonował ktoś statecznym głosem. -

Założę się".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Seymour Hersh. The Target Is Destroyed. Nowy Jork: Random House, 1986.

R.W. Johnson. Shootdown. Nowy Jork: Viking Penguin, 1987.

32. Lot Pan Am 103

Cztery dni przed świętami Bożego Narodzenia 1988 roku, Boeing 747

linii lotniczych Pan Am nagle rozleciał się w powietrzu pod wpływem potężnego wybuchu

268

plastiku. Być może był to zwykły przypadek, że wśród 259 ofiar, które poniosły śmierć w tej katastrofie, znajdowało się pięciu agentów CIA. Być może też nic nie znaczący był fakt, że inna grupa agentów CIA pojawiła się w Lockerbie, w Szkocji, zaledwie kilka godzin od chwili, gdy szczątki samolotu opadły w okolicach wioski.

Za to znacząca jest z pewnością wiadomość, że agenci CIA, którzy pojawili się na miejscu wypadku, podając się za pracowników Pan Am, odeszli z tajemniczą aktówką. Należała ona do jednego z ich tragicznie zmarłych kolegów. Zabierając tę aktówkę wyraźnie wpłynęli na przebieg śledztwa, być może zabierając ważny materiał

dowodowy. Pół miliona dolarów znalezione przez szkockich wieśniaków również warte jest odnotowania. Detektywi przypuszczają, że pieniądze te także należały do martwego już zespołu agentów CIA.

Wracali oni z Bejrutu, gdzie wypełniali misję zmierzającą do lokalizacji amerykańskich zakładników przetrzymywanych przez fundamentalistów islamskich. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planami zamachowców, samolot Pan Am eksplodowałby nad Oceanem Atlantyckim. Bomba eksplodowała jednak przedwcześnie.

Szczątki, ciała i rzeczy osobiste pasażerów spadły na ziemię, a skrupulatni szkoccy detektywi odzyskali wszystko, oprócz wspomnianej aktówki. Pomiędzy znalezionymi przedmiotami były dwa zaszyfrowane dokumenty, obydwa należące do CIA.

Jeden z nich stanowił skomplikowany szkic wnętrza budynku w Bejrucie. Mapa była oznaczona dwoma krzyżykami. Agenci CIA zlokalizowali dwóch zakładników. Mogli próbować podjąć negocjacje dotyczące uwolnienia ich, używając 500 tysięcy dolarów, jako sumy potrzebnej do „kupienia" informacji. Możliwe jest też, że zespół ten, dowodzony przez majora Charlesa McKee, przygotowywał grunt pod przyszłą akcję odbicia więźniów.

269

Drugi dokument był kartką świąteczną napisaną albo w żargonie wywiadu, albo w swego rodzaju kodzie. Śledczy wydedukowali znaczenie tej informacji. Adresowana była do jednego z agentów CIA i mówiła, że cokolwiek mieli planować, ma się wydarzyć 11 marca 1989 roku.

Wybuch bomby pochłonął nie tylko 270 ofiar (w tym jedenastu mieszkańców Lockerbie, którzy zginęli na ziemi), ale również mógł

kosztować życie pewną liczbę zakładników, a przynajmniej opóźnić ich natychmiastowe zwolnienie. Z

pewnością wydarzenie to zahamowało działania amerykańskiego wywiadu na Bliskim Wschodzie. Trzeba bowiem wspomnieć, że nieco wcześniej szef placówki CIA w Bejrucie, William Buckley, został porwany, wysłany do Iranu i tam zakatowany na śmierć podczas przesłuchań. Naturalnie Iran stał się od razu głównym podejrzanym o spowodowanie tego zamachu.

Obecność agentów CIA wśród ofiar katastrofy została publicznie odnotowana, choć nie we wszystkich mediach. W marcowym numerze „New York Times Magazine" cytującym fragment książki The Fali of Pan Am 103 (Katastrofa Pan Am 103) nic nie wspomina się

0

oficerach CIA, chociaż w samej książce pojawia się sporo informacji, kim tak naprawdę byli i dlaczego się tam znaleźli. Według wersji „Timesa" wina leżała po stronie „partackiej" roboty policji niemieckiej.

Większość raportów dotyczących podłożenia bomby w samolocie Pan Am 103 sugerowała irracjonalną akcję terrorystyczną motywowaną pragnieniem zemsty. Natomiast hipoteza, że mogła się w tym kryć pewna strategia

1

pewne działania o szerszym zasięgu, prowadzące do

„racjonalnego" podłożenia bomby - oprócz odwetu ze strony Irańczyków za zestrzelenie airbusa czy Libijczy-ków za zbombardowanie Tripolisu - w zasadzie nie była dyskutowana.

Przyznanie, że inny motyw niż fanatyzm spowodował tak makabryczną zbrodnię, wskazywałoby,

270

że cel tego zamachu - Stany Zjednoczone, również były w „coś"

zaangażowane.

Dlatego znacznie bardziej intrygujące są konkluzje prywatnego detektywa, określającego siebie jako byłego pracownika izraelskiego wywiadu, Juvala Aviva. Jego nowojorska firma Interfor przeprowadziła dochodzenie dla agencji ubezpieczeniowej, w której był ubezpieczony Pan Am. Raport Interforu zawiera najbardziej ponure przypuszczenia o spisku związanym ze sprawą Lockerbie.

Przez dwa lata raport Interforu krążył w kręgach spiskowych z ręki do ręki w formie odbitek ksero. Został on praktycznie zignorowany przez większe agencje informacyjne. Wtedy to magazyn „Time" nagle odkrył go, co stało się później powodem burzliwej polemiki. Według Interforu wszystko zostało zapoczątkowane przez następującą intrygę: Oddzielny zespół CIA stacjonujący we Frankfurcie, określony przez Interfor jako CIA-1, również próbował uwolnić amerykańskich zakładników. Ponieważ CIA-1 była nie autoryzowaną tajną operacją i nie podlegała kontroli z siedziby sztabu Agencji w Langley w stanie Wirginia, rywalizowała z zespołem McKee. Nie nazwany w raporcie agent nawiązał kontakty z Monzarem Al-Kassarem, syryjskim handlarzem broni i narkotyków, krewnym szefa syryjskiego wywiadu (który uchodzi za ważnego sponsora terrorystów) i kochankiem siostrzenicy syryjskiego przywódcy Hefeza Al-Assada. Nic dziwnego, że Al-Kassar był również głęboko powiązany z kręgami terrorystycznymi.

Według Interforu Al-Kassar wcześniej maczał palce we francuskiej akcji uwolnienia zakładników. Jeżeli zrobiłby to samo dla Amerykanów, jak proponowało CIA-1, oni w zamian zobowiązaliby się do zapewnienia ochrony szlaku przemytu narkotyków, który od pewnego czasu znajdował się pod ich obserwacją.

„Al-Kassar przystał na ten układ - głosił Aviv w swoim raporcie -

choć kontynuował swoją działalność ter-

rorystyczną i przekazał swoim towarzyszom, że ich szlak przemytu narkotyków prowadzący liniami Pan Am przez Frankfurt nareszcie jest chroniony i bezpieczny aż do Stanów Zjednoczonych".

W tym samym czasie Al-Kassar - który niegdyś był wynajęty przez Richarda Secorda i Alberta Hakima (związanych z aferą Iran-Contras), do zaopatrywania w broń nikaraguańskich contras - pomagał

stacjonującej we Frankfurcie grupie CIA dostarczać broń do Iranu.

Amerykanie zamierzali jeszcze raz dobić transakcji, oferując broń w zamian za zakładników. Według Interforu, Al Kassar nie tylko dostarczał broń contras. By zadowolić amerykańskich patronów, niektóre transporty finansował nawet z własnych środków, pochodzących z handlu narkotykami. Aviv pisał, że „CIA-1 dała AlKas-sarowi wolną rękę".

Jako że CIA-1 była nieoficjalną operacją prowadzoną poza kontrolą centrali próbującą dobić targu „broń za zakładników" i posiadającą zaskakujące kontakty z handlarzami bronią i narkotykami, skojarzenia z Iran-Cont-ras, „przedsięwzięciem" dowodzonym przez pułkownika Ołivera Northa, narzucają się same. CIA-1 działało jednak w 1988

roku, gdy do wyrzucenia Northa było jeszcze trochę czasu, a William Casey, dyrektor CIA oraz ojciec Iran-Contras, wciąż pełnił swoją funkcję. Skoro żaden z nich nie kontrolował działań CIA-1, to kto nimi kierował?

Duża część operacji Iran-Contras była koordynowana, jak na to wygląda, z biura ówczesnego wiceprezydenta George'a Busha. Czy uprzedni szef CIA i jego podwładni mogli kontrolować CIA-1?

Interfor nie porusza tej kwestii.

Gdy CIA-1 przeprowadzała transakcje z terrorystami i handlarzami narkotyków, oficjalna CIA i amerykański Departament Stanu, zupełnie nie zdając sobie sprawy z działalności drugiej grupy, wysłały do Bejrutu zespół McKee. Według Aviva misja tej grupy była w rzeczywi-272

stości rekonesansem przygotowującym grunt pod akcję mającą na celu oswobodzenie jeńców. W trakcie misji odnaleziono i sfotografowano budynki, w których przetrzymywano zakładników.

Jak donosił Aviv: „Po pewnym czasie specjalny zespół (McKee) dowiedział się o Al-Kassarze i rozpoczął śledzenie go". Zdano sobie też sprawę, że pewien oddział CIA ochraniał przemyt narkotyków do Stanów Zjednoczonych przez lotnisko we Frankfurcie. Donieśli o tym do Langley, podając fakty i

nazwiska, a także poinformowali o filmie z miejsca przetrzymywania zakładników. Centrala nie uczyniła nic.

Nie było żadnego odzewu.

Będący pod obserwacją Al-Kassar i jego towarzysze z wywiadu syryjskiego zaczęli z kolei śledzić zespół McKee. Gdy zespół McKee

„sfrustrowany i zły rozpoczął przygotowania do powrotu do Stanów Zjednoczonych", Al Kassar przyglądał się dokładnie ich poczynaniom. Wiedział, że amerykańscy agenci zarezerwowali lot z przesiadką w Londynie na lot Pan Am 103, rozpoczynający się we Frankfurcie. Na tydzień przed zamachem bombowym na samolot Al-Kassar poinformował CIA-1 o swoim problemie, relacjonując uzyskane wiadomości o zespole McKee, ich rozkładzie lotu i wszystkich innych sprawach.

Kierowani zupełnie innymi politycznymi pobudkami terroryści Al-Kassara planowali w owym czasie podłożenie bomby na pokładzie amerykańskiego samolotu. Początkowo wybrano samolot American Airlines. Wkrótce cel ataku zmieniono.

Ostrzeżenia napływały z wielu stron. Zarówno wywiad niemiecki, jak i Mossad, a także CIA-1 słyszeli o przygotowaniach do ataku bombowego. Nikt jednak nie podjął konkretnych działań, by zapobiec tragedii. Zespół McKee został pozostawiony na łasce losu.

Towarzysze Al-Kassara podrzucili niewielkie urządzenie ze środkiem wybuchowym semtex na pokład samolotu

Pan Am 103, co było tym łatwiejsze, że wykorzystano szlak przerzutu narkotyków ochraniany na podstawie umowy Al-Kassar/CIA-1.

Niemiecki agent, który był przydzielony do nadzorowania tego przerzutu, zauważył we Frankfurcie, że teczka „z narkotykami"

przybrała inny niż zwykle wygląd. Usłyszał też sygnały ostrzegawcze.

Od razu zdał sobie sprawę, że ma przed sobą nie narkotyki, ale bombę.

Agent ostrzegł natychmiast CIA-1 o ukrytej bombie. CIA-1

skontaktowała się ze swoim zwierzchnictwem w kraju. Stamtąd uzyskano jednak zaskakującą odpowiedź: „Nie przejmujcie się, nie zatrzymujcie, niech leci".

Boeing 747 po postoju w Londynie, gdzie zabrał grupę studentów powracającą do domu po semestrze poza granicami kraju, amerykańskich turystów i pięciu agentów CIA, którzy wiedzieli, gdzie znajdują się zakładnicy, wystartował do lotu przez Atlantyk, by wkrótce po starcie eksplodować.

Raport Interforu ujrzał światło dzienne dzięki Jamesowi Traficante, ekscentrycznemu kongresmanowi z Ohio, węszącemu za przeróżnymi spiskami. Jak donoszono - otrzymał go od Victora Marchettiego, poprzedniego asystenta dyrektora CIA Richarda Helmsa. Mar-chetti, mimo że jego odkrywcza książka

The CIA and the Cult of Intelligence (CIA i kult wywiadu) obecnie uważana jest za klasykę, pracował w tym czasie dla ultraprawicowej Liberty Lobby i dlatego jego wiarygodność była podawana w wątpliwość.

Być może raport Interforu spotkał się z tak słabym przyjęciem, właśnie ze względu na przeszłość sygnującej go osoby. Bardziej jednak można zapewne winić skan-dalizującą wręcz naturę zarzutów.

Większa część raportu jest kpiną z otaczającej rzeczywistości: na przykład zignorowanie ostrzeżenia i sfuszerowany rajd niemieckiej policji w październiku 1988 roku na miejsce, w którym konstruowano bomby. Przeprowadzony odpowiednio, mógł zapobiec temu zamachowi.

274

W kwietniu 1992 roku pojawiły się oskarżenia związane z zaangażowaniem w tę sprawę CIA. Magazyn „Time" opublikował

raczej koszmarną historię zatytułowaną: Dlaczego zginęli?, w której połączone zostały zarzuty podane przez Interfor z dodatkowymi szczegółami uzyskanymi od wątpliwego informatora, Lestera Colemana. Opowiadanie zawiera w sobie wiele błędów. Najbardziej rzucającym się w oczy było pomylenie kamerzysty z Christian Broadcasting Network ze zdradzieckim agentem, który miał zaprzedać zespół McKee.

Zgodnie z przewidywaniami opowiadanie to wywołało całą falę ataków, szczególnie z strony Christophera Byrona, który napisał dwa wyjaśniające artykuły dla magazynu „New York", oraz korespondenta CNN Stevena Emersona (w „Washington Journalism Review"), współautora książki o katastrofie Pan Am 103.

W książce The Fali of Pan Am 103 Emerson określa raport Interforu jako pomieszanie faktów ze spekulacjami nie popartymi dowodami, co w całości nie przedstawia żadnej wartości. Raport Aviva był

skrótowo odnotowany w wiadomościach na długo przed opowiadaniem zamieszczonym w „Time". W przeddzień Hal-loween, w 1990 roku, stacja telewizyjna NBC News donosiła, że terroryści wykorzystali pomoc zinfiltrowa-nej Drug Enforcement Administration (DEA) - organizację zwalczającą przemyt narkotyków, by podłożyć bombę na pokładzie samolotu Pan Am 103. Wystarczy zamiast CIA-1 wstawić DEA i opowiadanie toczy się zgodnie z relacją raportu Interforu. (Interfor zaznacza, że CIA-1 współpracował

z DEA.) Opowiadanie zostało podchwycone przez dwa większe dzienniki, w tym „New York Times", a następnie „zbadane" i odrzucone przez DEA.

W odpowiedzi na artykuł „Time" - który nastąpił zaraz po artykule Byrona - Emerson zarzucił, że „Time" „ignorował świadectwa, które zaprzeczały jego wersji wypadków". Zarówno Emerson, jak i Byron znaleźli

275

spore dziury w opowiadaniu z „Time" - chociaż już wcześniej obydwaj poświęcili sporo czasu na atakowanie Aviva i Colemana.

Akcentowali również fakt, że opowiadanie w „Time" pojawiło się na tydzień przed rozpoczęciem procesu przeciwko Pan Am.

Częścią problemu było to, że artykuł w „Time" - zapewne dzięki nadgorliwemu Colemanowi - ukazał raport Interforu z pewnymi budzącymi wątpliwość założeniami, które stały się powodem do ataku ze strony jego oponentów.

Podejrzana, z racji pominięcia zarówno w artykułach Byrona jak i Emersona, była postać Monzara Al-Kassara. Przeoczenie to szczególnie rzucało się w oczy, ponieważ kluczowym punktem obydwu ataków była domniemana zagadka, w jaki sposób zamachowcy dowiedzieli się, którym lotem będzie wracał zespół

McKee. Według raportu Interforu informacja ta pochodziła od Al-Kassara.

Właśnie w czasie gdy Bush rozpoczął werbowanie Syrii do „koalicji sprzymierzonych" przeciw Irakowi, CIA przeniosła odpowiedzialność za ten atak bombowy z Syrii na Libię, w ten sposób zaprzepaszczając ponad dwuletnie prace wielu śledczych, od szkockiej policji do ABC

News, według których ślady wskazywały na Ah-meda Jibrila i jego patronów, Syrię i Iran. Przez wyłączenie Syrii, rzecz jasna, został

zanegowany scenariusz Interforu.

Pod koniec 1991 roku amerykański rząd wskazał dwóch agentów libijskiego wywiadu odpowiedzialnych za ów atak bombowy.

Wkrótce też gazety zaczęły przytaczać całą listę konsekwencji, które poniesie Libia, jeżeli wspomniana para nie zostanie przekazana w ręce amerykańskie. Prawne spory nie zostały rozwiązane aż do dziś.

W piątą rocznicę tragicznego zamachu, w grudniu 1993 roku, BBC

nadała film dokumentalny Silence over Lockerbie (Cisza nad Lockerbie). Film ten zdemaskował

kruchość dowodów CIA wskazujących na Libię, i chociaż nie wykluczając ostatecznie libijskiego współudziału, autor filmu przeniósł winę na początkowych podejrzanych, czyli na Syrię i Iran.

Istnieją też inne teorie spiskowe próbujące wyjaśnić masowy mord dokonany na pokładzie Pan Am 103. Jedna z nich, która pojawiła się we włoskiej prasie, wskazuje na okrytą niesławą neofaszystowską parama-sońską lożę P2. Ale żadna z owych teorii nie jest tak szczegółowa i zwarta jak raport Interforu. Nie oznacza to wcale, że Aviv miał rację. Oznacza to jedynie, że prawdziwa historia leży zagrzebana gdzieś na cmentarzu geopolityki.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Steven Emerson i Brian Duffy. The Fali of Pan Am 103. Nowy Jork: Putnam, 1990.

David Johnston. Lockerbie: The Tragedy of Flight 103. Nowy Jork: St Martin's Press, 1989.

Pan American Insurence Investigator's Report (kopia w posiadaniu autorów).

33. Masakra w Jonestown

Osiemnastego listopada 1978 roku na wykarczowanej polanie w gujańskiej dżungli, wielebny Jim Jones rozkazał 913 członkom swej sekty popełnić zbiorowe samobójstwo przez zażycie cyjanku, co też wszyscy kolejno uczynili. Mózgi wyznawców zostały wyprane przez ich duchowego przewodnika, Jima Jonesa, który nazwał wioskę w dżungli od własnego nazwiska, a swoich wyznawców traktował

praktycznie jak niewolników. Również Jones został znaleziony martwy. Albo on sam postrzelił się w głowę, albo uczynił to ktoś inny.

Przywód-

277

ca sekty, człowiek o kwadratowej szczęce, czarnych włosach i w okularach przeciwsłonecznych, wyglądający niczym agent tajnych służb pod wpływem narkotyków, w amerykańskiej „ikonografii zła"

zajmuje miejsce tuż obok Charlesa Mansona.

Ale czy Jones rzeczywiście był jedynie szaleńcem, jak to wielu Amerykanów tak często powtarza? Czy możliwe jest, by ponad dziewięciuset ludzi dobrowolnie odebrało sobie życie tylko dlatego, że on im tak nakazał? A może istnieje inna wersja wydarzeń?

Wkrótce po rzezi w Jonestown zaczęły krążyć dziwne pogłoski o przeprowadzanych tam eksperymentach nad kontrolą pracy mózgu.

Ponoć nawet aktach ludobójstwa oraz domniemanego udziału w tym CIA. Niektóre z nich utrzymywały nawet, że amerykański rząd mógł

zapobiec masakrze w Jonestown, ale nie uczynił nic w tym kierunku.

W najgorszych scenariuszach Jonestown jawi się jako prowadzony przez CIA obóz koncentracyjny, założony do przeprowadzenia testów w ramach tajnych rządowych badań nad przeprogramowaniem psychiki Amerykanów. Istnieją także sugestie o równoległych

„Jonestown" i że cała sprawa nie zakończyła się wraz z masową śmiercią w Gujanie.

Jim Jones urodził się 13 maja 1931 roku jako syn przedstawiciela Ku-Klux-Klanu w Lynn, w stanie Indiana. Jego matka, jak utrzymywał, była Indianką z plemienia Czirokezów. Ten fakt nigdy nie został

jednak zweryfikowany.

Jako dziecko był pozbawiony opieki. W latach młodzieńczych zafascynował się działalnością religijną. W 1963 roku założył

pierwszą własną kongregację w Indianapolis: The People's Tempie Fuli Gospel Church. Była to mieszana rasowo kongregacja, coś nie spotykanego w owych czasach w Indianie. Młody Jim Jones walczył

nieustępliwie na rzecz czarnych. Podobno doświadczał również wielu widzeń, słuchał rad istot poza-278

ziemskich, praktykował uzdrowicielstwo, a także miewał wizje o nuklearnym holocauście.

Przekonany, że kataklizm jest nieuchronny i że samo Indianapolis stanie się celem ataku, Jones szukał dalszych wskazówek. Znalazł je w styczniowym numerze magazynu „Esąuire" z 1962 roku. W nieco ironizującej formie autor artykułu wymieniał dziewięć najbezpieczniejszych miejsc na świecie, zapewniających ucieczkę przed stresami życia cywilizacyjnego i skutkiem ewentualnej nuklearnej konfrontacji. Jedną z tych ostoi była Brazylia. Od tego czasu rozpoczynają się też pogłoski o domniemanych powiązaniach Jonesa z CIA.

Według artykułu zamieszczonego w „San Jose Mercu-ry News", sąsiedzi Jonesa w Belo Horizonte w Brazylii (gdzie mieszkał przed przeniesieniem się do Rio de Janeiro) pamiętali jego oświadczenia, że jako były marynarz „otrzymuje miesięczną pensję od rządu Stanów Zjednoczonych". Pamiętają również, że Jones - który później utrzymywał, że był zmuszony sprzedawać swoje usługi jako fordanser, by utrzymać rodzinę - „żył całkiem wystawnie".

Jak zaznaczył jeden z sąsiadów: „Niektórzy ludzie uważali go za agenta CIA".

Odsuwając na bok wspomnienia sąsiadów, biograf Jonesa, Tim Reiterman, mówi, że podczas pobytu w Brazylii rodzina Jonesa „żyła skromnie". Po powrocie do Stanów, wkrótce po zabójstwie prezydenta Kennedyego, Jones oświadczył swym wyznawcom, że w Brazylii niósł pomoc sierotom. Znalazł też nową siedzibę swego kościoła początkowo w Ukiah, w Kalifornii, a następnie w San Francisco, gdzie zyskał uznanie miejscowych polityków jako osoba zbierająca fundusze na cele humanitarne.

Przed przybyciem do Brazylii zatrzymał się w Geor-getown w Gujanie. W czasie krótkotrwałego pobytu zdołał zdobyć rozgłos w lokalnych mediach dzięki publicznym oświadczeniom, w których oskarżał kościoły

279

o szerzenie komunizmu. Zdaniem Reitermana wyglądało to na dobrze skalkulowaną próbę „wyrobienia sobie opinii zaciekłego antykomunisty".

Piętnaście lat później będzie kusił swoje stadko w Jonestown obietnicami przeniesienia Świątyni Ludu z Gujany do Związku Radzieckiego. W książce z 1979 roku jeden z dawnych wyznawców Jonesa, Phil Kerns (którego matka i siostra zmarły w Jonestown), dopuszcza możliwość sowieckiego spisku kryjącego się za Jonestown.

Zdaniem Kernsa „Jones był marksistą. Utrzymywał liczne kontakty z przedstawicielami zarówno kubańskiego, jak i sowieckiego rządu".

Kerns zaznacza, że tuż przed masakrą dwóch członków Świątyni Ludu przekazało ambasadzie ZSRR 500 tysięcy dolarów w imieniu całej kolonii.

Przedstawiciele Jonesa odbywali częste spotkania z sowieckimi urzędnikami - tak często, że stali się obiektem powszechnych żartów w dyplomatycznych kołach Gujany. Jones oświadczył natomiast swym wyznawcom, że CIA „zinfiltrowała" Jonestown.

Jak zobaczymy później, inni także dopuszczali możliwość, że Jonestown była placówką CIA.

Kontakty Świątyni z Sowietami jednakże są całkiem możliwym źródłem zainteresowania się tą sprawą przez CIA. Reiterman, sceptycznie nastawiony do teorii spiskowej, zaznacza, że „całkiem prawdopodobna wydaje się obecność CIA w socjalistycznej Gujanie".

Z pewnością agenci byliby zainteresowani kontaktami przedstawicieli Świątyni z Sowietami. Dlaczego Jones był zainteresowany Sowietami? Musiał zdawać sobie sprawę, że jego marzenie o przeniesieniu Świątyni do ZSRR było jedynie nierealną mrzonką.

Szybko porzucił je, zastępując pomysłem o zbiorowym samobójstwie (wkrótce przed zbiorowym aktem samobójstwa jeden z wyznawców zapytał Jonesa, czy nie można zapomnieć o tym wszystkim i uciec do Sowietów? Jones odpowie-280

dział jednak, że nie ma takiej szansy). Gdyby jednak CIA miała swoich przedstawicieli w Świątyni albo gdyby cały ten ruch stanowił

część tajnej operacji CIA, wtedy wizyty członków sekty w ambasadzie ZSRR przybrałyby z pewnością bardziej pragmatyczny wymiar.

CIA pierwsza otrzymała informacje z Jonestown donoszące o zbiorowym samobójstwie. Samobójstwo zostało wywołane atakiem, wykonanym na polecenie Jonesa, na grupę pod przewodnictwem kongresmana Leo Ryana, który przybył do Gujany, by zbadać zarzuty dotyczące naruszania praw człowieka w Jonestown. Strzelanina rozegrała się na lotnisku w Port Kaituma, gdy grupa Ryana przygotowywała się do odlotu. W ataku tym Ryan został

zamordowany. Czterech innych członków grupy również poniosło śmierć. Kilku następnych zostało postrzelonych, w tym Reiterman, ówczesny reporter „San Francisco Examiner". Wśród rannych znajdował się również przedstawiciel amerykańskiej ambasady Richard Dwyer.

Ranny, owszem, ale „ambulatoryjnie".

Czy Dwyer wycofał się do Jonestown po ataku na lotnisku? Czy był

tam podczas masakry? Podobno w pewnym miejscu na taśmie z nagraniem realizowanym podczas tego masowego mordu słychać głos samego Jonesa: „Zabierzcie stąd Dwyera!" Reiterman sugeruje, że była to „pomyłka" ze strony Jonesa, ponieważ Dwyera tam nie było.

Jeżeli jednak tam przebywał, wtedy implikacje tego faktu przeszywają dreszczem.

Dwyer był bowiem agentem CIA.

Trzeba przyznać, że Dwyer ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza, jakoby był agentem CIA, choć został zidentyfikowany w 1968 roku na podstawie wydania Who is Who in the CIA. Miesiąc po masakrze

„San Mateo Times" (gazeta z rodzinnego miasta Leo Ryana) donosił, że „przedstawiciele Departamentu Stanu przyznali, iż agent CIA został wysłany do Jonestown kilka minut po ataku na 281

lotnisku". Dwyer zaprzeczył wiadomości podanej przez „Times", że był tam w owym czasie. Według

jednego z raportów następnym przystankiem Dwyera po Gujanie miała być Grenada.

Dwyer nie musiał być w Gujanie jedyną postacią powiązaną z amerykańskim wywiadem. Sam ambasador amerykański John Burkę w późniejszym czasie rozpoczął pracę dla „środowisk wywiadowczych" CIA. Richard McCoy, inny przedstawiciel amerykańskiej ambasady, przyznał się do swojej pracy na rzecz kontrwywiadu amerykańskich Sił Powietrznych. Socjalistyczny rząd w Gujanie stanowił od lat obiekt zainteresowania amerykańskiego wywiadu. Jeżeli trwały tam jakieś tajne operacje, nikt nie powinien być tym zdziwiony.

Doradca Leo Ryana, Joseph Holsinger, podzielał obawy, że CIA mogła przeprowadzać w Jonestown tajną operację o tak diabelskich zamiarach, że mogłaby ona nawet zaszokować najbardziej zatwardziałych w obwinianiu CIA. W 1980 roku Holsinger, który wcześniej odkrył obecność Dwyera w Jonestown, otrzymał list od profesora uniwersytetu w Berkeley. List ten, zatytułowany „Kolonia karna", wyszczególniał, że prowadzony przez CIA program nad kontrolą pracy mózgu MK-ULTRA nie został wcale wstrzymany w 1973 roku, jak to oficjalnie CIA oświadczyła przed Kongresem.

Został jedynie przeniesiony, jak głosił list, z publicznych szpitali i więzień do bardziej mrocznych zakamarków religijnych kultów.

Jonestown, jak wierzy Holsinger, było jednym z takich miejsc.

Na miejscu masakry znaleziono duże ilości środków psychoaktywnych, tj. wpływających na pracę mózgu. Larry Layton, zastępca Jonesa, który stał się jedyną osobą oskarżoną o zbrodnię, ze względu na udział w zespole uderzeniowym na lotnisku, i który w jakiś sposób wyszedł cało z masakry w Jonestown, opisywany był

jako „zapadający w posthipnotyczny trans". Zapadał

weń jeszcze głębiej pod „urokiem" Jonesa. Własny ojciec Laytona nazwał go „robotem".

Cioteczny brat Laytona, człowiek, który zorganizował dzierżawienie terenu Jonestown od gujańskiego rządu dla Jonesa, był podobno najemnikiem wspieranych przez CIA rebeliantów UNITA w Angoli.

Zdaniem Holsingera ojciec Laytona był biochemikiem pracującym nad bronią chemiczną dla amerykańskiej armii w Dugway Proving Ground w stanie Utah.

Sam Jones, domniemany sympatyk sowiecki, zajmował się kiedyś zbieraniem funduszy dla Richarda Nixo-na, a w tym samym czasie deklarował, iż jest reinkarnacją zarówno Jezusa, jak i Lenina.

Pojawił się też problem dotyczący liczby ciał zmarłych. W Jonestown dwa dni po akcie masowego samobójstwa liczba ofiar podskoczyła do około czterystu, prowadząc do spekulacji, że ci, którzy salwowali się ucieczką, zostali pojmani i zabici. Gujański koroner, Leslie Mootoo, zeznał, że w przypadku około siedmiuset zmarłych bardziej prawdopodobne wydaje się, że zostali zabici, niż popełnili dobrowolnie samobójstwo.

„Sądzę, że jest całkiem możliwe, że Jonestown stanowił eksperyment nad kontrolą pracy mózgu - oświadczył Holsinger w ramach odczytu w 1980 roku - że zespół Leo Ryana dotarł do prawdy, co groziło

jej ujawnieniem przed opinią publiczną, i że nasz rząd, a właściwie jego agenda - CIA, stwierdził, że należy uśmiercić dziewięciuset amerykańskich obywateli, by zachować tajemnicę całej operacji".

„Operacja", jeżeli takowa w ogóle istniała, mogła być kontynuowana jeszcze po masowym samobójstwie. Istniały próby zaludnienia Jonestown dominikańskimi i in-dochińskimi uchodźcami, przy wsparciu organizacji Bil-ly Grahama. W Jonestown żył sobowtór Jonesa nawet wtedy, gdy Jones wciąż prowadził swoją działalność.

Pozujący na rabina David Hill, ze swymi ośmiuset członkami kultu Nation of Israel (Naród Izraela), był na

tyle silny, by mógł zdobyć sobie przydomek „wicepremiera" w swych podróżach po Gujanie.

I jeszcze ostatnia dająca dużo do myślenia uwaga. Notatka, która podobno krążyła pomiędzy Jonesem a prawnikiem Świątyni Ludu, Markiem Lane'em (który ocalał z masakry), ukazuje, że obydwaj rozważali przeniesienie Grace'a Waldena do Jonestown. Walden był

kluczowym świadkiem w sprawie zabójstwa Martina Luthera Kinga, Jr., natomiast Lane reprezentował Jamesa Earla Raya, oskarżonego o zabójstwo Kinga. Gdy notatka ujrzała światło dzienne, Lane zaprzeczył, jakoby dyskutował przeniesienie Waldena. (Twierdził, że notatka była częścią „zagrywki ze strony wywiadu wojskowego w sprawie zabójstwa Kinga, rzekomo mającej na celu zdyskredytowanie jego oraz, pośrednio, Waldena.) Większość członków Świątyni Ludu stanowili czarni. Kierownictwo natomiast pozostawało zasadniczo w rękach białych. Joyce Shaw, dawny członek kultu, pewnego razu stwierdził, że opowieść o masowym morderstwie była przykrywką dla

„pewnych straszliwych eksperymentów rządowych, lub też czegoś chorego, lub też jakiejś chorej operacji o rasistowskim obliczu, w której na wzór niemiecki miano dokonać eksterminacji czarnych".

W 1980 roku Specjalna Komisja Stała Izby Reprezentantów ds.

Wywiadu ogłosiła, że nie „istnieją świadectwa" wskazujące na zaangażowanie CIA w Jonestown.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Phil Kern. People's Tempie, People's Tomb. Plainfield, Nowy Jork: Logos International, 1979.

Kilduff Marshall, Ron Javers. The Suicide Cult. Nowy Jork: Bantam Books, 1978.

Charles Krause. Guyana Massacre: The Eyewitness Account, Nowy Jork: Berkeley Books, 1978.

Rebecca Moore. A Sympathetic History of Jonestown. Lewiston, Nowy Jork: Edwin Mellon Press, 1985.

Tim Reiterman. Raven: The Untold Story of the Reverend Jim Jones and his People. Nowy Jork: E.P. Dutton, 1982.

Rozdział ten powstał przy wykorzystaniu materiałów zebranych przez Johna Judge'a.

34. AIDS: dżuma Pentagonu?

Dziewiątego lipca 1969 na posiedzeniu jednej z podkomisji Izby Reprezentantów, dotyczącym spraw wojskowych, pojawił się dr Donald MacArthur, wysokiej rangi urzędnik departamentu badań biologicznych, ubiegający się o wyasygnowanie pieniędzy na przeprowadzenie moralnie wątpliwego przedsięwzięcia.

„W ciągu pięciu do dziesięciu lat - przewidywał -możliwe będzie wyprodukowanie mikroorganizmu zakaźnego, który pod pewnymi istotnymi aspektami będzie różnił się od wszystkich dotychczas znanych organizmów chorobotwórczych. Co najważniejsze -

kontynuował, przechodząc do przerażającego wniosku - może okazać się szkodliwy dla immunologicznych i leczniczych procesów, od których zależy utrzymanie naszego względnego bezpieczeństwa przed chorobami zakaźnymi".

Nowy wirus, którego dr MacArthur tak szczerze pragnął wyhodować w swoim laboratorium, niszczyłby system odpornościowy. „Dobry"

doktor miał w ręku najbardziej szablonowe uzasadnienie dla swego odrażającego planu: „Gdyby wróg miał go wytworzyć, bez wątpienia znaleźlibyśmy się w potencjalnie gorszej pozycji w ważnej dziedzinie technologii wojskowej".

Widocznie ta argumentacja poskutkowała, skoro szalony doktor otrzymał upragnione fundusze z kieszeni podatników. W latach 1977-1978, pod koniec okresu wyznaczonego przez dr. MacArthura, pojawiły się w Afryce pierwsze przypadki Nabytego Zespołu Niewydolności Immunologicznej (AIDS).

Ten dziwny zbieg okoliczności bez wątpienia prowokuje do spekulacji. Czy AIDS jest szczytem możliwości broni biologicznej?

Kwestia ta niesie ze sobą tyle zagadek, że zabójstwo Johna Kennedy'ego zdaje się być przy niej jak sprawa w jakimś podrzędnym sądzie za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu.

Amerykański kongresman, Theodore Weiss - wywodzący się z nowojorskiego okręgu wyborczego o dużej liczbie gejów - w 1983

roku spekulował, że „biorąc pod uwagę nastroje szerokich kręgów społecznych odnośnie do homoseksualistów i homoseksualizmu, należy poważnie przyjrzeć się zagrożeniu, jakie niesie potencjalne użycie broni biologicznej".

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na rozkład zachorowań na AIDS. Niektóre populacje zostały dotknięte szczególnie: geje, mieszkańcy Afryki, narkomani. Czy to możliwe, aby grupy te zostały świadomie wybrane za cel w jakimś biologicznym laboratorium sterowanym przez Pentagon?

Dowody na poparcie tej tezy są, w najlepszym wypadku, szczątkowe.

Ale też i taka sama argumentacja towarzyszy „oficjalnym"

wyjaśnieniom przyczyn rozprzestrzeniania się AIDS wśród ludzi.

Stwierdzenie, że w jakiś nie wyjaśniony sposób rozniosły go małpy, opiera się raczej na kruchym fundamencie.

Powszechnie przyjmuje się, że przyczyną AIDS jest wirus oznaczony symbolem HIV (ang. wirus niedoboru immunologicznego człowieka), który został „odkryty" w 1984 przez dr. Roberta Galio i, mniej więcej równolegle, przez zespół francuskich naukowców (francuscy lekarze oskarżają Galio, najprawdopodobniej nie bez racji, że ten ukradł ich wyniki badań - ale to historia na kolejną książkę). Jedno nie ulega kwestii: odpowiedź na pytanie, z którego zakątka ekosystemu przybył

wirus, wciąż pozostaje otwarta.

Galio i inni zwracają uwagę na podobieństwa pomiędzy wirusem STLY-III przenoszonym przez małpy

a wirusem HIV. Dochodzą do przekonania, że w pewnym momencie Cercopithecus aethiops przenoszący ten wirus przekazał go jakiemuś mieszkańcowi Afryki. W ciągu kilku lat tysiące ludzi zmarło w wyniku zakażenia się wirusem przez transfuzję krwi lub też uprawianie seksu.

Również w hipotezie, w której AIDS występuje jako broń biologiczna, występują rażące sprzeczności. Załóżmy, że AIDS jest faktycznie bombą biologiczną mającą na celu usunięcie z powierzchni ziemi bezużytecznych zjadaczy chleba. Wojskowi i ich koleżkowie od polityki i ekonomii już nieraz robili brzydkie numery, ale kto przy zdrowych zmysłach uwalniałby szczególnie niebezpiecznego, prowadzącego do nieuchronnej śmierci wirusa wśród amerykańskiej społeczności, której sam jest członkiem?

Krótka historia programu rozwoju amerykańskiej broni biologicznej pojawia się w 5. rozdziale tej książki. Zawiera ona zarejestrowane przykłady wojskowych ataków na miasta amerykańskie, stosowania różnych wirusów i toksyn, jednak nie tak zabójczych jak HIV.

Niemniej istnieją godne odnotowania przykłady bezwzględności, które w każdej chwili można sprawdzić. Weźmy na przykład szatański pomysł dotyczący badań nad syfilisem w Tuskegee. Publiczna Służba Zdrowia Stanów Zjednoczonych przeprowadzała badania na czterystu czarnych zarażonych syfilisem. Odmówiono im nie tylko leczenia, ale w ogóle jakiejkolwiek informacji jakoby mieli oni tę chorobę. Trwało to przez czterdzieści lat.

Nieco później, w 1931 roku w Portoryko przeprowadzono mówiący sam za siebie eksperyment związany z chorobą nowotworową.

Instytut Rockefellera świadomie zainfekował rakiem wielu Portorykańczyków, z których trzynastu zmarło. Główny inspirator tego przedsięwzięcia, Cornelius Rhoades, tak się usprawiedliwia:

„Portorykańczycy to najbrudniejsza, najbardziej leniwa, zdegenerowana i złodziejska rasa ludzka, jaka kiedykol-287

wiek zamieszkiwała tę półkulę... Robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby wesprzeć proces eksterminacji, zabijając ośmiu i wszczepiając raka kilkunastu innym... Wszyscy lekarze czerpią przyjemność z pozbycia się oraz torturowania nie chcianych pacjentów".

Można rzec z przymrużeniem oka, cóż za wspaniałe polityczne poglądy miał ten dr Rhoades. Nikt go nawet nie ścigał. Potraktowano go jak chorego umysłowo. Rząd amerykański chyba się jednak z tą decyzją nie zgodził. Rhoadesowi powierzono później prowadzenie dwóch dużych projektów badawczych nad bronią chemiczną w latach czterdziestych, zapewniono mu miejsce w Komisji Energii Atomowej i odznaczono medalem zasłużonych.

Pomimo wprowadzonego w 1972 roku prawnego zakazu prowadzenia badań nad bronią biologiczną, „Department of Loopholes"

(Departament Luk Prawnych) w Pentagonie podjął natychmiastowe działania i badania kontynuowano. Jednym z zarazków, który intryguje wojskowych badaczy jest odmiana bakterii brucella. Infekcji towarzyszą takie objawy jak bóle głowy i gorączka, złe samopoczucie, mięśniobóle, bóle gardła i choroby układu limfatycznego - czyli to, co zaobserwowano przy kompleksie AIDS-pochodnym, poprzedniku w pełni rozwiniętej choroby AIDS.

Pierwszy zarzut dotyczący związku AIDS z bronią biologiczną został

opublikowany w gazecie „Patriot" ukazującej się w Delhi. W

doniesieniu z 4 lipca 1984 r. cytowano fragmenty z oficjalnej, amerykańskiej publikacji dotyczącej badań wojskowych o

„naturalnych i sztucznych wpływach na system immunologiczny człowieka".

Gazeta indyjska donosiła, że naukowcy z Fort Detrick - siedziby Oddziału Narodowego Instytutu Badawczego Chorób Nowotworowych, choć do 1969 znanego jako Wojskowe Laboratorium Broni Biologicznej - wyruszyli do najbardziej mrocznej części Afryki w poszukiwaniu

„silnego wirusa, jakiego nie można znaleźć w Europie ani w Azji".

Informacje uzyskane w czasie tej wyprawy „zostały zanalizowane w Fort Detrick, a wynikiem było wyodrębnienie wirusa, który wywołuje AIDS".

Rząd amerykański szybko nazwał ten artykuł sowiecką dezinformacją, co jednak nie przeszkodziło późniejszym publikacjom na ten temat w sowieckich mediach. Opublikowany w „Prawdzie" rysunek przedstawiający lekarza stojącego na stercie trupów, wręczającego generałowi fiolkę z napisem wirus AIDS, wywołał jęk protestu ze strony ambasady amerykańskiej. Ale dopiero gdy jedna z głównych brytyjskich gazet zamieściła tę historię na swoich łamach, władze amerykańskie zaczęły reagować, a ich obiekcje odbiły się niewolniczym echem w zawsze gotowych do działania mediach amerykańskich.

W 1986 roku Jakob i Lill Segal, dwoje wschodnio-niemieckich naukowców pochodzenia francuskiego, wydali broszurę AIDS: USA Home-Made Evil (AIDS: Amerykańskie zło domowej roboty).

Broszura, bez podanego wydawcy, krążyła swobodnie po anglojęzycznych regionach Afryki. Niekonwencjonalny sposób publikacji, ale argumenty użyte przez państwa Segal stworzyły podstawy do późniejszej dyskusji o teorii AIDS jako broni biologicznej.

HIV, jak twierdzili zagadkowi państwo Segal, to uzyskana przez inżynierów genetycznych hybryda wirusa visan (wywołującego chorobę mózgu pochodzenia owczego) i wirusa zwanego HTLV-I (HIV początkowo był nazywany HTLV-III), który wywołuje białaczkę.

Państwo Segal wskazali również Fort Detrick jako laboratorium, które wynalazło tego wirusa. Nigdy nie było żadnego niepodważalnego dowodu na to, że HIV został wyodrębniony w Fort Detrick - czy gdziekolwiek indziej - ale nie może nikogo urazić pytanie, dlaczego Narodowy Instytut Zdrowia poprosił wojskowych badaczy w Fort Detrick, a nie cywilów tam zatrudnionych, o pomoc w znalezieniu lekarstwa na AIDS.

289

W lutym 1987 roku pułkownik David Huxsoll, nie mogąc powstrzymać się od drwiny w czasie dyskusji na temat produkcji AIDS jako broni biologicznej, dał światu intrygującą informację:

„Badania w laboratoriach wojskowych pokazały, że wirus AIDS

będzie wyjątkowo słabym elementem broni biologicznej".

Jakie badania? Przedstawiciel Pentagonu do spraw kontaktów z opinią publiczną twierdzi, że armia chce położyć kres obecności AIDS w życiu ludzi, a nie ich życiu. Huxsoll zaprzeczył potem, jakoby coś takiego powiedział. Autor tej historii był tym, który spisał tamte słowa.

Pierwsze przypadki AIDS w Stanach Zjednoczonych - ograniczające się wtedy prawie wyłącznie do populacji gejów - zbiegły się z zaciekłymi atakami reaganistów i środowisk towarzyszących przeciwko homoseksualistom. Teoria AIDS jako broni biologicznej zakłada, że homoseksualiści zostali wyodrębnieni jako grupa do zagłady czy, co najmniej, do pełnienia roli kozła ofiarnego. Ale w jaki sposób?

W 1978 roku ponad tysiąc poligamicznych dorosłych homoseksualistów zostało eksperymentalnie zaszczepionych przeciwko zapaleniu wątroby typu B, dzięki uprzejmości Narodowego Instytutu Zdrowia i Centrów Kontroli Chorób. W ciągu sześciu lat u 64 procent tych mężczyzn wykryto AIDS.

Zbieg okoliczności jest oczywiście możliwy, nawet prawdopodobny w tym przypadku. Według panującego poglądu na sposób przenoszenia AIDS, poligamiczni homoseksualiści są i tak najbardziej podatni na tę chorobę.

W Afryce przeprowadzono jeszcze jeden program szczepień, tym razem przeciwko ospie. Autorem tego przedsięwzięcia była Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Regiony, w których przeprowadzała swój program, okazały się potem najbardziej dotkniętymi przez AIDS

częściami Afryki. I znów, choć dość wiarygodnie brzmi tłumaczenie tego zbiegiem okoliczności, to jednak

290

program szczepień przeciwko ospie budzi wśród zwolenników spiskowej teorii AIDS znaczny niepokój. Ale trudno zakwestionować, w znacznej mierze udaną, podjętą przez WHO próbę zwalczenia ospy zbierającej dużo większe żniwo niż AIDS.

Na temat zastosowania AIDS jako broni biologicznej istnieją różne teorie. Jedne opierają się na twierdzeniu, że sam wirus HIV nie powoduje AIDS. Inne upatrują winowajców w dioksynach (użytych przez armię w Wietnamie) i wirusie dengi (użytym przez CIA na Kubie), jak również mutacyjnej formie syfilisu. Każde z nich było prostsze w operowaniu jako broń, niż otrzymany w wyniku syntezy wirus.

Pewne jest jedno, że pochodzenie AIDS jest kwestią, co do której ani oficjalnym, ani spiskowym teoriom nie udaje się dać szczególnie satysfakcjonującej odpowiedzi.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

G.J. Krupney. AIDS: Act of God or the Pentagon? Steamshovel Press nr 4 (wiosna 1992)

Robert Lederer. Chemical-Biological Warfare, Medical Experiments and Population Control. „Covert Actoin Information Bulletin", nr 28

(lato 1987).

Nathaniel S. Lehrman. Is AIDS Non-Infectious? The Possibility and Its CBW Implications. „Covert Action Information Bulletin", nr 28

(lato 1987).

Jon Rappoport. AIDS Inc.: Scandal of the Century. Foster City, C.: Humań Energy Press, 1988.

35. Powrót hitlerowskiego szpiega

Upłyną! zaledwie tydzień od zakończenia II wojny światowej, kiedy niedaleko Waszyngtonu wylądował amerykański samolot wojskowy DC-3 transportujący ściśle tajny ładunek z Niemiec. Z samolotu wyszedł, przebrany za amerykańskiego generała, osławiony Rein-hard Gehlen, as hitlerowskiego wywiadu.

Niepozorna postura - 172 cm wzrostu, 60 kilogramów wagi - kryła osobę o strategicznym znaczeniu dla amerykańskich oficjeli, którzy przywitali go z otwartymi ramionami. Jako szef Armii Wschód, Gehlen był najważniejszym oficerem Hitlera na froncie wschodnim.

Kierował rozległą siatką nazistowskich szpiegów działających na szkodę ZSRR. W ten sposób nowe czarne charaktery przyłączyły się do zimnej wojny.

Mimo swoich czterdziestu trzech lat i faktu, że Niemcy leżały w gruzach, najlepsze czasy Gehlen wciąż miał przed sobą. Przybył, aby złożyć propozycję, której amerykańskie elity wojskowe i rządowe nie mogły odrzucić. Niemiecki superszpieg miał włączyć swój tajny związek złożony z faszystowskich oficerów, ukrywających się w podziemiu sympatyków faszyzmu, zbiegłych zbrodniarzy wojennych, a także posiadane informacje o sowieckich tajemnicach do służby amerykańskiego rządu.

Gehlen przetrwał jedynie dzięki swej bystrości i ona też sprawiła, że gdy tylko upadek nazistowskich

miec okazał się przesądzony, zakopał w Alpach austriackich akta z posiedzeń plenarnych swojej organizacji dotyczących ZSRR. Gehlen wiedział, że walka z komunizmem zastąpi wojnę z faszystowskimi Niemcami, jako dominujący, wojskowy i polityczny cel kapitalistycznego Zachodu. „Moim zdaniem - pisał w swoich pamiętnikach - będzie w Europie miejsce nawet dla Niemiec uzbrojonych do obrony przed komunizmem. Dlatego też musimy skierować nasz wzrok ku potęgom Zachodu i wyznaczyć sobie dwa cele: pomagać bronić się przed ekspansją komunizmu i odbudować oraz zjednoczyć utracone terytoria niemieckie". (Najwidoczniej karta przetargowa, jaką dysponował Gehlen, była tak mocna, że jego gospodarze byli skłonni nie zauważać wciąż aktualnych faszystowskich idei generała.)

Wkrótce po tym, jak Niemcy poddały się aliantom, Gehlen opuścił

swoją alpejską norę i w zuchwały sposób zwrócił się do władz amerykańskich.

„Jestem głównodowodzącym Grupy Armii Wschód w kwaterze głównej wojsk niemieckich" - oświadczył w przygotowanej przez siebie mowie. „Mam do przekazania informacje o najwyższym znaczeniu dla waszego rządu".

„Oni też mają" - odciął się kapitan i wpakował aroganckiego, nieokrzesanego generała do obozu w Salzburgu, razem z resztą nazistowskich więźniów. Ale Gehlen nie dusił się tam długo. W ciągu miesiąca, po żądaniach ZSRR wydania Gehlena i jego akt, hitlerowskiego superszpiega zaczęły odwiedzać kolejne amerykańskie osobistości.

W Fort Hunt niedaleko Waszyngtonu, gdzie podoficer i kilku ordynansów w białych marynarkach dogadzało jego potrzebom, Gehlen konferował z doradcą Tru-mana do spraw bezpieczeństwa narodowego, zastępami generałów wywiadu i Allenem Dullesem, gigantem wojennych struktur wywiadowczych Ameryki, Biura Służb Strategicznych (OSS). Później Dulles przejął ster CIA.

Po rocznym pobycie w Waszyngtonie Gehlen powrócił do swojej dawnej ojczyzny - nie jako więzień, ale jako wpływowy agent w amerykańskiej wojnie nerwów z Sowietami. Przejął dowództwo w swojej starej organizacji i stał się dla Amerykanów niezwykle ważnym źródłem informacji o ZSRR. Jego wpływ na politykę amerykańską będzie znaczny i, jak w przysłowiowym pakcie z diabłem, będą też tego reperkusje. Jego przesadzone raporty o sile militarnej Rosji spowodują eskalację zimnej wojny do niebezpiecznych granic.

Sposób, w jaki amerykański rząd doszedł do współpracy z Gehlenem i setkami innych wysoko postawionych nazistów, jest rzadko poruszanym rozdziałem amerykańskiej historii. Przedstawiciele amerykańskiej administracji, którzy zagrożenie zdobycia przez ZSRR

wpływów w powojennej Europie i na całym świecie postrzegali w sposób wręcz paranoidalny, znajdowali w rekrutowanych faszystowskich naukowcach i oficerach bratnie dusze. Przecież faszyści w czasach nazistowskich Niemiec też gorliwie przeciwstawiali się komunizmowi. Powołując się na wymogi zimnej wojny, Dulles rozwiał niepokoje towarzyszące wynajęciu Gehlena:

„On jest po naszej stronie i tylko to się liczy".

Nawet gdy wojsko amerykańskie polowało na faszystowskich zbrodniarzy wojennych, inne struktury państwa amerykańskiego po cichu zatrudniały tych samych zbiegów. Paperclip (spinacz) to kryptonim planu stworzonego przez Departament Wojny, którego celem było potajemne sprowadzenie do USA faszystowskich naukowców przy użyciu oczyszczonych i poprawionych „danych", za pomocą których przemycano Niemców przez kontrolę imigracyjną.

Wielu z nich uczestniczyło w czasie wojny w koszmarnych eksperymentach przeprowadzanych na więźniach w Dachau i nadzorowało niewolniczą pracę w innych obozach koncentracyjnych.

Na początku lat osiemdziesiątych, amerykański Departament Sprawiedliwości zidentyfikował wielu nazistowskich weteranów, którzy ciągle mieszkali w Ameryce.

297

Powołana przez Trumana Rada Bezpieczeństwa Narodowego wydała tajne dyrektywy sankcjonujące wykorzystywanie nazistów do współpracy. Ten ślad na piśmie był przyczynkiem do zbiorowego tuszowania sprawy, dlatego też historia powiązań Amerykanów z nazistami pozostaje częściowo nie wyjaśniona. Aparat wywiadowczy Rzeszy może nie ocalił mózgu Hitlera, o co posądzano go w spiskowej teorii rozpowszechnianej przez kino, ale znalazł za to nowego protektora, prze-transplantowany na grunt amerykańskich agencji szpiegowskich i wojskowych. Zakrawa na kpinę ostrzeżenie prezydenta Trumana, gdy rozwiązywał on OSS, przed zakładaniem agencji „na wzór gestapo", podczas gdy jego administracja stawiała kropkę nad „i" do przygotowanego planu działania dla byłych i niekoniecznie tak bardzo byłych faszystów, i dla tych, którzy ich zdradzili.

Wśród okrytych niesławą faszystowskich zbiegów, po cichu przeproszonych i zatrudnionych przez amerykański rząd i służby wywiadowcze, był „kat Lyonu", SS-man Klaus Barbie. Barbie po wojnie współpracował z Gehlenem i przez pewien czas mieszkał

nawet w USA.

Gehlen, mimo złożonej obietnicy i przyjętej zasady, iż nie będzie rekrutował byłych gestapowców i SS-ma-nów, już na samym początku złamał oficjalnie dane słowo i wynajął przynajmniej sześciu członków SS. Ale amerykańskie elity władzy nie chciały tego widzieć.

Dwóch spośród jego niesławnych współpracowników, dr Franz Alfred Six i Emil Augsburg, okazało się weteranami SS zamieszanymi w masową eksterminację Żydów. Obaj byli zbiegłymi przestępcami wojennymi.

Adolf Eichmann opisał Franza Sixa jako „nadgorliwca" w kwestii ludobójstwa Żydów. „Fizyczna eliminacja Żydów wschodnich pozbawiłaby tę rasę ich biologicznych zasobów" - oznajmił Six na konferencji dotyczącej tak zwanej kwestii żydowskiej. W praktyce zrealizował swój plan pod Smoleńskiem, gdzie jego oddział

zamordował z zimną krwią około dwustu ludzi, wśród nich 298

„trzydziestu ośmiu żydowskich intelektualistów, którzy próbowali siać niepokój i niezadowolenie w nowo utworzonym getcie w Smoleńsku", donosił do kwatery głównej.

Emil Augsburg, oficer sztabowy szefa SS Himmlera, również dowodził szwadronem śmierci w Rosji. Według danych jego nazistowskiej partii, osiągnął „niezwykłe wyniki w zadaniach specjalnych", co było SS-owskim eufemizmem masowych mordów Żydów. Specjalność Augsburga - nadzorowanie mordów na tyłach wroga - znajdowała wielokrotne zastosowanie w działaniach Gehlena.

Na potrzeby organizacji Gehlena zarówno Six, jak i Augsburg reaktywowali swoje siatki szpiegowskie w ZSRR i zatrudnili bezrobotnych weteranów wywiadu niemieckiego, z których wielu było takimi samymi zbiegami jak oni. Gehlen musiał zdawać sobie sprawę, że nieoficjalna polityka sprzymierzonych przyzwalała na zatrudnianie przestępców wojennych: Augsburg jednocześnie współpracował z kilkoma amerykańskimi agencjami wywiadowczymi i dla tajnej grupy rządu francuskiego, równolegle cały czas służąc w prywatnej siatce byłych oficerów SS.

Gdy Służby Kontrwywiadu Armii Amerykańskiej (CIC) dopadły Sixa, zarzucono mu zbrodnie wojenne i dostał dwudziestoletni wyrok.

(Augsburg miał więcej szczęścia: kontrwywiad nie aresztował go, lecz zatrudnił.) Po spędzeniu zaledwie czterech lat w więzieniu, Six wyszedł na podstawie amnestii i z amerykańskim pozwoleniem na przyłączenie się do organizacji Gehlena, jako cenny punkt w systemie bezpieczeństwa Zachodu.

Grupa Gehlena była nie tylko głównym elementem wchłaniającym hitlerowskie elity szpiegowskie, ale również „akuszerką" przy narodzinach CIA. W ciągu pierwszych lat powojennych, wszystkie antysowieckie zasoby Agencji w Europie Wschodniej były pod wyłącznym zarządem Gehlena. Zdarzało się, że jego raporty były przepisywane na firmowym papierze CIA i przekazywa-299

ne Trumanowi. Gehlen mial również duży wpływ na wywiad i strategię NATO. Szacunki mówią, że ten superszpieg dostarczał

NATO 70 procent informacji na temat ZSRR, Europy Wschodniej i Europy w ogóle.

W rezultacie system obrony przed ZSRR był skrajnie uzależniony od informacji uzyskiwanych przez byłego faszystę - do tego często zafałszowanych.

Christopher Simpson w swojej książce Blowback, przedstawiającej trzeźwe spojrzenie na kwestię rekrutowania nazistów przez Amerykanów, zauważa, że alarmujące raporty Gehlena przyczyniły się do wzrostu napięcia między USA a ZSRR w czasach zimnej wojny. „Gehlen dostarczał wywiadowi wojskowemu, a potem CIA obszernych raportów, z których wiele służyło za argumenty do zwiększania budżetu wojska i nasilaniu wrogości między USA i ZSRR" - pisze Simpson.

Raporty Gehlena wyolbrzymiające zagrożenie atakiem sowieckim -

gdy tak naprawdę Rosjanie wciąż lizali swoje wojenne rany - kilka razy omalże nie doprowadziły do wybuchu wojny. Według biografa Gehlena, E. H. Cookridge'a i innych, w 1948 roku Gehlen prawie przekonał USA, że Sowieci szykują się do napaści na Zachód.

Doradzał, że roztropne byłoby zaatakować jako pierwszy. Potem, w latach pięćdziesiątych, jego mylne stwierdzenia, że Rosjanie wyprzedzili Amerykę w ilości posiadanego arsenału militarnego, napędzały plotki o tak zwanej przepaści militarnej. Raporty Gehlena pomogły w doprowadzeniu antykomunistycznych nastrojów do stanu wrzenia.

Były pracownik CIA, Victor Marchetti, powiedział Simpsonowi, że w CIA uwielbiali Gehlena, bo dostarczał im tego, co chcieli usłyszeć.

„Ciągle używaliśmy jego informacji i dostarczaliśmy ich każdemu: Pentagonowi, Białemu Domowi i prasie. Im też bardzo się podobały.

Ale swoją drogą były one mocno naciągane i przyniosły z pewnością wiele szkody temu krajowi".

300

Jak na ironię, organizacja Gehlena zniszczyła również antysowiecką robotę wykonaną przez CIA. Podziemne grupy organizacji były tak najeżone sowieckimi podwójnymi agentami, że zachodni wywiad skompromitował się na lata. John Loftus, uprzednio główny prokurator w dziale ścigania faszystów Departamentu Sprawiedliwości, tak podsumował komunistyczną infiltrację grup antywschodnich: „Pokazuje ona, jak wywiadowi ZSRR udało się utrzymać komunizm na powierzchni przez ostatnie siedemdziesiąt lat".

Świadomie, lub nie, Gehlen podkopał samo „bezpieczeństwo narodowe", na które powoływano się przy jego rekrutacji.

Prowadzi to do ciekawej, choć trudnej do poparcia, tezy. Niektórzy badacze skłaniają się do poglądu, że hitlerowski superszpieg miał plan B, ukryty motyw poza własnym instynktem przetrwania i antykomunistyczną zaciekłością. Badacz spisków, Carl Oglesby, twierdzi, że powojenna organizacja Gehlena działała jako przykrywka dla Odessy, międzynarodowego podziemia założonego przez Martina Bormana w celu zachowania pokonanej faszystowskiej Rzeszy.

Oglesby nazywa grupę Gehlena „najbardziej śmiałą i najważniejszą częścią całego przedsięwzięcia o nazwie Odessa". Pułkownik William Corson, historyk zajmujący się wywiadem wojskowym (i weteran szpiegostwa), potwierdza tę opinię.

Oglesby twierdzi, że grupa Gehlena służyła jako przystań dla ukrywających się członków Odessy, umieszczając ich na liście płac wywiadu amerykańskiego - co było iście mistrzowską zagrywką.

Kilkunastu pracowników Gehlena rzeczywiście było członkami Odessy.

Dowody Oglesby'ego są interesujące, jeśli nie całkowicie przekonujące. Odtajnione dokumenty CIA z 1970 roku mówią, że w czasie swego pobytu w amerykańskim więzieniu wojskowym w Wiesbaden „Gehlen starał się

301

i otrzymał zgodę" na zawarcie układu z Amerykanami od admirała Karla Dónitza, mianowanego przez Hitlera na swego następcę.

„Niemiecki system dowodzenia ciągle działał i aprobował to, co Gehlen robił z Amerykanami" - konkluduje Oglesby.

Kwestia, czy organizacja Gehlena służyła jedynie do odwrócenia uwagi, by umożliwić przetrwanie faszystowskiego imperium, jest kwestią otwartą. Jednak Gehlenowi udało się osiągnąć cel w postaci

oderwania się od wywiadu amerykańskiego i służenia wykluwającemu się rządowi zachodnioniemieckiemu. Organizacja Gehlena wciąż działa, teraz pod nazwą Federalnych Niemieckich Służb Wywiadowczych.

Również w Ameryce ciągle żywy jest spadek po Organizacji.

Czterdziestoletnie budowanie systemu obronnego pomogło przekształcić Amerykę w kraj o największym długu narodowym.

Ciągłe bohaterskie wyczyny „chrześniaka" Gehlena, CIA, na polu morderstw politycznych, propagandy i tajnych operacji mają dług wobec hitlerowskiego superszpiega i ludzi, którzy go zatrudnili.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

E.H. Crookridge. Geheln, Spy of the Century. Nowy Jork: Random House, 1971.

Reinhard Gehlen. The Seruice. Nowy Jork: World, 1972.

Higham Charles. American Swastika. Nowy Jork: Doubleday, 1985.

John Loftus. The Belarus Secret. Nowy Jork: Paragon House, 1989.

Carl Oglesby. Reinhard Gehlen: The Secret Treaty of Fort Hunt, Covert

Action Information Bulletin, nr 35 (koniec roku 1990).

Christopher Simpson. Blowback. Nowy Jork, Weidenfeld & Nicolson, 1988.

Charles Whiting. Gehlen: Germany's Master Spy. Nowy Jork: Ballantine Books, 1972.

36. Nietykalni

Affidavit (oświadczenie złożone pod przysięgą) Daniela Sheehana to prawdziwy dokument swojej epoki. Natchniona, pozbawiona słabych momentów, bardzo obrazowa relacja - oczywiście przy zachowaniu odpowiednich proporcji - ponieważ dokument ten jest może bardziej dziełem sztuki niż dokumentem sądowym. Historia przypominająca opowieści snute przez Francisa Forda Coppolę, pełna tajemnic, podstępu i wszechobecnego niebezpieczeństwa.

Oświadczenie to zostało złożone w grudniu 1986 roku przez długoletniego prawnika, Daniela Sheehana - zaangażowanego w sprawę Indian osaczonych w Woun-ded Knee.

W latach osiemdziesiątych Sheehan pełnił funkcję głównego doradcy dla waszyngtońskiego Christie Institute, „interdyscyplinarnej firmy prawniczej zajmującej się prawodawstwem w sprawach publicznych i stanowiącej jednocześnie ośrodek polityki społecznej".

Korzystając ze statusu zezwalającego na stosowanie, najogólniej mówiąc, prowokacji i przekupstwa - określanego w skrócie RICO, a wykorzystywanego zwykle przez prokuratorów do aresztowania przywódców tłumu, Sheehan próbował wydobyć z głębokiej konspiracji zorganizowaną grupę szpiegów, najemników, handlarzy bronią i ich stronników z Białego Domu. Miało tak się stać dzięki wplątaniu ich w atak bombowy w La Penca w Kostaryce, przeprowadzony w czasie konferencji prasowej Edena Pastory, jednego z przywódców contras.

Pastora chciał zerwać ze sposobem prowadzenia anty-sandinistowskiej rebelii, w której na wszystkim trzymała rękę CIA.

Zwołał konferencję, aby wyjaśnić przyczyny swojego odejścia od pozostałych grup contras, które były wierniejsze CIA niż samej sprawie. Gdy tylko Pastora zaczął mówić - nastąpiło wielkie buuml 303

Klientami Christie było dwóch dziennikarzy, którzy odnieśli rany w tym wybuchu. Korzystając w znacznej mierze z instytucji RICO, przy założeniu, że udałoby się połączyć ten atak bombowy z aktywistami tajnej grupy, Sheehan mógłby obalić cały gabinet cieni.

Affidavit ukazał się mniej więcej w tym samym czasie, gdy wybuchł

skandal Iran-Contras. Gdy tylko skandal zaczął zataczać szersze kręgi, okazało się, że nazwiska kilku kluczowych jego postaci figurują także na liście dwudziestu dziewięciu osób pozwanych przez Christie Institute. Spiskowy świat Sheehana zapełniają takie osoby jak: Richard Secord, OHver North, John Hull, Theo-dore Shackley, Thomas Clines, Albert Hakim, John Singlaub i Edwin Wilson -

wszyscy z nich to agenci CIA, wojskowi, dostawcy broni albo jedno i drugie.

Affidavit Sheehana, sporządzony na bazie prowadzonego przez niego dochodzenia obejmującego siedemdziesiąt źródeł informacji, opowiada historię łańcuchowego przedsięwzięcia: broń za narkotyki, narkotyki za broń, broń za pieniądze. Swoim zasięgiem obejmowało ono obszar rozciągający się od krańców południowo-wschodniej Azji (trzy dekady temu) po Amerykę Środkową (w latach osiemdziesiątych). Historia rozpoczyna się około 1959 roku, na tle burzliwej atmosfery w stylu Ojca Chrzestnego II, w ogarniętej rewolucją socjalistyczną Hawanie. Spiski rozwijają się błyskawicznie.

Richard Nixon spotyka się ze specjalistą do spraw bezpieczeństwa, jednocześnie jego prywatnym szpiegiem, Robertem Maheu, w celu przedyskutowania środków, jakie można przedsięwziąć w celu obalenia nowego rządu kubańskiego.

Maheu kontaktuje się w tej sprawie z elitą świata podziemnego: Johnem Rosellim, Samem Giancaną i Santosem Trafficante, którzy kompletują grupę morderców w celu „uzupełnienia" supertajnej Operacji 40 prowadzonej przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego i mającej na celu obalenie Castro.

304

Uczestnicy Operacji 40 trudnią się również przemytem narkotyków z Kuby do USA. Wykorzystanie mafii prowadzi do pewnych

„problemów ze sprawowaniem kontroli", ale operacja trwa.

Kilka lat później dowództwo Operacji 40 przenosi się na nowy front, do Laosu. Shackley, zwany w CIA „Białym duchem" i jego główny oficer Thomas Clines formują nowy szwadron śmierci przy pomocy Laotari-czyków z plemienia Hmong.

Dowódcą grupy uderzeniowej zostaje generał John Singlaub, późniejszy twórca ultraprawicowej Światowej Ligi Antykomunistycznej. Zarówno North, jak i Secord służyli pod Singlaubem.

Oddział wspierał opiumowego księcia Van Pao w walce z dwoma rywalami o terytorium wpływów w dżungli laotańskiej.

Z niewielką pomocą swoich przyjaciół, szczęście uśmiecha się do Pao, który wychodzi z walki zwycięsko po tym, jak jego handlowi rywale zostają „zamordowani w tajemniczych okolicznościach".

Wkrótce, według zarzutów stawianych przez Sheehana, Van Pao spotyka się w Sajgonie z Santosem Trafficante, by sfinalizować kolejny kontrakt na dostawy narkotyków.

W czasie trwania wojny wietnamskiej akcje tego typu przeprowadzano błyskawicznie, w większości przypadków za milczącym przyzwoleniem CIA lub wojska. Program „Phoenix", w ramach którego zamordowano czterdzieści tysięcy dowódców wietnamskich różnego szczebla, był akcją w pełni aprobowaną przez wyższe czynniki, mimo swego zbrodniczego charakteru. Gdy program

„Phoenix" dobiegł końca, Shackley, Clines i Richard Armitage, który według affidavitu pełnił rolę „księgowego" w tej dziwnej ąuasi-korporacji, „rozpoczęli swój własny, nie autoryzowany przez CIA, ściśle tajny program, polegający między innymi na zabójstwach komunistów i prowadzeniu niekonwencjonalnej walki zbrojnej".

305

W ten sposób narodziła się tajna grupa.

Tak przedstawia się historia opisana przez Daniela Sheehana.

Pieniądze uzyskane ze sprzedaży opium były przemycane w walizkach przez Richarda Secorda z Wietnamu i przewożone przez Thomasa Clinesa do Australii, gdzie zdeponowane na tajnym, prywatnym

koncie bankowym, dostarczały niezbędnych funduszy na prowadzenie „działalności Grupy".

Affidavit zawiera nie kończącą się listę poważnych zarzutów stawianych wspomnianym osobom, które z kolei, nie trzeba chyba dodawać, wypierają się ich. Oskarża między innymi Secorda o sprzedaż broni do krajów Bliskiego Wschodu - przez pośrednika nazwiskiem Albert Hakim - w sposób, który pozwolił tajnej grupie przechwytywać dochód z tej transakcji od amerykańskiego rządu i przeznaczać go na przeprowadzanie bardziej tajnych nielegalnych operacji.

Nielegalnych? Owszem. Za to niezmiernie lukratywnych. Gdy administracja Reagana wpadła na „wspaniały pomysł" sprzedania artylerii o zawyżonej wartości islamskim fundamentalistom w Iranie -

który był wtedy zaangażowany w serię masowych rzezi w Iraku - i przesłanie zysków „bojownikom o wolność" w Nikaragui, tajna grupa wkroczyła do akcji.

Niezupełnie zadowoleni z zysków osiągniętych na wojnie, członkowie tajnej grupy wrócili do starego zajęcia, czyli handlu narkotykami.

Samoloty, które wiozły broń dla contras, wracały z ładunkiem kolumbijskiej kokainy.

Według affidavitu złożonego przez Christie Institute, szczególną pozycję w obrocie militariami odgrywał materiał wybuchowy określany symbolem C-4, sprzedawany między innymi libijskim terrorystom. C-4 chętnie wykorzystywano do aktów terroru, między innymi w akcji na samolot Pan Am 103. Sheehan przysięga, że jego dowody wskazują na pewnego Libijczyka, który posłużył się dostarczonym przez tajną grupę materiałem C-4 do zamachu w La Penca.

Być może nawet bardziej intrygująca niż spisek opisany w sprawie prowadzonej przez Christie Institute jest oficjalna reakcja innych środowisk na affi-davit. Sprawa Sheehana została skrytykowana, nawet przez jego ideologicznych sprzymierzeńców, za nieścisłości i za zbyt „konspiracyjne" widzenie najnowszej historii. Jednak Sheehan nigdy nie miał szansy na odparcie krytyki na tym samym forum, na którym jego teorie mogłyby być w praktyce sprawdzone - na sali sądowej.

Sędzia James King nie tylko nie dopuścił do sprawy w sądzie federalnym w lutym 1989, ale poszedł nawet krok dalej. Wymierzył

milion dolarów grzywny niedo-finansowanemu Christie Institute za wnoszenie sprawy, która jest „niepoważna". Wziąwszy pod uwagę niedochodowy charakter działalności tej organizacji, zasądzona grzywna równałaby się zagładzie Christie Institute - gdyby jakiś bogaty sponsor nie przyszedł z pomocą.

Apelacja złożona przez Christie również została oddalona. Chociaż Instytut jakoś utrzymuje się przy życiu, został zdyskredytowany i musi przejść kurację, jaka przeznaczona jest każdemu, kto stawia wyzwanie amerykańskim tajnym operacjom. Powyższa sprawa jest pokazową lekcją, dlaczego teorie spiskowe pozostają zwykle właśnie jedynie - teoriami.

Generał Singlaub poczynił pewnego razu znamienną uwagę w stosunku do swoich niepoważnych prawnych doradców: „Gdybyśmy tam jeszcze raz byli w ogniu walki w Wietnamie, to zarządziłbym atak z powietrza, żeby rozwalić tych sukinsynów".

NAJWAŻNIEJSZE ŹRÓDŁO

Affidavit of Daniel P. Sheehan, 12 grudnia 1986

307

37. Oto nowy szef

Prezydentura Billa Clintona, podobnie jak poprzedniego demokraty w Białym Domu, Jimmy Cartera, okazała się rajem dla prawicowych teorii spiskowych. Znane są wszystkim, ciągle niezadowolone, oderwane od rzeczywistości typy pokroju, powiedzmy, przywódcy mniejszości w Senacie i kandydata na prezydenta, Roberta Dole'a.

Dole przeforsował powołanie specjalnego prokuratora do zbadania tak zwanego skandalu Whitewater, co, mając na uwadze zamieszanie republikanów w aferę Iran-Contras, było wręcz bezczelnością. Pod nazwą Whitewater kryła się transakcja nieruchomości, w którą państwo Clinton zainwestowali, i stracili okrągłą sumkę, około dziesięciu lat przed przeprowadzką do Białego Domu. Mroczne zarzuty otaczały tę sprawę miesiącami - związano również sprawę z samobójstwem ich współpracownika - ale niczego nie udało się przypisać prezydentowi ani jego małżonce.

„Newsweek" z 24 stycznia 1994 roku oświadczył z rozbrajającą szczerością, że „w skandalu Whitewater, prawdziwy problem Clintona zacznie się, gdy nerwy wezmą górę nad rozsądkiem".

Kilka miesięcy później „New York Times" z 27 marca szukając jakiegoś przewinienia, jako punktu zaczepienia, zagłębił się w deklaracje podatkowe Clintona. Zarówno prawnik Clintona, jak i sam Clinton przyznali, że w zeznaniu dotyczącym strat poniesionych przy transakcji Whitewater był błąd. Żaden wielki skandal. Najgorsze, co gazeta mogła zarzucić było stwierdzenie, że błąd „rodzi nowe pytania co do tego, jak Clintonowie zareagowali na relacje prasowe sugerujące, że Whitewater mogło być transakcją ukartowaną".

„Pytania" o „potencjalnie" niebezpieczne doniesienia prasowe,

„sugerujące", że coś „mogło" być podejrzane 308

trudno nazwać niepodważalnymi zarzutami, ale do tego sprowadził się cały skandal - nie pytania o przewinienia Clintona, ale - jak Pierwsza Para poradziła sobie z prasą. Whitewater wyglądało bardziej na spisek przeciwko prezydentowi niż spisek prezydenta.

Niemniej jednak, w czerwcu 1994 roku Senat przegłosował odbycie ograniczonych przesłuchań w sprawie Whitewater. Demokraci, przewodniczący tego dnia obradom, odrzucili propozycję republikanów, aby przesłuchania odbywały się bez ograniczenia w czasie, zezwalając na to, aby przesłuchanie skupiło się na kilku kwestiach - w tym samobójstwie współpracownika Clintona, Vincenta Fostera, które, jak twierdzili niektórzy przedstawiciele prawicy (szczególnie Jerry Farwell, swego czasu „Ostoja Moralna Większości"), było w rzeczywistości zatarciem śladów zaaprobowanym przez Clintona.

Najwięcej zamieszania robili znajdujący się w opozycji republikanie, którzy po dwunastu latach panowania musieli ustąpić z Białego Domu, jak również zostali zdominowani przez demokratów w Kongresie. Wziąwszy pod uwagę ich wieloletnie, obłudne stanowisko w dużo ważniejszej i poważniejszej sprawie, jaką była afera Iran-Contras, ich postawa wobec Whitewater była raczej hipokryzją.

Niechęć republikanów do rozdrapywania ciągle jątrzącej się rany może tłumaczyć, dlaczego nie przyczepili się do kolejnego grzeszku Clintona, przy którym sprawa Whitewater wydaje się być bajką, a

który mógłby powiązać Clintona ze sprawą Iran-Contras.

Chociaż Clinton, uchylający się od wojska spryciarz spod znaku białego gołąbka, niezbyt dobrze pasuje do kliki Ollie Northa, to jednak istnieje sprawa, która wiąże go z operacją wymiany broni na narkotyki.

Wszystko wskazuje na to, że tajne lotnisko, z którego CIA - lub ktoś inny - wysyłała samoloty z ładunkiem broni do Ameryki Środkowej i najprawdopodobniej odbierała kokainę w powrotnym kursie do USA, położone było w małym miasteczku o nazwie Mena w Arkansas.

309

To właśnie z tego lotniska, w październiku 1986 roku, wystartował

samolot wiozący Eugene'a Hasenfusa. Samolot został zestrzelony nad Nikaraguą, ale Hasenfus przeżył i wyjawił, jaką rolę odegrała CIA w powstaniu organizowanym przez contras (które do tego momentu było sprzedawane opinii publicznej przez administrację Reagana jako skazaną na przegraną próbę podjętą przez wieśniacki oddział

miłujących wolność patriotów).

Operacja przemytu kokainy z Meny była faktem. Podkomisja senacka kierowana przez senatora Johna Kerry zbadała dowody i uznała je za

„wystarczające do wniesienia oskarżenia o pranie pieniędzy". W

czasie gdy ta tajna operacja miała miejsce, Clinton był gubernatorem stanu Arkansas. Nie ma w tym nic podejrzanego, ale przypuszczalnie wiedział o Menie i nie podjął żadnych kroków - mówi się, że w rzeczywistości dopomógł w zatuszowaniu sprawy.

„Nigdy nie widziałem takiego wybielania sprawy jak w tym przypadku" - powiedział kongresman z Arkansas, Bill Alexander, który, co może być odebrane jako próba przypodobania się opinii publicznej, przesłał prokuratorowi Lawrence'owi Walshowi, zajmującemu się sprawą Iran-Contras, dwie skrzynie akt dotyczących sprawy Meny. Zgromadzono je w czasie dochodzenia prowadzonego przez prokuratora generalnego stanu Arkansas. Mamy tu do czynienia ze spiskiem na dużą skalę, co do którego w ogóle nie prowadzono dochodzenia.

Naciskany przez Alexandra w 1991 roku, Clinton złożył swoje pierwsze oświadczenie w sprawie Meny, gdy szykował się do ubiegania o urząd prezydenta. Stwierdził, że w 1988 roku podpisał

przydział środków w wysokości 25 tysięcy dolarów na potrzeby śledztwa prowadzonego w sprawie Meny przez ławę przysięgłych.

Jednak prokuratorzy, którzy mieliby otrzymać te pieniądze zaprzeczają, jakoby kiedykolwiek były one im zaproponowane. Nawet kancelaria gubernatora była zmuszona przyznać, że nie ma żadnych śladów istnienia

310

takiego przydziału. Po oświadczeniu Clintona i późniejszym potwierdzeniu, iż nie ma ono nic wspólnego

z rzeczywistym stanem rzeczy, Alexander poprosił federalny Departament Sprawiedliwości o przeznaczenie 25 tysięcy dolarów na potrzeby śledztwa. Według doniesień w gazecie „Village Voice" pieniądze zostały przyznane władzom Arkansas, ale nigdy nie dotarły do jednostek zajmujących się prowadzeniem śledztwa.

Co mogło nakłonić Clintona do ukrywania operacji przeprowadzanej w Menie i późniejszego prawdopodobnego sfabrykowania historii chroniącej jego osobę? W tym miejscu jest już pole dla wyobraźni, gdyż żadne dalsze powiązania pomiędzy ówczesnym gubernatorem a operacjami wymiany broni na narkotyki nie zostały ustalone ani nawet zasugerowane w istniejących materiałach dowodowych. Trudno uwierzyć, aby chronił on George'a Busha, który prawdopodobnie wiedział to i owo o sprawie Meny.

Najlepszej odpowiedzi udzielił Mark Swaney, student i lider grupy, która złożyła kiedyś petycję popartą podpisami tysiąca osób domagających się, aby władze zbadały sprawę Meny. Hipoteza Swaneya, jak przekazano to w gazecie „Voice", wskazuje na Larry'ego Nicholsa, entuzjastę contras, którego Clinton z nieznanych powodów mianował kierownikiem Biura Funduszu Rozwoju w Arkansas (ADFA). Swaney twierdzi na bazie informacji wyłuskanych od pozostających w cieniu informatorów, którzy mogą, ale nie muszą, mieć powiązania z wywiadem, że biuro to, pod kierownictwem Nicholsa, mogło się starać o uzyskanie dla Arkansas programów rządowych opartych na zafałszowanym budżecie. Taka polityka mogła uwikłać władze stanowe w machinacje związane z Meną.

ADFA mogła być wykorzystywana do prania pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami, co niewątpliwie świadczyłoby na niekorzyść Clintona i jego żony, gdyż to ich firma prawnicza doradzała ADFA.

Ostatecznie Clinton wyrzucił Nicholsa ze stanowiska za rzekome prywatne rozmowy telefoniczne do swoich przyjaciół contras w Ameryce Środkowej, a obciążające budżet stanowy. Nichols z kolei wytoczył sprawę Clintonowi o zniesławienie, i właśnie w toku tej sprawy pojawiły się rewelacje związane z pozamałżeńskimi figlami Clintona z pewną blondynką, która później wychwalała w magazynie

„Penthouse" zręczność języka gubernatora.

Bardzo ciekawe. Ale być może rzucenie światła na dziwne zachowanie Clintona w sprawie afery w Menie mogło mieć większe znaczenie dla dobra publicznego.

Sprawa Meny nie przyciągnęła nawet przelotnego spojrzenia ze strony republikanów, ale gdy pojawiła się kwestia Whitewater, lider republikanów, Dole, z miną świętoszka wezwał prokuratora generalnego do zbadania sprawy prezydenta „dla dobra prezydenta i dla dobra integralności urzędu prokuratora generalnego".

W czasach obfitującego w różnego rodzaju wykroczenia panowania George'a Busha nie dało się zauważyć podobnych wniosków ze strony republikanów (jak również ze strony demokratów). Obłudne oświadczenie Dole^ w połączeniu z zarzutami o seksualną perwersję padającymi pod adresem Clintona z różnych miejsc sprawiają, że człowiek zaczyna się zastanawiać, czy Clinton nie jest ofiarą sabotażu

- zdradzony przez tych samych intrygantów, do których przez całe życie starał się dołączyć.

Clinton potwierdził swoje wejście do tej kadry w wystąpieniu po nominowaniu go na kandydata demokratów w czasie konwencji w 1992 roku, gdy wymienił obok siebie profesor Carroll Quigley i prezydenta Kennedyego jako postaci, które wywarły największy wpływ na jego rozwój jako polityka, tym samym przyznając się do koligacji z globalną elitą bankierów i biznesmenów, która aspiruje do rządzenia światem - przynajmniej w pojęciu Johna Birchersa i tych, którzy patrzą na

312

wielkie dzieło Quigley Tragedy and Hope (Tragedia i Nadzieja) jak na wyznanie, które jest wyrazem ich spiskowej teorii.

Quigley była nauczycielką i ulubioną wykładowczynią Clintona w czasie studiów na uniwersytecie w George-town. Na świecie niewielu jest polityków, którzy w najważniejszych przemówieniach swojej kariery wychwalaliby autora, promującego w swoim głównym dziele interesy tajnej organizacji pracującej nad „stworzeniem światowego systemu kontroli finansowej znajdującego się w prywatnych rękach, zdolnego zdominować system polityczny każdego kraju i gospodarkę całego świata". Clinton zrobił to.

Ten sam domniemany anglo-amerykański establishment (by zacytować tytuł innego ważnego dzieła Quigley) wydał Busha, który w ogóle nie zdziwił zwolenników Birch Society, gdy nagle rozmiłował się w pojęciu Nowy Światowy Ład.

Przedstawiciele prawego skrzydła nie ustawali w atakach na Nowy Światowy Ład. Gary Allen w swoim późniejszym dziele None Dare Cali It Conspiracy (Nikt nie ośmieli się nazwać tego spiskiem), swój ostatni rozdział nazwał Say „No" to the New World Order (Nowemu Porządkowi Świata powiedzmy „Nie"). Było to w roku 1987, gdy Bush dopiero przymierzał się do swojej przyszłej prezydentury.

Rada Stosunków Międzynarodowych i pokrewni im błękitnokrwiści intryganci całymi latami, w swoich gazetach i na sympozjach, naciskali na ustanowienie Nowego Światowego Ładu. Quigley była historykiem-uzu-rpatorem rozmiłowanym w tej superarystokracji. A Clinton oznajmił całemu światu, że uwielbia tę postać.

Clinton zawsze miał więcej wspólnego z Bushem, niż mówił.

Startował przeciwko Bushowi z pozycji autsaj-dera. Ale o ile Bush był kiedyś biernym członkiem Rady Stosunków Międzynarodowych i Komisji Trójstronnej,

313

o tyle Clinton w swoim curriculum vitae dorzucał do tego członkostwo w siejącej postrach Grupie Bilderber-gu. Różnica sprowadza się do tego, że Bush urodził się jako przedstawiciel Wschodniego Establishmentu, natomiast Clinton - pochodzący z miasta o nazwie Hope (Nadzieja) z pijącym ojcem i stadem nieślubnego rodzeństwa - jest od początku do końca wykreowany.

W tym kontekście nawet stypendium ufundowane Clintonowi przez Rhodesa wydaje się niesmaczne. Cecil Rhodes, multimilioner, który założył fundusz stypendialny, był również twórcą Okrągłego Stołu, brytyjskiego prekursora Rady Stosunków Międzynarodowych. Idea stypendium polegała na skonsolidowaniu Imperium Brytyjskiego poprzez zaszczepienie w Oxfor-dzie wartości brytyjskich

najlepszym umysłom z kolonii w nadziei, że ci przeniosą je do swoich krajów ojczystych w celu uwieczniania idei Imperium wśród rodaków.

Zdaniem badacza teorii spiskowych Jima Martina, stypendia były

„jednym ze składników planu Rhodesa prowadzącego do stworzenia ogólnoświatowego rządu".

Być może Whitewater nie da się udowodnić, ale to, że Clinton jest wyznawcą idei jednego świata, pozostaje poza wszelką wątpliwością.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Joel Bainerman. The Crimes of a President. Nowy Jork: S.P.I. Books, 1992.

Jim Martin. Quigley, Clinton, Straight and Reich. Steamshovel Press nr 8 (lato 1993).

Frank Snepp. Clinton and the Smugglers' Airport. „Village Voice", 4

kwietnia 1992.

Informacje dla tego rozdziału dostarczył również Kenn Thomas.

38. Kto zabił Johna L.?

Sceneria wokół starej nowojorskiej kamienicy czynszowej Dakota wieczorem 8 grudnia 1980 roku była zarówno surrealistyczna, jak i przerażająca. John Len-non, jeden z najsławniejszych w świecie gwiazdorów rocka, leżał na wpół przytomny, krwawiąc z ran spowodowanych przez cztery pociski wystrzelone w jego plecy. Żona Lennona, Yoko Ono, trzymała jego głowę w ramionach i przeraźliwie krzyczała (zupełnie jak na swoich wczesnych nagraniach płytowych).

Kilka metrów dalej tęgi młody człowiek stał w bezruchu, przeglądając książkę w miękkiej okładce. Zaledwie kilka chwil wcześniej przybierał wojskową pozycję strzelecką - nogi rozstawione dla utrzymania maksimum równowagi, ściskając oburącz rewolwer, aby dobrze wycelować - i powalić największego z Beatlesów. Teraz leniwie kartkował powieść, którą nawet najbardziej próżny dziewięcioklasista chętnie by przeczytał, Buszujący w zbożu J. D.

Salingera.

Portier Dakoty krzyknął do strzelca, Marka Davida Chapmana: „Czy wiesz, co zrobiłeś?"

„Dopiero co zastrzeliłem Lennona" - wystarczająco trafnie odparł

Chapman.

Była to bezsensowna tragedia jak u Kierkegaarda. Istniał tylko jeden oczywisty sposób, aby ujrzeć w tym jakikolwiek sens; zaliczyć to do przypadkowego aktu przemocy popełnionego przez „pomylerica".

„Przeszedł koło mnie i wówczas zabrzmiało mi w głowie: «Zrób to, zrób to, zrób to» i ciągle od nowa «zrób to, zrób to, zrób to», tak po prostu" - nienaturalnie pogodny Chapman wspominał w filmie dokumentalnym BBC w kilka lat po pójściu do więzienia. „Nie pamiętam, jak wycelowałem. Musiałem to zrobić, ale nie pamiętam, jak odciągałem kurek czy jak on tam się nazywa. I po prostu pociągnąłem za spust pięć razy".

Chapman określił, że w czasie strzelaniny nie targały nim „żadne emocje, żaden gniew... w mózgu panowała martwa cisza".

Jego nienaturalny ton brzmi aż nazbyt podejrzanie. Dla brytyjskiego prawnika i jednocześnie dziennikarza Fentona Breslera stanowiło to ważną wskazówkę - być może Chapman przeszedł pranie mózgu i wypełniał jedynie zaprogramowane wcześniej zadanie.

„Mark David Chapman - pisze Bresler - jest pod wieloma względami ofiarą tych, którzy chcieli zabić Lennona, i samego Lennona".

Prokuratorzy, z braku motywu, opowiedzieli się za stereotypem: Chapman dokonał tego w celu zwrócenia na siebie uwagi - owo zwariowane amerykańskie dążenie do zagarnięcia dla siebie złudnych piętnastu minut popycha wielu dziennikarzo-socjologo-populistów do wpadnięcia w świętoszkowatą ekstazę. Jednakże Arthur 0'Connor, detektyw, który spędził więcej czasu z Chapmanem bezpośrednio po morderstwie niż ktokolwiek inny, patrzy na to inaczej.

„Nielogiczne jest twierdzenie, że Mark popełnił morderstwo, aby stać się sławnym. Od samego początku nie chciał rozmawiać z prasą... Jest możliwe, że Mark został przez kogoś wykorzystany. Widziałem go w nocy, gdy dokonał morderstwa. Dokładnie go obserwowałem i zastanawiałem się nad nim. Wydawało się, jakby został

zaprogramowany".

Bresler uzyskał wypowiedź 0'Connora, który po raz pierwszy zabrał

publicznie głos. Książka Breslera Who

Killed John Lennon? (Kto zabił Johna Lennona?) dostarcza nieodpartych argumentów, że zamordowanie Lennona nie było dziełem kolejnego „samotnego szaleńca".

Po śmierci Lennona teorie spiskowe pojawiły się w całej obfitości, przy czym wiele z nich raczej okrutnie wskazywało na Yoko Ono jako zakulisowego organizatora. Inne na Paula MacCartneya, który według tej linii rozumowania obwiniał Yoko o spowodowanie jego aresztowania w Japonii pod zarzutem posiadania marihuany. Spiski przeciw Lennonowi pojawiają się z pewną częstotliwością w radiowych talk shows, w których prowadzący parują twierdzenia telefonujących: „Dlaczego zadawać sobie kłopot zabijaniem tego faceta?"

Jedynie teza Breslera, że Chapman był mordercą o umyśle manipulowanym przez jakieś elementy prawicowe być może związane z dopiero co wybranym (ale jeszcze nie zaprzysiężonym) Reaganem, wykracza poza zakres czystej spekulacji, wkraczając w sferę rzeczywistych dochodzeń.

Mimo to książka Breslera nieco zbyt często zastępuje argumenty dowodowe retorycznymi pytaniami („Jak ten stale powtarzający się głos w głowie Marka «Zrób to, zrób to» brzmi dla ciebie"?) Możemy mu wybaczyć to niedociągnięcie. Bresler zajmował się sprawą przez osiem lat, przeprowadzał wywiady bez precedensu i wydobył stosy nie udostępnianych uprzednio dokumentów rządowych. W

odróżnieniu jednak od zabójstw Kennedych i Martina Luthera Kinga, nie miał tomów dowodów zgromadzonych w oficjalnym dochodzeniu, nawet niedoskonałych, na których mógłby się oprzeć. Nowojorska policja miała swojego człowieka, sprawa została zamknięta już w samą noc morderstwa - no i w końcu, jaki powód polityczny miałby się kryć za zastrzeleniem autora piosenki „Jestem morsem"?

Przeprowadzając swój wywód, Bresler ustala pewne kluczowe punkty zadające kłam twierdzeniu „Kto chciałby zabić starzejącą się gwiazdę rocka?"

319

Prezydent Richard Nixon, jego administracja oraz inni prawicowi politycy (wśród nich ultrakonserwatywny starzec, senator Strom Thurmond, który osobiście przesiał prokuratorowi generalnemu Johnowi Mitchellowi memorandum w tej sprawie) dostawali bzika na punkcie tego, co uważali za problem Lennona. Dla nich wygadany politycznie autor i wykonawca piosenek był zdradliwym dywersantem najgorszego rodzaju, a przy okazji cieszącym się ogromną popularnością.

•

J. Edgar Hoover podzielał ich niepokój. Na jednej ze stron akt FBI Lennona widnieje ręczny dopisek, dużymi literami, WSZYSTKICH EKSTREMISTÓW NALEŻY UWAŻAĆ ZA

NIEBEZPIECZNYCH.

•

Rząd uczynił wszystko, aby nie przyznać Lennono-wi prawa stałego pobytu, o który od lat zabiegał, i - co więcej - deportować go (to było przedmiotem memorandum Thurmonda).

•

Akta FBI dotyczące Lennona - liczące blisko trzysta stron -

ujawniają, że był on pod „stałym nadzorem". Ludzie z rządu nie mieli zbyt wielkiego mniemania

0

byłym Beatlesie, próbując najwyraźniej zmusić go do milczenia lub przynajmniej doprowadzić do pomieszania zmysłów, tak jak to robili wobec Martina Luthera Kinga kilka krótkich, lecz brzemiennych w wydarzenia lat wcześniej.

•

W końcu 1972 roku, kiedy to „nadzór" dochodził do szczytu, Lennon powiedział satyrykowi Paulowi Krassnerowi: „Słuchaj, jeśli cokolwiek przydarzy się Yoko i mnie, nie będzie to zwykły wypadek".

•

FBI i CIA śledziły Lennona przynajmniej od jego koncertu „Free John Sinclair" w 1969 roku do 1976 - choć do tej pory Lennon wygrał

batalię imigracyjną

1

nie tylko wycofał się z aktywnego życia politycznego, ale w ogóle z życia publicznego, rozpoczynając pięcioletni okres odosobnienia. Jego mieszkanie było pod obserwacją, chodzono za nim, jego telefon był na podsłuchu.

320

Wzięcie osoby pod „stały nadzór", a wydanie rozkazu egzekucji to oczywiście dwie różne sprawy. Niemniej Bresler dowodzi, że rząd nie uważał Lennona za nieszkodliwego muzyka rockandrollowego, głośne wejście w świat politycznej aktywności często pociągało za sobą widoczny element prowokacji [jak w jego montrealskim „bed-in", demonstracyjnym leżeniu w łóżku - przyp. tłum.].

Był on uważany za niebezpiecznego radykała, którego należało powstrzymać.

W jakiś sposób oficjalną paranoję mogły usprawiedliwiać kłopotliwe publiczne wyczyny polityczne Lennona i Ono, bo Lennon zawsze potrafił stanąć w świetle reflektorów i przemówić bezpośrednio do milionów młodych ludzi, którzy go czcili.

Przy nieskrępowanym dostępie do mediów jego potęga była olbrzymia, przynajmniej potencjalnie, i uznawana przez bardziej doświadczonych radykałów jak Jerry Rubin i Abbie Hoffman, którzy związali się z Lennonem przywierając tak blisko, że aż gwiazda rocka czuła się niezręcznie.

Lennon został zamordowany cztery lata po zakończeniu intensywnego nadzoru przez FBI/CIA. W tych latach prezydentem był Jimmy Carter

- demokrata, który mniej lub bardziej trzymał te dwie agencje na uwięzi.

Lecz w grudniu 1980 roku, kiedy pierwszy od połowy dekady album Lennona uzyskiwał wysokie notowania, Carter był pogrążony, przegrawszy w konkurencji o ponowny wybór z Ronaldem Reaganem. Kampanią Reagana kierował zawodowy tajny agent William Casey, który pod rządami prezydenta Reagana stał się najbardziej swobodnym szefem CIA od czasów Allena Dul-lesa.

Nowa, skrajnie prawicowa administracja przeorganizowała służby wywiadowcze i ufnie udzieliła im carte blanche.

Siły, które desperacko próbowały zneutralizować Lennona przynajmniej przez siedem lat, utraciły władzę 321

w 1976 roku. Rządowe dossier Lennona kończy się w tym właśnie roku. W roku 1980, gdy siły te przygotowywały się do ponownego przejęcia kontroli nad rządem, „niebezpieczny ekstremista" John Lennon wychylił się z ukrycia. Kilka miesięcy później został

zamordowany.

Ślad na piśmie mogący wesprzeć teorię konspiracji jest jednakże nieco słaby. Nie sięga wiele dalej poza bilet lotniczy znaleziony w pokoju hotelowym Chapmana; połączenie z Hawajów do Nowego Jorku, odlot 5 grudnia. Jednakże Chapman w rzeczywistości kupił

bilet z Hawajów do Chicago na lot w dniu 2 grudnia, bez dalszego połączenia. Bilet znaleziony po jego aresztowaniu został najwyraźniej zamieniony. Żaden z jego przyjaciół nie wiedział, że kontynuował

podróż do Nowego Jorku. Myśleli oni, że udał się do Chicago rta trzydniowy pobyt.

Bresler konkluduje, że zamordowanie Lennona, które - jak to zauważył sam Chapman w jednym z rzadko udzielanych wywiadów -

„zakończyło pewną erę", wykazuje podobieństwa do innego zabójstwa, które miało miejsce przed dwunastu laty: zamordowania Roberta F. Kennedy'ego.

Domniemany samotny zabójca Roberta Kennedy'ego, Shirhan Shirhan, oraz Chapman (przypadkowo?) mieli tego samego psychiatrę występującego z ramienia obrony. Jednak, podczas gdy Bernard Diamond nie mógł zignorować oczywistego faktu, że Shirhan był pod wpływem hipnozy (Diamond podsumował ją jako autohipno-zę), Chapmana zdefiniował jako paranoidalnego schizo-frenika.

Sąd się z tym nie zgodził. Chapman nigdy nie został otoczony więcej aniżeli rutynową opieką psychiatryczną, od kiedy przyznał się do winy. Nie został posłany do szpitala dla umysłowo chorych, lecz do więzienia stanowego Attica. Uznano go za „racjonalnego" w sensie prawnym.

Bresler wyjaśnia kilka szeroko rozpowszechnionych nieporozumień o Marku Davidzie Chapmanie:

•

Podczas gdy każdej wzmiance o nim towarzyszy określenie

„zwariowany fan", Chapman byl wszystkim tylko nie tym. Nie byl ani mniej, ani bardziej płomiennym fanem Beatlesów czy Lennona niż ktokolwiek z jego pokolenia. Jego prawdziwym rockowym bohaterem był Todd Rundgren, cyniczny studyjny rzemieślnik, jak najdalszy od artystycznej uczuciowości Lennona.

•

Niezależnie od deklaracji Chapmana w kilka miesięcy po morderstwie, iż „zabił Lennona, aby zdobyć rozgłos w celu propagowania książki The Catcher in the Rye, Chapman nigdy nie przejawiał silniejszych uczuć wobec tej powieści aż do krótkiego czasu przed strzelaniną. (Książka, zastanawia się Bresler, mogła być użyta jako środek wyzwalający „zaprogramowanie" Chapmana.)

•

Po morderstwie ważniejsze media rozgłaszały dziwaczne historie o rzekomo pogłębiającej się identyfikacji Chapmana z Johnem Lennonem, który w pewnym momencie nawet „przechrzci! się" na

Lennona, jak to stwierdził „Newsweek". Historie te były całkiem fascynujące, nie ma jednak żadnych dowodów na ich poparcie.

(Prawdą jest, że gdy Chapman zwalniał się ze swej ostatniej pracy, podpisał się jako „John Lennon" i potem przekreślił ten podpis, jednak Bresler interpretuje to rozsądnie, iż Chapman chciał raczej powiedzieć: „Johnie Lennonie zamierzam cię zabić", niż „Johnie Lennonie jestem tobą".)

•

Chapman nie był „samotnikiem". Przez większą część swego życia był normalnym towarzyskim mężczyzną i mającym dobre stosunki z młodzieżą wychowawcą na obozie.

Bresler zauważa również, że kiedy Chapman zgłosił udział w programie zagranicznym YMCA, wybrał dziwne miejsce docelowe: Bejrut - doskonałe miejsce, powiada Bresler, dla Chapmana - łagodnej duszy stającej

się „krwawą", to jest pozbawioną wrażliwości na przemoc.

Końcowy przypis do tajemnicy Marka Davida Chapmana: gdy już był

gotowy stawić czoło procesowi i jego inteligentny publiczny obrońca kończył sześciomiesięczny okres przygotowywania jego obrony, oskarżony zabójca zdecydował się nagle na zmianę swego zeznania i przyznanie się do winy. Jego prawnik był wstrząśnięty i całkiem zbity z tropu. Jednak Chapman był zdecydowany. Powiedział, że wykonuje instrukcję cichego męskiego głosu, który przemawiał do niego w celi.

Chapman uważał, że jest to głos Boga.

NAJWAŻNIEJSZE ŹRÓDŁO

Fenton Bresler. Who Killed John Lennon?, Nowy Jork: St. Martin Press, 1989.

39. Zagadka powiązań Hinckley-Bush

Mówi się, że świat jest mały! Około godziny 2.30 po południu 30

marca 1981 roku stał się on zdecydowanie mikroskopijny.

Stojący na chodniku przed frontem hotelu Hilton w Waszyngtonie, pewien młody człowiek pozujący na odtwarzaną przez Roberta De Niro niezbyt pozytywną postać Travisa Bickle'a z filmu Taksówkarz, wziął nowego prezydenta na muszkę. Ściskając oburącz pistolet, John Hinckley, Jr. zaczął strzelać do Ronalda Reagana wybuchowymi, niszczycielskimi pociskami. W pandemonium, jakie teraz nastąpiło, szósty pocisk trafił w cel.

Wygląda na to, że zanim agenci Secret Service zdążyli wepchnąć niemłodego prezydenta do jego kuloodpornej limuzyny, jeden z pocisków zrykoszetował od

błotnika opancerzonego sedana, przeszywając ramię Reagana i przebijając płuco Gippera. Gdyby Hinckley owego dnia trafił

dokładniej, wiceprezydent George Bush prawie na pewno zostałby prezydentem, zmieniając swój drugorzędny status na osiem lat przed przewidzianym terminem.

To rzeczywiście mały świat, skoro tego samego dnia starszy brat Johna Hinckleya, Scott, zjadł kolację w towarzystwie starego przyjaciela rodziny - Neila Busha, syna wiceprezydenta. To, co dla niektórych było jedynie dziwnym zbiegiem okoliczności, spowodowało, że bardziej konspiracyjnie nastroszone brwi podnosiły się do góry jak czarodziejskie różdżki. No bo w końcu, jaka była szansa na to, że konstytucyjny zastępca prezydenta i niedoszły zabójca prezydenta będą się nawzajem znali? Prawdopodobnie zerowa.

Jednak historia znajomości Bushów i Hinckleyów sięgała daleko w przeszłość, aż do Teksasu lat sześćdziesiątych, kiedy zarówno George Bush, jak i John Hinckley, Sr. zgromadzili osobiste fortuny w przeżywającym boom przemyśle naftowym. Obaj mieli błękitną krew i obaj obracali się w tych samych uprzywilejowanych kręgach, które lubili nazywać swoim „Teksaskim Rajem".

Oczywiście utrzymywanie stosunków towarzyskich z prominentną rodziną niedoszłego zabójcy trudno uznać za gardłowe przewinienie.

Mimo to wewnątrz tworzącej się hipotezy spisku przypadkowe szczegóły nabierają podejrzanej doniosłości:

• W specjalnych wiadomościach NBC nadanych bezpośrednio po strzelaninie, korespondentka Judy Wood-ruff stwierdziła, że co najmniej jeden strzał oddano z hotelu, ponad limuzyną Reagana.

Wyjaśniła to później obszerniej mówiąc, że agent Secret Service oddał

strzał z hotelowego daszku. Czy rana Reagana mogła zostać spowodowana strzałem oddanym przez ochroniarza? Albo, co bardziej złowrogie, może mignął jej autentyczny

drugi strzelec - podobnie jak w przypadku zabójstwa Johna Kennedy'ego na Dealey Plaża? Tak czy inaczej, relacja Woodruff mogłaby tłumaczyć, jak pocisk mógł trafić Reagana w chwili, gdy kuloodporne drzwi jego limuzyny znajdowały się pomiędzy nim a Hinckleyem.

•

Według spiskologa Barbary Honegger, korespondentka z Białego Domu Sarah McClendon poczyniła nieco bardziej subiektywny komentarz, w którym sugerowała, że świta Reagana z Secret Service nie znajdowała się w swojej normalnie ciasnej formacji wokół prezydenta przed frontem hotelu Hilton. Czyżby to ochroniarze Gippera rozpoczęli grę?

•

I wreszcie sam Hinckley. Kadet, cierpiący na obsesję na punkcie Jodie Foster, miał przepisane

psychoaktywne leki przez psychiatrę z rodzinnego miasta. Według doniesień prasowych, w chwili strzelaniny był on pod wpływem Valium. Zanim wycelował w Reagana (podobno po to, aby zdobyć sławę w oczach Foster i całego świata), Hinckley napastował senatora Teda Kennedy'ego i prezydenta Jimmy'ego Cartera. Pochłaniał książki na temat Shirhana Shirhana, zabójcy Roberta Kennedy'ego, oraz Arthura Bremera, który postrzelił George'a Wallace'a. Teoretycy zadają nieuniknione pytanie: Czy Hinckley był

mordercą o kontrolowanym umyśle, Mandżurskim Kandydatem zaprogramowanym, aby „zabijać bez najmniejszych skrupułów"?

Badacze owi wskazują na długotrwałą obsesję CIA na punkcie kontroli umysłu oraz na fakt, że podczas wyborów wstępnych w roku 1980, Bush - były dyrektor CIA - cieszył się gorącym poparciem czynnych pracowników Agencji, którzy woleli swojego byłego szefa od Reagana.

•

Jak na aspołecznego pariasa, Hinckleyowi wiodło się nieźle. W

październiku 1980 roku odbył lot do Nebraski, próbując skontaktować się z członkiem Amerykańskiej Partii Nazistowskiej. Publicysta Jack Anderson twierdził później, że Hinckley był powiązany z ame-326

rykańską frakcją, popierającej Chomeiniego, Islamskiej Armii Partyzanckiej. Według autorki spiskowej, Barbary Honegger, członek tej grupy powiedział Andersonowi, że wcześniej ostrzegał Secret Service o planach Hinckleya w stosunku do Reagana - na dwa miesiące przed strzelaniną. Jeżeli można dać wiarę rozmówcy Andersona, to wówczas okazuje się, że Secret Service nie zrobiło nic, by powstrzymać szalonego strzelca.

•

Dzień po swojej misji poszukiwania nazistów, Hinckley poleciał

do Nashville, aby napastować Jimmy Cartera, ale został aresztowany na lotnisku, gdy władze odkryły w jego walizce trzy sztuki broni palnej. Zaskakujące, że po ledwie pięciu godzinach pod strażą ów niezrównoważony człowiek - usiłujący przetransportować broń poprzez granice stanowe do miasta, które wkrótce miało zostać odwiedzone przez prezydenta Stanów Zjednoczonych - został

wypuszczony za kaucją bez żadnych dalszych kłopotów. Co jeszcze dziwniejsze, władze najwyraźniej nie zadały sobie trudu, aby sprawdzić jego dziennik, który dokładnie opisywał szczegóły planu Hinckleya dotyczącego zabicia Cartera. Czy był to przypadek partackiego niedbalstwa, czy czegoś bardziej złowieszczego?

•

I wreszcie podejrzenie w sposób dość naturalny padło na George'a „Poppy" Busha, prymusa prywatnych szkół i przyszłego prezydenta, którego szpiegowski rodowód był dłuższy niż teksaska limuzyna. Ojciec Busha, Prescott Bush, Sr., służył w wywiadzie wojskowym podczas I wojny światowej. Być może chcąc udowodnić, że potrafi pójść drogą niezależną od ojca, George, jak przed nim rodzic Bush, wstąpił na elitarny uniwersytet w Yale, który wychował

wielu wpływowych polityków, lwów z Wall Street i supergwiazd CIA. Oczywiście wszyscy wiedzą, że dużo później w swoim życiu Bush przeskoczył karierę szpiega i został dyrektorem CIA, gdzie zgrabnie skracał dochodzenia kongresowe na temat licznych nieprawości Agencji, które zaczęły wycho-327

dzić na widok publiczny po prawdziwym trzęsieniu ziemi, jakim była afera Watergate.

Oczywiście istnieją zasadnicze dowody - negowane przez Busha - że w rzeczywistości spłacił on swoje weksle Agencji na długo, zanim został jej naczelnym dyrektorem. Jako młody naftowiec, Bush założył

Zapa-ta Offshore Oil Company (Przybrzeżne Przedsiębiorstwo Naftowe Zapata), które, według pewnego byłego pracownika CIA, było wykorzystywane przez Agencję jako przyczółek dla tajnych operacji we wczesnych latach sześćdziesiątych. „Wiem, że [Bush] był

zaangażowany z CIA w basenie Morza Karaibskiego" - powiedział

pismu „Nation" były człowiek CIA w roku 1988. Co wydawać się może jeszcze bardziej interesujące, zdaniem emerytowanego pułkownika Flet-chera Prouty, łącznika pomiędzy Pentagonem a CIA podczas inwazji w Zatoce Świń w roku 1961, owa katastrofalna operacja miała kryptonim Zapata, podczas gdy dwa okręty marynarki przydzielone do atakującej armady otrzymały nowe nazwy Houston i Barbara. Czy mogły to być sentymentalne odniesienia do przybranego domu rodzinnego Busha i przyszłej Pierwszej Damy?

Więcej dowodów na to, że Bush miał powiązania ze środowiskami wywiadowczymi już od wczesnych lat 60., miało się pojawić podczas kampanii prezydenckiej w roku 1988. Pisząc w „Nation", Joseph McBride wywołał spore zamieszanie, gdy doniósł o interesującym memorandum FBI podpisanym przez J. Edgara Hoovera, zaadresowanym do Departamentu Stanu i datowanym 29 listopada 1963 roku, pod nagłówkiem Zabójstwo Prezydenta Johna F.

Kennedy'ego 22 listopada 1963 roku. W owym memorandum Hoover donosi, że FBI zaznajomiło pana George'a Busha z Centralnej Agencji Wywiadowczej z reakcją anty castro wskich Kubań-czyków w Miami na zabójstwo prezydenta. Dwadzieścia pięć lat po wysłaniu przez Hoovera owego memoran-328

dum, Bush zaprzecza, jakoby odnosiło się do niego, oświadczając:

„Musi to być inny George Bush".

CIA zgodziło się z tym i, zrywając ze swoją długoletnią polityką polegającą na niepotwierdzaniu i niezaprze-czaniu tożsamości swojego personelu, stwierdziło, że pracownik, o którym mowa w memorandum, to był najwyraźniej niejaki George William Bush, który opuścił CIA w roku 1964. Dziennikarzowi McBride'owi udało się dotrzeć do mniej słynnego Busha, który przyznał, że pracował dla CIA mniej więcej przez sześć miesięcy w latach 1963-64. Jednakże stwierdził, że na pewno nie on był George'em Bushem z memorandum, ponieważ jako niskiego szczebla badacz i analityk nigdy nie był informowany przez FBI czy jakąkolwiek inną agencję rządową w tej sprawie. „Może chodzi o tego innego George'a Busha?"

- zapytał.

W rzeczy samej, istnieje inne szpiegowskie powiązanie pomiędzy Georgem Herbertem Walkerem Bushem

a postaciami zaplątanymi w zabójstwo J.F.K. Gdy Lee Harvey Oswald przeniósł się do Teksasu, ten aspołeczny młody człowiek stał się nieoczekiwanie przyjacielem gładkiego barona George'a De Mohrenschildta, rosyjskiego emigranta związanego z przemysłem naftowym i, jak niektórzy podejrzewają, z CIA. W 1978 roku Gaeton Fonzi, prowadzący śledztwo dla Specjalnej Komisji Kongresu ds. Zabójstw, zgłosił się do De Mohrenschildta, aby wypytać go o jego nieprawdopodobną przyjaźń z Oswaldem. Córka barona powiedziała Fonziemu, że ojca nie ma w domu, więc gość zostawił swoją wizytówkę i zapowiedział

ponowną wizytę. Później tego samego dnia Fonzi dowiedział się, że De Mohrenschildt wrócił do domu, poszedł do pokoju na piętrze i śmiertelnie postrzelił się w głowę ze strzelby. (Chyba że ktoś mu w tym „samobójstwie" pomógł.) Podczas przeszukiwania policja znalazła w kieszeni martwego barona wizytówkę Fonziego. W książce adresowej De Mohrenschildta

329

Fonzi znalazł następujący zapis: George H. W. („Po-ppy") 1412 Ohio również Zapata Petroleum Midland.

Jeżeli George Bush - poruszający się z jednakową łatwością wśród elit Wschodniego Wybrzeża, magnatów naftowych Zachodu i szefów Partii Republikańskiej - był także przez całe życie członkiem owego trącącego myszką męskiego klubu weteranów działań wywiadowczych, jego późniejsze bratanie się z takimi ludźmi jak Manuel Noriega, chłopcami z afery Iran-Contras, ojcem chrzestnym afer Zatoki Świń i Watergate Dickiem Ni-xonem, oraz nowym Hitlerem - Saddamem Husajnem stałoby się niewątpliwie o wiele bardziej zrozumiałe.

Oczywiście przeszłość Busha, mogąca świadczyć o jego potencjalnie Janusowym obliczu, niczego nie dowodzi, jeśli chodzi o zamach Hinckleya. Ale jednak sugeruje, że posiada on nie docenione umiejętności i talent do kluczenia, co powoduje, że śledzący ślady spisku wciąż go obserwują.

A więc gdzie był George, przyszły konspiracyjny prezydent, w dniu zamachu Hinckleya? Poza miastem, pełniąc oficjalne obowiązki wiceprezydenta. Hm.

No dobrze, prawdopodobnie można zniszczyć całą teorię Busha-Hinckleya przez postawienie prostego pytania: Zakładając, że wiceprezydent wcześniej wiedział, to dlaczego, na Boga, syn

„Poppy'ego" ryzykowałby spotkanie z braciszkiem Hinckleya dokładnie w dniu strzelaniny? I znowu mówimy o Neilu Bushu, którego brak zdrowego rozsądku i udział w skandalu Savings and Loan (kas oszczędnościowo-pożyczkowych) miał później zakłopotać szacownego papę.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

James W. Ciarkę. On Being Mad or Merely Angry: John W. Hinckley, Jr., and Other Dangerous People. Princeton, Nowy Jork: Princeton University Press, 1990.

Gaeton Fonzi. The Last Investigation. Nowy Jork". Thunders Mouth Press, 1993.

330

Barbara Honegger. October Surprise. Nowy Jork: Tudor Publishing Company, 1989.

Joseph McBride. The Man Who Wasn't There, George Bush, CIA Operative. Nation, 16 lipca 1988 i 13 sierpnia 1988. Jonathan Vankin.

Conspiracies, Cover-Ups, and Crimes. Nowy Jork: Dell Publishing, 1992.

40. Bułgarski ślad

Pewnego wiosennego dnia 1981 roku wszechmocna zimna wojna wdarła się na plac Świętego Piotra w Watykanie. Mehmet Ali Agca, dwudziestotrzyletni turecki terrorysta i międzynarodowy uciekinier wycelował swój pistolet ponad głowami wiernych i zaczął strzelać dzie-więciomilimetrowymi pociskami w Ojca Świętego, papieża Jana Pawła II. Dwukrotnie trafiony w pierś, papież osunął się do swojego papamobile, obficie krwawiąc. Policja szybko wyrwała broń z ręki Agcy i skuła kajdankami niedoszłego zabójcę.

Tak jak to się stało w przypadku wielu innych międzynarodowych incydentów podczas zimnej wojny, próba zabójstwa Jana Pawła II spowodowała narodziny dwóch rywalizujących ze sobą teorii spiskowych. Wersja numer jeden, popierana przez konsorcjum antykomuni-stów i grono zachodnich szpiegów, ogłosiła, że zamach ten był sowieckim spiskiem. Wersja numer dwa, wyznawana przez krytyków z lewej strony (pozostawionych w tyle pogoni amerykańskich mediów za poparciem wersji numer jeden), argumentowała, że jeżeli istniał spisek Wschód Kontra Zachód, to został on zorganizowany nie przez komunistów, lecz przez zachodnich rycerzy zimnowojennych już po zamachu: była to więc dezinformacyjna intryga celem zrzucenia winy na Sowietów.

Która wersja była bliższa rzeczywistości?

Agca, jak początkowo informowała międzynarodowa prasa, najwyraźniej nie miał nic wspólnego z Sowietami. W rzeczywistości przeszłość i powiązania terrorysty razem dość jasno wskazywały na sieć neofaszystowskich tureckich terrorystów stojących za wcześniej popełnionym przez Agcę zabójstwem liberalnego tureckiego dziennikarza i, być może, także za dokonaną przez skazanego mordercę tajemniczą ucieczką z więzienia.

Ślady popierające teorię czerwonego spisku pojawiły się dopiero po przeszło roku po ataku na placu Świętego Piotra. To wtedy Agca złożył zeznania w swojej celi we włoskim więzieniu. Stwierdził, że trzech mieszkających w Rzymie Bułgarów nakłoniło go do dokonania tego niegodziwego czynu. Frakcja antykomunistyczna rzuciła się na tę sprawę, nadając całej aferze miano Bułgarskiego Łącznika; chwytliwy tytuł, godny szpiegowskiej powieści.

Głosiła ona, że Kreml, poprzez swoich pełnomocników w komunistycznej Bułgarii, spiskował, aby zamordować papieża - z zamiarem albo destabilizacji stosunków pomiędzy Turcją i NATO, albo ukrócenia zapędów buntowniczej Polski, zakażonego komunizmem rodzinnego kraju Ojca Świętego. Według tej teorii Bułgarzy uruchomili Agcę i jego faszystowskie kadry, aby przeprowadzić spisek, tym samym dając możliwość wypierania się udziału w tej sprawie przez ZSRR.

Jednak pomijając spóźnioną spowiedź Agcy, niewiele było wiarygodnych dowodów na poparcie hipotezy bułgarskiej . W

rzeczywistości uczciwe odczytanie dowodów sprzyja spiskowej teorii numer dwa: czerwony spisek był czerwoną zmyłką.

Nie wtajemniczonym należy wyjaśnić, że dwóch kluczowych dziennikarzy promujących tzw. Bułgarskiego Łącznika w amerykańskich mediach miało przeszłość prawicowych dezinformatorów. Claire Sterling pracowała uprzednio dla sponsorowanej przez CIA gazety, „Rome Daily American", i nawet weterani Agencji uznali jej książki

332

ukazujące powiązania Sowietów z międzynarodowym terroryzmem za wysoce niewiarygodne, naiwnie wypełnione umieszczonymi przez CIA propagandowymi kaczkami dziennikarskimi.

Drugim naganiaczem był Paul Henze, były propagan-dysta i weteran CIA, który uprzednio prowadził ekspozytury Agencji w Etiopii i Turcji.

Ale zanim jeszcze Henze i Sterling pojawili się na scenie, teoria wplątująca w tę sprawę Bułgarię i KGB miała podejrzane pochodzenie: zaledwie sześć dni po ataku Agcy na papieża skorumpowana włoska agencja wywiadowcza, SISMI, ujawniła dokument mówiący, jakoby pewien sowiecki urzędnik oświadczył na spotkaniu Układu Warszawskiego, że Agca był szkolony w ZSRR.

Później dokument okazał się fałszerstwem, jednak przyczynił się do podtrzymania antysowieckiej teorii spiskowej.

Inne dowody były równie chimeryczne. Sterling oparła się na zespole ludzi dobrze poinformowanych, takich jak tajemniczy bułgarski pułkownik X, którego doświadczone wschodnie oko mogło zauważyć wiele mówiące oznaki komuchowatych spisków. Innymi słowy, pułkownik X miał przeczucie, że było to dziełem Sowietów. Wśród rzekomych dowodów Henze'ego znajdowały się niejasne plotki krążące po Włoszech, podejrzenia, że Watykan oskarżył Moskwę, i zapewnienia, że przyszły uciekinier znający spisek prawie na pewno ujawni się w tych dniach.

Rzecz jasna Henze i Sterling nie poczuli się zniechęceni realnie istniejącymi dowodami wskazującymi, że dokonaną przez Agcę próbę zabójstwa sponsorowały neofaszystowskie Szare Wilki, młodzieżowe ramię tureckiej skrajnie prawicowej partii Turkes. Neofaszystowscy współbracia Agcy hojnie dostarczyli mu gotówkę oraz broń użytą przeciwko papieżowi. Nie zrażeni tymi poważnymi dowodami, Henze i Sterling zaczęli spekulować (bez choćby najmniejszego dowodu), że wysocy

333

rangą członkowie Szarych Wilków, faszystowskiej organizacji, której główne hasło brzmiało „śmierć komuchom", zdecydowali się wyrzucić do kosza swoją fanatyczną ideologię i postanowili współpracować z bułgarskimi komunistami.

Zawsze jednak pozostawało zeznanie Agcy, na którym można się było oprzeć. A może ono też było podejrzane? W rzeczywistości istniało wiele dowodów, w większości nie publikowanych przez amerykańską prasę, świadczących o tym, że Agca został skłoniony pochlebstwami i przekupstwem do wciągnięcia w sprawę Bułgarów.

Według wielu źródeł, urzędnicy znanej ze sprytu SISMI wywierali na Agcę nacisk podczas wizyt w więzieniu. W trakcie odbywającego się w latach 1985-86 procesu Bułgarów wskazanych przez Agcę, jeden ze świadków oskarżył byłych urzędników SISMI o uknucie zmowy, której celem było zmuszenie Agcy, aby wskazał na Bułgarów. Jeden z wymienionych przez niego ludzi SISMI, Francesco Pazienza, zaprzeczył, aby brał w tym udział, ale potwierdził, że inni urzędnicy SISMI rzeczywiście przypierali Agcę do muru.

Presja, aby obwinie Rosjan, miała pochodzić także z innych stron, włączając w to katolickiego kapelana więziennego. (W pewnym momencie Agca napisał kąśliwy list do Watykanu, skarżąc się na otrzymywanie pogróżek ze strony emisariusza watykańskiego.) Wśród stosujących potęgę perswazji był również przywódca mafii siedzący w tym samym więzieniu (twierdził, że SISMI naciskała na niego, aby groził Agcy), a także włoski sędzia, który przygotował sprawę przeciwko Bułgarom.

Mimo współpracy ze strony Agcy (a może z jej powodu) długo oczekiwany proces Bułgarów stał się czymś w rodzaju upokorzenia dla zwolenników teorii czerwonego spisku. Agca ustawił tonację procedury, gdy z miejsca zadeklarował, że jest Jezusem Chrystusem.

W dalszym ciągu przeczył samemu sobie, odwoływał

i zmienia! swoje wcześniejsze zeznania, tak jak to robił do tej pory.

Jeden z wielu przykładów: przed procesem Agca twierdził, że brał

udział w spotkaniu, które odbyło się w rzymskim apartamencie jednego z jego rzekomych bułgarskich przełożonych, Sergieja Antonowa. Agca szczegółowo opisał apartament. Jednak gdy później dokonano konfrontacji, Agca odwrócił swoją historię, twierdząc, że jednak nigdy nie odwiedził apartamentu Antonowa. Dziwne było to, że opisał mieszkanie Antonowa w drobnych szczegółach - z wyjątkiem jednego wyróżniającego się detalu architektonicznego obecnego w każdym innym apartamencie tego kompleksu poza apartamentem Antonowa. Skoro Agca nigdy nie był u Antonowa, to jak mu się wcześniej udało opisać jego apartament? Fakt, że pomylił

jeden kluczowy szczegół sugeruje, że Agca był wcześniej poinstruowany przez kogoś, kto spenetrował któreś z sąsiednich mieszkań.

Ostatecznie sąd oddalił oskarżenie przeciwko Bułgarom z powodu całkowitego braku dowodów. Oceniając fiasko sądu, jeden z ważnych włoskich dzienników skomentował, że tylko jedna rzecz jest jasna: Agca jest kłamcą.

W rzeczywistości skoordynowane wysiłki szczujących na

„czerwonych" dziennikarzy i badaczy dążących do zrzucenia winy na Sowietów sugerują istnienie operacji propagandowej ukierunkowanej na rozbudzanie nastrojów antykomunistycznych na całym świecie, a zwłaszcza w Polsce, gdzie oddolny ruch „Solidarności" został

stłumiony przez rząd. Aczkolwiek zimnowojenni konserwatyści w CIA forsowali teorię czerwonego spisku, to grupa analityków Agencji, którzy sprawdzili wszystkie dane, argumentowała, że było mało,

jeżeli w ogóle takowe były, wiarygodnych dowodów udziału ZSRR w tej sprawie. (Późniejszy dyrektor CIA, Robert Gates, znalazł się w opałach, gdy podczas przesłuchań w Senacie ujawniono, że z zamiarem zdemonizowania Imperium Zła nieprawidłowo przedstawił

raport analityków.)

335

Jeśli chodzi o motywy, dla których Agca strzelał do papieża, niektórzy sugerowali, że ultranacjonalistyczne Szare Wilki próbowały posiać terror i chaos w Turcji i poza jej granicami w celu zbudowania poparcia dla faszystowskiego puczu. Interesujące jest, że taki był

sposób działania włoskiego neofaszystowskiego podziemia, praktykującego tzw. strategię napięcia, zgodnie z którą neofaszyści podkładali bomby na dworcach kolejowych i popełniali inne akty terroru, a za to obwiniano później lewicę, w celu budowania poparcia dla skrajnej prawicy.

W rzeczy samej istnieją świadectwa spotkań między członkami Szarych Wilków a skrajnie prawicowymi włoskimi grupami terrorystycznymi, włącznie z paramasoń-ską lożą P2 i Ordine Nuova (Nowy Porządek). Dalej, w połowie lat osiemdziesiątych, Włosi dowiedzieli się, że członkowie P2 okopali się na prestiżowych stanowiskach w prasie, rządzie, a zwłaszcza w SISMI, włoskiej agencji wywiadowczej oskarżonej o wywieranie nacisku na Agcę.

Terrorystyczny atak bombowy na dworzec kolejowy w Bolonii w roku 1980, początkowo przypisywany lewicy, później poskutkował

skazaniem luminarzy P2, takich jak Francesco Pazienza (były urzędnik SISMI oskarżony o udział w instruowaniu Agcy) i włoski wróg publiczny numer jeden, neonazistowski terrorysta Stefano delia Chiaie.

Uciekający przed władzami włoskimi, Pazienza został później schwytany w Stanach Zjednoczonych. Powiedział amerykańskim urzędnikom celnym o spotkaniu w Miami w kwietniu 1981 roku, na miesiąc przed atakiem na papieża. Według Pazienzy, w spotkaniu brały udział Szare Wilki włącznie z Orałem Celikiem - który podobno towarzyszył Agcy na placu Świętego Piotra - i Stefano delia Chiaie.

Aczkolwiek twierdzenie Pazienzy nie zostało potwierdzone dowodami, próba zabójstwa papieża staje się bardziej sensowna w kontekście strategii napięcia włos-336

kiej ultraprawicy: tak jak wybuch bomby w Bolonii, neofaszystowska prowokacja, za którą obwiniono lewicę.

Istnieją wreszcie poszlaki, że zachodnie agencje wywiadowcze wcześniej wiedziały coś o spisku Agcy - ale niczego nie zrobiły, by go powstrzymać. Według kilku raportów, CIA dokładnie infiltrowała Szare Wilki. Władze RFN i Szwajcarii kontrolowały rozmowy telefoniczne Agcy, gdy przejeżdżał przez ich kraje - i najwyraźniej nie zadały sobie trudu, aby aresztować uciekiniera. Co jeszcze bardziej interesujące, w miesiącach poprzedzających atak Agcy, hrabia Alexandre de Marenches, prawicowy szef francuskich tajnych służb, podobno rozgłosił wieść o spisku bloku wschodniego, którego celem było zabicie papieża. Czy de Marenches wiedział już o spisku Szarych Wilków albo że zimnowojenni wojownicy będą następnie próbowali wmieszać w to Sowietów?

Nie ma ostatecznych dowodów, że zachodni przedstawiciele wywiadów odwrócili wzrok lub nawet popierali spisek Szarych Wilków, ale jest jasne, że wykorzystywali jego rezultaty. I dalej tak robią. To, co weteran propagandy CIA Henze napisał o Sowietach, może również zostać odczytane w inny sposób: „Dezinformacja może mieć długi żywot".

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Paul B. Henze. The Plot to Kill the Pope. Nowy Jork: Charles Scribners Sons, 1985.

Edward S. Herman i Frank Brodhead. The Rise and Fali of the Bulgarian Connection. Nowy Jork: Sheridan Sąuare Publications, 1986. Edward S. Herman i Noam Chomsky. Manufacturing Consent: The Political Economy of the Mass Media. Nowy Jork: Pantheon Books, 1988.

45. Spiski wokół Lincolna

Według konwencjonalnej historii, konspiratorów uczestniczących w spisku, prowadzącym do zabójstwa prezydenta Abrahama Lincolna, dosięgnęła sprawiedliwość w postaci ognia z lufy broni palnej i pętli katowskiego sznura. John Wilkes Booth, aktor, który z bliskiej odległości oddał strzał w głowę Lincolna z broni dużego kalibru, został śmiertelnie postrzelony przez żołnierzy federalnych w pobliżu Bowling Green w Wirginii dwa tygodnie po swoim wielkim wyjściu z miejsca przestępstwa w Teatrze Forda. Nieco później czterech współ-

konspiratorów Bootha poszło na szafot.

Jednak od chwili zamordowania prezydenta owego dżdżystego Wielkiego Piątku podejrzenia co do rzeczywistego charakteru spisku zaczęły jątrzyć sytuację. Czy rząd wiedział wcześniej o spisku Bootha? Czy Booth był tylko pionkiem wysoko postawionych graczy?

Jest czymś nieuchronnym, że w 125 lat po zbrodni dziewiętnastego stulecia fakty oraz wieść gminna bardzo się splątały. Mimo wszystko, w sytuacji gdy istnieje obfitość dziwnych zbiegów okoliczności i ciekawych zeznań protagonistów tych wydarzeń, pierwsze w historii zabójstwo amerykańskiego prezydenta w wielu sprawach pozostaje zagadką.

W spisek Bootha, przewidujący również próbę zamordowania sekretarza stanu Williama H. Sewarda (prze-341

żył), a także zabójstwo wiceprezydenta Andrew Johnsona (nigdy nie doszło ono do skutku dzięki tchórzostwu współkonspiratora), było zaangażowanych dziewięciu słabo sytuowanych przedstawicieli Północy (włącznie z Boothem), sympatyzujących jednak z Południem.

Zaciekła wojna secesyjna dopiero co się zakończyła, dlatego więc rządowi Północy przypadło zadanie zrzucenia na Południe winy za zamach, nie oszczędzając przy tym nawet prezydenta Konfederacji, Jeffersona Davisa. Oczywiście Północ nie mogła pozwolić, aby niewielka przeszkoda w postaci braku dowodów zaszkodziła tej sprawie; w czasie procesu wspólników Bootha rząd dokonywał wielu przekupstw, by uzyskać zeznania wskazujące na brudnych rebeliantów.

Abstrahując od spreparowanych dowodów, trzeba stwierdzić, że Booth rzeczywiście miał prowokacyjne powiązania z dygnitarzami Południa. Zażarty zwolennik Konfederacji (aczkolwiek niechętny wkładaniu

munduru i udziałowi w walce), ów egocentryczny aktor wykorzystywał swoją pozycję jako parawan dla szmug-lowania lekarstw na Południe. W związku z tym niektórzy historycy sądzą, że Booth był tajnym agentem Konfederacji.

Podczas odbytej w październiku 1864 roku podróży do Montrealu, konferował z Jacobem Thompsonem, szefem tajnych służb Konfederacji. Mniej więcej w tym samym czasie Booth przeprowadzał nabór do swojego wielkiego planu porwania Lincolna, w nadziei na wymianę swego prominentnego zakładnika na jeńców kon-federackich. Czy Booth zaproponował ten plan porwania Jacobowi Thompsonowi? - pyta historyk Theodore Roscoe.

Prawdopodobnie. Czy zasugerował zabójstwo Lincolna...? - Roscoe również to uznał za możliwe.

Innym czynnikiem często przedstawianym jako dowód roli Południa w spisku Bootha jest notatka znaleziona w jego okrętowym kufrze, podpisana przez jakiegoś Sama. Notatka dotyczyła sprawy wywiedzenia się,

342

jak Richmond, stolica Konfederacji, zareagowałaby na jakąś niesprecyzowaną aferę.

W ciągu dziewiętnastego wieku stały strumień pa-mfletów powiązywał Bootha z tzw. Copperheads - Północnymi Demokratami uważanymi za sympatyków Południa - oraz z ich tajnym stowarzyszeniem, Rycerzami Złotego Kręgu. Boston Corbett, będący w sprawie Lincolna kimś w rodzaju Jacka Ruby'ego, żołnierz, który zastrzelił Bootha w płonącej szopie, miał być religijnym szaleńcem, który wcześniej sam siebie wykastrował dla osiągnięcia duchowej czystości. Aczkolwiek później został zamknięty w szpitalu psychiatrycznym, to udało mu się zbiec i zniknąć bez śladu. Na jakim ołtarzu długowłosy Corbett miał zaofiarować swoją wieczną niewinność? Była nią sekta rosyjskich Skopców, wyznająca kult pogańskiej bogini, której kapłani nosili kobiece ubrania. Kult pogański? Ach, podsuńmy wskazówkę Illuminati. Ponieważ spiskolodzy - którzy lubią sytuować owe wszechpotężne osiemnastowieczne tajne stowarzyszenie bawarskie w samym środku naj paskudniej szych momentów historii - zastanawiają się, czy Illuminati maczali palce w zabójstwie Lincolna. Jeśli tak, to czy możemy być pewni, że Brat (a może jest to Siostra) Corbett rzeczywiście zabił Bootha?

Bardziej trwałe - i przyziemne - teorie głoszą, że Booth pracował dla zdrajców znajdujących się wewnątrz własnego rządu Lincolna, że uciekł z ich pomocą, i że niemoralny aktor dożył czerstwego sędziwego wieku na przyzwoitej rządowej emeryturze.

„Jeden człowiek niewspółmiernie skorzystał na zabójstwie Lincolna" -

oznajmił historyk Otto Eisenschiml w roku 1937. „Człowiekiem tym był jego minister wojny, Edward M. Stanton". Członek frakcji Radykalnych Republikanów, która stała w zaciekłej opozycji do łagodnego planu rekonstrukcji Południa popieranego przez Lincolna.

Stanton stanął przed szansą umocnienia swo-343

jej własnej pozycji, w razie gdyby zamiast tego Północ zaprowadziła twardą okupację wojskową.

W oczach Eisenschimla i innych rewizjonistycznych historyków zachowanie Stantona w okresie

bezpośrednio poprzedzającym zabójstwo, jak również później, było wysoce podejrzane.

•

Stanton odrzucił prośbę Lincolna, by zezwolił asystentowi ministra wojny, majorowi Thomasowi Eckertowi towarzyszyć prezydentowi na pamiętnym przedstawieniu w Teatrze Forda.

Wniosek, według Eisenschimla, jest taki, że Stanton wiedział o czymś, o czym nie wiedział Lincoln.

•

Mimo wielu gróźb zamordowania Lincolna - oraz wcześniejszej próby porwania przez Bootha, podczas której aktor zestrzelił z głowy Abe'a jego sławny cylinder - tylko jeden członek ochrony towarzyszył

prezydentowi w Teatrze Forda. W dodatku opuścił prezydenta w chwili potrzeby, by rozkoszować się czymś mocniejszym w pubie na rogu. Najwyraźniej ochroniarz nigdy nie poniósł konsekwencji swojego poważnego zaniedbania.

•

W noc zabójstwa komercyjne linie telegraficzne w Waszyngtonie - kontrolowane przez rząd podczas wojny -

najwyraźniej przestały działać, opóźniając przekazanie wiadomości o ucieczce Bootha. Niektórzy uważają to tajemnicze wydarzenie za dowód, że ludzie wewnątrz rządu pomagali zabójcy w ucieczce.

•

Istnieje również ciekawa sprawa dziennika Bootha, który zniknął

w sejfie Stantona po zabójstwie. Dopiero w kilka lat po procesie spiskowców dziennik został publicznie ujawniony i stał się rewelacją, która wywołała polityczną burzę. Wielce podejrzany wydaje się fakt braku w nim co najmniej osiemnastu stron. Lafayette C. Baker, szef Narodowej Policji Detektywistycznej (NDF), poprzedniczki współczesnej Secret Service, zeznał, że kiedy jego ludzie przekazali dziennik Stantono-wi, wszystkie jego strony były nie tknięte.

Inni tłumaczyli zniknięcie dziennika Bootha w lżejszych kategoriach.

Thomas Reed Turner sugeruje, że rząd zataił dziennik opisujący szczegóły planu porwania, chcąc uniknąć kłopotliwych pytań dotyczących jego własnej bezczynności wobec prób porwania prezydenta. Według Turnera, było coś więcej aniżeli tylko podejrzenie, iż rząd wiedział o spisku Bootha... Fakt, że potrafił tak szybko wpaść na trop głównych spiskowców świadczy, że była to grupa znajdująca się pod jego (rządu) nadzorem. Jednak nawet jeśli to prawda, pozostaje następujące pytanie: Dlaczego rząd nie wyeliminował Bootha i towarzyszy, zanim wybuchło całe to piekło?

• W dziwnej zaszyfrowanej depeszy napisanej przez szefa NDF

Bakera (który sam jest przedmiotem wielu podejrzeń) w trzy lata po zabójstwie, ten skorumpowany szef policjantów umieścił coś, co niektórzy uważają za rymowane zeznanie: „W Nowym Rzymie spacerowało trzech ludzi, Judasz, Brutus i szpieg. Każdy z nich planował, że będzie następcą, (sic!) gdy Abraham będzie miał

umrzeć... Gdy człowiek już upadł i leżał umierający, przyszedł Judasz i oddał hołd temu, którego nienawidził, i kiedy wreszcie zobaczył, jak umiera, powiedział, teraz należy on do wieków, a naród należy do mnie".

„Judasz" w oczywisty sposób odnosi się do Stantona, który pośpieszył

na miejsce zbrodni i wypowiedział swoje sławne słowa: „teraz należy on do wieków". Brutus może się odnosić do ojca Bootha, słynnego aktora Juniusa Brutusa Bootha; do samego Bootha; albo do bliskiego przyjaciela Lincolna, Warda H. Lamona, szefa policji federalnej Stanów Zjednoczonych na miasto Waszyngton, który często ostrzegał

Lincolna przed spiskami mającymi na celu zamordowanie go, i był

nieobecny w mieście owego fatalnego wieczoru. A co z Lamo-nem?

Jakiekolwiek by nie było jej prawdziwe znaczenie, wierszowana deklaracja Bakera kończy się następująco: „Lecz żeby ani jeden nie pozostał, by zastanawiać się,

345

co się stało ze szpiegiem, mogę bezpiecznie powiedzieć ci, że był to I.

Lafayette C. Baker 2-5-68". Nawet antyspiskowi historycy, tacy jak Thomas Reed Turner, przyznają, że tekst i podpis wyglądają na autentyczne.

Baker zmarł w kilka miesięcy po ułożeniu tego kryp-togramu, w wieku czterdziestu czterech lat. Jego żona uważała, że został otruty przez funkcjonariuszy rządowych.

Rzecz jasna, martwi nie opowiadają żadnych historii.

Producentom badawczych filmów dokumentalnych 0

yeti i arce Noego, firmie Schick Classic Productions, przypadło odkurzenie tajników sprawy. The Lincoln Conspiracy, książka i film z roku 1977, są w mniejszym stopniu katalogiem faktów, a bardziej pełnym wyobraźni kompendium możliwości zabójstwa. Na podstawie kontrowersyjnych, nie publikowanych wcześniej dokumentów, autorzy David Balsiger i Charles E. Sellier zaproponowali wersję super spisku, w którym cztery osobne grupy (niekoniecznie sympatyzujące ze sobą) sponsorowały spiski Bootha, mających na celu porwanie

1

zabójstwo. Byli nimi kolejno: Stanton i jego współbracia -

Radykalni Republikanie, którzy planowali przejąć władzę z pomocą Bakera; Jacob Thompson, arcyszpieg

Konfederacji, i jego odziani w szare mundury przełożeni w Richmond; bankierzy z Północy, i spekulanci bawełną, którzy zbili majątek na wojennej kontrabandzie i nienawidzili tego, że dobre czasy kończą się; oraz plantatorzy z Marylandu, których wściekłość na chuchającego na Murzynów Lincolna nie znała granic.

Jednakże Balsiger i Sellier zaproponowali jeszcze bardziej ambitną teorię, gdy skupili się na trwałej legendzie, zgodnie z którą Boothowi udało się przeżyć i uciec przed zmasowaną obławą federalną. The Lincoln Conspiracy głosi, że człowiekiem zabitym w szopie Garretta nie był Booth, lecz inny towarzyszący uciekinierowi rebeliancki agent, który nie miał nic wspólnego ze spiskiem Bootha. Był nim kapitan James William Boyd,

człowiek, który na swoje nieszczęście był uderzająco podobny do Bootha.

Szczęśliwie dla Bootha ów zdumiewający sobowtór (który był

jednakże o 15 centymetrów wyższy) wykazywał wiele innych przydatnych podobieństw, włącznie z inicjałami J.W.B., które miał

wytatuowane na ramieniu. Według Balsigera i Selliera, obaj panowie J.W.B. utykali z powodu poważnie zranionych nóg. (Booth złamał

swoją skacząc z loży prezydenta na scenę Teatru Forda, podczas gdy Boydowi odnowiła się stara rana z czasów wojny.) I jakby dla pełni szczęścia obu mężczyznom towarzyszyli zbiegli kompani, którzy ze swojej strony również wykazywali niesamowite podobieństwo. Jakby tego było mało, w swojej ucieczce nieszczęsny Boyd dołączył do prawdziwego współspiskowca Bootha.

Gdy szef NDF Baker poinformował Stantona, że jego ludzie zabili Boyda, a nie Bootha, zaczęło się tuszowanie sprawy. Teoria ta, podobnie jak i inne teorie o przeżyciu Bootha, opiera się na autentycznie osobliwych szczegółach dotyczących identyfikacji i pozbycia się zwłok, przeprowadzonych w największej tajemnicy.

Niewielu widziało zwłoki; oficjalna fotografia ciała została skazana na zapomnienie; własny lekarz Bootha miał problemy ze zidentyfikowaniem swojego byłego pacjenta, który nigdy wcześniej nie miał rudawych włosów. (Chłopcy z Classic Productions twierdzą, że Boyd miał... rudawe włosy!)

Twierdzenia Balsigera i Selliera o sobowtórach i ich utykaniu są nieco trudne do przełknięcia, tak samo jak nowo odkryte dokumenty, zawierające transkrypty (jednak nie oryginały) rzekomo będące brakującymi stronami dziennika Bootha.

Jakkolwiek nieprawdopodobna, legenda o przeżyciu Bootha jest bezsprzecznie nieśmiertelna. W latach dwudziestych naszego wieku zmumifikowane szczątki zapomnianego malarza, Johna St. Helen, będącego ponoć niegdyś Boothem, zrobiły umiarkowanie udaną karierę

pośmiertną. Zanim to nastąpiło, druga połowa dziewiętnastego wieku obfitowała w opowieści o uroczo starzejącym się dziadku Booth, świeżo przybyłym z Europy, Indii lub innych bardziej tajemniczych

miejsc, odwiedzającym krewnych albo wygłaszającym spowiedzi na łożu śmierci w mało urokliwych miejscach takich jak Enid, Oklahoma.

Parafrazując swobodnie groźnego ministra wojny Stantona, często określanego jako mocodawcę Bootha, można rzec: Teraz spiski wokół

Lincolna należą już do wieków.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

David Balsiger i Charles E. Sellier, Jr. The Lincoln Consipracy. Los Angeles: Schick Sunn Classic Books, 1977.

Michael Howard. Secret Societies: Their Influence and Power in World History. Rochester, VT: Destiny Books, 1989.

Theodore Roscoe. The Web of Conspiracy: The Complete Story of the Men Who Murdered Abraham Lincoln. Englewood Cliffs, NJ: Pren-tice-Hall, 1960.

Thomas Reed Turner. Beware the People Weeping: Public Opinion and the Assassination of Abraham Lincoln. Baton Rouge, LA: Louisiana State University Press, 1982.

42. Długie ramię prawa?

Było tuż po godzinie 6.00 dnia 4 kwietnia 1968 roku. Martin Luther King, Jr., stał na balkonie drugiego piętra motelu Lorraine w Memphis, gdy nagle kula snajpera przeszyła popołudniowe powietrze.

W jednej chwili wesoło przekomarzający się ze swoim kierowcą King padł na posadzkę, a kałuża krwi rozlała się dookoła jego głowy. Kilka minut później przywódca walki o prawa obywatelskie już nie żył.

Rzekomym zabójcą, schwytanym parę miesięcy później, był James Earl Ray, drobny opryszek, który wcześ-

niej nie wykazywał zdolności do żadnego przestępczego przedsięwzięcia bardziej wymyślnego od napadu na stację benzynową czy ucieczki z więzienia. W wyniku umowy między jego obrońcą a oskarżeniem (prokuraturą) Ray przyznał się do winy i otrzymał wyrok dziewięćdziesięciu dziewięciu lat więzienia. Jednakże potem odwołał

swoje zeznania, utrzymując, że jest niewinny. Od tej pory powtarza (bez powodzenia) próby zmierzające do przeprowadzenia ponownego procesu.

Czy Ray rzeczywiście zabił Martina Luthera Kinga? Dwie i pół

dekady po tym wydarzeniu pewne dowody zdają się potwierdzać główne twierdzenie Raya, że to nie on oddał śmiertelny strzał. To, co wiemy o owym pamiętnym dniu w Memphis, w sposób dosyć dramatyczny kieruje podejrzenia w inną stronę.

W ciągu dni i godzin prowadzących do zabójstwa Kinga, niezwykła fala agentów rządowych, informatorów, żołnierzy i szpiegów dyskretnie wmaszerowała do Memphis. Ich zadania do dziś pozostały niejasne - dokumenty rządowe, które mogłyby rzucić światło na tę sprawę, są w dalszym ciągu utajnione.

Jednakże jest pewne, że nie byli oni szczególnie zainteresowani w zapewnieniu Kingowi odpowiedniej ochrony. Jego coraz głośniej artykułowana opozycja wobec wojny w Wietnamie i docieranie do zbiedniałych białych zaczynały wywoływać obawy przed rewoltą na większą skalę. Wywiad wojskowy, który przez dziesiątki lat szpiegował Kinga, uważał go za wywrotowca i być może komunistę.

Teraz oni szykowali się do przygotowania planów, które mogłyby zaburzyć rozkład zajęć Kinga, zwłaszcza jego zbliżający się marsz na Waszyngton, określony w panikarskim raporcie wywiadowczym Pentagonu jako niszczycielskie rozruchy społeczne, których jedynym celem jest obalenie rządu Stanów Zjednoczonych. King był krajowym odpowiednikiem nieprzyjaciela zwalczanego za oceanem:

„Murzynem, który wielokrotnie głosił posłanie Hanoi i Pekinu".

Wbrew temu wojennemu kontekstowi King wrócił do Memphis, zapowiadając ponowne zorganizowanie pokojowego marszu w obronie strajkujących pracowników służb oczyszczania miasta. W

poprzednim tygodniu wiec Kinga, który się tam odbył, przerodził się w zamieszki, w wyniku których sześćdziesiąt osób zostało rannych, a jedna straciła życie.

Inspirowane histerycznymi przeciekami dyrektora FBI J. Edgara Hoovera media określały teraz powrót Kinga jako próbę generalną przed zamieszkami i grabieżą w Waszyngtonie.

Na scenie pojawili się ukradkiem agenci federalni, zachowując się tak, jakby wypowiedzieli Kingowi wojnę:

•

Wyprzedzając wizytę Kinga, 20 Grupa Sił Specjalnych Armii, stacjonująca w Alabamie, wysłała żołnierzy z jednostek Zielonych Beretów do wielu miast Południa włącznie z Memphis. Ich misja: przygotowanie map ulic, rozpoznanie stref lądowania dla jednostek do zwalczania rozruchów i wyszukiwanie pozycji dla snajperów -

podobno po to, aby stłumić niepokoje społeczne. Jednakże grupa ta była naszpikowana weteranami Grupy Operacji Specjalnych, którzy w Wietnamie współpracowali z CIA przy tajnych akcjach, włącznie z zabójstwami. Według pewnego byłego majora kontrwywiadu wojskowego cytowanego przez Memphis Commercial Appeal: „Nie można było wpuścić z powrotem do Stanów tej całej masy zwariowanych facetów, ponieważ nie potrafili oni zapomnieć swojego wyszkolenia". Tak więc armia „wrzuciła" ich do 20 Grupy Sił

Specjalnych w Birmingham. „Rolnicze Południe było wewnątrz kraju

- powiedział major - i niekiedy sprawy wymykały się spod kontroli".

Ku-Klux-Klan stał się krajową siecią wywiadowczą 20 Grupy, określaną jako „Specjalne Siły Klanu".

•

Według danych wojskowych uzyskanych w 1993 roku przez Memphis Commercial Appeal, 3 kwietnia agenci ze 111 Grupy Wywiadu Wojskowego przybyli do

350

Memphis, gdzie śledzili „ruchy Kinga i monitorowali informacje przekazywane drogą radiową z sedana naszpikowanego sprzętem elektronicznym".

•

Według Commercial Appeal w dniu zabójstwa Kinga również przebywało w Memphis „ośmiu żołnierzy Zielonych Beretów z Oddziału Operacyjnego Alfa wykonujących nieznaną misję".

•

Według ówczesnego policyjnego detektywa z Memphis, Eda Redditta, półtorej, nie więcej niż dwie godziny przed zabójstwem, został on wezwany ze swojego stanowiska dowodzenia przyległego do motelu Lorraine i szybko odwieziony do komendy policji. Redditt był

jednym z zaledwie dwóch funkcjonariuszy przydzielonych do ochrony Kinga. W biurze szefa policji „wyglądało to jak Kolegium Szefów Połączonych Sztabów" - powiedział później autorowi, Markowi Lane'owi. „W tym pokoju, tuż przed zamordowaniem Kinga, znajdowali się szefowie razem z zastępcami, jak mi się wydaje, każdej organizacji organów porządkowych na tym obszarze... Szeryf, patrol drogowy, wywiad wojskowy, gwardia narodowa. Niech pan to nazwie po swojemu".

Redditta przedstawiono agentowi Secret Service, który twierdził, że przyleciał z Waszyngtonu, aby ostrzec detektywa, iż pewna grupa w Missisipi dąży do pozbycia się go. Reddittowi, który był

Amerykaninem afrykańskiego pochodzenia, polecono opuścić swoje stanowisko i udać się do domu. Jak się dowiedział wiele lat później, rzekoma groźba śmierci okazała się fałszywym alarmem.

•

Pierwszą osobą, która znalazła się przy śmiertelnie rannym Kingu, był Marrell McCullough, rzekomo czarny radykał, lecz w rzeczywistości gliniarz w cywilu obserwujący otoczenie pastora dla policji z Memphis i FBI. Zdaniem Marka Lane'a krótko po zabójstwie McCullough pracował również dla CIA.

•

Zachowanie policjantów mogło wydawać się podejrzane. Szef policji i straży pożarnej w Memphis usunął

351

dwóch czarnych strażaków stacjonujących w remizie przylegającej do motelu Lorraine. Remiza ta, Stacja 2, stała się miejscem, z którego detektyw Redditt nadzorował i chronił Kinga aż do momentu, gdy został ściągnięty z tego stanowiska.

Według dokumentów FBI, Biuro słyszało mniej więcej o około pięćdziesięciu groźbach zabicia Kinga; ostatnią odebrano na trzy dni przed jego śmiercią. Mimo sygnałów ostrzegawczych miejscowa policja wycofała swoje jednostki taktyczne na odległość kilku przecznic od motelu Kinga. Nie zablokowała też ulic ani nie rozesłała do jednostek wyczerpującego biuletynu po zamachu. W rezultacie zabójca - albo zabójcy - miał otwartą drogę ucieczki.

Zabójstwo natychmiast określono jako dzieło, jakże często pojawiającego się w takich przypadkach, apolitycznego samotnika.

Dwa miesiące po morderstwie policja londyńska aresztowała Jamesa Earla Raya jako głównego podejrzanego. Ray, czterdziestoletni biały uciekinier, w istocie opuścił Memphis kilka chwil po śmiertelnym strzale. Bez wątpienia był on w jakiś sposób powiązany z zabójstwem

- czemu nigdy zresztą nie zaprzeczał.

Dowody zebrane przeciwko Rayowi faktycznie wyglądały przekonująco, być może nawet zbyt przekonująco. Były wśród nich odciski palców na karabinie z celownikiem optycznym, który znaleziono na chodniku przed hotelikiem pośledniej kategorii naprzeciw motelu Lorraine. Ray rzeczywiście zameldował się tam wcześniej tego samego dnia pod innym nazwiskiem. Razem z bronią zawinięty był cały asortyment przedmiotów będących osobistą własnością Raya, włącznie z wydanym mu w więzieniu aparatem radiowym zabranym podczas jego ucieczki z miejsca odosobnienia w poprzednim roku.

Świadkowie z pensjonatu zeznali, że zauważyli ubranego na ciemno mężczyznę, którego uważano za nowego „lokatora", biegnącego poprzez hall drugiego piętra

kilka chwil po strzale. W ręku trzyma! długi zapakowany przedmiot.

Około minuty później właściciele sklepu płytowego na parterze pensjonatu ujrzeli podobnie ubranego człowieka biegnącego obok szyby wystawowej, upuszczającego pakunek na asfalt z dobrze słyszalnym łoskotem. Po chwili zobaczyli człowieka w białym mustangu ruszającego gwałtownie z zakrętu z głośnym piskiem opon.

Delikatnie mówiąc, fakty te nie sprzyjały Rayowi. Nie tylko dlatego, że okno pokoju Raya wychodziło na balkon motelu Lorraine; podobnie jak okno wspólnej łazienki na tym samym piętrze, skąd, jak twierdziło kilku świadków, padły strzały. Meble w pokoju Raya były ustawione tak, aby ułatwić dostęp do okna, a wśród przedmiotów osobistych Raya wyrzuconych poniżej na chodnik znajdowała się lornetka zakupiona przez niego owego popołudnia.

Chaotyczne wypowiedzi Raya nie pomogły jego sprawie.

Utrzymywał, że był kozłem ofiarnym spisku zorganizowanego przez tajemniczą postać imieniem Raoul, którego opisywał w różny sposób, raz jako „latynoskiego blondyna", kiedy indziej jako „rudego francuskiego Kanadyjczyka" oraz „latynoskiego Hiszpana" o kasztanowych włosach. Zdaniem Raya, Raoul wynajął go w Montrealu w poprzednim roku jako kuriera w przedsięwzięciu dotyczącym przemytu broni.

Jak powiedział Ray, karabin i lornetkę kupił na polecenie Raoula.

Karabin miał być modelem do zademonstrowania przyszłym nielegalnym nabywcom. Mimo że jego szef kazał Rayowi zostać w pobliżu samochodu zaparkowanego obok domu noclegowego, Ray twierdził, że pojechał do pobliskiej stacji benzynowej. Gdy powrócił

do pensjonatu, jak później oświadczył, pandemonium trwało już w pełni. Sądząc, że transakcja z bronią organizowana przez Raoula obrała niekorzystny przebieg, Ray, jak oświadczył, wyjechał w pośpiechu poza miasto, dopiero później dowiadując się o zastrzeleniu Kinga.

353

Aczkolwiek wydaje się, że oficjalna wersja wydarzeń przedstawia możliwą do szybkiego zamknięcia sprawę przeciwko Rayowi -

wspartą jego początkowym przyznaniem się do winy - to jednak istnieje wiele sprzeczności:

•

Liczni świadkowie twierdzili, że obok zapchlonego pensjonatu w Memphis stały zaparkowane dwa mustangi. Czy mężczyzna podobnej postury mógł podszywać się pod Raya, ostentacyjnie upuszczając karabin na oczach przechodniów i następnie oddalając się w samochodzie takim samym jak wóz Raya?

•

Zapakowanie przez Raya jego łatwych do rozpoznania przedmiotów osobistych razem z domniemanym narzędziem zbrodni byłoby szczytem głupoty. Późniejsze wyrzucenie przez niego trefnego pakunku na oczach świadków, kilka kroków od własnego samochodu, jest wręcz nie do uwierzenia. Z drugiej strony, właśnie to mógł zrobić ktoś chcący rzucić podejrzenia na Raya.

•

Jeden tylko „świadek", Charles Stephens, rozpoznał w Rayu człowieka, którego widziano uciekającego z pensjonatu. Początkowo Stephens zaprzeczył, jakoby Ray był człowiekiem wybiegający z łazienki, ale po zmiękczeniu go w więzieniu, zmienił swoją wersję.

Jednakże później odwołał ją i poskarżył się, że został zmuszony do podpisania fałszywego oświadczenia pod przysięgą.

Grace Stephens utrzymuje, że w chwili gdy rozległ się strzał, jej męża nie było nawet w budynku. To ona, a nie jej mąż, widziała mężczyznę uciekającego przez hall. „W moim umyśle nie ma żadnej wątpliwości

- od początku twierdziła pani Stephens. - To nie był James Earl Ray.

To był całkiem inny mężczyzna".

Zapewne Stephensowie nie są najbardziej wiarygodnymi ze świadków; w owym czasie oboje dużo pili. Jednakże jest wydarzeniem niewątpliwie podejrzanym, że wkrótce po uwięzieniu jej męża Grace została nielegalnie izolowana w zakładzie dla umysłowo chorych.

Według jej adwokata została ona „zamknięta" w domu wariatów, ponieważ jej głośne oświadczenia zagrażały oskarżeniu prokuratury przeciw Rayowi.

• Mimo że na karabinie i różnych spakowanych z nim przedmiotach znaleziono odciski palców Raya, nietypowe było to, że FBI potrzebowało wielu tygodni, by dopasować je do Raya, zbiegłego skazańca. Nie znaleziono natomiast żadnych odcisków Raya ani w jego pokoju, ani na pudełku wypełnionym nabojami.

Istnieją jeszcze inne tajemnicze wydarzenia, które zadają kłam scenariuszowi samotnego wariata: Gdy Ray zbiegł przed władzami do Toronto i zaszył się w pensjonacie, odwiedziła go osoba, która stała się znana jako gruby mężczyzna. Gruby mężczyzna wręczył

przestraszonemu uciekinierowi pewną kopertę. Najwyraźniej Ray nie przejął się tym, iż nieznajomy mógł być policjantem, ponieważ według dozorcy pensjonatu jego izolujący się gość w sposób nietypowy dla siebie powitał mężczyznę w drzwiach wejściowych.

Wyglądało na to, że tajemniczy nieznajomy dostarczył plik gotówki, jako że już następnego dnia Ray wykupił bilet lotniczy do Londynu.

Władze kanadyjskie odszukały później grubego mężczyznę.

Opowiedział on nieprawdopodobną historię, która mimo wszystko zadowoliła policję: Po prostu znalazł kopertę z adresem Raya i postanowił zwrócić ją właścicielowi. Ale gdy autor Philip Melanson wytropił go i skonfrontował wiele lat później, gruby mężczyzna powiedział, że odmówił zeznawania w 1968 roku, aby uniknąć kuli w głowę. Później dodał bez owijania w bawełnę: „Ray i ci ludzie to gangsterzy. Zabiją każdego".

Jednak najlepsze i najmroczniejsze dowody spisku polegają na zastosowaniu przez Raya skomplikowanego systemu fałszywych nazwisk w ciągu miesięcy poprzedzających zabójstwo, i tych, które bezpośrednio po nim nastąpiły.

Wszystkie cztery przybrane nazwiska Raya są powiązane ze sobą w jeden kluczowy sposób: były to nazwiska prawdziwych osób żyjących niedaleko siebie w Toronto. Co ciekawsze, Ray odwiedził Toronto tylko raz w swoim życiu: gdy był zbiegiem, bezpośrednio po śmierci Kinga. Jednak używał on kilku z tych fałszywych tożsamości na wiele miesięcy przed zabójstwem. W jaki sposób Ray uzyskał te nazwiska?

Jak zwykle jego tłumaczenia były wykrętne.

Melanson wytropił Kanadyjczyków, i scenariusz, który szczegółowo opisuje, przyprawia wręcz o dreszcze.

Na wiele miesięcy przed zabójstwem Ray używał nazwiska Erie Starvo Galt. Melanson odkrył, że w tym samym okresie człowiek z Toronto nazwiskiem Erie Galt podpisywał swoje imię środkowe, St.

Vincent, jako St. V., gryzmoląc koślawe kółka dla zaznaczenia interpunkcji w ten sposób, że pełne nazwisko dla niewtajemniczonych wyglądało jak Erie Starvo Galt. Wykazując imponujący zmysł

odkrywczy, Melanson odkrył, że w pewnym momencie prawdziwy Erie St. Vincent Galt zmienił swój podpis i zaczął podpisywać dokumenty i czeki osobiste jako Erie S. Galt. Mniej więcej w tym samym czasie amerykański przestępca-recydywista James Earl Ray zmienił swoje nazwisko na Erie S. Galt. A było to na wiele miesięcy przed pierwszą i jedyną wizytą Raya w Toronto!

Były też inne niesamowite zbieżności pomiędzy Ra-yem a Kanadyjczykami, których nazwiska w oczywisty sposób podkradł -

zwłaszcza Galtem. Obaj mieli blizny nad oczami. Co ciekawsze pozostali Kanadyjczycy również mieli znamiona na twarzach. Na cztery miesiące przed zabójstwem Ray - rabuś małego kalibru -

poddał się kosztownemu zabiegowi chirurgii plastycznej, który zmodyfikował jego bardzo wyróżniający się szpiczasty nos, jak twierdzi Melanson, upodabniając go jeszcze bardziej do prawdziwego Galta. Co więcej, kanadyjski Galt był wykwalifikowanym strzelcem, często wożącym

broń w swoim samochodzie, gdy jechał na strzelnicę, i odwiedził

miasta amerykańskiego Południa, w których bywał Ray.

Teza Melansona jest bardzo przekonująca: Te zbieżności nie mogą być dziełem przypadku. Czy ktoś próbował zwrócić uwagę na tych czterech nieszczęsnych Kanadyjczyków? W rzeczy samej, tak właśnie się stało. Podczas poszukiwań zabójcy Kinga stali się oni nieświadomymi ofiarami przybranych nazwisk Raya. W czasie

„największego w historii polowania na ludzi" Galt ujrzał swoje nazwisko wydrukowane w sążnistych nagłówkach. Gdyby FBI nie zidentyfikowało odcisków palców Raya na karabinie, niewinny Galt prawie na pewno zostałby głównym podejrzanym.

Jaki był cel tego skomplikowanego żonglowania przybranymi nazwiskami Raya? Według Melansona, Galt był kluczem. Galt był

czymś więcej aniżeli tylko przykrywką. Był człowiekiem, który mógł

zostać wmieszany w zabójstwo przynajmniej na pewien czas, aż Ray zdążyłby uciec. Dwóch pozostałych Kanadyjczyków w dogodny sposób mieszkało w pobliżu Galta, tak że policja mogłaby dojść do błędnego wniosku, iż prawdziwy Galt uprzednio ukradł im swoje trzy

„nazwiska". Mówiąc krótko, niczego nie spodziewający się Galt został

„pod-szykowany" do tego, aby być „człowiekiem dla zmyłki".

Zbieżności „były z pewnością bardziej wynikiem spiskowego planowania niż przypadku", konkluduje Melanson, dodając, że

„przekraczało to możliwości małego rzezimieszka, jakim był Ray".

Melanson argumentuje, że spiskowcy prawdopodobnie wybrali Galta i ściągnęli istotne punkty jego życiorysu poprzez uzyskanie dostępu do jego tajnych akt personalnych, jako że Galt był pracownikiem kanadyjskiej firmy z resortu obronności, pracującej nad tajnym projektem rakietowym dla armii USA. Jego akta znajdowały się w Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej (RCMP).

357

CIA rutynowo wymienia informacje z RCMP, co stwarza możliwość, iż amerykański wywiad maczał palce w dokładnie przygotowanym dossier Galta - oraz w morderstwie Martina Luthera Kinga, Juniora.

Podczas gdy niektórzy badacze zabójstwa uważają Raya za całkowicie niewinnego kozła ofiarnego, inni sugerują, że odegrał on pewną rolę w spisku, aczkolwiek być może nie był tym, który pociągnął za spust.

Melanson, który należy do tej ostatniej szkoły, sugeruje, że gdyby Ray osiągnął końcowy cel swojej podróży, Angolę, zostałby dyskretnie zamordowany.

Przez co zataczamy pełne koło z powrotem do chimerycznego

„Raoula", domniemanego szefa Raya. Ray rzekomo spotkał Raoula w Montrealu. W roku 1968 kanadyjski dziennikarz wytropił pewną podobną do Raoula osobę w tym mieście, o nazwisku Jules Ron „Ric-co" Kimble. Ów amerykański emigrant był również znany jako

„Rolland" albo „Rollie".

Aczkolwiek Specjalna Komisja Kongresu ds. Zabójstw oświadczyła, że Kimble zaprzeczył, jakoby miał swój udział w przygotowaniu morderstwa, to w roku 1989 powiedział on reporterom Johnowi Edgintonowi i Johnowi Sergeantowi, że rzeczywiście był zamieszany w spisek, który doprowadził do zabicia Kinga. Według Kimble'a w spisku brały udział CIA i FBI, mafia i Ray. (Obecnie Kimble odsiaduje w El Reno w Oklahomie wyrok podwójnego dożywocia za dwa morderstwa, które według niego miały charakter polityczny.) Kimble teraz przyjmuje na siebie odpowiedzialność za przedstawienie Raya pracownikowi CIA w Montrealu, który zaaranżował fałszywe nazwiska Raya. Jednak czy to sam Kimble był tajemniczym Raoulem?

Niestety, historia się zaciemnia, jako że reporterzy Edginton i Sergeant cytują anonimowego „byłego agenta CIA", który jakoby potwierdził, że Agencja zatrudniła pracownika stacjonującego w Kanadzie i specjalizującego się w tworzeniu fałszywych tożsamości.

Nazwisko pracownika? Raoul Maora.

358

Dowody uUziału rządu w zabójstwie Kinga są wyraźnie poszlakowe.

Jednak gdy je traktować łącznie - masowa obecność przedstawicieli amerykańskiego wywiadu i organów porządkowych w Memphis, rozbieżności w dowodach przeciwko Rayowi, kanadyjskie fałszywe nazwiska oraz fakt, że wygląda na to, iż Ray korzystał ze skomplikowanej sieci, która go finansowała - scenariusz staje się jednak coraz bardziej interesujący.

Rzekoma nieobecność FBI na miejscu zbrodni jest szczególnie dziwna. Biuro utrzymywało, że nie nadzorowało Kinga w Memphis.

Jednak przez lata był on celem patologicznej krucjaty Hoovera zmierzającego do zniszczenia „Czarnego Mesjasza", jak nazywano Kinga w żargonie FBI. Wycofanie przez FBI swoich niezmordowanych psów gończych akurat w chwili, gdy „zagrożenie"

prawa i porządku ze strony Kinga osiągało swój szczyt, nagina wiarygodność Biura do granic wytrzymałości.

Memorandum FBI, które miało zostać sporządzone na niecały rok przed śmiercią Kinga w Memphis, wygląda na przewidujące.

Stwierdzało, że informator CIA „czuje, że gdzieś w murzyńskim ruchu, na samym jego szczycie, musi być jakiś czarny przywódca, który jest czysty, który mógłby wejść w próżnię i chaos, gdyby Martin Luther King został skompromitowany albo zamordowany". Nigdy nie pojawił się żaden następca tronu - aczkolwiek ultrapodejrzliwi badacze spisków zauważają, że Jesse Jackson pojawił się publicznie wkrótce po strzelaninie, w koszuli poplamionej krwią poległego męczennika - tak czy inaczej, być może dzięki zwykłemu szczęściu, spełniło się życzenie Hoovera i jego ludzi.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

John Edginton i John Sergeant. The Murder of Martin Luther King, Jr.

Covert Action Information Bulletin, nr 34 (lato 1990). Mark Lane i Dick Gregory. Murder in Memphis: The FBI and the Assassination of Martin Luther King. Nowy Jork: Thunders Mouth Press, 1993.

Philip H. Melanson. The Murkin Conspiracy: An Investigation Into the Assassination of Dr. Martin Luther King, Jr. Nowy Jork: Praeger Publishers, 1989.

43. Robert Kennedy musi umrzeć!

Zabicie Roberta F. Kennedy'ego, senatora, który niewątpliwie zostałby wybrany na prezydenta, jest jednocześnie pozornie prostszą, a mimo to jeszcze bardziej tajemniczą zbrodnią aniżeli zabójstwo jego brata, prezydenta.

Wiele możliwych kluczy do zabójstwa Johna F. Kennedyego (J.F.K) leży w dokumentach, wydarzeniach i zeznaniach świadków, przy czym wiele z nich zostało zebranych przez dwie osobne komisje rządowe. Zazębiające się operacje wywiadowcze, wojskowe oraz świata podziemnego, które w jakiś sposób wydają się ciążyć na wydarzeniach w Dallas, w większym lub mniejszym stopniu, mówią same za siebie. Lee Harvey Oswald ostateczną tajemnicę J.F.K mógł

zabrać do grobu, ale pozostawił za sobą ślady na papierze.

Tajemnice zabójstwa Roberta Kennedy'ego leżą zamknięte w najpewniejszym skarbcu ze wszystkich - w umyśle człowieka. Shirhan Bashira Shirhan, do dnia dzisiejszego siedzący w więzieniu z wyrokiem śmierci zamienionym na dożywocie, nigdy nie potrafił

przypomnieć sobie, co wydarzyło się w nocy 5 czerwca 1968 roku, gdy wynurzył się z tłumu i zaczął strzelać w stronę Kennedy'ego. W

odróżnieniu od zaangażowanego politycznie Oswalda, Shirhan nigdy nie miał żadnych wyraźnych przekonań politycznych. Również w odróżnieniu od Oswalda - marynarza-globtrotera, którego biografia jest kryptogramem złożonym z wielu powiązań, życie Shirhana w okresie prowadzącym do zabójstwa wyróżnia się jedynie brakiem czegokolwiek,

360

co by je wyróżniało. Nigdy nie ujawniono żadnego zadowalającego motywu jego czynu, ponieważ nawet on nie wie, dlaczego zastrzelił

Kennedy'ego - i wreszcie, czy w ogóle to zrobił.

Przytoczmy najpierw fakty. Później pojawią się pytania.

W noc prawyborów w stanie Kalifornia, Robert Kennedy - senator z Nowego Jorku, były prokurator generalny Stanów Zjednoczonych i, oczywiście, młodszy brat prezydenta zamordowanego cztery i pół

roku wcześniej - świętował kluczowe zwycięstwo w tym dużym stanie, wygłaszając przemówienie w siedzibie swojego sztabu wyborczego, w eleganckim hotelu Ambassador w Los Angeles.

Wydawało się rzeczą niemalże pewną, iż wygrana w Kalifornii umożliwi mu wyprzedzenie Huberta Humphreya - chwiejnego wiceprezydenta w administracji Lyndona Johnsona - i liberała Eugene'a McCarthy'ego w wyścigu do prezydenckiej nominacji Partii Demokratycznej na konwencji tej partii owego lata w Chicago.

Po poderwaniu swoich zwolenników wezwaniem, „Naprzód do Chicago! Wygrajmy tam!", Kennedy opuścił podium idąc przez spiżarnię kuchni hotelu Ambassador. Miejsce to było zatłoczone od rozgrzanych ciał. Były to dni, zanim jeszcze Secret Service uzyskało prawo do ochrony kandydatów do prezydentury na równi z samym prezydentem, i z jakiegoś powodu Departament Policji Los Angeles (LAPD) nie był obecny (departament twierdził później, że Kennedy polecił im się nie mieszać, chociaż jest to twierdzenie, które nigdy nie zostało uzasadnione i najwyraźniej miało na celu - tak samo jak wszelkie inne koncepcje propagowane przez obrońców oficjalnej wersji pierwszego zabójstwa Kennedy'ego - zrzucenie w jakiś sposób odpowiedzialności za własną śmierć na ofiarę.) Gdy Kennedy przepychał się przez ciżbę, młody mężczyzna o ciemnej karnacji - później zidentyfikowany

361

jako cierpiący na częściową amnezję Shirhan - skoczył w stronę senatora krzycząc: „Kennedy, ty sukinsynu!" Oddał serię strzałów z pistoletu kaliber 0,22. Kennedy upadł, krew ciekła z tyłu jego głowy i rozlewała się powoli na podłodze spiżarni.

Następnego dnia senator już nie żył.

Pięć miesięcy później Richard Nixon, który osiem lat wcześniej przegrał ze starszym bratem Kennedy'ego najmniejszą liczbą głosów w historii USA, pokonał zastępującego Kennedy'ego kandydata z ramienia Partii Demokratycznej (Humphreya) drugą najmniejszą w historii przewagą głosów.

Śledztwo przejął Departament Policji Los Angeles (LAPD), w owym czasie najbardziej szanowana w kraju miejska instytucja porządku publicznego, tworząc grupę zadaniową pod nazwą Special Unit Senator (Jednostka Specjalna Senator). Zdecydowany nie powtórzyć

„błędów z Dallas", LAPD przygotował ewidentną sprawę przeciwko samotnemu zabójcy, którego w rezultacie łatwo skazano.

Jednak w stosunku do wersji oficjalnej pojawiły się rozbieżności i pominięcia. Oto niektóre z najważniejszych:

•

Krew płynąca z głowy Kennedy'ego pochodziła z rany za jego prawym uchem. Oparzenia od prochu wskazywały, że strzał padł z odległości kilku centymetrów. Shirhan był cały czas przed Kennedym.

Nawet przyjmując wytłumaczenie ad hoc (i fałszywe), że Kennedy nagle odwrócił głowę od strzelca, Shirhan nigdy nie podszedł bliżej niż na odległość metra czy dwóch. Ten jeden dowód wskazuje, że nie ma fizycznej możliwości, aby Shirhan był jedynym zabójcą. Thomas No-guchi, koroner, który określił pozycję śmiertelnej rany, został

zwolniony i musiał sądownie odzyskać pracę.

•

W oparciu o dowody w postaci dziur od pocisków oraz pocisków znalezionych w spiżarni, należy stwierdzić, że wystrzelono co najmniej trzynaście razy. Pistolet Shirhana był ośmiostrzałowy i doliczono się tylu strzałów z tej broni po wydobyciu kul z ciała Kenne-362

dy'ego oraz ciał innych rannych ofiar. LAPD tłumaczył obecność większej liczby dziur od pocisków twierdząc, że były to „wgłębienia spowodowane przez wózki do żywności" i utajnił zdjęcia swoich własnych funkcjonariuszy badających inne dziury. Panele sufitowe i framugi drzwi, gdzie zauważono i sfotografowano dodatkowe dziury od pocisków, zostały zniszczone.

• Co najmniej pięciu świadków - według raportów policyjnych -

widziało kobietę w sukience w groszki uciekającą z miejsca zabójstwa. Niektórzy ze świadków - w szczególności pewna młoda pracowniczka kampanii Kennedy'ego nazwiskiem Sandra Serrano -

słyszeli, jak kobieta radośnie krzyczała „Zastrzeliliśmy go!" Serrano zapytała tajemniczą kobietę - kogo zastrzelili. „Senatora Kennedy'ego" - odpowiedziała kobieta spiesząc do wyjścia. Pewna para zidentyfikowana jedynie jako Bern-steinowie, krótko przesłuchiwana przez policjanta z patrolu, opowiedziała tę samą historię, ale oni znajdowali się na zewnątrz hotelu, około trzydziestu metrów w dole schodów od pozycji Serrano, gdy odbyli krótką wymianę zdań z kobietą, która ciągle krzyczała „Zastrzeliliśmy go!

Zabiliśmy go!" Bernsteinowie (których później nie dało się zlokalizować) również zapytali kobietę: Kto został zastrzelony? - i uzyskali tę samą odpowiedź.

Shirhan zawsze utrzymywał, że zanim został powalony na ziemię, między innymi przez zawodowego gracza futbolu Rosy Griera, który owego wieczoru był ochroniarzem Kennedy'ego, jego ostatnim wspomnieniem z owego popołudnia było wypicie kawy w towarzystwie młodej kobiety. Serrano i jeszcze jeden świadek, Thomas DiPierro, twierdzili, że przed strzelaniną widzieli Shirhana w towarzystwie kobiety w sukience w groszki.

LAPD zareagował na ich oświadczenia delegując En-riąue Hanka Hernandeza, by przeprowadził na obu tych osobach testy prawdomówności, nie tyle dla sprawdzenia prawdziwości ich opowieści, co w celu zastraszenia ich, by odwołali zeznania, co też oboje zrobili, pod

bezlitosnym i często wykraczającym poza prawo naciskiem Hernandeza.

Raport policjanta z patrolu na temat świadectwa Bernsteinów zniknął

z akt LAPD. Funkcjonariusze policji prowadzący śledztwo twierdzili, że kobietą w sukience w groszki była Valerie Schulte, atrakcyjna studentka Uniwersytetu Kalifornijskiego Santa Barbara, stale pojawiająca się w pobliżu Kennedy'ego. Schulte była tam i miała na sobie sukienkę w groszki, ale sukienka i groszki na niej były innego koloru niż zeznawano; oprócz tego nie pasowała ona do opisu podanego przez Serrano i DiPierro (oboje przy tym stwierdzili, że kobieta w sukience w groszki miała śmieszny nos). Schulte, będąca kimś w rodzaju sympatyczki Kennedy'ego, przypuszczalnie również nie zbiegłaby ze sceny krzycząc: „Zastrzeliliśmy go!" w przypływie radości.

Już te trzy punkty powinny były wystarczyć, by ukierunkować dochodzenie w stronę spisku mającego na celu zabójstwo; i co równie ważne, aby odebrać prowadzenie śledztwa LAPD, który z wyprzedzeniem wyraźnie uznał, że jego własnym interesom najlepiej służyłoby zablokowanie wszelkich niewygodnych kierunków śledztwa mogących ujawnić spisek, mający na celu zabicie prawdopodobnego przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Spisek uknuty na terenie własnej nienaruszalnej jurysdykcji LAPD.

Poza „ratowaniem twarzy", istnieją też inne możliwe - aczkolwiek bardziej spekulatywne - powody, dla których LAPD raczej hamowałby niż rozwijał tropy spisku. Głównym prowadzącym śledztwo ze strony Specjalnej Jednostki Senator człowiekiem, który podejmował wszystkie decyzje, był Manny Pena, funkcjonariusz LAPD ściągnięty z emerytury na tę okoliczność. Tak naprawdę jednak nigdy nie przeszedł on na emeryturę. Pracował bowiem dla CIA.

Agencja miała umowę o współpracy z policjantami z Los Angeles i Pena podobno uczestniczył w licznych

zadaniach wykonywanych dla CIA pod przykrywką Agencji Rozwoju Międzynarodowego (AID). Agencja ta, przypuszczalnie znana ludziom dobrze poinformowanym jako Departament Brudnych Sztuczek CIA, posądzana była o specjalizowanie się w technikach zabójstw.

Poprzez Penę - i być może Hernandeza, który także chełpił się udziałem w tajnych operacjach zamorskich

- CIA staje się podejrzana o tuszowanie faktów wskazujących na spisek.

Dlaczego tak zaciemniono całą sprawę?

Sam Shirhan jest najdziwniejszym elementem tej łamigłówki. Jego zaniki pamięci; jego automatyczne notatki, włącznie z powtarzającym się gryzmołem „R.F.K. musi umrzeć!" nabazgranym chaotycznie w notatnikach, które LAPD z jakiegoś powodu uznał za odpowiednie do tego, by je określić jako „dzienniki". Analiza przeprowadzona przez byłego oficera wywiadu wojskowego, który dał Shirhanowi Ocenę Stresu Psychologicznego i świadectwo świadka, w późniejszym procesie cywilnym, wywołujące u znajomych Shirhana przeświadczenie, że był on w „transie" - wszystko to prowadzi do jednej dziwacznej acz nieuchronnej konkluzji: Shirhan Shirhan był

zahipnotyzowany, gdy strzelał do Roberta Kennedy'ego.

Psychiatra obrony, dr Bernard Diamond, usiłował wytłumaczyć diagnozę, której nie mógł zanegować, tezą, że Shirhan musiał

zahipnotyzować siebie samego. Po skazaniu Shirhana na śmierć, dr Eduard Simson-Kallas, ówczesny szef więziennego programu oceny psychologicznej, spędził trzydzieści cztery godziny badając Shirhana.

W wywiadzie udzielonym agentowi FBI, który stał się reporterem dochodzeniowym, Williamowi Turnerowi, Simson-Kallas nazwał

diagnozę Diamonda „psychiatrycznym błędem stulecia".

Cytowany w książce Turnera The Assassination of Robert F. Kennedy (Zabójstwo Roberta Kennedy'ego)

Simson-Kallas twierdzi, że autohipnoza nigdy nie sięga tak głęboko, aby pociągnąć za sobą blokady pamięci, i podczas gdy częściowa amnezja może być wynikiem schizofrenii, to Shirhan nie wykazywał

żadnych innych objawów tego schorzenia.

Turner i jego współautor, John Christian, argumentują, że Shirhan był

zabójcą w stylu Mandżurskiego Kandydata, „czyimś robotem", strzelającym do Kennedyego nie z własnej, wolnej woli, lecz w wyniku post-hipnotycznej sugestii. Wierzą również, opierając się na zasadniczych fizycznych dowodach, że Shirhan w rzeczywistości nie zastrzelił Kennedy'ego (faktycznie znaleziono przy Shirhanie nie wystrzelone naboje, co doprowadziło Turnera i Christiana do konkluzji, że Shirhan w ogóle nie wystrzelił żadnych kul - jedynie ślepe naboje).

Śmiertelny strzał został prawdopodobnie oddany, jak autorzy (i część badaczy zabójstwa) utrzymują, przez strażnika ochrony nazwiskiem Thane Eugene Cesar, który stał tuż za Kennedym i przyznał, że wyciągnął swoją broń - i nawet prywatnie dodał, że wystrzelił z niej.

Cesar w jakiś sposób zgubił swój zapinany krawat podczas całego zamieszania. Na sławnym zdjęciu umierającego R.F.K., rozciągniętego na podłodze spiżarni, widać porzucony zapinany krawat leżący w odległości zaledwie około 30 centymetrów od zaciśniętej prawej ręki Kennedy'ego.

Jednak biorąc pod uwagę liczbę pocisków przelatujących przez pomieszczenie, Turner i Christian sądzą również, że musiała być gdzieś na tej scenie trzecia broń. Shirhan był niczym więcej jak przynętą; kozłem ofiarnym o kontrolowanym umyśle.

Wadą większości teorii spiskowych z udziałem Mandżurskich Kandydatów jest brak jakiegokolwiek rozpoznanego programatora owych „hipnoprogramowanych" zabójców. Turner i Christian odnajdują kandydata, aczkolwiek dowody, jakimi się posługują, są raczej słabe.

366

Koncentrują oni swoją uwagę na Williamie Josephie Bryanie, czołowym ekspercie w dziedzinie hipnozy - przynajmniej tak twierdził Bryan. Chwila największego podziwu dla Bryana nadeszła, kiedy pomógł rozwiązać przypadek Dusiciela z Bostonu przez zahipnotyzowanie podejrzanego, Alberta DiSalvo. Notatniki Shirhana zawierały - oprócz innych rzekomo nonsensownych gryzmołów -

nazwisko „DiSalvo" napisane wielokrotnie. Gdy go skonfrontowano z tą „pozycją w dzienniku", Shirhan był zakłopotany i stwierdził, że nazwisko to nic mu nie mówi.

Kiedy pewna dziennikarka zapytała reklamującego się wylewnie hipnotyzera o jego zdanie na temat Shirhana, czołowy światowy ekspert od hipnozy w sposób niewytłumaczalny rozgniewał się.

„Nie będę komentował tego przypadku, ponieważ ja go nie zahipnotyzowałem" - warknął Bryan, po czym zakończył wywiad.

W roku 1977 znaleziono martwe ciało Bryana w pokoju motelowym w Las Vegas. Dwie „dziewczyny na telefon", które „obsługiwały" go regularnie przez ostatnie dwa lata jego życia powiedziały Turnerowi i Christianowi, że Bryan nie tylko chwalił się im zahipnotyzowaniem Shirhana, ale również, że pracował dla CIA przy „najbardziej tajnych zadaniach".

Równie dobrze mógł to być blef. Ale ktokolwiek go zahipnotyzował, fakt, że Shirhan był zahipnotyzowany, w gruncie rzeczy nie ulega wątpliwości. To czy był przedmiotem jakiegoś prowadzonego przez CIA programu prania mózgów związanego z MK-ULTRA, czy też, jak się niekiedy spekuluje, był związany z jakiegoś rodzaju grupą okultystów - jeszcze jedna forma kontroli umysłu - albo jedno i drugie, albo żadne z nich - jest jedną z owych tajemnic zamkniętych i być może teraz już zagubionych w przytulnych zakamarkach bezpiecznie zamkniętego umysłu Shirhana Shirhana.

367

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Ted Charach. The Second Gun. Film dokumentalny, 1973 (kopia wideo w posiadaniu autora).

Robert Kaiser. RFK Musi Die! Nowy Jork: E.P.Dutton Co., 1970.

William Turner i John Christian. The Assassination of Robert F.

Kennedy: The Conspiracy and Coverup. Nowy Jork: Thunders Mouth Press, 1993.

44. John Kennedy: pytań ciąg dalszy

Ojciec Michaela Scotta, Winston, był szefem ekspozytury CIA w mieście Meksyk od 1956 roku aż do swojego przejścia na emeryturę w roku 1969. Kiedy więc w roku 1985 młodszy Scott odwiedził

kwaterę główną CIA w Langley w stanie Wirginia, został powitany serdeczniej, aniżeli mógłby tego ktoś oczekiwać od niezbyt gościnnej agencji szpiegowskiej.

Scott ojciec, zawodowy tajny agent, zmarł w roku 1971 najwyraźniej z powodu komplikacji będących wynikiem wypadku w domu.

Planował on podróż do Waszyngtonu, aby dobrowolnie (a nawet z entuzjazmem) oddać swój tekst planowanej książki do przejrzenia byłemu szefowi, dyrektorowi Agencji, Richardowi Helm-sowi. Jednak z powodu zgonu podróżnicze plany starszego Scotta nie doszły do skutku. W ciągu paru godzin od chwili, gdy pani Scott znalazła ciało swojego męża leżące przy stole śniadaniowym, legendarny szef kontrwywiadu James Angleton ukazał się w drzwiach wejściowych domu rodziny Scottów w mieście Meksyk szukając rękopisu.

W roku 1985 Michael Scott, syn, zarabiał na życie jako producent w Hollywood. Z ciekawości poprosił, aby mu pokazano nigdy nie publikowaną książkę. Miał nadzieję, że pomoże mu ona lepiej zrozumieć tajemnicze życie ojca. Zapytanie skierowane do CIA spowodowało

zaproszenie do Langley. Zgodnie z tym, co opowiedział reporterowi Dickowi Russellowi, Scotta przedstawiono „wysoko postawionemu oficerowi, który najwidoczniej czytał wcześniej rękopis" i który powiedział mu, że byli zmuszeni usunąć jego fragmenty ze względu na narodowe bezpieczeństwo.

„Które fragmenty?" - zapytał żyjący Scott.

„W pewnym miejscu były wzmianki o Lee Harveyu Oswaldzie -

odpowiedział oficer CIA - i nie chcieliśmy tego podawać do publicznej wiadomości".

CIA potraktowała syna jednego ze swoich starych pracowników nie inaczej niż Kongres i amerykańską opinię publiczną. Zatrzymała lub zniszczyła kto wie ile dokumentów, które mogłyby rzucić światło na tło zabójstwa Johna Kennedy'ego i wiele dotyczących jej supertajnego sojuszu z mafią w celu zlikwidowania Castro.

Helms skłamał przed Komisją Warrena, gdy zeznał, że CIA nigdy nie

„rozważała" wykorzystania Oswalda do swoich celów. W

rzeczywistości w roku 1960, według wewnętrznych dokumentów CIA, Agencja „wykazywała zainteresowanie wywiadowcze" nie znanym wówczas Oswaldem. Podczas swej wizyty kondolencyjnej w rezydencji Scottów, Angleton zabrał nagranie, podobno głosu Oswalda. Taśma CIA pochodziła z okresu wizyty Oswalda w mieście Meksyk latem 1963 roku, zaledwie kilka miesięcy przed zabójstwem.

Oswald - lub ktoś podający się za Oswalda, albo ktoś rozpoznany jako Oswald - udał się do kubańskiej i sowieckiej ambasady, aby w sposób opryskliwy i hałaśliwy domagać się kubańskiej wizy. Podobno spotkał

się również z agentami wywiadu sowieckiego, usiłując uzyskać wizę powrotną do ZSRR, dokąd niegdyś zbiegł (by powrócić, co dziwne, bez przeszkód do Stanów Zjednoczonych). Dlaczego? Istnieje wiele hipotez. Być może Oswald (który wyładował później swoje prywatne frustracje na Johnie Kennedym) był oczarowany iluzją marksistowskiej idei. Z drugiej strony mógł pracować dla 369

CIA przy jakiejś antykubańskiej operacji. W owym czasie wiele takich operacji było w trakcie realizacji.

Albo może ktoś próbował sprawić, by Oswald wyglądał na komunistę.

Według tej teorii wina za zabójstwo, które potem nastąpiło, mogła spaść na ZSRR. Po zamachu na J.F.K. miała miejsce próba podjęta przez funkcjonariuszy CIA i wpływowych prawicowców (pod wodzą nafciarza H. L. Hunta) wskazania na Castro i/albo Chruszczowa jako na „grube ryby", stojące za wydarzeniami w Dallas.

Tak czy inaczej głos Oswalda został nagrany w mieście Meksyk i Winston Scott zachował jedno z nagrań w swoim domu. Zatrzymał je nawet po swoim przejściu na emeryturę. Aż do roku 1976 CIA nie przyznała, że takie nagranie istniało. Nie było również prawdziwe oświadczenie Agencji, że wszystkie nagrania zostały zniszczone przed zabójstwem. FBI stwierdziło później, że głos na taśmach w ogóle nie należał do Oswalda.

Czy może ktoś podawał się za Oswalda przed zamachem?

Epizod w mieście Meksyk jest kluczowy dla ukazania Oswalda jako chwiejnego emocjonalnie dziwaka, ale podczas debaty odbytej w roku 1978 z adwokatem Markiem Lane'em, pionierem badań nad spiskiem, były szef CIA na półkulę zachodnią David Atlee Philips oznajmił, że

„nie ma żadnych dowodów na to, że Oswald odwiedził sowiecką ambasadę". Jeżeli nie on, to kto to zrobił? Lane określił zdumiewające oświadczenie Philipsa jako „spowiedź".

Philips był rzecznikiem CIA wobec Kongresu w sprawie taśm Oswalda. To ten sam Philips, który był podejrzany przez Specjalną Komisję Kongresu ds. Zabójstw o to, że oprócz tego był „Maurice'em Bishopem", kontrolującym z ramienia CIA antycastrowską brygadę Alpha 66. Ten sam David Philips, którego zadaniem jest usprawiedliwienie CIA w sprawie incydentu Oswald-Meksyk, mógł

być pierwszym, który zaaranżował „scenariusz Mexico City", według Lane'a,

370

który zresztą zrobił prawniczą i literacką karierę na obwinianiu CIA o śmierć J.F.K.

Kubański przywódca Alpha 66, Antonio Veciana, twierdził, że w czasie jednego z około stu jego spotkań z „Bishopem", Oswald był

obecny, nie odzywając się i po prostu zachowując się dziwnie.

„Zawsze uważałem, że Bishop współpracował z Oswaldem podczas zabójstwa" - powiedział Veciana reporterowi Russellowi.

Kuzyn Veciany pracował dla służby wywiadowczej Castro. Po zamachu Bishop chciał, by Veciana

przekupił kuzyna, aby ten oświadczył, że spotkał się z Oswaldem w celu sfabrykowania powiązań Oswalda z Castro.

Badacze nigdy nie ustalili z całą pewnością, czy Bishop i Philips to ta sama osoba, choć opisy wyglądu i manier Bishopa były lustrzanym odbiciem Philipsa. Wykonany przez policyjnego rysownika szkic Bishopa poruszył pamięć senatora Richarda Schweikera, członka Komisji ds. Zabójstw, jako wykapany obraz Philipsa. Gdy as Komisji Gaeton Fonzi skonfrontował Vecianę i Philipsa, obaj zaczęli się dziwacznie wobec siebie zachowywać. Po krótkiej rozmowie w języku hiszpańskim Philips zerwał się z miejsca. Świadkowie spotkania przysięgają, że przez twarz Veciany przemknął cień rozpoznania, ale Veciana zaprzeczył, jakoby Philips był oficerem z jego sprawy sprzed ponad dekady.

„Ale - dodał tajemniczo Veciana - on wie".

Niechęć Veciany do dokonania identyfikacji, jak teoretyzował Fonzi, wynikała z dwóch niefortunnych wydarzeń, które ostatnio spadły na Kubańczyka: po pierwsze, został skazany za handel narkotykami i podejrzewał, że Bishop go „wystawił"; po drugie, został postrzelony w głowę.

Później Fonzi postawił Vecianie to pytanie w wygodniejszy, bardziej okrężny sposób. „Czy powiedziałby mi pan, gdybym znalazł

Maurice'a Bishopa?" - zapytał. - „No, wie pan - odparł Veciana z uśmiechem - chciałbym z nim najpierw porozmawiać".

371

Russell przeprowadził wywiad z emerytowanym pułkownikiem armii, zbiegiem okoliczności nazywającym się Bill Bishop, twierdzącym, że był zabójcą zatrudnionym przez CIA (podczas swojej rozmowy z Russellem, Bill Bishop wziął na siebie odpowiedzialność za naciśnięcie spustu broni wymierzonej w dyktatora Republiki Dominikańskiej Rafaela Trujillo). Bill Bishop powiedział, że pracował dla ekspozytury meksykańskiej CIA razem z Philipsem oraz że on i Philips razem „prowadzili" Vecianę. Później przedstawił

nagranie na taśmie rozmowy telefonicznej między nim a Vecianą przeprowadzonej w połowie lat osiemdziesiątych. Stało się jasne, że obaj się znają.

Niewątpliwie istniały pewne informacje o Oswaldzie, których CIA nie chciała dopuścić do publikacji. Saga Veciany mogłaby przynajmniej zawierać jakiś trop. Jednakże, ponieważ żadna teoria spiskowa nie była tak szeroko opisywana jak zabójstwo Johna Kennedy'ego, żadna też nie była poddawana tak ostrym atakom. Wiarygodność tych ataków opiera się na braku wiarygodności niejakiego Lee Harveya Oswalda, postaci opisywanej jako tak pokrętna i żałosna, że jest ona z góry wykluczona nawet z nieświadomego uczestnictwa w jakimkolwiek dziele, bardziej skomplikowanym aniżeli napad złego humoru.

Pogląd ten znajduje również miejsce w pompatycznej książce Geralda Posnera Case Closed (Sprawa zamknięta). Aby się upewnić, że czytelnicy prawidłowo zrozumieją jego przesłanie, Posner nadaje rozdziałom poświęconym Oswaldowi tak subtelne tytuły, jak „On wygląda na maniaka", „Nasz Tata zwariował" i „Miał zły nastrój".

Gdy rozprawa Posnera pojawiła się w roku 1993, promowana w taki sposób, aby jej wejście na rynek

zbiegło się z trzydziestą rocznicą śmierci prezydenta Kennedy'ego, zadowolony z własnej przedsiębiorczości Posner zastąpił Komisję Warrena w roli końcowego

372

sędziego, jeśli chodzi o zainteresowanie ważniejszych mediów.

Jonathan Kwitny, dziennikarz o dobrej reputacji, wytłumaczył

zainteresowanie mediów książką Case Closed:

„Wszyscy ci dobrzy młodzi reporterzy i urzędnicy państwowi, którzy bezmyślnie połknęli oficjalną wersję FBI-CIA w sprawie zabójstwa trzydzieści lat temu, czekali przez cały ten czas, aby ktoś wyzwolił ich od własnych wątpliwości, a są oni zbyt inteligentni, by się tym nie przejmować" - napisał Kwitny w „Los Angeles Times", poddając jednakże Posnera negatywnej ocenie.

Metoda Posnera polegająca na omijaniu dowodów, które kłóciły się z jego tezą, polegała na zaciemnianiu sprawy niczym nie popartymi twierdzeniami wyrażonymi tonem niewzruszonego autorytetu.

Dowody na coś przeciwnego były zazwyczaj chowane w przypisach.

Jego technika najlepiej uwidoczniła się w ukazaniu historii Veciana-Bishop/Philips-Oswald.

Posner oświadcza, że „istnieją wątpliwości" co do tego, czy Maurice Bishop w ogóle istniał. Nie wymienia on ani źródła, ani istoty owych

„wątpliwości", ani też nie zauważa, że były dyrektor CIA John McCone przyznał, że niejaki „Maurice Bishop" pracował dla Agencji.

W rzeczy samej, wiele innych pracowników CIA zapytanych przez Fonziego powiedziało to samo, włącznie z jednym, który spontanicznie nazwał Philipsa „Bisho-pem".

Zdaniem Posnera „CIA zaprzeczała, jakoby jakikolwiek oficer w tej sprawie został kiedykolwiek przydzielony Vecianie". Czyżby?

Specjalna Komisja Kongresu w swoim raporcie uznała za możliwe, aby jakaś agencja Stanów Zjednoczonych przydzieliła oficera do sprawy Veciany. W sytuacji głębokiego zaangażowania CIA w intrygi przeciwko Castro w owym czasie, tą agencją najprawdopodobniej była właśnie CIA.

Jest prawdą, jak Posner przypisuje, że Komisja w swoim raporcie stwierdziła, iż „nie mogła... dać wiary

373

historii Veciany". Ale podała również, czego Posner już nie odnotowuje, że „nie znaleziono żadnych dowodów mogących zdyskredytować historię Veciany" oraz że „istniały pewne dowody na jej poparcie". W swoim własnym przypisie Komisja przyznała:

„istnieje podejrzenie, że Veciana kłamał, gdy zaprzeczał, iż [Philips]

był Bishopem". W tym samym czasie, twierdził raport, Philips

„wzbudził podejrzenia komisji" twierdząc, że nie rozpoznawał

Veciany, zwłaszcza że Philips „był kiedyś głęboko zaangażowany w antycastrowskie operacje Agencji".

Działania Komisji, głównie przez skłonność do wahań i niechęć do urażenia CIA, spowodowały jedynie więcej zamieszania, aniżeli dały nowe wyjaśnienia. Faktycznie, zamieszanie było i jest jedyną stałą cechą trwającej obecnie już ponad trzy dziesięciolecia sprawy J.F.K.

Jątrząca praca Posnera po prostu poruszyła mgłę.

A więc kto zabił Johna Kennedy'ego? CIA? Antycast-rowscy fanatycy? Mafia? Wojskowi? Kilku bogatych prawicowych ekstremistów? A może wszyscy oni byli jakoś powiązani? Istnieją dowody na poparcie którejkolwiek z powyższych tez. Oraz wszystkich razem. Może istniało wiele intryg przeciwko Kennedy'emu i złączyły się w jedną gigantyczną zasłonę, za którą każda z grup pilnowała swoich własnych interesów, ale niekoniecznie była świadoma zaangażowania pozostałych.

Dick Russell pisze, że w 1963 roku były trzy spiski przeciwko Kennedy'emu. Jego głównym źródłem informacji jest człowiek nazwiskiem Richard Case Nagell, twierdzący, że pracował dla wielu agencji wywiadowczych, krajowych i innych. Pierwszy spisek przewidywał detonację bomby podczas przemówienia Johna Kennedyego w Orange Bowl w Miami. Rzekomy zabójca wyznaczony przez CIA, Bill Bishop, potwierdził tę historię.

Spisek numer dwa - również niezależnie potwierdzony przez Billa Bishopa - planowany był w Los Angeles. Udział Nagella polegał na śledzeniu lewicowca z Los

Angeles nazwiskiem Vaughn Marlowe, którego kandydaturę

„rozważano do rekrutacji, w celu uczynienia z niego strzelca mającego zabić Johna Kennedy'ego" - powiedział Nagell Russellowi.

Rekrutujący byli członkami Alpha 66 z Los Angeles. Marlowe nie wiedział o tym, że był pierwotnie potencjalnym Oswaldem aż do chwili, gdy poinformował go o tym Russell wiele lat później.

Wiedział jedynie, że Nagell go śledził. Podczas prowadzonego przez prokuratora okręgowego z Nowego Orleanu, Jima Garrisona, głośnego dochodzenia w sprawie Johna Kennedy'ego, Marlowe napisał do Garrisona, relacjonując mu rolę Nagella.

Nagell wiedział również o trzecim spisku - i to tak dobrze, że Russell uważa, iż został on wynajęty przez KGB, aby skończyć ze spiskiem poprzez skończenie z Oswaldem. Zamiast tego Nagell celowo dał się aresztować, oddając strzał z broni palnej wewnątrz banku w El Paso 20 września 1963 roku.

Według wspomnień oficera, który aresztował Nagella, w chwili zatrzymania Nagell powiedział: „Cieszę się, że mnie złapaliście.

Naprawdę nie chcę być w Dallas".

„Co pan przez to rozumie?" - zapytał policjant.

„Wkrótce się pan przekona" - odparł Nagell. Dwa miesiące i dwa dni później prezydent Kennedy został śmiertelnie postrzelony w Dallas.

Russell, w przeciwieństwie do Posnera, nie przypisuje sobie niepodważalnej racji. Jest daleki od tego. Jednak poczynając od Nagella, u Russella przewija się cała menażeria ponurych postaci pasujących do wszystkich wyżej wymienionych kategorii. Wśród budzących największy strach i najpotężniejszych był emerytowany generał Charles Willoughby, były szef wywiadu pracujący dla generała Douglasa MacArthura. MacArthur scharakteryzował kiedyś swojego podwładnego jako „małego faszystę". Bill Bishop, określający siebie jako wykonawcę brudnej roboty, również pracował

dla MacArthura jako „doradca ds. wywiadu" - według pewnego 375

dokumentu ujawnionego przez Russella. „Jeżeli to prawda - podkreśla Russell - znaczyłoby to, że Bishop służył pod rozkazami szefa wywiadu MacArthura, Charlesa Willoughby".

Willoughby stworzył ultraprawicową sieć, której najbardziej widocznym rzecznikiem był walczący „ogniem i mieczem" pastor Billy James Hargis, i w której brał udział teksaski magnat naftowy H.

L. Hunt, a także przekwalifikowany na dziennikarza agent CIA Edward Hunter (któremu przypisuje się wymyślenie wyrażenia

„pranie mózgu"). Willoughby utrzymywał bliskie stosunki z Allenem Dullesem, dyrektorem CIA, później zwolnionym przez Kennedy'ego -

i następnie wyznaczonym przez Komisję Warrena do badania okoliczności zabójstwa prezydenta, który uprzednio wyrzucił go ze stanowiska!

W roku 1975 Russell po napisaniu dla „Village Voi-ce" artykułu o zabójstwie, otrzymał anonimowy list identyfikujący „sławnego amerykańskiego generała urodzonego w Heidelbergu w Niemczech w roku 1892" jako tego, który „opracował plan zabójstwa". Ów dziwny list tajemniczo nazywał tego „sławnego generała", „Tscheppe-Weidenbachem".

Wiele lat później, podczas lektury książki The Origins of the Korean War Bruce'a Cumingsa, Russell natknął się na „niejasną wzmiankę, że Adolf Tscheppe-Weidenbach z Heidelbergu w Niemczech zmienił

swoje nazwisko w chwili przybycia do Stanów Zjednoczonych na krótko przed I wojną światową, na Charles Willoughby".

Istnieje też historia, zapisana przez Fonziego, o Dave Moralesie,

„samozwańczym" zabójcy CIA, który pewnej nocy, w obecności bliskich przyjaciół, wygłosił pijaną diatrybę przeciw Kennedy'emu za poświęcenie jego wyszkolonych w CIA towarzyszy w Zatoce Świń.

„Nagle przestał - pisze Fonzi - i milczał przez chwilę". Potem, w taki sposób jakby mówił sam do siebie, dodał: „No cóż, zajęliśmy się tym sukinsynem, nieprawdaż?"

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Geaton Fonzi. The Last Investigation. Nowy Jork: Thunders Mouth Press, 1993.

Henry Hurt. Reasonable Doubt. Nowy Jork: Henry Holt and Company, 1985.

Mark Lane. Plausible Denial. Nowy Jork: Thunders Mouth Press, 1991. Gerard Posner. Case Closed: Lee Harvey Oswald and the Assassination ofJFK. Nowy Jork: Random House, 1993.

Dick Russell. The Man Who Knew Too Much. Nowy Jork: Carroll and Graf, 1992.

Anthony Summers. Conspiracy. Nowy Jork: Paragon House, 1989.

Wszelka literatura dotycząca zabójstwa J.F.K. wiele zawdzięcza pracy setek badaczy. Niektórymi, chociaż nie wszystkimi, z najważniejszych są: Peter Dale Scott, Jim Garrison, Jim Marrs, Sylvia Meagher i Carl Oglesby.

Spis treści

Wstęp

To spisek, nieprawdaż?.....9

Podziękowania.....13

Część I

Za dolary podatnika

1.

Narkotykowe eksperymenty CIA.....19

2.

Polowanie na Castro.....28

3.

W poszukiwaniu lepszych ludzi.....39

4.

Agencja katastrofy narodowej.....46

5.

Sekret tajemniczych chorób.....56

6.

Te wspaniałe wojenki.....65

7.

Dla zachowania porządku publicznego.....75

8.

Królowa spisków i detektywi.....81

9.

CIA i media.....89

Część II: Nie z tego świata

10. Sekrety nieba.....99

11. Skandal Apollo.....103

12. Spodkowa wojna błyskawiczna.....109

Część III Samotna śmierć

13. Co spotkało Boginię Seksu.....117

14. Tajemnica śmierci Jimi Morrisona.....125

379

15. Człowiek, który wiedział za dużo..... 133

16. Orgonowy rozpraszacz chmur..... 142

Część IV

W świecie polityki

17. Oszustwa wyborcze.....159

18. Matka wszystkich afer „gate".....162

19. Libido pod nadzorem.....172

20. Październikowa Niespodzianka.....181

Część V

Krwawe morderstwa

21. Królewski rozpruwacz..... 183

22. Morderstwo przy Cielo Drive..... 199

Część VI

Połączone teorie

23. Oświeceni..... 207

24. Brylantowe akta..... 213

Część VII

Konspiracja

25. Pucz w Białym Domu.....221

26. Fluorowa konspiracja.....227

27. Konopiane szaleństwo.....229

28. Nowy Światowy Ład.....234

Część VIII

Tragedie i dramaty

29. To oznacza wojnę.....247

30. Straceni chłopcy.....251

31. Imperium Zła kontratakuje.....263

32. Lot Pan Am 103 268

33. Masakra w Jonestown.....277

34. AIDS: dżuma Pentagonu?.....285

Część: IX

Tajemnice państwowe

35. Powrót hitlerowskiego szpiega.....295

36. Nietykalni.....303

37. Oto nowy szef.....308

380

Część X

Z ręki zamachowca

38. Kto zabił Johna L.?..... 317

39. Zagadka powiązań Hinckley-Bush..... 324

40. Bułgarski ślad 331

Część XI Zmierzch idoli

41. Spiski wokół Lincolna 341

42. Długie ramię prawa? 348

43. Robert Kennedy musi umrzeć!.....360

44. John Kennedy: pytań ciąg dalszy 368

Table of Contents

Rozpocznij